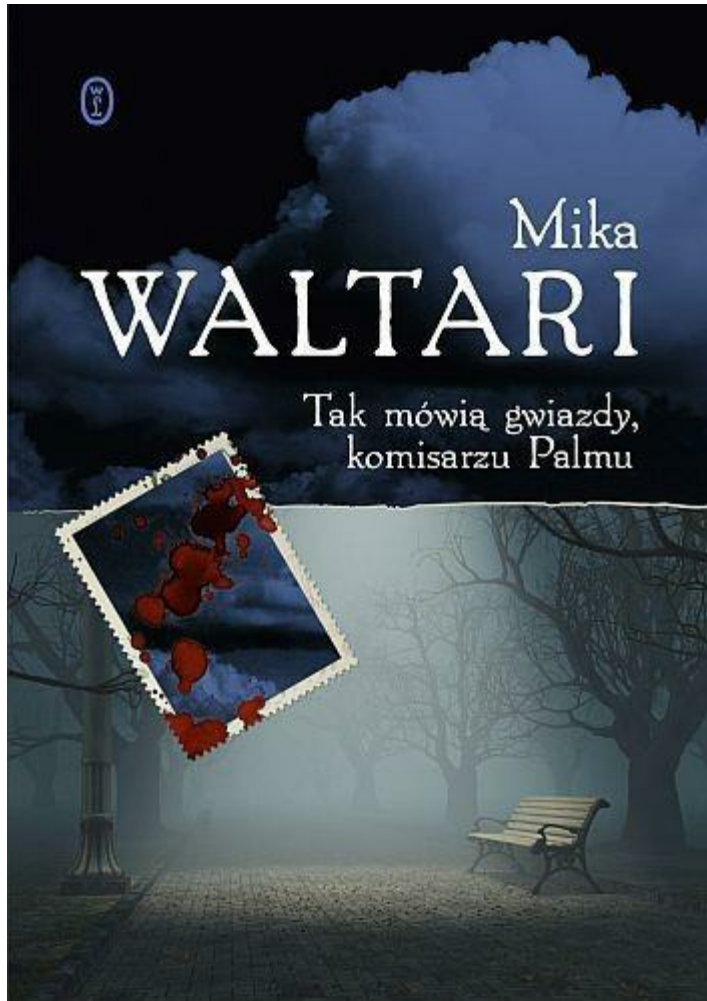


3-1

Mika
WALTARI

Tak mówią gwiazdy,
komisarzu Palmu





Mika WALTARI

Tak mówią gwiazdy, panie

komisarzu

Przełożył SEBASTIAN MUSIELAK

Tytuł oryginału Tahdet kertovat, komisario Palmu!

Wydawnictwo Literackie

1.

Zacznę od panny Kaino Pelkonen. Lat czterdzieści dziewięć, jak sama powiedziała. Była urzędniczka ubezpieczalni. Rankiem ostatniego dnia września, zanim jeszcze wschodzące słońce rozjaśniło jej nowoczesną kawalerkę przy ulicy Obserwatoryjnej, szkocki terier Dobry Druh, z rodu Abercombe-Cooke, powoli otworzył oczy i zaczął

popatrywać dobrotliwie na swoją śpiącą panią. Tuż przed godziną szóstą piesek ostrożnie wyszedł ze swojego kosza, podreptał do wezglowia łóżka, przysiadł na tylnych łapach i wbił spojrzenie w przymknięte powieki panny Pelkonen. Po kilku minutach owego hipnotyzowania pojawił się pożądaný rezultat. Kobieta westchnęła i otworzyła oczy, napotyając od razu, zaledwie dziesięć centymetrów od swojej głowy, intensywne, nieruchome spojrzenie wiernego psa. Widząc, że jego pani już się obudziła, Dobry Druh przystąpił do zwyczajowych czułości. Zaśmiał się bezgłośnie i przelotnie cmoknął kobietę w policzek, ale nie zaszczekał. Z biegiem lat nauczył się respektować obowiązujący w kamienicy regulamin. Uszlachetniana przez pokolenia krew niosła i tę informację, że wczesnym rankiem małe pieski powinny raczej siedzieć cicho.

Gdy zaczyna się ta opowieść, panna Pelkonen i jej szkocki terier są już, że tak powiem, bardzo ze sobą zżyci i zdążyli zaakceptować nawzajem swoje nawyki. Dobry Druh nie okazywał więc zniecierpliwienia, kiedy jego pani parzyła sobie w kuchni zwyczajową poranną kawę, której starczało na dwie filiżanki. A gdy wyszła z łazienki, gdzie po odprawieniu niezbędnych rytuałów nałożyła sobie na usta i blade policzki róż, Dobry Druh czekał już przy drzwiach, trzymając smycz w zębach.

Kiedy schodzili cichutko po schodach, szary i wilgotny helsiński świt dopiero budził się ze snu. O tej porze dnia panna Pelkonen wzdragała się nawet korzystać z windy, aby łoskot nie zbudził czasem któregoś z mieszkańców. Z racji posiadania psa nasłuchiwała się już dosyć gróźb i obelg. Co prawda w regulaminie nie napisano wprost, że w

kamienicy nie wolno trzymać psów, jednak z drugiej strony, jak na zebraniu spółdzielni mieszkaniowej podkreślił rozeźlony prawnik z ostatniego piętra, nie napisano w nim również, że mieszkańcom kamienicy wolno je posiadać.

Tak oto zaczynała się dla panny Pelkonen codzienna droga przez mękę. Z niewypowiedzianą ulgą kobieta stwierdziła, że drzwi bramy są ciągle zamknięte na klucz, oznaczało to bowiem, że dozorca jeszcze nie wstał z łóżka. Nie żeby panna Pelkonen, czy raczej jej Dobry Druh w najśmielszych marzeniach odważył się choćby wyobrazić sobie załatwianie naturalnych psich potrzeb, nawet tych najbardziej przelotnych, na skrawku trawy rozpościerającym się przed okazałą fasadą domu. Dozorca miał jednak swoje zasady i na widok panny Pelkonen wychodzącej z psem nieodmiennie warczał.

Ulica była wyludniona i cicha. Nie było nawet jeszcze roznosiciela gazet. Panna Pelkonen odetchnęła głęboko z ulgą i już bez oporów pozwoliła pociągnąć się swemu psu na zwirową alejkę wiodącą na szczyt Wzgórza Obserwatorium.

Tam Dobry Druh się zatrzymał i znów skierował szlachetne spojrzenie na swoją panią. Panna Pelkonen rozejrzała się szybko, po czym wypięła smycz z obroży, puszczając psa swobodnie na trawę, między drzewa i krzewy. Tu i ówdzie na ziemi leżały mokre żółte liście, było jednak zupełnie bezwietrznie, wilgotno i szaro.

Panna Kaino Pelkonen, mając lat czterdzieści dziewięć i odrobinę sztucznego różu na bladych policzkach, zdawała sobie sprawę, że

spuszczając psa ze smyczy i pozwalając mu swobodnie biegać po parku, łamie wszystkie przepisy. Dwie filiżanki kawy rozgrzały ją jednak i ośmieliły. Z przekorą powiodła wzrokiem dokoła, choć dobrze wiedziała, że o tak wczesnej porze nie zobaczy nigdzie ani zamiatacza, ani stróża. Bywało, że parkowy stróż ordynarnie ją sklął, a ten i ów pacnął miotłą jej ukochanego psa. Te przykre doświadczenia sprawiły, że panna Pelkonen najchętniej wstawiała jeszcze przed szóstą, a w cudowne letnie poranki nawet i o czwartej, by móc ze spokojem wyprowadzić Dobrego Druha na spacer. Nie mogła się pogodzić ze złem ludzkiej natury ani niesprawiedliwością miejskich rozporządzeń, bo przecież psy również płaciły podatki, i to uczciwiej i niezawodniej niż niejeden człowiek. Mogła co najwyżej uniknąć przykrości, poświęcając ostatnie godziny nocnego spoczynku.

Panna Pelkonen szła więc alejką ku obserwatorium, a zachwycony, choć powstrzymujący się dzielnie od szczekania Dobry Druh biegał między krzewami. Od czasu do czasu zatrzymywał się i szybkim spojrzeniem sprawdzał, czy jego pani się nie zgubiła. Nasyciwszy się smętnym zapachem gleby i wilgotnych liści w parku, panna Pelkonen skierowała kroki w stronę pomnika Rozbitków. Co prawda w powietrzu stała jeszcze mgła, kobieta miała jednak nadzieję zobaczyć złotą zorzę słońca, wschodzącego za portem i Katajanokką[* Niewielka dzielnica Helsinek położona na wąskim skrawku lądu we wschodniej części pierwotnego centrum miasta, od której oddzielona jest kanałem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)]. Niejeden raz oglądała tam

cudowny wschód zupełnie sama, choć daleko na placu Targowym ruch zaczynał się już o tak wczesnej porze.

Tamtego dnia jednak promienie słońca rozmyły się w szarym brzasku. Rozwidniało się tylko, pożółkłe i pordzewiałe liście na drzewach powoli nabierały barw, a trawa zieleniała. Panna Pelkonen patrzyła na port, podczas gdy jej pies z niesłabnącym zapałem prowadził prywatne poszukiwania w okolicznych krzakach.

I jeżeli rzeczywiście nomen est omen, jak lubi powtarzać komisarz Palmu w chwilach słabości, to trudno o bardziej trafne zestawienie imienia i nazwiska dla naszej bohaterki[* *Kaino* po fińsku znaczy „nieśmiały, wstydlivy”, *pelko* zaś „strach, lęk”]. Panna Pelkonen była zarówno nieśmiała, jak i tchórzliwa, do czego zresztą uczciwie się w duchu przyznawała. Z początku przerażały ją te poranne spacerunki po wyludnionym parku. Nie tylko dlatego, że ktoś mógłby ją nakryć na spuszczeniu psa ze smyczy. Panna Pelkonen bała się również koczujących w parku bezdomnych pijaków.

Czasem jednak słońce wychylało się zza horyzontu tak pięknie, że kobieta zupełnie zapominała o strachu i z uśmiechem na ustach wyobrażała sobie, że któregoś dnia o tej właśnie, bardzo wczesnej godzinie porannej zupełnie przypadkowo natknie się w tym parku na pewnego pana, pogrążonego w myślach naukowca lub poetę, który aż podskoczy na jej widok... i... i tak dalej.

W tamtej chwili posunięte już dość daleko marzenia panny

Pelkonen przerwało jednak dobiegające z krzaków donośne szczekanie jej

niezawodnego towarzysza, Dobrego Druha. Jazgotliwe ujadanie zmąciło parkową ciszę tak brutalnie, że skamieniała ze strachu kobieta nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej pies zbudził całe Helsinki. Coś się stało. To nie był skowyt bólu, ale Dobry Druh musiał się czegoś bardzo przestraszyć.

Terier wystrzelił z krzaków i rzucił się pędem w stronę swojej pani. Jego ciepłe, brązowe spojrzenie było teraz wyblakłe i szkliste. Wściekle szczekając, Dobry Druh podbiegł do panny Pelkonen, aby ją wezwać w krzaki, po czym popędził pierwszy z powrotem i znów zawrócił. Na szczęście nic mu się nie stało. Po prostu znalazł coś, co go okropnie nastraszyło. Dobry Druh był psem bardzo wrażliwym.

Widząc przerażenie swojego ulubieńca, panna Pelkonen sama przestała się bać. Zganiła go cicho za szczekanie i ruszyła za nim w stronę kępy krzaków, rozsuwając witki na boki. Wilgotne liście czepiały się jej sukienki. Na ziemi pod krzewami dostrzegła zdarte podeszwy męskich butów, dwie wystające ze spodni nogi oraz wywiniętą na lewą stronę połę płaszcza. Leżący twarzą do ziemi mężczyzna zaciągnął sobie jesionkę na tył głowy. Pijak. Oczywiście panna Pelkonen od razu pomyślała, że to jakiś bezdomny ochlapus. Może przez te znoszone zelówki. Albo pozycję, w jakiej leżał mężczyzna. No i miała wręcz nieodparte wrażenie, że w rześkim jesiennym powietrzu unosi się wyraźny odór alkoholu.

Pies przestał szczekać. Dobry Druh, dzielny przyjaciel, warknął i szarpnął leżącego za nogawkę, nim jego pani zdążyła go powstrzymać, zaraz jednak odskoczył i podwinąwszy ogon, zaskomlał i jął żałośnie

popatrywać na pannę Pelkonen.

Dobry Druh nie zdołał zbudzić śpiącego. Panna Pelkonen

przemogła więc niechęć i pochyliwszy się zdecydowanie nad leżącym, szarpnęła go za nogę. Ostatecznie nawet pijaka nie wolno zostawiać na mokrej ziemi. Jeszcze się nabawi zapalenia płuc.

Noga okazała się jednak zupełnie sztywna. Dopiero wtedy panna Pelkonen przejrzała na oczy. Pijak był martwy. Mały, obszarpany żul z głową nakrytą płaszczem. Zupełnie sztywny. Wtedy z gardła panny Pelkonen wydobył się krzyk. Nie zdołała go powstrzymać. Krzyknęła głośno. Kilka razy z rzędu.

Napotkała jednak karcące spojrzenie Dobrego Druha i po chwili jakoś zdołała nad sobą zapanować, ograniczając się do samego dygotania.

Pies patrzył na swoją panią tak, jakby mu było za nią wstyd, choć sam z początku też bardzo się przestraszył i prawie zupełnie stracił głowę.

Martwy pijak był doskonale nieruchomy. Niewzruszoność śmierci, jej spokojna maniera nawet w tak nędznej człowieczej formie udzieliła się w końcu także pannie Pelkonen. Kobieta przestała dygotać.

Wycofała się z krzewów do alejki i przez chwilę rozważała, co robić.

I wtedy właśnie na stoku wzgórza od strony obserwatorium pojawił się

pewien pan, dżentelmen jej życia, jota w jotę taki, jakiego sobie

wymarzyła. Szedł wolnym krokiem myśliciela, rozglądał się jednak

badawczo. Nie był może tak wysoki i przystojny, jak się spodziewała, ale

miał szpakowate skronie i posiwiałe brwi, na głowie zaś zielony kapelusz

z maleńkim czerwonym piórkiem.

Panna Pelkonen zamarła i gapiła się na niego z rozdziawionymi ustami. Dobry Druh szybciej rozpoznał sytuację. Podskoczył i pobiegł, rzucił się ku owemu panu, ze szlochem przyskoczył do niego i przytulił się do wystającej spod poły jego modnego deszczowego płaszcza eleganckiej szarej nogawki, zaczął wprost tarzać się przed nim z czystej radości i wielkiej wdzięczności. Dżentelmen pochylił się i pogłaskał teriera po grzbiecie, po czym znów się wyprostował, obrzucił pannę Pelkonen stalowoszarym, acz przyjaznym spojrzeniem i spytał głosem roztargnionym, jak gdyby został wyrwany z głębokich rozmyślań:

- Czy ktoś tu krzyczał? Zdawało mi się, że stąd dobiegały kobiece krzyki.

Panna Pelkonen wahała się tylko przez chwilę. Bezwarunkowa uczciwość, przypomniała sobie, wyznała więc natychmiast:

- To ja krzyczałam.

I jakby wiedziona przemożną siłą, spojrzała nieśmiało nieznanemu dżentelmenowi prosto w oczy. Na krótki, przez co tym bardziej osobliwy moment czas i przestrzeń przestały istnieć. Panna Pelkonen zdołała się jednak otrząsnąć, a wtedy wskazała na krzaki i wyjąkała:

- Tam, w krzakach, le-leżą zwłoki ja-akiegoś pijaka. Dobry Druh... -

Poczerwieniała i szybko sprostowała: - To znaczy mój pies znalazł je i bardzo się przestraszyłam.

Dżentelmen ponownie się pochylił i pogłaskał za uszami Dobrego Druha, który z uwielbieniem przylgnął do jego nogi, po czym rzekł

nieobecny głosem:

- Piękny pies.

Wpatrywał się jednak w pannę Pelkonen. Kiedy się otrząsnął, wkroczył między krzewy i trącił czubkiem buta zeszywniałe ciało. Zaraz też wrócił z lakonicznym komunikatem:

- Nie żyje, fakt.

Powiedziawszy to, rozejrzał się uważnie dookoła i ku wielkiemu zdziwieniu panny Pelkonen zapytał:

- I co z tego?

Czarny, kędzierzawy terier szkocki siedział na piasku przed mężczyzną i wpatrywał się w niego z uwielbieniem. Panna Pelkonen się zawahała.

- Może powinniśmy... - zaczęła.

- Powiadomić policję? - dokończył za nią dżentelmen. - Oczywiście.

Wiadomo. Tak właśnie powinniśmy postąpić. Ale... - Mężczyzna zdjął kapelusz, przeciągnął ręką po szpakowatych włosach, jak gdyby bolała go głowa, i dopiero wtedy dokończył: - Ale gdzie pani teraz uświadczy policjanta? Czy ktoś w Helsinkach widział ostatnimi laty żywego funkcjonariusza? Bywa, że ulicą przemknie radiowóz. Za dnia można zobaczyć dwóch konnych podczas zmiany warty. I czasem przy drodze policjantów z lizakiem, zawsze nim się zdąży nacisnąć hamulec. Ale czy istnieją jeszcze zwyczajni stójkowi, jak za czasów naszej... proszę mi wybaczyć... mojej młodości? Żywy posterunkowy, w mundurze, chodzący po rewirze z rękami założonymi z tyłu to już tylko mit.

Policja to nie żaden mit - zachnęła się panna Pelkonen z przesadną może ostrością. Przypomniała sobie bowiem policjanta, który kiedyś wyrósł jak spod ziemi akurat wtedy, gdy na skraju Kaivopuisto*[* Park blisko centrum Helsinek.] spuściła Dobrego Druha na krótką chwilę ze smyczy.

- Chodzi mi raczej o to - odezwał się po namyśle dżentelmen - że nie warto ściągać sobie na głowę niepotrzebnych kłopotów. Cóż ta sprawa może panią obchodzić? Obchodzić nas? Jeżeli zgłosimy to na policję, stracimy tylko mnóstwo czasu. Zaczną nas przesłuchiwać. Zacznie się spisywanie personaliów i miejsca zamieszkania. Po co nam to wszystko? Zupełnie bez powodu. Przez jakiegoś pijaka.

Panna Pelkonen znów zaczęła dygotać. Przez głowę przebiegła jej straszliwa myśl.

- Czyli będę... będę musiała się przyznać, że... że mój pies nie był na smyczy? - zapytała. - Puszczam go luzem tylko wcześniej rano, kiedy nikomu to nie przeszkadza.

- Oczywiście, że będzie pani musiała - odrzekł dżentelmen. - To jasne jak słońce. Jakżeby inaczej mógł znaleźć zwłoki?

- Ale... - zaoponowała panna Pelkonen, zapominając o sobie. -

Przecież nie możemy zostawić go ot tak, na ziemi, w krzakach. W końcu to też człowiek, jakkolwiek by patrzeć. Naszym obowiązkiem jest zawiadomić policję.

- Wkrótce ktoś go znajdzie, proszę się nie martwić - uciął zniecierpliwiony dżentelmen. - Spadło sporo liści. O siódmej przyjdą

dozorcy z miotłami. Czyż to nie najprostsze i najbardziej oczywiste rozwiązanie? My zaś pójdziemy teraz każde swoją drogą i zapomnimy o całej sprawie.

- Ależ... - bąknęła oburzona panna Pelkonen, unosząc się lekko na palcach - ależ tak nie można! To takie... takie samolubne!

Dżentelmen potrząsnął ze smutkiem głową, włożył kapelusz i z westchnieniem znów się pochylił, by pogłaskać Dobrego Druha.

- Piękny pies - powtórzył nieobecny tonem. - Tak, tak, na świecie powinno być więcej ludzi takich jak pani. Może wtedy łatwiej byłoby na nim żyć. Ale... - dżentelmen najwyraźniej podjął niemiłą decyzję. - Niestety, ja nie zamierzam się do tej sprawy mieszać. Proszę się nie zżymać. Naprawdę nie mogę. Niechże pani robi, co pani sumienie dyktuje.

To rzekłszy, uchylił elegancko zielonego kapelusza z maleńkim czerwonym piórkiem, skłonił się i odwrócił. Bez pośpiechu ruszył pod górę tą samą alejką, którą przyszedł. Dobry Druh ruszył truchtem przy jego lewej pięcie, jak gdyby chciał mu pokazać swoje dobre maniery. W końcu dżentelmen musiał się zatrzymać i rozkazać psu, aby wrócił do swojej pani. Dobry Druh usiadł i odprowadził mężczyznę smutnym wzrokiem. Tak oto jedyny prawdziwy pan w życiu panny Pelkonen właśnie się z niego ulotnił. Na zawsze. Tak przynajmniej wtedy sądziła. Wciąż wspięta na palce i z rozpaloną twarzą, lecz zimnym od doznanego zawodu sercem stała i patrzyła za odchodzącym, a minę miała taką samą jak jej szkocki terier.

Panna Pelkonen nie miała jednak czasu na sentymenty. Trzeba było działać. To był jej obowiązek. Telefon, przemknęło jej przez głowę, ruszyła więc biegiem alejką w dół, potykając się, sapiąc i trochę szlochając. Dobry Druh pędził przed nią, przewyciężając dzielnie przemożną chęć głośnego poszczekiwania. Nie wypadało.

Zbiegając ze Wzgórza Obserwatorium, panna Pelkonen kątem oka dostrzegła stojący pośrodku trawnika samochód z maską dziwnie owiniętą na pniu grubego drzewa. Nie zwróciła na niego jednak większej uwagi. W centrum Helsinek widywało się najróżniejsze rzeczy, a poza tym panna Pelkonen nie umiała jeździć.

Na skraju parku przemknął jej przed samym nosem jęczący, rozespany tramwaj. Przy Hali Targowej kręcili się już ludzie. Kobieta znalazła budkę telefoniczną, weszła do środka i energicznie szarpnęła za słuchawkę. Poszło jej to łatwo, gdyż przewód był zerwany. Cały aparat był zniszczony, a książka telefoniczna tak podarta, że panna Pelkonen nie znalazłaby w niej nawet numeru na policję. Na dodatek po przeszukaniu torebki kobieta stwierdziła, że nie ma odpowiednich monet.

Szok powoli mijał. Na pewno któraś z kawiarenek w Rynku będzie już otwarta, oby tylko mieli telefon. Panna Pelkonen zdecydowanym ruchem przypięła smycz do obroży swojego wiernego towarzysza. Dobry Druh poddał się temu z psią pokorą i ze spuszczoną głową i podkulonym ogonem ruszył za swoją panią. Wiedział, że to już koniec przyjemności tego dnia, że oto znowu wraca surowa proza życia.

Nie musieli jednak iść na sam Rynek. Po drodze pannie Pelkonen

rzuciła się w oczy piękna fasada hotelu. Pchnęła więc energicznie ciężkie szklane drzwi i weszła do środka, ciągnąc za sobą opierającego się teriera.

Za ladą ze szlachetnego drewna wstał uprzejmie nocny portier. W ułamku sekundy zlustrował kobietę od stóp do głów, natychmiast zwracając uwagę na rasowość psa i jego jasnozieloną smycz. Bez chwili wahania wyciągnął rękę ku półeczce z kluczami i zapytał automatycznie:

- Jaki numer?

Zmieszana panna Pelkonen nie dostrzegła gestu portiera, pomyślała więc od razu, że chodzi mu o numer telefonu.

- Nie wiem - odrzekła szczerze. - Ale pan na pewno wie.

Portier zerknął bezradnie na szlachetnego, pięknie przystrzyżonego teriera i pomyślał, że pewnie kobieta wraca z przeciągniętego do późna koktajlu gdzieś na Munkkiniemi albo na West-Endzie*[* Luksusowe dzielnice na zachód od centrum Helsinek. Munkkiniemi leży w granicach miasta, West-End od strony Espoo.]. Ale nie, nie była wstawiona.

Personel ekskluzywnego hotelu musi być przyzwyczajony do obsługiwanego roztargnionych gości.

- Przepraszam, a z kim mam przyjemność? - zapytał jeszcze taktowniej, spoglądając mimowolnie na psa. Dobry Druh machnął ogonem z powściągliwą grzecznością. Panna Pelkonen nie mogła powstrzymać uśmiechu, zapominając na chwilę o swoich troskach. Jakież miły człowiek z tego portiera.

- Z Dobrym Druhem - odrzekła skwapliwie. Widząc przerażone spojrzenie mężczyzny, dodała pospiesznie: - Z rodu Abercombe-Cooke,

może pan słyszał. Bardzo znany ród.

Zdaje się, że portier odebrał te słowa jak łagodną przyganę, choć w głosie panny Pelkonen nie było śladu wyższości. Poczzerwieniały na twarzy, pochylił się nad ladą i zaczął przeglądać księgę gości.

- Przepraszam, a jak to się pisze? - zapytał.

Panna Pelkonen powoli traciła cierpliwość. Już samo wejście do luksusowego hotelu wymagało od niej wielkiej odwagi. A teraz jeszcze musi podać nocnemu portierowi pisownię pełnego imienia swojego psa, żeby móc zatelefonować po policję, więc coś jest nie tak albo z tym człowiekiem, albo z całym hotelem. Jakkolwiek by patrzeć, ubrana była w wyjściową sukienkę z salonu. Nie musiała się wstydzić swojego wyglądu.

- Nieważne, jak się pisze - rzekła głosem drżącym z napięcia. -

Proszę mi tylko podać ten numer.

- A-ale... - wyjąkał nieprzekonany portier -...ja tu nie mam takiego nazwiska.

- Mniejsza o nazwisko! - Panna Pelkonen zdenerwowała się już na dobre. Dobry Druh wyczuł to w jej głosie, przywarł więc do jej nogi i obnażył zęby. Wbił w portiera groźne spojrzenie, a z jego gardła zaczął się wydobywać ostrzegawczy warkot. - Mniejsza o nazwisko - powtórzyła. -

Sama sobie poradzę, jeżeli to dla pana tak wielki kłopot.

Ruszyła w stronę lady, a wtedy portier cofnął się i oparł o półkę z kluczami. Dobry Druh stracił go z oczu, zaczął więc jak opętany obwąchiwać ścianę lady w poszukiwaniu szczeliny, którą w razie potrzeby mógłby precyzyjnie przycisnąć się na drugą stronę i ugryźć człowieka w łydkę. Był to

pies bardzo wrażliwy i od razu zauważył, że człowiek irytuje jego panią.

- Nie mogę na to pozwolić! - sprzeciwił się portier. - Czy ła-łaskawa

pa-ani jest pewna, że mieszka akurat w tym hotelu?

- Posłuchaj no pan! - Panna Pelkonen straciła resztki cierpliwości. -

Nie chciałam być nieuprzejma, ale albo pan nie ma piątej klepki, albo ja!

Nie mieszkam w tym hotelu, nigdy tu nie mieszkałam i nigdy nie

zamieszkałam. Chcę tylko numer. Numer telefonu na policję. Rozumie pan,

co mówię?

Jednak wrażliwość wzięła w niej górę, bo pobladły portier zrobił

urazoną minę. Dodała więc:

- Niechże pan spróbuje zrozumieć, to sprawa życia i śmierci.

Portier odzyskał zawodowy rezon. Nie miał już wątpliwości, że

kobieta jest stuknięta, zwał jak zwał, Kombi czy Kruk.

- Jeżeli łaaskawa pani tutaj nie mieszka - oświadczył cierpko - muszę

panią poprosić o opuszczenie hotelu. Nie życzymy tu sobie żadnych scysji.

Staramy się załatwiać podobne sprawy bez rozgłosu. Zwykle nie

dzwonicmy po policję, ale... no właśnie, bardzo panią proszę, aby zechciała

wyjsć.

Panna Pelkonen niemal zakipiała ze złości. Wspięła się na palce, a

Dobry Druh warknął głucho.

- Czy pan naprawdę nic nie rozumie? - postanowiła przemówić

portierowi do rozsądku. - Znalazłam przed chwilą na Wzgórzu

Obserwatorium zwłoki. Jakiegoś pijaka. - Przypomniała sobie całe

zdarzenie, a ponieważ postanowiła trzymać się prawdy, dopowiedziała po

chwili: - Prawdę mówiąc, to znalazł je mój pies.

Portierowi raz jeszcze przemknęła przez głowę kusząca myśl, że może by tak zatelefonować do psychia-tryka. Jednak ponownie przyjrzał się uważnie stojącej przed nim kobiecie, a znał się na ludzkiej naturze jak mało kto.

- Łaskawa pani, dlaczego przychodzi pani do hotelu, dlaczego próbuje się pani wedrzeć do środka, choć nie ma tu pani pokoju? - spytał.

- Przecież ja nie mogę tego człowieka wskrzesić.

- Nie jestem żadną łaskawą panią! - oburzyła się namiętnie panna

Pelkonen. Pozostawała kobietą niezależną, choć nieśmiałą, i z biegiem lat nabrała wstrętu do tego wiecznego imputowania jej małżeństwa. Nie widziała niczego wstydliwego w dożywotnim trwaniu w stanie panieńskim. Tak przynajmniej przekonywała samą siebie w duchu.

- I wcale nie próbuję wedrzeć się do środka - zachnęła się. - Chcę tylko wiedzieć, jaki jest numer na policję. Muszę zatelefonować.

- Ale dlaczego właśnie z tego hotelu? - jęknął zrozpaczony portier. -

Dlaczego chce pani mieszać nas do tej sprawy? Hotelowi nie zależy na tak wątpliwej sławie.

W umyśle panny Pelkonen zaczęło już pączkować podejrzenie, że

chyba wszyscy mężczyźni wolą z natury chować uszy po sobie i żywią dziwną niechęć do wszelkiego rozgłosu. Nie chciała myśleć źle o

uprzejmym dżentelmenie, którego spotkała w parku pod pomnikiem

Rozbitków, bo Dobry Druh bardzo dobrze go przyjął. Ale tego było już za

wiele. Za chwilę ten gbur za ladą zacznie jej radzić, aby nie pchała nosa w

nie swoje sprawy.

I znów przemknęła jej przez głowę myśl, że sprawy tego świata wyglądałyby znacznie lepiej, gdyby załatwiały je kobiety, szybko i sprawnie. Jak to powiedział ów czarujący dżentelmen w parku? Że może wtedy łatwiej byłoby żyć na świecie.

- Nie będę mieszać hotelu do tej sprawy - przyrzekła oficjalnym tonem. - Chcę tylko zatelefonować. Potem sobie pójdę. Niechże mi pan poda numer na policję.

Portier z ociąganiem otworzył książkę telefoniczną na pierwszej stronie i zapytał z goryczą w głosie:

- Porządkowa czy kryminalna?

- Nie wiem - przyznała panna Pelkonen. Zwyciężyła jednak kobieca mądrość, bo panna Pelkonen przypomniała sobie swojego psa i rzekła złośliwie: - Rozkładanie się w miejscu publicznym to na pewno sprawa kryminalna, skoro nawet piesek i jego właścicielka traktowani są jak kryminaliści... wystarczy w parku spuścić czworonoga na chwilę ze smyczy... Ale jak człowiek zapija się na śmierć, i to na widoku, to na mój rozum jest to sprawa dla policji porządkowej.

- Zero zero dwa - orzekł portier, wykręcił numer i niechętnie wręczył słuchawkę panie Pelkonen. - Proszę bardzo.

- Dyżurny policji porządkowej. - Ze słuchawki dobiegł wyraźny głos.

- Znalazłam przed chwilą nieżywego pijaka w parku na Wzgórzu

Obserwatorium, niedaleko pomnika Rozbitków - zaczęła rzeczowo

wyjaśniać panna Pelkonen. - Ściślej mówiąc, znalazł go w krzakach mój

pies. Zapił się na śmierć, oczywiście... Co?

Przysłoniła słuchawkę dłonią, posłała portierowi przerażone spojrzenie i wyszeptała:

- Pyta, jak się nazywam i skąd dzwonię. Muszę mu powiedzieć?

Portier rozłożył szeroko ramiona, jak gdyby chciał pokazać, że właśnie przed tym cały czas ją ostrzegał. Nic to jednak nie pomogło pani Pelkonen.

- Mniejsza o moje nazwisko - odrzekła ostro - ale bez trudu mnie znajdziecie. Będę czekać... będę czekać, powiedzmy, że przed hotelem Pałace. Drobna kobieta w brązowej sukience, z czarnym psem, szkocki terier. Oczywiście pies będzie przepisowo na smyczy. - Panna Pelkonen uznała, że lepiej to podkreślić, tak na wszelki wypadek.

Zaraz też spiekła raka, bo dyżurny powiedział coś zupełnie niepotrzebnego o jej stroju. Potem zdecydowanym ruchem odłożyła słuchawkę na widełki i zapytała:

- Ile kosztowała ta rozmowa?

- Nic, w takim przypadku absolutnie nic - odrzekł portier pospiesznie i z ulgą, po czym wyskoczył zza lady i pobiegł otworzyć kobiecie drzwi. Dobry Druh próbował capnąć go za nogawkę i choć panna Pelkonen doskonale rozumiała jego uczucia, przytrzymała psa na smyczy.

Z wielką godnością wyszła na dwór, ciągnąc za sobą Dobrego Druha.

Portier grzecznie się jej uklonił.

Jeżeli do tamtej pory panna Pelkonen miała raczej niepochlebne

zdanie o helsińskiej policji, to już chwilę potem jej opinia wyraźnie się

poprawiła. Ledwie bowiem zdążyła wyjść na ulicę, gdy pod hotel zajechał bezgłośnie czarny samochód i ostro zahamował, kiwając antenką radia.

Kobieta nawet nie przypuszczała, że to może być policyjny radiowóz.

Zorientowała się dopiero wtedy, gdy ze środka wyszedł umundurowany policjant i od razu otworzył jej tylne drzwi.

- Czy to pani telefonowała? - zapytał. - Proszę zaraz wsiadać. Jak jedziemy?

Pannę Pelkonen tak oszołomiła szybkość, z jaką to wszystko się odbyło, że pochylając się i wchodząc do samochodu, zgmiotła sobie kapelusz. Wrodzona podejrzliwość Dobrego Druha wobec policyjnego munduru kazała mu zaprzeć się wszystkimi czterema łapami, tak że jego pani musiała siłą wciągnąć go do środka. Bardzo go to dotknęło, jednak panna Pelkonen nie mogła od razu zająć się swoim naburmuszonym psem, bo oczywiście najpierw musiała rozprostować kapelusz. W międzyczasie policyjny wóz już zdążył się rozpędzić do całych stu kilometrów na godzinę i z wyjącą syreną mknął Południowym Wybrzeżem. Byli gdzieś w okolicach kościoła Świętego Henryka, gdy panna Pelkonen wreszcie doprowadziła swój kapelusz do ładu i rozejrzała się.

- Ależ to nie tu - rzuciła niecierpliwie. - I proszę tak potwornie nie hałasować tą syreną. Aż mnie głowa boli. I wszyscy się za nami oglądają. - W istocie, na wyludnionych jeszcze niedawno ulicach pojawili się pierwsi przechodnie, choć sklepiki z nabiąłem były jeszcze zamknięte. - Przecież wam te zwłoki nigdzie nie uciekną - dodała z wyrzutem.

- Trzeba było tak od razu mówić - odrzekł kierowca lodowatym tonem.

Jego towarzysz uśmiechnął się pojednawczo, odwrócił do panny Pelkonen i wyjaśnił:

- Szanowna pani rozumie, czasem dobrze tak sobie wcisnąć gaz do dechy, zwłaszcza jak ma się ku temu dobry powód. Noc mieliśmy bardzo monotonną. To dokąd jedziemy? I co się w ogóle stało? Pies w każdym razie szanownej pani nie zginął. Dyżurny w kółko gadał nam coś o psie. Frywolny ton policjanta głęboko uraził pannę Pelkonen.

- Nie jestem żadną szanowną panią. Nazywam się Pelkonen, panna Pelkonen, i żywię głęboką nadzieję, że moje nazwisko nie będzie wymieniane w związku z tą sprawą. A mój pies nie zrobił nic złego, choć rzeczywiście spuściłam go na chwilkę ze smyczy. Poza tym to właśnie on znalazł te zwłoki. Sami przecież macie psy.

Żartowniś rozejrzał się z udawaną powagą po aucie i odrzekł:

- Akurat nie wzięliśmy. Ale daję głowę, że sobie poradzimy z takim psem przy boku. Diabelnie miły stwór. - Policjant bez wahania przełożył ramię przez oparcie siedzenia i pogłaskał Dobrego Druha, który z początku podejrzliwie obwąchał jego dłoń, ale już po chwili ostrożnie merdnął ogonem.

Zupełnie udobruchał tym pannę Pelkonen, więc już wcale się nie obraziła, gdy kierowca burknął niecierpliwie:

- To dokąd w końcu jedziemy?

- Trochę jest dziś podminowany - poinformował przyjazny

policjant, wskazując kciukiem na kolegę. - Przez całą noc miał tylko jeden temat. A ja myślałem, że człowiek powinien się już dawno przyzwyczać, jak...

- Do tego nie można się przyzwyczać - uciął kierowca.

Panna Pelkonen spostrzegła ze zdumieniem, że mężczyzna ma całkiem biały czubek nosa, jak człowiek śmiertelnie czymś przerażony.

Nic dziwnego, że owładnęło ją nagle poczucie nierealności, niczym we śnie. Musiała się pochylić i pogłaskać Dobrego Druha. Jej wierny przyjaciel polizał ją ciepło po dłoni i panna Pelkonen zdała sobie sprawę, że przynajmniej pies znów dobrze się bawi.

- Jedziemy na Wzgórze Obserwatorium - oznajmiła. - Pod pomnik Rozbitków. Leży tam niedaleko, w krzakach. Jakiś bezdomny pijak.

- Autem się tam nie dojedzie - ocenił ponuro kierowca. - I gdzie by tam zresztą dla jakiegoś ochlapusa. O tej porze roku rozkładają się na ławkach po całym mieście, żeby tylko ich zgarnąć i na najgorsze mrozy zamknąć w ciepłej kozie za niezapłacone grzywny.

- Pan chyba nie ma serca - stwierdziła z wyrzutem panna Pelkonen.

- Poza tym tamten pijak nie leży na ławce, tylko w krzakach. I jest martwy. Co do tego nie ma wątpliwości.

- Ciekawe, co tym razem wykombinowali do picia - zagaił przyjazny policjant, żeby podtrzymać rozmowę. - Pamiętam jedną zimę, padali wtedy jak muchy, gdzie się człowiek obejrzał. Na takich etykieta z trupią główką nie robi najmniejszego wrażenia.

Kierowca zawrócił i jechał teraz powoli, mruczając coś pod nosem.

- Wcale nie jestem bez serca - ocknął się nagle. - Wręcz odwrotnie.

Mam gołębie serce. I to mnie najbardziej wkurza.

Przy budce telefonicznej radiowóz skręcił pod górę. Panna

Pelkonen wskazała na zdemolowany aparat i rzekła oskarżycielskim tonem:

- Ten telefon jest zepsuty. Słuchawka wyrwana, książka numerów podarta.

- Kompletna dzicz, ta dzisiejsza chuliganeria - skwitował uprzejmy policjant. - Nie zaszkodziłoby im trochę dyscypliny. - Spojrzał z uśmiechem na kierowcę i dodał aluzyjnie: - Ale dzisiejsi rodzice też są do niczego.

- Nigdy swoich dzieci nie biłem i nie będę - odciął się gniewnie kierowca, po czym rozejrzał się po parku. W oko wpadł mu samochód na trawniku, dziwnie owijający maską pień drzewa. - Oho - rzekł z przekąsem. - Zdaje się, że nie tylko my rozbijamy się dziś autem po parku.

- Zaczekaj no - rzucił jego towarzysz i otworzył drzwi.

Wóz jeszcze się nie zatrzymał, a policjant już był na zewnątrz, choć panna Pelkonen krzyknęła, aby go powstrzymać. Nie dotykając wraku, zajrzał do środka, zapisał w notesie numer rejestracyjny i spojrzał na wyżłobione w trawniku koleiny. Po chwili był z powrotem w aucie.

- Nowa robota chłopaków - powiedział. - Ale wygląda na to, że nikomu nic się nie stało. Szyby pobite w drobny mak, kilka kropel krwi. Zgłosimy miejsce i numery, niech właściciel przyjedzie sobie popatrzeć.

Nie zdążył nawet jeszcze zgłosić kradzieży. - Upewnił się co do tego, zerkając do notesu. - Nie, nie było żadnego zgłoszenia. Trzeba będzie chyba zdjąć odciski palców. Ale to już nie nasze zadanie. - W międzyczasie nacisnął pewnie jakiś przycisk, choć w pierwszej chwili panna Pelkonen sądziła, że policjant mówi do ducha: - Uwaga, uwaga, tu znowu dwójka, odbiór!

Radio w aucie wytrzeszczało coś w odpowiedzi, a wtedy policjant szybko i rzeczowo podał numer rozbitego samochodu i miejsce, w którym stoi.

- Śliczny mercedesiak - dodał z nutką zazdrości w głosie. - Tak się ci bogacze dzisiaj zabawiają, choć mówię wam, że to sprawka tych kozaków, wspomnicie moje słowa. A tak poza tym macie jakieś nowiny?

- Macie, macie - zapewniło radio i zelektryzowany kierowca przywarł niemal do głośnika. - Miałem was właśnie wywoływać. Chłopak, przed minutą. Położna mówi, że będzie tak na oko ze cztery kilo. Matka czuje się dobrze, przesyła pozdrowienia.

Kierowca jęknął, oparł czoło o kierownicę i wymruczał pod nosem:

- Dzięki Bogu.

Panna Pelkonen z oczami okrągłymi ze zdumienia patrzyła na zroszone potem czoło kierowcy. Ale mężczyzna już się wyprostował, a jego ponurą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. I zaraz wyjaśnił przepaszającym tonem:

- Bo widzi pani, do tego naprawdę nie można się przyzwycząić, chociaż to już czwarte. Drugi chłopak. Ostatnie dwa razy nic tylko

dziewczynki.

Panna Pelkonen nie zdążyła się nawet obrazić w imieniu całej płci nadobnej, w tejże bowiem chwili kierowca zapuścił silnik i zakomenderował:

- No, to pojechali! Prosto pod Rozbitków! Nie my jedni rozbijamy się dzisiaj autem po parku.

Szofer zawrócił wóz przez trawnik i ruszył stromą alejką z tak zawrotną szybkością, że silnik zaczął wyć, a panna Pelkonen musiała się chwycić oburącz przedniego siedzenia.

Nie zdążyła się jednak przerazić, gdyż ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu kierowca pełną piersią zaśpiewał głosem nadzwyczaj czystym i donośnym:

- Hej lalalalala, hej lalalalala, odpowiada echem mój cudowny kraj!

Jego towarzysz zrobił wyrozumiałą minę i wskazując na niego kciukiem, wyjaśnił:

- Śpiewa w policyjnym chórze. Wczoraj wieczorem był na próbie, ale miał kluchę w gardle i chłopaki już zaczęli mu grozić, że nie pojedzie z nimi na występy do Kopenhagi.

W tej samej chwili samochód zahamował pod pomnikiem Rozbitków. Uprzejmy policjant wyskoczył z wozu jak sprężyna i z szacunkiem otworzył drzwi pannie Pelkonen.

- No dobra - zagadnął rzeczowo i już bez cienia wesołości - gdzie te zwłoki?

2.

Rozpisałem się tak bardzo o przeżyciach panny Pelkonen w ów sobotni poranek między innymi po to, by wypróbować swoje pióro, nade wszystko zaś dlatego, że mam ogromne wyrzuty sumienia w związku z całą tą sprawą. Do tej pory oblewam się zimnym potem na samą myśl o niej. Dlatego w pierwszym rozdziale próbowałem taktownie dać czytelnikowi do zrozumienia, że nawet w całkiem przyziemnych sprawach grożą nam bezustannie poważne nieporozumienia i że także my, policjanci, jesteśmy tylko ludźmi.

Gdy pewnego dnia w rozmowie z komisarzem Palmu po raz pierwszy wspomniałem, że noszę się z zamiarem napisania kolejnej powieści detektywistycznej, ten pokręcił tylko głową, westchnął ciężko i rzekł:

- Myślałem, że doczekam grobu, a już choćby emerytury, bez wieńca wstydu na mych siwych skroniach. Widzę jednak, że tak się nie stanie.

Gwałtownie zaprotestowałem i zapewniałem go, że będzie wręcz odwrotnie, zamierzam bowiem ponownie wynieść go na wyżyny chwały.

Odpowiedział mi prosto:

- Ech, i co mi po tej twojej chwale, jeśli wyjdzie na jaw moja indolencja? Kiedy wszyscy się dowiedzą, jakiego matoła wyhodowałem na mym łonie? Bo nie zdołasz napisać książki, nie demaskując przy tym siebie.

W głowie miałem mętlik. Już od pewnego czasu rozmyślałem nad napisaniem książki, by trochę się wybielić i wykazać, że wcale nie jestem

aż tak beznadziejnym osłem. I mam wrażenie, że właśnie powieść detektywistyczna, w której grą wyobraźni i potoczystą frazą można zagmatwać i zamaskować niewygodne dla siebie fakty, oferuje pod tym względem najlepsze możliwości.

- A zresztą pisz, jak tak bardzo chcesz - ciągnął bezlitośnie Palmu. -

Napisz książkę, chłopcze, może się wreszcie pozbędziesz kompleksu pijaka. Bądź jednak szczery. Nie zapomnij, że przez cały czas to nie policja była w błędzie, lecz tylko i wyłącznie ty. Łańcuch rwie się w najślabszym ogniwie. A w naszej grupie to właśnie ty nim jesteś. Dlatego my, zawodowcy, stawaliśmy na głowie, aby cię wreszcie posadzili za biurkiem. Tylko że ranga przewróciła ci w głowie. Pisz, chłopcze. Pożartuj sobie, podrywaj z nas, biednych ludzi ciężkiej pracy. Jak dla mnie to możesz wystawić na pośmiewisko nawet cały system. Nie bój się, on wytrzyma twój śmiech. Popuść wodze tej swojej cholernej wyobraźni i zrób z nas zwykłych ludzi, ale nie rozpieszczaj siebie, chłopcze.

Cóż było robić, zacząłem poważnie rozmyślać nad słowami komisarza. I uśmiech zamarł mi na ustach. Prawdą jest bowiem, że zamierzałem lekką ręką zrzucić wszystkie błędy i zaniedbania na cudze barki, aby samemu tym jaśniej zabłysnąć. Wiadomo, że powieści detektywistycznej nikt nie bierze na serio, wszak to tylko zabawa, ale gdy głęboko wejrzałem w zakamarki swej duszy, odkryłem, że moje sumienie nie do końca jest czyste.

Palmu pyknął z fajki i spojrzawszy mi prosto w oczy, podjął z wyjątkową u niego powagą:

- Nasz system jest jak machina. Jesteśmy tylko jej trybikami, a nie ma ludzi nieomylnych. Mimo to machina działa. Brakuje nam wozów, pomieszczeń, ludzi, brakuje nam nawet biurek dla detektywów, żeby mieli na czym wystukiwać raporty. Ale wyniki mówią same za siebie. Coś nam się jednak udaje. Czasem tak zdumiewająco szybko, że aż sam się dziwię. Nie trzeba nas reklamować. Dzieło mistrza chwali.

Zadumałem się. Zrobiłem wnikliwy rachunek sumienia. W końcu i ja westchnąłem.

- Palmu, naprawdę dałbyś mi zgodę na napisanie książki, w której zadrwiłbym sobie grubo z poważnych spraw? - spytałem. - Książki z jajami, że tak powiem, choćby nawet nie wszystko było najprawdziwszą prawdą? A w zamian za *to* ujawniłbym, jaki naprawdę ze mnie bęcwał?

Palmu parsknął gorzkim śmiechem.

- Tego nie musisz ujawniać - odrzekł z przekąsem. - Każdy to dostrzeże od razu, wystarczy, że przeczyta tę twoją książkę. Jeżeli jednak sam to w końcu pojmiesz, będzie to jakiś krok naprzód.

Ja jednak z uporem maniaka powtórzę, że do nieporozumień może dochodzić także w robocie policyjnej. A w owej sprawie martwego pijaka doszły jeszcze do głosu nader niefortunne uwarunkowania... ba, one się zerwały i z dzikim wrzaskiem skoczyły mi do gardła! Po pierwsze, kierownik naszej grupy dochodzeniowej już drugi rok przebywał w delegacji za granicą, gdzie uzupełniał wykształcenie, i w tym czasie zdołałem dość pewnie osadzić swój tyłek na jego stołku jako pełniący obowiązki, bo podobno nikogo lepszego na to miejsce nie mieli. Poczucie

własnej wartości szybko mi wzrosło i zacząłem sobie żartować, że po powrocie do kraju szef i tak dostanie awans, a wtedy... ja zostanę samodzielnym kierownikiem grupy, bo przecież nie zanotowaliśmy za mojej kadencji żadnych większych wpadek. Nie, nie dzięki mojej pracy, przyznaję.

Pewnie dlatego naczelnik naszego wydziału, który cały czas przezornie miał mnie na oku, odważył się wreszcie wziąć pod koniec tygodnia urlop, miał bowiem w zwyczaju na jesieni spędzać weekendy nad morzem, polując na kaczki.

Nade wszystko zaś nie może chyba dziwić, że skoro panna Pelkonen w kółko głądziła o tym pijaku, w końcu zapadł on wszystkim głęboko w pamięć. Zwyczajna sugestia. Nasi chłopcy w radiowozach nie są w ciemię bici. Wręcz przeciwnie, to bardzo dobrze wyszkoleni, doświadczeni policjanci. Są za pan brat z całym spektrum ludzkiej nędzy i szaleństwa, nie tak łatwo wziąć ich na plewy. Innymi słowy, potrafią być bezstronni i obiektywni. Ale skoro panna Pelkonen od samego początku gadała i gadała o bezdomnym pijaku...

Kiedy zatem w ów posępny sobotni ranek posterunkowy rzeczowo przystąpił do czynności, to jest wysiadł z radiowozu, poszedł w krzaki i badawczo zlustrował całe otoczenie, istotnie - z pozoru nic nie przeczyło wersji panny Pelkonen. Twarzą do ziemi leżał tam martwy mężczyzna w znoszonych butach i z zarzuconym na głowę płaszczem, leżał w najzupełniej naturalnej i dobrze wszystkim znanej pozycji ochlapusa, który otępiony jakimś paskudstwem zległ i już się więcej nie podniósł. Co

prawda nigdzie w pobliżu nie było butelki z trupa główką na etykiecie, ale nie dostrzeżono też żadnych śladów gwałtu czy przemocy.

Posterunkowy mocno szarpnął ciałem, stwierdzając stężenie pośmiertne. Trzymał się jednak regulaminu i więcej zwłok nie ruszał.

Sprawa przechodziła bowiem pod jurysdykcję naszej grupy. Oczywiście, posterunkowy mógł być ściągnąć płaszcz z głowy leżącego, ale... no tak, po tym, jak kiedyś zupełnie bez powodu zmyłem mu głowę za jakąś błahostkę, wolał się nie wychylać i niczego nie ruszać.

Całkowicie regulaminowo zgłosił dyżurnemu przez radio, że klient rzeczywiście wygląda na pijaka i że jest martwy jak denat, a dokoła nie widać żadnych śladów rozboju, więc chyba najzwyczajniej zapisał się na śmierć. Dyżurny radia przekazał dyżurnemu naszej grupy, że w krzakach na Wzgórzu Obserwatorium, niedaleko pomnika Rozbitków, leży zapity na śmierć denat, więc to nasza sprawa. Można zatem przyjąć, że w tak sformułowanym raporcie, kiedy wreszcie ktoś go przeczytał, już wtedy nie było niczego istotnego.

Dyżurny naszej grupy przyjął zgłoszenie i potwierdziwszy, że wszystko jasne, zaczął się wolno drapać po głowie. Cóż, traf chciał, że tego ranka mieliśmy na posterunku trochę niedoświadczonego człowieka...

Nie, przepraszam, kłamię już nazbyt bezczelnie. Wcale nie był niedoświadczony. Jednakże swego czasu, gdy odurzony władzą zupełnie straciłem cierpliwość, wymusnęły mi się pod jego adresem dosyć ostre słowa o ważności myślenia - nie zamierzam tolerować tępaków, którzy pod byle pretekstem wprawiają w ruch całą policyjną maszynę. Pewnie

dyżurny czuł, że miałem trochę racji, kiedy tak go obsztorcowałem, a poza tym była sobota rano i chłopak wiedział, że poprzedniego wieczoru mieliśmy próbę chóru. Nie mógł też zatelefonować z prośbą o radę do Palmu, bo komisarz ma już swoje lata i bardzo nie lubi, gdy się go zbyt wcześnie wyrywa ze snu. Jednak jeśli się nad tym zastanowić, o cóż było pytać? Kiedy jakiś Fin zapija się na śmierć, pozostaje już tylko pytanie o nazwę trucizny, po której zasnął i już się nie obudził.

Dyżurny wysłał więc do parku karawan i kazał przewieźć trupa do wydziału medycyny sądowej w celu przeprowadzenia sekcji. Aby mieć już zupełnie czyste sumienie, dodał jeszcze:

- Przy okazji zajrzyjcie do socjalnego, czy nie siedzi tam na kawie który z naszych detektywów, a jakby się znalazł, to zabierzcie go ze sobą.

Obarczony tą szczególną misją posterunkowy faktycznie zerknął do pomieszczenia socjalnego, ale w danej chwili nie było tam naszego dyżurującego detektywa, bo akurat chwilę wcześniej musiał wyjść do toalety, posterunkowy uznał więc, że skoro nie ma, to nie ma, i razem z kolegą poszedł wykonać jasno sformułowany rozkaz.

Co prawda posterunkowy ów pochodził ze wsi i... nie, nie, wcale się nie tłumaczę. Wina leży po mojej stronie. Przykład idzie z góry. Innymi słowy, w naszej grupie dochodzeniowej panowała od pewnego czasu osobliwie napięta atmosfera, choć dowiedziałem się o tym dopiero później. Dlatego też kierowca karawanu nie miał ochoty zadawać dyżurnemu dodatkowych pytań i dlatego zrobił tylko i dokładnie to, co mu kazano.

Z kolei dyżurny w centrali był święcie przekonany, że nasza grupa zjawi się na miejscu w ciągu dwóch minut. Taką mamy renomę. Choć nie moja to zasługa, nie. Pech jednak chciał, że w porcie doszło do bijatyki i w ruch poszły noże, a że nigdzie w pobliżu nie było innego radiowozu... Nie, nie staram się już nawet wyjaśnić splotu owych niefortunnych uwarunkowań, dyżurny musiał jednak podjąć suwerenną decyzję i posłał na nabrzeże portowe radiowóz ze Wzgórza Obserwatorium, bo ten miał przecież na miejsce krwawej jatki nie więcej niż kilkadziesiąt metrów. Co z tego, że w linii prostej. Stojący pod pomnikiem Rozbitków chłopcy próbowali jeszcze argumentować, że zgodnie z regulaminem muszą czekać na przybycie grupy. Jeden z nich zapisywał właśnie w notesie personalia i adres panny Pelkonen, które musiał z niej po kolei wołami wyciągać, bo z początku kobieta nie chciała nawet słyszeć o jakimkolwiek udziale w całej sprawie. Zdenerwowany dyżurny fuknął na posterunkowego w radiowozie, że dochodzenie przejęła nasza grupa i nie ma dyskusji.

Ale już głupotą było to, że kierowca radiowozu, roz-anielony przyjściem na świat męskiego potomka, w drodze ze Wzgórza Obserwatorium do portu włączył tę przeklętą trąbę jerychońską. Pomijam fakt, że informowanie o sprawach prywatnych przez policyjne radio jest całkowicie sprzeczne z regulaminem i oficjalnie takie rzeczy się nawet nie zdarzają, ale... cóż, czynnik ludzki też trzeba brać pod uwagę.

Ta sprawa do tej pory spędza mi sen z powiek, chciałbym więc zrelacjonować początek tej historii możliwie najzwięźle i czym prędzej

spuścić nań zasłonę milczenia. Ale muszę jeszcze wspomnieć o zdumiewającym fakcie, że ten jeden jedyny raz żuliki spod Hali Targowej i pierwsi przechodnie, którzy w międzyczasie zdążyli już wyjść na ulice, bynajmniej nie pobiegli za radiowozem, aby zobaczyć, kogo i gdzie mordują, lecz popędzili w przeciwną stronę, na Wzgórze Obserwatorium. Zapewne dlatego, że radiowóz na syrenie mknący parkową alejką spod pomnika Rozbitków to widok dość niecodzienny.

Nie można też mieć pretensji do policjantów z karawanu, że nie przystąpili do czynności tak energicznie jak nasza grupa podczas prawdziwej akcji. Dzięki temu nie musieli długo szukać trupa, bo wokół niego na wydeptanej trawie i w połamanych krzakach zgromadziła się już całkiem spora liczba gapiów. Cud, że nie stratowali przy tym panny Pelkonen i jej teriera. Nic dziwnego, że gdy policjanci wreszcie zdołali przedrzeć się z noszami do denata, byli trochę poirytowani.

Oczywiście ściągnęli nieboszczykowi płaszcz z głowy i przewrócili go na plecy, a wtedy ich oczom ukazała się zakrwawiona twarz, zmasakrowana jak po ciężkim mordobiciu, ostatecznie jednak nie była to już ich sprawa. Możliwie najsprawniej przełożyli zwłoki na nosze, zakryli je kocem i kazali gapiom się rozstąpić. No i cóż, dopiero wtedy spostrzegli tego gościa z aparatem przy twarzy, wrzasnęli więc jednocześnie i regulaminowo, że zakaz fotografowania. Było na to jednak odrobinę za późno. Panna Pelkonen zaś już się ulotniła, nie czuła się bowiem więcej potrzebna, przedtem jednak ów reporter z „Kuriera” zdążył pstryknąć jej zdjęcie. I psu. I choć weszliśmy dzięki temu w posiadanie jej podobizny,

sporo się nabiedziliśmy, aby ją odnaleźć. A wszystko przez to, że obaj posterunkowi z radiowozu byli gotowi przysiąc, że kobieta nazywa się Peltonen. Co prawda, personalia wyjąkała z wielką nieśmiałością, i do tego nie chciała podać swojego adresu, upierając się, że jej miejsce zamieszkania nie ma tu nic do rzeczy. Chyba więc czytelnik zgodzi się ze mną, że niefortunnych zbiegów okoliczności było aż nadto.

Już tylko dla zabawy, dla czystej sportowej rozrywki zadałem sobie potem trud wyjaśnienia, jakim cudem zjawił się tam ów reporter, i to w najgorszym momencie. Nie mam do niego pretensji, bynajmniej, w końcu wykonywał tylko swoją pracę, chociaż... Otóż gość najzwyczajniej w świecie siedział do trzeciej rano w Teatralnej, bo jakiś idiota postawił mu tam koniak. Zdążył się przespać tylko dwie godziny, bo reporterzy w „Kurierze” zaczynają pracę zdecydowanie za wcześnie. Po wstaniu z łóżka musiał być jeszcze mocno zawiany, przyszło mu więc do głowy, że dla wytrzeźwienia, pójdzie do redakcji skrótem przez Wzgórze Obserwatorium, w którego pobliżu mieszkał. Aparat miał na szyi, bo tacy jak on zawsze mają aparat na szyi. Nie mogę mieć do niego pretensji. To wyłącznie moja wina, jeśli były między nami jakieś zadawnione kwasy. Facet był na tyle przytomny, że zarejestrował rozbitą na drzewie samochód. Jak i kiedy wpadł jeszcze na tę budkę telefoniczną, tego nie potrafię powiedzieć. Może próbował zadzwonić do redakcji i usprawiedliwić spóźnienie do pracy. W każdym razie w „Kurierze” znalazło się także śliczne zdjęcie zdewastowanej budki telefonicznej. Nawet dwa, od środka i z zewnątrz.

Z twarzy denata wyciekło na ziemię trochę krwi, choć nie była to szczególnie wielka kałuża. Stanowiła zresztą jedyne miejsce (powtórzę: naprawdę jedyne miejsce) którego gapie całkowicie nie zdeptali.

Pozyskaliśmy jego piękną fotografię. Z „Kuriera” oczywiście. Zdjęcie twarzy denata też tam znaleźliśmy.

Oczywiście o pijaku usłyszałem, a dokładniej przeczytałem, zaraz po przyjsciu do pracy. To znaczy chwilę po tym, jak prawie o dziewiątej wszedłem do swojego pokoju, a spóźniłem się co najwyżej o kwadrans.

Ma się rozumieć, że w pierwszej kolejności przewertowałem raporty z ubiegłej nocy, żeby sprawdzić, czy nie zdarzyło się nic niezwykłego.

Przedtem jednak, wiadomo, pobieżnie przebiegłem oczami po nagłówkach porannej prasy.

Innymi słowy, tak czy owak na pewno przed dziesiątą... (Choć co pewien czas zamawiałem z naszego bufetu filiżankę kawy i dwie buteleczki wody Vip, bo nie mam po niej zgagi...). W każdym razie na pewno najpóźniej parę minut przed dziesiątą mój wzrok spoczął na raporcie, z którego wyczytałem, że o godzinie szóstej trzynaście od niejakiej panny Peltonen, posiadającej psa na smyczy, wpłynęło zgłoszenie, że w krzakach na Wzgórzu Obserwatorium leży jakiś pijak, a konkretnie denat. Dwójka potwierdziła, że klient zasnął na wieki wieków po wychyleniu ostatniej czary jakiejś trującej brei. O szóstej trzydzieści jeden wydano rozkaz przewiezienia zwłok do wydziału medycyny sądowej celem przeprowadzenia sekcji. Rozkaz wykonano o siódmej dwanaście. Przynajmniej godziny podano ściśle. Akurat co do tego nie miałem

najmniejszych wątpliwości i nadal ich nie mam.

Krótko mówiąc, sprawa nie wzbudziła mojego większego zainteresowania. Na biurku leżało jeszcze parę innych krótkich raportów, ale nie warto nawet o nich wspominać. Nic dla moich chłopaków. Sprawę rozbitego auta przekazano grupie zajmującej się kradzieżą samochodów, o czym nikt mi ani słowem nie wspomniał.

Tak więc w doskonałym nastroju, niczego nie przeczuwając, siedziałem sobie w komendzie, w wykwintnie odnowionych wnętrzach swojego pokoju. Rozumiem przez to, że przynajmniej ściany mi przemalowali i w środku nie cuchnęło już skrętami ani zbrodnią, a w każdym razie nie tak paskudnie, jak przed remontem. Jeszcze nie.

Pojawiło się też kilka nowych mebli. Zastępowały na bieżąco sypiące się już sprzęty. Moje poprzednie biurko pochodziło podobno z późnych lat czterdziestych XIX wieku. Praktycznie przedpotopowy antyk. W końcu zupełnie się rozpadło. Mam więc nawet fabrycznie nowy stół do pracy.

Czytelnik, który przeczytał moje dwie książki sprzed wielu lat, może się dziwić, jak w ogóle zdołałem zająć aż tak wysoko. Nikt inny, tylko sam komisarz Palmu namawiał mnie kiedyś gorąco do skończenia prawa. „To coś dla ciebie - powtarzał. - Każdy może się nauczyć kodeksu na pamięć”. Nawet mi się wtedy nie śniło, że przyjdzie taki dzień, gdy - co prawda w zastępstwie, ale zawsze - zostanę jego zwierzchnikiem. Ale to sam Palmu poddał mi tę myśl.

Czy raczej czynił takie aluzje. „Najgorsze nieszczęście, jakie mogłoby mi się przytrafić na stare lata - uderzył kiedyś w refleksyjny ton -

to przełożony, który byłby jeszcze większym bałwanem niż ty. W sumie trudno mi to sobie wyobrazić - dodał - ale jakby co, to korzystaj z okazji. Wtedy ja będę mógł w spokoju robić swoją robotę, a ty mi nie będziesz dmuchać w kaszę”.

I rzeczywiście, nigdy mu w kaszę nie dmucham, nawet nie próbuję, choć i mnie czasem puszczają nerwy. Kiedyś palnąłem nieopatrznie, że nie ma ludzi niezastąpionych. W końcu jestem sędzią, przewodniczyłem nawet rozprawom w sądach rejonowych.

Ciągle jednak oblewa mnie zimny pot, kiedy tylko słyszę słowo „pijak”.

Choć tamtego dnia rano nie miałem jeszcze pojęcia, w co tak naprawdę wdepnąłem. Wręcz przeciwnie, po wypiciu filiżanki kawy i obu buteleczek wody Vip, kiedy przewertowałem już gazety i uznałem, że nasz świat jeszcze całkiem nie przepadł, a jedynie balansuje na skraju przepaści, i kiedy oczywiście przejrzałem już listę otrzymanych raportów, poczułem, że znowu jestem w życiowej formie, choć poprzedniego wieczoru odbyła się męcząca próba chóru i zapadły ostateczne decyzje w sprawie rewizyty w Kopenhadze, co wymagało, rzecz jasna, pewnych negocjacji. Wstałem zza biurka i stwierdziłem, że nad wąskim klinem ulicy Zofii, na bezchmurnym jesiennym niebie przygrzewa już słońce. Rozpierała mnie radość życia, nie może więc dziwić, że gdy tak stałem przy oknie, rozłożyłem szeroko ramiona i ot tak, na próbę, zaintonowałem niezbyt mocnym głosem:

„Jest taka siła w sercu człowieka, siła to droga, siła to święta”. Nie

śpiewałem wcale głośno, a nasza stara kamienica mury ma grube, ale przy słowie „święęta” stwierdziłem, że w moim pokoju stoi komisarz Palmu i wpatruje się we mnie z nieprzyjemnym wyrazem twarzy. Tak się kiepsko składa, że Palmu nie ma słuchu muzycznego, o głosie nie wspominając. Dlatego od czasu do czasu lubi wygłaszać na stronie złośliwe komentarze na temat moich prób w chórze.

To oczywiście z czystej zazdrości, ale kierownik grupy dochodzeniowej niekoniecznie lubi wysłuchiwać, że już do śmierci pozostanie chórzystą albo że śpiewanie w chórze najlepiej odpowiada jego zdolnościom umysłowym. To zrozumiałe, że wiele osób pozbawionych głosu uważa śpiewanie w chórze za zajęcie zupełnie zbędne, ale ja jestem zdania, że to pasja, która łączy ludzi. Zdarzają się mężczyźni o gorszych zainteresowaniach, i to znacznie gorszych.

Tak czy owak Palmu nie odzywał się słowem, tylko stał i wpatrywał się we mnie wzrokiem, który bardzo mi się nie podobał. Dlatego postanowiłem odpłacić mu pięknym za nadobne i gdy w geście niekwestionowanej oczywistości wyciągnął rękę po leżące na moim biurku gazety, zatrzymałem go gestem dłoni i zapytałem:

- Nie masz co robić, hę?

Palmu bynajmniej się nie zmieszał.

- Cwaniak się znalazł - odrzekł. - Starego Palmu dopada reumatyzm, a młodym tylko podróże w głowie, do Kopenhagi się zachciewa, i kto wie gdzie jeszcze.

- Gościliśmy tu chór policyjny z Kopenhagi i był to rzeczywiście

wyborny zespół - odrzekłem gniewnie. - To najzupełniej naturalne, że planujemy rewizytę. Tym bardziej że moim zdaniem nie mamy się czego wstydzić.

Po chwili zaś dodałem:

- A skoro mowa o pracy, na Wzgórzu Obserwatorium wykitował jakiś pijak. Pojechałbyś go zidentyfikować, zanim go otworzą? Pewnie znajdziesz przy nim jakiś dokument.

Było to oczywiście świadome upokorzenie. Komisarz od razu spokorniał.

- Się robi, szefie. - Odwrócił się na pięcie i rzeczywiście gotów był pojechać. Tym mnie udobruchał. Położyłem mu rękę na ramieniu, a drugą podsunąłem gazety.

- Przestań się dąsać - rzekłem. - Najpierw w spokoju przejrzyj sobie prasę. Ktoś z młodych pojedzie później, jak się wyrobi. Nie pali się.

I tu się pomyliłem. I to bardzo. Ale komisarza też wtedy nic nie tknęło.

- Skąd ta pewność, że to pijak? - Zawsze musiał mieć ostatnie słowo.

- Z raportu - odrzekłem skromnie i z uśmiechem poklepałem leżący na moim biurku papier.

Do południa miałem trochę bieganiny po pokoju, ot, codzienne, rutynowe sprawy i rozmowy telefoniczne, nic jednak nie zdołało zmącić mojej radości. „Kurier” wychodził z drukarni z reguły około południa.

Tamtego dnia był o godzinę spóźniony, ale nie zdążyłem nawet zepsuć

tym sobie humoru, bo i tak łąduje na moim biurku mniej więcej o drugiej, jako przystawka do poobiedniej kawy.

Zszedłem do naszego bufetu na lunch dopiero około dwunastej trzydzieści i aż pisnąłem z radości, widząc przed detektywem Kokkim ziemniaki pod kołderką gotowanych śledzi. W taki dzień nie potrafiłbym sobie wyobrazić lepszego obiadu. Tak na marginesie: Kokki też śpiewa w naszym chórze.

Czy wspominałem już, że klatka schodowa od strony ulicy Zofii ma bardzo przyjemną akustykę? Już nawet nie pamiętam, czy to Kokki zaproponował, czy może to byłem ja, ale gdy syci i szczęśliwi wracaliśmy do pracy, pochłupując rozkosznie śledziami w zalewie ze słabego pilznera, jak jeden mąż zaintonowaliśmy ot tak, na próbę i dla sprawdzenia echa:

„I zapłakałem wtedy po raz pierwszy w życiu, gdy mnie matula w drogę wyprawiała...”.

Ledwo jednak dotarliśmy do czarnego zapiecka pod niską powałą, stając zarazem na podeście ostatniego piętra, drzwi klatki schodowej rozwarły się z hukiem i obiegli nas fotoreporterzy, błyskając lampami. Ściślej mówiąc, nie Kokkiego fotografowali, tylko mnie. Na jednym ze zdjęć w niedzielnej gazecie usta mam wciąż otwarte. Nie ze zdumienia, rzecz jasna, lecz z powodu niedokończonych piosenki, bo zamknąłem usta natychmiast, gdy tylko zarejestrowałem rozbłyśki lamp.

- Jesteśmy na tropie - odpowiadałem machinalnie na wszystkie pytania. Ma się trochę oleju w głowie, no i zdolności aktorskie. Życie mnie nauczyło. - Jesteśmy na tropie - zapewniałem bez cienia wahania -

ale teraz wybaczenie, dajcie nam najpierw pięć minut, ważna narada.

Potem będę do waszej dyspozycji.

Równie machinalnie Kokki capnął egzemplarz wciąż jeszcze mokrego od farby drukarskiej „Kuriera”, który wystawał z bocznej kieszeni płaszcza redaktora z pierwszego szeregu. Nasz Kokki to bardzo skrupulatny detektyw. Pedant. Ruszyłem do siebie, Kokki ruszył za mną. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i zdjęty panicznym lękiem, przekręciłem jeszcze klucz w zamku. Palmu już siedział w środku i nabijał swoją fajkę. Przed nim na biurku leżał ten sam najświeższy „Kurier”. Zadzwieczał telefon. Sam komendant policji. Skoczyłem na równe nogi i trzasnąłem obcasami.

- Jesteśmy na tropie - zapewniłem odruchowo. - Za pięć minut złożę pierwszy raport.

- Nie pali się - uspokoił mnie komendant ze zdrażliwą flegmą. -

Tyle że przed chwilą miałem telefon od gubernatora.

- Gubernatora - powtórzyłem idiotycznie.

- Tak, pan gubernator pragnie naradzić się ze mną w kwestii zapobiegania narastającej przestępczości wśród młodzieży - wyjaśnił spokojnie komendant. - Najwyższy czas ukrócić poczynania tych cwaniaków w szapoklakach i skórzanych kurtkach. Raz na zawsze. Opinia publiczna jest po naszej stronie. Rozumiesz. Masz do dyspozycji całą policję. Gubernator mówi, że jedno nasze słowo i daje nam do pomocy wojsko, ale chyba nie będzie takiej potrzeby. Co mówisz?

Odniosłem wrażenie, że jego głos nieznacznie zadrżał, jak gdyby się

uśmiechnął.

Słuchając komendanta, odczytywałem krzyczące nagłówki z pierwszej strony „Kuriera”:

MORDERSTWO NA WZGÓRZU OBSERWATORIUM

Bezbronny pijak skatowany na śmierć.

Czy w centrum Helsinek grasuje banda szapokłaków?

Mord w gangsterskim stylu.

Czy władze są bezradne wobec narastającego terroru młodocianych przestępców?

- Jesteśmy na tropie - powtórzyłem ostrożnie. - Nie, wojsko nie będzie potrzebne. Przynajmniej na razie. Najlepiej działać w białych rękawiczkach. Mamy właśnie naradę i sporządzamy ostateczny plan działania.

Komisarz Palmu kaszlnął. Pewnie zakrztusił się dymem z tej swojej fajki. Jednym rzutem oka zarejestrowałem zdjęcia z pierwszej strony popołudniówki i przewróciłem gazetę na ostatnią. Jeszcze więcej zdjęć, praktycznie same zdjęcia. Nigdy bym nie powiedział, że robił je facet na cyku. Wielki dzień skacowanego fotoreportera. Na trzeźwo z pewnością nie pstryknąłby tak doskonałych zdjęć. Na jednym widać policjantów krzątających się przy rozbitym aucie - to nasi chłopcy zdejmują właśnie odciski palców. Bardzo dobra robota, policjanci w akcji.

- Jeżeli będę potrzebny, znajdziesz mnie w rezydencji gubernatora - poinformował rzeczowo komendant. - I masz chyba świadomość, że dzisiaj jest sobota?

- Oczywiście. Wiadomo. Jasna sprawa - potaknąłem z zapalem. W istocie na śmierć o tym zapomniałem w natłoku pilnych spraw, które miałem na głowie.

- Chcę przez to powiedzieć, że sprawcy mają być ujęci, zanim niedzielna prasa pójdzie do drukarni - oświecił mnie komendant. - I zdajesz sobie sprawę, jakie będą konsekwencje, jeśli tak się nie stanie?

Będzie trzęsienie opinii publicznej. Na naradę u gubernatora prawdopodobnie pofatyguje się również minister spraw wewnętrznych. Więc sam rozumiesz. Macie działać. Czy mogę ich zapewnić, że sprawcy znajdą się za kratkami jeszcze przed północą? Czy nie mamy już w tym mieście nic do powiedzenia?

- Oczywiście, ma się rozumieć, że mamy - zapewniłem zgodnie z prawdą, po czym skłoniłem się aparatowi i odłożyłem słuchawkę na widełki. Koszula przykleiła mi się do pleców.

- Tego już za wiele! - ruszyłem wściekły na Palmu i Kokkiego. - Za co wy tak naprawdę bierzecie pieniądze?! Po co nam w ogóle ten wydział i grupa dochodzeniowa?! I niech mi ktoś powie, o co w tym wszystkim chodzi? Stawiać na nogi wojsko przez jakiegoś pijaka?

Pałeczkę przejął Palmu.

- Jedziemy - orzekł krótko i wstał spokojnie z krzesła, dławiąc fajkę swoim ogniotrwałym kciukiem.

- Gdzie, na Wzgórze? - spytałem zdumiony.

- Nie, do wydziału medycyny sądowej - odpowiedział Kokki, zerknąwszy na Palmu. Po latach pracy z komisarzem potrafił czytać z jego

twarży jak z otwartej księgi.

- A co tam po nas? - zapytałem głupio, bo już nic nie rozumiałem.

- Nie bój się, ty tam po nic, ale musimy cię przecież gdzieś schować przed prasą - wyjaśnił mi spokojnie Palmu. - I nie o ciebie tu chodzi, lecz o honor helsińskiej policji. Tylko i wyłącznie.

Do mojego pokoju prowadzą tylko jedne drzwi. Spojrzałem na nie.

Spojrzałem nawet na okno. Drugie piętro. Wtedy właśnie powziąłem stanowczą decyzję, że trzeba będzie wykuć tu drugie wejście. Jeżeli będę mieć w tej komendzie jeszcze coś do powiedzenia.

- Nie mam odwagi - wyznałem uczciwie. Nie potrafiłem już dłużej udawać. - Co ja im powiem?

- Podrzuć im tylko jakiś dobry trop, to wystarczy - odrzekł bezdusznie Palmu. - W końcu to twoja robota. W tym jesteś dobry. Pokaż, co potrafisz. Biegają wszędzie za sobą jak sfora psów w obawie, że ktoś inny mógłby zrobić bardziej sensacyjne zdjęcie albo lepszy wywiad.

Wskaż im cel i spuść ich ze smyczy, a wtedy spokojnie będziemy mogli się wymknąć tylnymi drzwiami. Inaczej nie odstąpią nas na krok i będą nam wszędzie deptać po piętach. No, do roboty, chłopcze.

Chciałem jeszcze zerknąć na artykuł w prasie, aby mieć choć znikome pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi, ale Palmu chwycił mnie już za ramiona i pchnął w stronę drzwi.

- Przeczytasz w aucie - powiedział.

Kokki usłużnie przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i z szacunkiem od nich odstąpił, wypuszczając mnie pierwszego przed

oblicze bestii. Mimo przerażenia zwróciłem uwagę, że Palmu układa korzystnie fajkę w kąciku ust i z zafrasowaną miną staje tuż za moimi plecami. Bo oto znów rozszalały się lampy błyskowe. Tylko Kokki nie szukał sławy. Oddzielił się od nas, zwiesił wstydliwie głowę i czubkiem buta zaczął skrobać podłogę.

Odchrząknąłem.

- Szanowni panowie! - zacząłem głosem donośnym i, rzekłbym, emanującym pewnością siebie, choć Palmu twierdził potem, że krakałem jak wrona. - O, przepraszam. Szanowni państwo! - Poprawiłem się, gdyż do zgromadzonych w komendzie dziennikarzy zdążyły już dołączyć dwie kobiety, bardzo zgrabne dziewczęta, choć jedna miała trochę przyciasne spodnie i skarpetki w paski. Na pewno redaktorki z prasy ilustrowanej.

- Nie mam żadnych powodów, aby krytykować prasę - rzekłem gniewnie, choć zaraz ukloniłem się grzecznie obu dziewczętom: - Mam na myśli prasę codzienną. Nasza współpraca układa się nienagannie, w duchu obopólnego zaufania. Panowie z pewnością to potwierdzicie.

Jeden z fotoreporterów uśmiechnął się szelmowsko, pewnie przypomniało mu się to i owo. Robiłem się naprawdę zły.

- Ale dzisiejszy przypadek to rzecz niewybaczalna! - orzekłem surowo. - Po raz pierwszy w całej mojej karierze na, hm, kierowniczym stanowisku pewna, hm, gazeta z czystej żądzy sensacji postanowiła zabawić się w policję, nawet nie próbując podjąć wspólnych działań!

- No ale przecież... - zaproponował jakiś młodzieniec z przekrwionymi od przepicia oczami, z zawieszonym na szyi futerałem i aparatem w rękę.

Zapamiętał sobie nawet rzadką, lichą bródkę. Uciszyłem go energicznym ruchem dłoni.

- Nie ma czasu na próżne spory - stwierdziłem. - Chcę jedynie powiedzieć, że ledwo policja zdążyła zastawić sidła, szykując się do błyskawicznej akcji mającej na celu zamknięcie dochodzenia w tej tragicznej sprawie...

Tak, nie zdradzę chyba tajemnicy służbowej, jeśli wam wyjawię, że żywiłem już, to jest my żywiliśmy, komendant policji i ja, uzasadnione nadzieje, że złapiemy winnych...

- Podejrzanych - sprostował sucho Palmu.

- Podejrzanych - powtórzyłem szybko i dla podbudowania swojego nadwerężonego autorytetu dodałem: - lub podejrzanego. W tym kraju bowiem nikogo nie wolno z góry nazywać winnym, dopóki jego wina nie zostanie stwierdzona prawomocnym wyrokiem sądu. O tym też prasa zdaje się zapominać.

Obrzuciłem lichą blond bródkę karcącym spojrzeniem i poczułem wstręt do młodego fotoreportera.

- Ale wracając do rzeczy - podjąłem po chwili - mieliśmy wielką nadzieję do wieczora ująć win... no, podejrzanych i osadzić ich w areszcie, zanim jeszcze, hm, jutrzejsza prasa pójdzie do druku. Teraz jednak „Kurier” tym swoim przedwczesnym i niewybaczalnym, hm, wyskokiem przed szereg może nam zupełnie pokrzyżować plany! Morderca został ostrzeżony...

Komisarz Palmu gniewnie chrząknął.

- Lub nieumyślny zabójca - poprawiłem się. Reporterzy jednak już dłużej nie zdzierżyli.

- Sadystyczna bestia! - wybuchnął redaktor „Kuriera”. - Szapoklaki to bestie!

- Zamknij się pan! - warknąłem. - Już przedstawił pan nam swoje zdanie w artykule. To by było na tyle. W tej chwili nie mam wam nic więcej do powiedzenia.

Starsi i bardziej doświadczeni koledzy musieli przytrzymać młodzieńca. Dobrze rozumiałem ich zawiedzione miny. Ulitowałem się.

- Mogę wam jednak pewną rzecz podpowiedzieć - rzekłem wolno, próbując wymyślić coś na poczekaniu. - No więc tak... - Ożywiłem się. -

Od tej chwili nikomu nie wolno przeszkadzać policji w prowadzeniu dochodzenia. Przestrzegam was wszystkich przed tym ucziwie. Dostałem jednak zgodę na przekazanie wam informacji, że na naradę do gubernatora jedzie właśnie sam komendant policji.

Oczywiście żadnej zgody na nic nie dostałem, ostatecznie jednak odpowiedzialność za całe śledztwo spoczywało na barkach komendanta.

- Spodziewany jest tam również minister spraw wewnętrznych - dodałem skwapliwie. - Tematem narady jest powstrzymanie przestępczości wśród młodzieży, czyli, innymi słowy, całkowite zdławienie duchowego i fizycznego szapoklactwa.

- Współpraca, oto hasło na dziś - rozkręcałem się. - Oto nasz cel ostateczny. Ta sprawa to tylko pojedynczy przypadek. Być może powinienem więc dodać, choć tymczasem miało to pozostać tajemnicą

służbową, że naszą, hm, operację planowaliśmy już od dawna. Policja wcale nie śpi. Policja nie jest bezsilna, choć nie brakuje geniuszy, którzy tak właśnie myślą, szarpiąc te swoje liche bródki.

- *Sapienti*, czyli starczy już - uciął komisarz, chwytając mnie za ramię i ciągnąc w stronę drzwi. Ktoś jeszcze próbował nas złapać.

- Przesłuchanie - warknął surowo Palmu. - Ważne przesłuchanie.

- Czyli są już zatrzymania? - krzyknął ktoś i wszyscy reporterzy jak jeden mąż odwrócili się na pięcie.

- Na tym a-arcywrażliwym e-etapie śledztwa nie wolno mi zdradzać nic więcej - wyjąkałem, gdy Palmu wypychał mnie już za drzwi. - Sami dobrze wiecie - krzyknąłem jeszcze w progu - macie przecież doświadczenie!

A potem drzwi się zatrzasnęły i Palmu wraz z Kokkim, wlokąc mnie między sobą, zbiegli dudniącą klatką schodową w stronę piwnicznych labiryntów naszej komendy. Radiowóz już na nas czekał. Kierowca był w cywilnym ubraniu i starał się nie budzić żadnego zainteresowania, jechał bez sygnału i bardzo spokojnie, jak gdyby wiózł w bagażniku jajka.

- Ty przekłety idioto, ty nadęty bęcwale, ty chórzysto - zaczął z cichą pasją Palmu.

- Prawda, prawda - przyświadczyłem, ale zaraz wyciągnąłem przed siebie drżącą dłoń. - Radio na pewno wyłączone?

Komisarz uderzył się w piersi obiema rękami.

- I to ja, ja wyniosłem cię na swojego przełożonego, na kierownika grupy, bo chciałem mieć trochę spokojniejsze życie - syczał dalej Palmu. -

No to teraz mam, co chciałem. Za jakie grzechy?

Mimo słów komisarza znów trochę urosłem we własnych oczach. Z

reporterami poszło mi jednak całkiem sprawnie, pomyślałem.

- Nie zapominaj - rzekłem obojętnie - że rano prosiłem cię

uprzejmie, abys zechciał pojechać i zerknąć na tego pijaka. Miałbyś małą

poranną przechadzkę, to tylko dwie ulice od nas. Ale nie, dla pana

komisarza Palmu byłaby to przecież ujma na honorze. Przyjemniej się

czyta historyjki obrazkowe w gazetach, he, Palmu?

Komisarz spojrział na mnie z politowaniem.

- Nie trać cennego czasu na mielenie jęzorem - powiedział w końcu.

- Weź się lepiej do czytania.

I trzepnął mnie „Kurierem” po udzie. Rozluźniając ręką ciasny

kołnierzyk, przeczytałem pospiesznie podpisy pod zdjęciami i cały

artykuł.

W duchu musiałem przyznać, że chłopak bardzo przemyślnie

skonstruował swoją historię. Natychmiast połączył zmasakrowaną twarz

pijaka z samochodem, który szapoklaki rozbili na drzewie, a nawet z

budką telefoniczną - ofiarą najgorszej odmiany wandalizmu. Co prawda

były to jedynie czcze domysły, ale historia trzymała się kupy, a dobrych

pytań nie brakowało. Czytając te wstrząsające doniesienia, sam czułem

kipiącą we mnie złość:

„Rozbiwszy nocą skradzione auto na drzewie, rozjuszeni

młodociani gangsterzy znajdują bezbronnego, zataczającego się pijaka,

objijają mu twarz, a potem - prawdopodobnie w obawie, że będzie wolał

„pomocy - katują go na śmierć w wyludnionym parku i wloką w krzaki”.

„Możemy co prawda żywić płonne nadzieje, że mamy do czynienia z jednostkami - łudził się obłudnie autor artykułu. - Chyba jednak każdy praworządny obywatel zrozumie wreszcie, że tak dłużej być nie może. Nie w Finlandii. Nie w naszym kraju. Nie w samym centrum Helsinek. Niech się tną tymi swoimi kosami nawzajem, jeżeli chcą. Ale bestialskiego dręczenia i mordowania bezbronnych starców nie będziemy dłużej tolerować”.

„Co zrobiła policja?” - przeczytałem dalej z wypiekami na twarzy duży śródtytuł. „Nie wiem - napisał prosto autor - i nawet mnie to nie obchodzi. Wiem tylko tyle, że drobna kobieta z małym pieskiem, która znalazła zwłoki, obywatelka balansująca na granicy załamania nerwowego i tak roztrzęsiona, że zapomniała niemal, jak się nazywa, została z zimną krwią porzucona przez patrol policji w wyludnionym parku obok trupa, zanim policyjny karawan w końcu był łaskaw po niego przyjechać. Skoro władza daje przykład tak bezdusznej zatwardziałości, czegoż innego możemy się spodziewać po naszej młodzieży?”.

Chłopak chyba sam przestraszył się tej perspektywy, bo dalej napisał już nieco przychylniej:

„Nie twierdzę, rzecz jasna, że policja nie przeprowadziła na miejscu zbrodni niezbędnych czynności śledczych; przyznaję - policyjni technicy, którzy badali skradziony wóz, to prawdziwi fachowcy. Jeżeli się jednak okaże, że przez takie czy inne zaniedbania nie udało się błyskawicznie ująć winnych, opinia publiczna nigdy tego policji nie wybaczy. A wtedy

zażądamy głów, i to nie tylko głów szapokłaków i skórzanych kurtek”.

Cóż, mogło być jeszcze gorzej. Czułem, że idę na dno.

Najskromniejsza posada komornika gdzieś pod ścianą wschodnią zaczęła mi się nagle jawić jako szczyt marzeń. Przez głowę mi przemknęło, że może rząd Konga chciałby zatrudnić zdolnego oficera policji. W końcu znam francuski.

Otrząsnąłem się z zadumy, bo już od dłuższej chwili staliśmy przed gmachem wydziału medycyny sądowej. „Mój wymarzony cmentarz”, pomyślałem. Palmu siedział obok mnie z założonymi rękami, przyjmawszy grubiańską pozę obojętności, Kokki zaś wpatrywał się wstydliwie w podłogę samochodu.

Widząc, że skończyłem czytać, Palmu rzekł:

- Na szczęście nie zdążyli już dodać wstępniaka. Było to pewnie niemożliwe ze względów technicznych. Ale jutro naczytasz się lepszych rzeczy. - Komisarz z powagą trzykrotnie kiwnął głową. - W niedzielnej prasie. We wszystkich artykułach wstępnych. I w listach od czytelników.

Westchnąłem głęboko.

- Brak współpracy - rzekłem rozgoryczony. - W kółko to powtarzam, ale jak grochem o ścianę. Mój Boże, jeślibym znalazł na swoim biurku raport samochodziarzy, że zaledwie parę metrów od zwłok tego pijaka znaleziono przy drzewie skradzione przez szapokłaków, kompletnie rozbite auto, to chyba nawet ja umiałbym w myślach dodać dwa do dwóch i chwycić za słuchawkę.

- Umiałbyś? - podchwycił złośliwie Palmu.

Nie podobała mi się jego zgryźliwość.

- Współpraca - powtórzyłem z uporem maniaka. - Ale nie, po prostu nie. Nie prosz o rzeczy niemożliwe. Wschód pozostanie na wschodzie, a zachód na zachodzie i nigdy się nie zejdą.

- Nie mieszaj do tej sprawy wielkiej polityki - uciął niegrzecznie

Palmu i zaczął się niezdarnie gramolić z auta, narzekając na wodę w kolanie. Z ociąganiem ruszyłem do wejścia. Dopiero tam się ocknąłem.

- Miejsce zbrodni! - wykrzyknąłem ze strachem. - Zostało chociaż ogrodzone?

- Jest tam dziesięciu stójkowych i na dokładkę dwóch konnych, tak na wszelki wypadek - odpowiedział Palmu. - Pozwoliłem sobie wydać zarządzenie. Oczywiście w imieniu kierownika grupy. Poza tym dwudziestu ludzi sprząta właśnie z liści wszystkie trawniki na Wzgórzu i opróżnia wszystkie kosze na śmieci.

- A-ale... - wyjąkałem zdumiony - czy to nie robota dla wydziału parków miejskich? - Dopiero wtedy mnie olśniło.

Kokki zasłonił sobie usta dłonią i odwrócił głowę. Chyba się uśmiechał.

- No tak, oczywiście, trzeba dokładnie przejrzeć wszystkie kosze na śmieci z całego parku - przyznałem niecierpliwie. - Tylko po co ściągnąłeś tam jeszcze policyjną konnicę? - zmieniłem temat. Nie bez złośliwej nutki w głosie.

- Na pewno nie do pilnowania śladów - odrzekł Palmu i puknął kilka razy fajką o obcas, wystukując z niej popiół. - Ślady już dawno

zostały dokumentnie zadeptane. Ale chyba nawet ty rozumiesz, że gdy

„Kurier” trafi pod strzechy, ruszą tam zaraz takie pielgrzymki, że... Jakby

na złość mamy dziś sobotę, pamiętaj o tym.

- Pamiętam - zapewniłem machinalnie.

- A w takich warunkach może tam dojść do jakiejś pyskówki -

ciągnął Palmu, nie zwracając na mnie uwagi. - A wtedy niech no tylko

jakiś cwaniak w szapokłaku albo skórzanej kurtce powie jedno fałszywe

słowo. Boję się bardzo, że skończyłoby się to jakimś linczem. Po to

właśnie są tam stójkowi. I dwóch konnych.

- Czyli jak... żeby chronić bandytów? - spytałem, nie wierząc

własnym uszom. W głowie zaczęło mi nagle tak piekielnie wirować, że

musiałem chwycić się za czoło.

- Właśnie tak - przyznał skwapliwie Palmu. - To też są ludzie. Tacy

sami jak bezdomni pijacy. Poza tym, skoro już zeszło na tę współpracę...

Wydałem zarządzenie... w twoim imieniu, ma się rozumieć, że w twoim

imieniu, szefie... by wszystkie grupy i wydziały przesyłały nam raporty o

wszelkich niecodziennych zdarzeniach, jakie zanotowano od

wczorajszego wieczora w mieście i na peryferiach. A jeśli jeszcze wydarzy

się coś choćby odrobinę odbiegającego od weekendowej sztampy, to mają

mi... czyli tobie natychmiast to zgłosić.

Patrzył na mnie z politowaniem, gdy potrząsałem głową, próbując

jakoś uładzić rozbiegane myśli.

- Współpraca - wyjaśnił. - Przecież o nią się właśnie dopominasz już

od ponad roku. Więc teraz ją masz. Po to zresztą zamówiliśmy sobie tę

dryndę z radiem. Jak myślisz, po co innego bym to robił? I to akurat w sobotnie popołudnie, kiedy radiowozy są nam właśnie najbardziej potrzebne?

- Ale przecież... - zacząłem. Trzask radia usłyszeliśmy aż przy drzwiach budynku. Kierowca wychylił się z wozu i zawołał:

- Do kierownika grupy!

Biegiem wróciłem do auta i wsunąłem głowę do środka:

- Tu kierownik grupy dochodzeniowej, wydział przestępstw przeciwko życiu i cielesnej nietykał... no, tu kierownik komisji zabójstw!

- Tu piątka - przedstawił się trzeszczący głos. - Bo mieliśmy bezzwłocznie informować, jeśli zdarzy się coś niecodziennego. Tu na rogu Mannerheima i Bulwaru, przy kramie gazeciarza, zrobił się niezły bigos. Przepychają się i biorą do rękoczynów, bo pierwsza paczka „Kurier” rozeszła się jak ciepłe bułeczki.

- Niech się biorą! - rzuciłem ze złością.

- Tak jest, niech się biorą - potwierdził trzeszczący głos. - Ale właśnie widzę, że od Ludwika biegną już chłopaki z kolejnymi paczkami.

Na jednej nodze się uwinęli, klawo jest. Bo sam jeszcze nie zdążyłem dziś „Kurier” kupić.

- To sobie kupcie i spokojnie, bez pośpiechu przeczytajcie - rzekłem zgrzyliwie do mikrofonu. - Obowiązki służbowe mogą poczekać.

Piątka nie zrozumiał ironii.

- Dzięki, panie kierowniku - w trzeszczącym głosie zabrzmiał szczerzy zachwyt. - Ale klawo.

Wróciłem pod drzwi wydziału medycyny sądowej.

3.

Zwłok pijaka nikt jeszcze palcem nie tknął. Trupa nie wstawiono nawet do chłodni. Leżał na gładkim stole dokładnie tam, gdzie go złożono po zdjęciu z noszy, w ubraniu i butach. Od razu rozpoznałem zmasakrowaną twarz z zamieszczonego w „Kurierze” zbliżenia. W lodowatym pomieszczeniu, pod klinem jaskrawego światła wydawała się zaskakująco mała w porównaniu z tamtym przerażającym zdjęciem. Portier był bardzo skruszony, ale przecież nie był niczemu winien. Bywa, że gdy przypadek nie jest pilny, mija kilka dni, nim lekarz przystąpi do sekcji.

- Szczęście w nieszczęściu - rzekł nabożnie Kokki, składając dłonie i unosząc oczy ku niebu.

Palmu potaknął ruchem głowy. Nic z tego nie rozumiałem. Kiedy Kokki zdążył się nawrócić?

Komisarz obrócił się do portiera i rozkazał mu:

- Proszę natychmiast sprowadzić tu jakiegoś lekarza, nieważne kogo, jak dla mnie to może być nawet sam profesor. I to na jednej nodze.

Sprawa najwyższej wagi.

Portier uwierzył i bez szemrania zniknął w czeluściach gmachu.

Biegiem.

- Tak naprawdę - rzekł spokojnie Palmu, nabijając fajkę - to jego psi obowiązek rozebrać klienta i ładnie zwinąć rzeczy, a ciało wrzucić do lodu, nim obejrzy je lekarz. Tak to już jest na tym świecie, takie nastały

czasu - pokręcił smętnie głową. - Nie można już liczyć na nikogo, że zrobi, co do niego należy. Tym razem jednak dobrze się składa.

- Tu nie wolno palić - zwróciłem mu uwagę, bo nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

Palmu puścił moją uwagę mimo uszu. Skrzesał ogień i zaczął zapalać fajkę, wodząc jednocześnie badawczym spojrzeniem po butach, nogach i rękach denata.

- Poza tym - rzekł powoli - to nie jest żaden bezdomny ochlapus. A pytałem cię rano, skąd wiesz, że to pijak.

- Przestań gadać głupoty - zachnąłem się. - Przecież napisali w gazecie. - Triumfalnie pacnąłem dłonią w „Kurier”. - Jak wół napisane, czarno na białym. Dużymi literami. Sam przeczytaj.

Kokki znowu spuścił głowę i wbił wzrok w czubek swoich butów.

Może było mu za mnie wstyd.

- Tego, no... Palmu, to jest komisarz, ma rację - rzekł w końcu. - To nie jest żaden pijak. Widać na pierwszy rzut oka. Nie pojmuję, komu to w ogóle mogło przyjść do głowy. Jakby oczu nie mieli.

- Ale w „Kurierze” piszą... - próbowałem jeszcze. Wreszcie jednak łuska spadła mi z oczu, gdy pochyliłem się nad trupem i zacząłem dokładniej mu się przyglądać. Był to drobny starszy jegomość. Buty miał znoszone, lecz starannie wyszczotkowane. Na ubraniu dostrzegłem brudne plamy. Jego garderoba nie była może szczególnie wyszukana, ale na pewno nie należała do bezdomnego pijaka. A twarz o szklistych oczach, patrzących jeszcze w górę spod przymrużonych powiek,

przywodziła na myśl raczej oblicze filozofa. Nie żeby wśród żulików nie było myślicieli, tych jest akurat najwięcej, ale to nie była taka twarz.

Innymi słowy, bez względu na to, czy staruszek umierał trzeźwy, czy pijany, na pewno nie miał twarzy alkoholika. Nie miał, choć obita i zmasakrowana przedstawiała rzeczywiście nader nieprzyjemny widok.

Zaczęło mnie mdlić. Pewnie przez te gotowane śledzie.

Leżący na stole mężczyzna niedługo przed śmiercią odwiedził fryzjera. Siwe włosy były starannie przycięte. Zerknąłem na dłonie. Żyły na grzbietach były wydatne, jak to u starszych ludzi, a na skórze widniały ciemne plamy, były to jednak dłonie człowieka, który od wielu lat nie miał się żadnej fizycznej pracy. Nie żeby pijacy się przepracowywali, ale... Nie, to nie były dłonie helsińskiego żula. Staruszek miał ręce czyste i bez śladu brudu pod paznokciami.

Wpadłem niemal w ekstazę.

- Pierwszy punkt dla nas w tej nierównej walce! - orzekłem. - Nie, to rzeczywiście nie jest pijak, choć „Kurier” tak się uparł przy tej wersji.

W tym momencie grzmotnęły drzwi i do pomieszczenia wszarżował sam profesor. Przypominał w tym momencie chmurę gradową.

- Co to ma znaczyć, do jasnej ciasnej?! - wydarł się od progu.

Portier rozkładał bezradnie ręce za jego plecami. - Mam właśnie na warsztacie nadzwyczaj ciekawą treść żołądkową, już predestylowaną i odważoną co do miligramu, a asystentowi wierzyć nie mogę. Nie umie się nawet obchodzić z wagą. Ja już naprawdę nie wiem, czego ich tam uczą na tym uniwersytecie.

- Przepraszam, panie profesorze - zaczął Palmu. - Bardzo pana proszę o szybkie określenie, jak zginął ten mężczyzna i kiedy w przybliżeniu nastąpił zgon.

Profesor odruchowo zerknął na głowę nieboszczyka.

- No, przecież nawet dziecko wam powie, że... - zaczął, ale zaraz zamilkł, zapominając o wzburzeniu. Na jego twarzy pojawił się osobliwy wyraz.

- W pierwszej chwili - rzekł powoli - odniosłem wrażenie, że... że ja znam tego człowieka.

- Ja też - przyznałem usłudze - ale to pewnie dlatego, że widziałem go w gazecie.

- W gazecie? W jakiej gazecie? - warknął gniewnie profesor, przeszywając mnie wzrokiem. Potarł czoło, jakby próbował jeszcze sobie coś przypomnieć, po czym znowu wejrzał uważnie w twarz nieboszczyka.

- Zupełnie jakbyśmy chodzili razem do szkoły albo... byli razem w wojsku. No, ale się stoczył. Portier mi powiedział, że to jakiś pijak. Chociaż zaraz, na samo dno to on się jeszcze nie zdążył stoczyć. Widać to od razu, na pierwszy rzut oka. Każdy ma takich znajomych ze szkoły. Przychodzą czasem pożyczyć trochę grosza. Trzeba to zrozumieć. W końcu wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

- Panie profesorze! - przerwał mu zdecydowanie Palmu. - Nie czas teraz na szkolne wspomnienia. I nie żartuję, proszę mi wierzyć. Zazwyczaj nigdzie się nie spieszę, zna mnie pan przecież. Ale tym razem grunt nam się wprost pali pod stopami. Chodzi tu o honor całej policji... ech, co ja

mówię, całego kraju! Dlatego też...

Powiem tylko, że gumowe rękawiczki profesor zdążył włożyć już na schodach. Nie był znów aż takim nerwusem. I oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie zawracalibyśmy mu głowy bez wyraźnej potrzeby. No i ja bym się nie fatygował do prosektorium osobiście, gdyby sprawa nie była rzeczywiście poważna.

Profesor ostrożnie pomacał czaszkę nieboszczyka i znów pokręcił głową.

- Roztrzaskana na miazgę - ocenił, niepostrzeżenie kontynuując wnikliwą palpację. - Wykitował od razu, rzekłbym, że zaraz po pierwszym uderzeniu. Ale tym razem nie było to tak dobrze nam wszystkim znane tępe narzędzie. Gdybyśmy żyli w czasach już minionych, rzekłbym, że worek z piaskiem. Ale pałka też by pasowała. I to jak. Nie uronił nawet kropli krwi.

Kokki westchnął głęboko.

- Oj, chłopaki, chłopaki - szepnął, znów składając dłonie i unosząc spojrzenie ku niebu.

- Skąd wobec tego obrażenia twarzy? - zapytał profesor samego siebie. - Wygląda to tak, jak gdyby ktoś w nią kopał. Podczas agonii krew wyciekła na twarz. Ale on nie miał już o tym pojęcia.

- Że co? - zdziwił się Palmu, wychylając w przód. - Najpierw ktoś go zabił, waląc pałką w głowę, a dopiero potem zmasakrował mu twarz?

- Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością - zastrzegł się profesor.

- W nauce nie ma nic pewnego. Na to jednak wygląda. Trzeba by wiedzieć

mniej więcej, ile krwi wyciekło, i porównać z objętością, jaką zdążyło przepompować serce w ciągu tych kilku sekund, kiedy jeszcze biło.

- Jasne, jasne - przytaknął szybko Palmu. - A godzina?

Profesor zbadał sztywność zwłok, uniósł ramię nieboszczyka i pokręcił głową.

- Musiałbym spojrzeć, czy zdążyły się utworzyć plamy opadowe.

Leżał na brzuchu czy na plecach?

- Kto pyta, nie błądzi - burknął rozdrażniony komisarz i zerknął na mnie. - Tutaj też zdążył pół dnia przeleżeć na marach.

- Ściągamy rzeczy! - zaordynował profesor zdecydowanym tonem, instynktownie zacząłem więc rozpinać płaszcz. Przyznam, czułem się przy nim jak w gabinecie lekarskim.

Na szczęście szybko się opamiętałem, bo portier już ściągał okrycie z nieboszczyka. Kokki się przeraził.

- Nie tak raptownie! - jęknął błagalnie. - Najpierw próbki. A nie mamy tu fotografa. - Co rzekłszy, zaczął wykladać na najbliższy stół małe papierowe torebki ze swojej apteczki.

- W tej sprawie dość już mieliśmy fotografów - uznał Palmu i tym razem trudno mi było nie przyznać mu racji. - Pomóżmy lepiej wszyscy.

Mimo to sprawa nie była wcale prosta. Czytelnik, któremu zdarzyło się kiedyś rozbierać sztywnego nieboszczyka, doskonale rozumie, co mam na myśli. Ale portier miał w tym wprawę, a i profesor nieźle sobie radził.

Kokki starał się uciszyć sumienie, składając starannie w kostkę każdą odebraną część garderoby na rozłożonym na stole czystym papierze.

Palmu zadowolili się ściągnięciem staruszkowi butów. Ja zaś... no cóż, ja w istocie na chwilę się odwróciłem i poprzysiągłem sobie na wszystkie świętości, że już nigdy w życiu nie tknę kartofli pod kołderką z gotowanych śledzi.

Słyszałem więc tylko monotonną litanię Kokkiego.

- Garnitur ze sklepu. Żadnych metek z pralni. Kieszeń pusta. Ta też.

Wyczyszczone na amen.

I pomruki komisarza:

- Skarpetki starannie pocerowane. Staranniej niż moje. Ale obrączki nie ma. Śladu na palcu też nie. Majtki naprawiane. Mankiety i kołnierzyk koszuli wytarte, ale czyste. Schludny dziadek.

Odwróciłem się dopiero, gdy profesor wykrzyknął:

- A to co ma znaczyć?!

W duchu przeprosiłem zadbanego staruszka, że tak bezceremonialnie oglądam go w całkowitej nagości. Niby człowiek kąpie się z innymi w saunie i tak dalej, zawsze jednak czułem, że oglądanie rozebranych zwłok jest czymś niestosownym. Ja naprawdę nie nadaję się do pracy w policji, co zresztą Palmu niejednokrotnie mi powtarzał. Ale zaraz pocieszał, że odnajdę się za biurkiem, warcząc na podwładnych i merdając ogonkiem przed zwierzchnikami.

Zobaczyłem straszne szerniałe siniaki na bokach nieboszczyka i usłyszałem słaby chrzęst pogruchootanych, uciskanych żeber. Po chwili profesor się wyprostował, twarz nabiegła mu krwią.

- To... to niesłychane - rzekł. - Sam nie wiem, co mam o tym

myśleć... W końcu niejedno już w życiu widziałem. Wszystko wskazuje na to, że sprawca połamał ofierze wszystkie żebra, choć ta leżała już bez życia na ziemi. Co to ma znaczyć? Masakrować twarz i łamać żebra martwemu człowiekowi?

- Biedni chłopcy - szepnął Kokki. - Nie wiedzieli, co czynią.

Ja zaś syknąłem:

- Szapokłaki, skurwysyny jedne. - Naprawdę tak powiedziałem. Nie przeklinam często. Muszę dawać przykład podwładnym. Nie wszyscy odebrali w domu tak dobre wychowanie jak ja. Gdybym jednak w tamtej chwili zobaczył wykrzywioną ironicznie gębę jakiegoś cwaniaczka w skórzanej kurtce, to wymalowałbym mu, cholera, prosto między oczy.

- No, już, już - uspokoił mnie Palmu, jak gdyby czytał w moich myślach. - Najpierw proces, potem kara. Prawa i porządku nie wolno lekceważyć.

- Czasem... - rzekł profesor po chwili wahania - czasem... nie, nie jestem złym człowiekiem, bynajmniej... ale czasem, kiedy widzę coś podobnego, to aż ciśnie mi się na usta, że powinno się przywrócić karę chłosty.

- Nie, jednak nie - zreflektował się zaraz. - Niepotrzebnie się uniosłem. Przepraszam. Żyjemy w praworządnym społeczeństwie, Bogu dzięki. Humanizm. Ludzka godność. Mamy do czynienia z jednostką chorą, a nie z przestępcą. Przez całe życie walczyłem o to rozróżnienie, którego mimo to nie jestem jeszcze gotów odwołać.

- No tak, czyli wyjątkowa sprawa, dziękuję, panie profesorze -

powiedział poważnie Palmu. - Jutrzejsze gazety na pewno będą wołać o chłostę i karę śmierci, proszę spać spokojnie. Tym razem jednak, szczególnie tym razem, będziemy musieli płynąć pod prąd opinii publicznej. Inaczej stracimy zbyt wiele z tego, co postęp pozwolił z czasem nam wywalczyć. Wbrew uprzedzeniom i mimo przeciwności. Nawet u nas.

- Przestań gadać głupoty! - warknąłem na komisarza. - Myślisz, że gdzie jesteś, na jakimś wiecu? Już ja wiem, co o tym myśleć i co dalej robić.

- Jeśli tak, to proszę bardzo - przystał skwapliwie Palmu i odstąpił krok na bok, dając mi do zrozumienia, że rezygnuje z dalszego śledztwa. - Sam doprowadź swoje dochodzenie do szczęśliwego końca. W końcu to tyś nam wszystkim tego piwa nawarzył.

Zupełnie mnie zastrześlił tym fałszywym i podłym oskarżeniem.

Przecież nie miałem z tą sprawą absolutnie nic wspólnego. Sytuacja była wynikiem splotu niefortunnych zbiegów okoliczności, które już przedstawiłem w pierwszym rozdziale. Choć wtedy nawet nie przeczuwałem, że mogło ich się spleść aż tyle. Jeszcze bardziej jednak przerażała mnie myśl, że właśnie w takim momencie Palmu wystawi mnie do wiatru.

- Nie, nie - wycofałem się czym prędzej. - To jest tak, oczywiście.

Jest tak, jak mówisz. Ludzka godność, postęp i tak dalej. Ale bardzo cię proszę, prowadź dalej to śledztwo. Potrzeba mi... tego, dostaniesz całe wsparcie, jakie tylko zdołam ściągnąć.

- A zatem godzina zgonu... - Profesor wrócił do sprawy i zerknął na zegarek. - Dochodzi druga. Sześć, siedem godzin tutaj...
- A przedtem na Wzgórzu Obserwatorium, przez noc na mokrej ziemi - wypowiedziałem szybko swoją kwestię.
- Średnia temperatura minionej nocy to trzy stopnie powyżej zera, bez przymrozku - poinformował Palmu. Nie miałem pojęcia, gdzie i kiedy zdążył się już i tego dowiedzieć.
- Nie mam pojęcia - odrzekł szczerze profesor. - Możemy jednak pozgadywać. Rzekłbym, że między jedenastą wieczór a pierwszą w nocy. Powiedzmy, że o północy, to mogłoby się zgadzać.
- A zatem dwudziesta czwarta - stwierdził Palmu i spojrzął na zegarek. Jak się później okazało, profesor trafił idealnie. To wybitny specjalista, choć traktuje kryminalistów jak ludzi bardzo chorych. Trzeba go jednak zrozumieć, miał w życiu do czynienia wyłącznie z denatami. Ta myśl przyszła mi jednak do głowy dopiero później. Gapiąc się na zegarek komisarza, przypomniałem sobie, że prasa poranna idzie do druku mniej więcej o północy. Tyle dał nam czasu komendant policji. I gubernator. I minister spraw wewnętrznych. Ktoś zapukał do drzwi. Kierowca radiowozu stuknął obcasami, zapomniał pewnie, że jest po cywilnemu.
- Radio wzywa kierownika grupy - oznajmił.
- Kierownika, otóż to - ocknął się Palmu i podziękował profesorowi.
- Więcej spraw do pana nie mamy.
- A ubranie? - jęknął przerażony Kokki.

- Zapakuj - rzucił obcesowo Palmu.

- A ślady linii papilarnych? - Teraz z kolei ja się przeraziłem. - Nie mamy nawet kawałka papieru, żeby go zifendy... no, zidentyfikować. -

Język mi się zaplątał, jak swego czasu komisarzowi, kiedy próbował się popisać jakimś mądrym słowem.

- Ten mężczyzna nie figuruje w naszych kartotekach - orzekł Palmu, wskazując ustnikiem fajki na nieboszczyka. - Wspomnicie moje słowa.

Ale pobierz sobie odciski, Kokki. Jemu to już na pewno w niczym nie zaszkodzi. Nie spiesz się. Pan kierownik sobie w tym czasie pogada do radia.

Czułem, że spieklełem raka, bo we własnej opinii bynajmniej nie jestem jakoś ponadprzeciętnie rozmowny. Oczywiście, kierownik grupy powinien raczej umieć wyniszczyć podwładnym sprawę od początku do końca, niż bąkać monosylaby bez ładu i składu. To prawda, mam gadane, jak to się czasem mówi, i czytelnik doskonale wie, co chcę przez to powiedzieć. Nie oznacza to jednak, że jestem gadatliwy. Dlatego ta rzucona od niechcienia i zupełnie niestosowna aluzja komisarza mocno mnie dotknęła. Ale raz już dostałem od niego prztyczka w nos, uznałem więc, że najlepiej trzymać język za zębami.

Kiedy jednak wyszliśmy na dwór i skierowaliśmy się do radiowozu, Palmu wyciągnął fajkę z ust i ważąc ją w rękę, rzekł pocieszającym tonem:

- Nie bój się, już niedługo będziemy wiedzieli, kto to jest.

- Przecież nie mamy nawet skrawka papieru, żadnej metki z pralni,

tylko najzwyklejszą, tanią odzież - odrzekłem. - A ty jeszcze twierdzisz, że jego odcisków nie ma w kartotece. Wobec tego identyfikacja jest niemożliwa. A mnie... nam się jednak spieszy.

- Już ty się nie martw - droczył się dalej Palmu. - Przecież profesor niemal go rozpoznał.

Nie, zdecydowanie nic z tego nie rozumiałem. Czasem Palmu traktuje mnie jak... no, lepiej nie będę mówił. Ale tak, tak, tak, faktycznie jestem patentowym osłem. Przyznaję to otwarcie.

Podeszliśmy więc do auta i wrzasnąłem do mikrofonu:

- Tu kierownik grupy! Czego znowu?

Dyżurny zaczął jękać:

- Eee, nic takiego, a-ale mieliśmy od razu zgłaszać, jak będzie coś podejrzanego. No bo mamy tu na linii posterunkowego z Kaiivotalo*[*

Modernistyczny gmach w ciągu zabudowy naprzeciw głównego dworca kolejowego w Helsinkach. Na tyłach budynku znajduje się niewielki, otoczony ze wszystkich stron plac zwany Studnią.]...

- Łączyć! - rozkazałem. - Na co jeszcze czekacie?

- A-ale nie mamy takich urządzeń. Nie-e możemy podłączyć telefonu do radia. Ale mu przekażę...

- Sprowadzić mi tu zaraz potrzebne urządzenia! - zarządziłem. -

Natychmiast! Ja za to odpowiadam. Albo komendant policji. Mam pełne prerogatywy. I nie ufam już żadnym relacjom, tylko sobie same... -

Spojrzałem przelotnie na komisarza i umilkłem w pół słowa. Miałem wrażenie, że Palmu się uśmiechnął.

Z radia dobiegł znów niepewny głos dyżurnego:

- To może, tego... spróbuję przyłożyć słuchawkę do mikrofonu i jakoś wzmocnić głos.

Usłyszałem, że rozmawia przez telefon. Radio zaskrzeczało, wysokość tonu się zmieniła i po chwili inny głos krzyknął:

- Halo, halo, HALOO?!

- Nie wrzeszczeć! - ryknąłem. - I tak słyhać! Co się dzieje?

- To... tego... to on sam mówi, kiedy go słyhać? - zabrzmiał podejrzliwy głos posterunkowego.

- On sam - zapewniłem go. - Kierownik grupy wydziału przestępstw przeciwko życiu i... no, komisji zabójstw. Mówcie już, o co chodzi.

- Bo mieliśmy informować i tego. No więc mamy tu w Studni zlot gwiazdzisty skórzanych kurtek. Tłoczą się wokół takiej błyszczącej tuby.

Niby na postumencie, pan kierownik na pewno wie, o co chodzi. Już od dłuższego czasu do niej zagląday i kierują ją to na lewo, to na prawo, i chichoczą pod nosem. Są też z nimi jakieś modnisie. Z początku sądziłem, że to może znów maturzyści coś psocą albo może studenci z polibudy mierzą poziom gruntu, nie wiem. Ale coś tak mi się widzi, że to nie studenci. Same skóry i szapokłaki, cała banda. A potem zajrzałem do „Kuriera” i zaraz zrozumiałem...

Posterunkowy się zawahał.

- Mówcie dalej! - rozkazałem.

- No więc tego, pomyślałem sobie, że może to jakaś, no... armatka albo rakietka jest. Dzisiaj to już nawet dzieci takie rzeczy w domu składają.

A jak tego „Kuriera” czytałem, to zaraz przyszło mi do głowy, że jak to jest rakietą, to tak na mój rozum oni celują z niego jak raz w stronę komendy policji. Albo tego... gmachu Rady Państwa. Więc co ja mam robić?

- Kto mówi? - wtrącił nagle Palmu zupełnie spokojnym głosem.

- No, Karhunen, a kto? - zdumiał się posterunkowy.

- Aha - mruknął komisarz i z niewinną miną rozparł się na siedzeniu.

Posterunkowy ostrożnie wrócił do tematu:

- Więc tego, co ja mam teraz robić?

- Zapudłować i już - rozkazałem. - Całą bandę.

- Ca-ca-całą bandę? - wyjąkał Karhunen. - Ale tego, jest ich chyba ze dwudziestu, jak nie lepiej. No i w ogóle... co tam dla nich jeden człowiek... W dzisiejszym „Kurierze”...

- Jesteście tam sami? - przeraziłem się. - W takim rewirze? Dzisiaj?

- Tak jest, właśnie tak, sam na rewirze w sobotę po południu, kiedy i bez tego mamy pełne ręce roboty z tymi łobuzami. A w domu żona i dzieci... - Karhunen omal się nie rozplakał.

- Sprawa jasna - odrzekłem. - Miejcie ich na oku. Nie interweniujcie. Ilu ludzi potrzebujecie?

Posterunkowy się zawahał:

- Ja wiem... dwóch, trzech wystarczy. Ci tu nie wyglądają na bardzo groźnych. Ale diabeł ich tam wie...

- Dostaniecie dziesięciu - przyrzekłem mu. - Nie, dwudziestu. Zaraz posyłam tam do was więźniarkę. Bez odbioru.

- Be-bez... - wyjąkał nieszczęśliwy Karhunen.

Usłyszałem w głośniku trzask odkładanej słuchawki.

- Dyżurny! - wrzasnąłem. - Dawać mi tu zaraz komisarza!

Natychmiast!

- Kry-yyminalny czy po-orządkowy? - wyjąkał dyżurny.

Pomyślałem, że jeszcze chwila i sam zacznę się jąkać.

- Porządkowy, ma się rozumieć! - warknąłem. Po chwili usłyszałem w głośniku trzask.

- Tu dyżurny komisarz policji porządkowej - odezwał się powściągliwy głos.

- Tu kierownik komisji zabójstw - przedstawiłem się. - Natychmiast wysłać więźniarkę i dwudziestu ludzi do Studni. Działać przez zaskoczenie. Nie, dwie więźniarki. - Czułem, że władza uderza mi do głowy. Przynajmniej chociaż trochę się zabawię. Póki chwila trwa. - Jedna od Studziennej, druga od Starego Domu Studenta. I ludzi tylu, ilu potrzeba. Główną uwagę skupić na grupie skórzanych i szapokłaków z modnisiemi, tłoczą się na podwórzu wokół armatki.

- Armatki? - zapytał dyżurny komisarz tym samym powściągliwym tonem.

- Wyrzutni raketowej czy co tam oni mają - warknąłem. - Nie mam pojęcia. Błyszcząca tuba na podstawie, coś takiego. W końcu wasi ludzie chyba mają oczy. Posterunkowy Karhunen pokaże. Zapudłować mi całą bandę, i to zaraz!

- Modnisie też? - spytał z niedowierzaniem dyżurny komisarz.

- Modniejsze też - potwierdziłem bez chwili zastanowienia. - Ale nie razem z tymi łobuzami. - W porę się połapałem. - A jak będą się opierać, pałą przez łeb.

Palmu ścisnął mi ramię tak mocno, że jeszcze po tygodniu miałem siniaka. Jęknąłem, ale zrozumiałem bez oglądania się za siebie.

- Wiadomo, unikać zbędnej przemocy. To niegodne policji. Jednak działajcie zdecydowanie, niechaj nie mają żadnych wątpliwości.

Chwileczkę...

Musiałem tak powiedzieć, bo Palmu przyciągnął mnie do siebie i wyszeptał mi do ucha:

- Cholerny idioto, powiedz mu chociaż, żeby się dobrze rozglądali, czy ktoś tam nie ma na gębie plastrów lub innego opatrunku. A jak już tam będą, to niech przy okazji zajrzą do kawiarni i na dworzec.

- Cholerny idio... - zacząłem instynktownie. - Przepraszam, komisarzu, to nie do was. Mieliśmy tu mały incydent. Ten pośpiech, rozumiecie. Czyli tak: działać przez zaskoczenie i obejrzeć dokładnie całą okolicę, kawiarnie i tak dalej. Przede wszystkim patrzeć dobrze, czy ktoś nie ma na gębie plastrów lub innego opatrunku. Takiego z miejsca do pudła, z resztą towarzystwa. Tylko do osobnych cel - wymyśliłem jeszcze.

- A skoro już tam będziecie, zajrzyjcie jeszcze na dworzec - ciągnąłem. - Nie zaszkodziłoby też posłać jakiegoś wozu na Kaisaniemi.

Natychmiast.

- Gęba w plastrach lub opatrunek - powtórzył sumiennie głos w radiu. - Jakiś wiek, wzrost, znaki szczególne?

- Brak - odrzekłem, zerknąwszy na Palmu. - Bierzcie się do roboty.

- To się nie da tak od razu - zaproponował dyżurujący komisarz. -

Najpierw muszę zebrać ludzi. Najmniej kwadrans minie, zanim...

- Za pięć minut więźniarki mają być na miejscu - uciałem

bezlitośnie. - Chyba nie rozumiecie powagi sytuacji, komisarzu.

- W porządku - odpowiedział sztywno. - Ale po drodze są

sygnalizatory, a o tej porze w sobotę ruch jest bardzo gęsty. Będziemy

musieli włączyć syreny, inaczej nie przejedziemy tak szybko. A wtedy

stracimy element zaskoczenia.

- Doskonale - odrzekłem. - Pokażemy opinii publicznej, że policja

wzięła się ostro do roboty. A tym frantom udowodnimy, że policja nie jest

bezsilna. Bez odbioru.

Skinałem na kierowcę, że może wyłączyć radio, i z triumfalną miną

obróciłem się do Palmu.

- Współpraca - powtórzyłem. - Współpraca, choć raz. Bez

zbytecznej paplaniny. Ale dlaczego pytałeś o nazwisko tego

posterunkowego? Tego Karhunena?

- A, bo to taki... amator powieści fantastycznych - wyjaśnił

spokojnie Palmu. - Ale w chórze nie śpiewa, aż tak źle nie jest - dodał.

Radio znów zaczęło trzeszczeć, jak gdyby w przemówieniu

komisarza zabrakło kropki nad i. Dyżurny znów wzywał kierownika

grupy.

- Słucham - zgłosiłem się.

- Mam tu znowu tego posterunkowego z Kaivotalo - usłyszałem głos

dyżurnego. - Chce wam jeszcze coś powiedzieć.

- No, to jeszcze raz ja, Karhunen - zawyło radio, aż mi zadźwięczało w uszach. - Chciałem jeszcze tylko, że tego... chłopaki nie wyglądają jednak aż tak groźnie. Tak mówię, gdyby pan kierownik potraktował tę sprawę za bardzo serio. Nic wielkiego, chichoczą tylko i przepychają się.

- Akcja zacznie się za jakąś minutę, przygotujcie się - odrzekłem.

- *No* tak, ale tego... chodzi mi o to, że to jednak nie jest armatka.

Ani rakiet. To... tylko taka luneta. Patrzą sobie przez nią.

- Luneta! - jęknąłem. - Skąd to wiecie?

- Chciałem się u-upewnić, więc podszedłem do nich i zapytałem -

wyznał szczerze posterunkowy Karhu-nen. - No, bo tak sobie pomyślałem, że może się jednak niepotrzebnie przejąłem. Bo po co ich za coś takiego od razu do kozy zamykać? W końcu to jeszcze dzieciaki.

- Rozkaz to rozkaz - uciałem. - Ale... co oni tak przez tę lunetę? W Studni?

- Ja... nie wiem - Karhunen znów się zawahał. - No, ale na pewno jakaś heca im po głowie chodzi. Z ust mi pan to wyjął, panie kierowniku. Dobrze pan to sobie wykoncypował. No bo co tam z tej Studni mogą zobaczyć... Dokoła same ściany. He, he, he.

- Jeżeli pan Karhunen już się nachichotał - rzekłem z przekąsem - to możemy już chyba zakończyć tę pogawędkę. Przyjąłem. Bez odbioru.

- Luneta - powiedział zamyślony Palmu, dmuchając mi w twarz fajczanym dymem.

Kierowca usiłował zachować oficjalne milczenie, ale w końcu nie

wytrzymał.

- Na pewno obmyślają jakieś nowe diabelstwo - wyraził pogląd, po czym zsunął czapkę na kark i podrapał się po czole. - Dobrze, że pan kierownik pogoni im kota. Z nimi inaczej to się nie ujedzie. Człowiek choć raz poczuje, że pracuje w policji.

Jego bezgraniczne zaufanie do moich kompetencji głęboko mną wstrząsnęło. Tymczasem jednak wrócił Kokki z torbą w ręku i paczką z ubraniami denata pod pachą. Coś tam nawet nucił pod nosem. Mnie jednak nie było do śpiewu. Bolesnie trzeźwiałem po krótkotrwałym upojeniu władzą. Spojrzałem błagalnie na Palmu.

- I co teraz? - spytałem.

- Można by oczywiście podjechać na to Wzgórze - zaproponował komisarz. - Roztacza się stamtąd piękny widok, szczególnie w taki słoneczny jesienny dzień jak dziś. Port, statki i morze. Spod pomnika Rozbitków, bo o tym miejscu myślę.

Jego uszczypliwość zupełnie po mnie spłynęła.

- Na Wzgórze Obserwatorium - zakomenderowałem. - I gaz do dechy. - Zawahałem się, zerknąłem na komisarza i uznałem, że najlepiej będzie dodać: - Tylko bez syreny. Nie powinniśmy wzbudzać niepotrzebnej sensacji. Zwłaszcza my, to chciałem powiedzieć.

Kierowca był całkowicie pochłonięty jazdą, bo o tej porze w sobotę ulice są zatłoczone, pochyliłem się więc do komisarza i spytałem:

- Powiedz no, skąd to wszystko wiedziałeś? Skąd ci przyszło do głowy wydać te wszystkie rozkazy, sprawdziłeś nawet temperaturę w

nocy?

Komisarz bez trudu mógłby mnie nabrać, ale uznał, że nie warto.

Co to za radość strzelać do siedzącego ptaka.

- To było dziecinnie proste - odrzekł. - Kwadrans przed przybyciem dziennikarzy i fotoreporterów do komendanta zatelefonował redaktor naczelny „Kurier” i poinformował o całej sprawie. Chciał pewnie z góry przeprosić, gdyby się okazało, że młody dziennikarz zagalopował się trochę w tej szarży na policję. Komendant od razu zatelefonował do mnie i wyraził zdziwienie, że nie dostał od nas jeszcze żadnego meldunku w tak poważnej sprawie. Zapewniłem go, że pracujemy na pełnych obrotach, jak to lubisz powtarzać, ale na razie nie mamy dość materiału na porządny meldunek, a poza tym nie mogliśmy przypuszczać, że sprawa zdąży trafić do „Kurier” jeszcze tego samego dnia. Ty i Kokki opychaliście się akurat gotowanymi śledziami, więc w oczekiwaniu na twój powrót zacząłem wydawać rozkazy. Jedzenie to rzecz święta i dlatego nie wolno nikomu w jedzeniu przeszkadzać. Bo kiedyś to się zemści, choć ty pewnie tego nigdy nie pojmiesz.

- Mogłeś chociaż wyjść na schody i ostrzec nas, żebyśmy się tak nie wydzierali w drodze powrotnej - rzuciłem oskarżycielskim tonem.

- Ale dlaczego, co w tym złego? - zdziwił się obłudnie Palmu. -

Wyjdzie nam tylko na dobre, kiedy prasa zwącha, że policjanci mają pożyteczne hobby. Takie jak śpiew chóralny. Poza tym komendant mnie poprosił, abym cię miał na oku, bo to duża sprawa i mógłbyś się czasem za bardzo rozochocić - ciągnął komisarz, patrząc na mnie z figlarnie

przekrzywioną głową. - Sam rozumiesz, jestem w końcu starszy od ciebie.

Nie ma tu żadnych ukrytych podtekstów. Głupi zbieg okoliczności, że naczelnik wydziału wyjechał na urlop. Zapewniłem komendanta, że porządny z ciebie chłopak i właściwy człowiek na właściwym miejscu. Co zresztą jest prawdą. - Palmu zadumał się na chwilę i dodał jeszcze: - W pewnym sensie.

Dojechaliśmy do podnóża parku na Wzgórzu Obserwatorium.

Kierowca zgrabnie ściął trawnik i wjechał w alejkę. Na trawie utworzył się już prawdziwy pas drogowy.

Wyobrażałem sobie, jak włodarze miejskich parków będą mi o to suszyć głowę. Mnie albo komendantowi. To ludzie tego pokroju, że rozdierają szaty, gdy bawiące się piłką dzieci niechcący złamią kwiatek na klombie.

- Stop! - rozkazał Palmu i rozejrzał się badawczo. - Aha, tam - wskazał. - Auto z drzewa już zabrano. Jasne. Zawsze diabelnie im się z tym spieszy. Ale ślady są.

Chciałem już wysiąść i podejść, ale komisarzowi szkoda było nóg.

Alejką na wzgórze ciągnął prawdziwy tłum. Kazałem kierowcy włączyć syrenę. Nie miało to już żadnego znaczenia. W parku i tak roiło się od policjantów.

Tłum rozstępował się z szacunkiem przed naszym czarnym autem.

Antena radia kiwała się pysznie na boki. Ludzie wybałuszali na nas oczy.

Był cudowny jesienny dzień. Na domiar złego. Już sobie wyobraziłem ten ścisk o zachodzie słońca, gdy helsińczycy po obiedzie zaczną niespiesznie

przełądać „Kurier”. A wyobraźnię mam bujną. Co zresztą bezustannie wytyka mi komisarz Palmu.

Tu i ówdzie na trawnikach i w krzakach dostrzegało się pochylonych mężczyzn. Policja wzięła się ostro do działania. Rozpierała mnie duma.

Stanęliśmy pod pomnikiem Rozbitków i już miałem wysiąść z auta, gdy znów zatrzeszczało radio. Jakiś mężczyzna zapomniał wziąć ubranie z sauny i nagusieńki spacerował właśnie ulicą Sturego. Wymieniłem porozumiewawcze spojrzenie z komisarzem i w dwóch słowach kazałem odstawić pijaka do aresztu, aby tam wytrzeźwiał. W soboty dzieje się wiele niecodziennych rzeczy.

Wysiadłem i nie musiałem nawet się rozglądać. Ziemia wokół miejsca zbrodni była udeptana na klepisko, a pobliskie krzewy połamane, choć policjanci pilnowali już, by gapie się tam zbyt nie zbliżali.

Przeszło mi przez myśl, że może najlepiej byłoby zamknąć na jakiś czas cały park wokół obserwatorium. Chociaż wtedy trzeba by już poprosić o pomoc wojsko. Wzdragałem się przed użyciem tak drastycznych środków, ale pokusa była bardzo silna. Co też władza robi z człowiekiem.

Obejrzałem krwawe plamy na ziemi i zagadnąłem:

- No i co o tym sądzisz, Palmu?

Ale komisarza nie było już za *mną*. Dostrzegłem go daleko, po drugiej stronie pomnika Rozbitków: stał na trawie i podziwiał rozświetlone słońcem niebo, morze i portowe żurawie. Kokki też mnie porzucił i dołączył do Palmu.

Rozeźlony podszedłem do nich.

- Nie widzę krwawych śladów prowadzących do tego miejsca - odezwałem się niegrzecznie. - Co prawda ziemia jest rozdeptana, ale... No dobra, moja teoria jest taka, że dziadunio szukał sobie miejsca do spania w krzakach, a mordercy... - Na szczęście przypomniałem sobie w porę, że denat nie był pijakiem. - To znaczy tak, biedaczysko siedział sobie może spokojnie na jednej z tych ławek... - poprawiłem się. - Skórzani go zaskoczyli i z czystej frustracji, że rozbili na drzewie taki ładny wózek, skopali dziadka na śmierć i zawlekli w krzaki. Tam dopiero...

- Patrz, Palmu, czy to nie brazylijski statek? - ożywił się Kokki, wskazując na zacumowany do nabrzeża Katajanokki olbrzymi frachtowiec.

- A jak właściwie wygląda brazylijska flaga? - odpowiedział pytaniem Palmu. - Nie pamiętam.

- Czyli co? - zagadnąłem podejrzliwie. - Myślicie, że to może jakiś zagraniczny marynarz...

- A, tak - przypomniał sobie Palmu. - Mieliśmy się rozejrzeć. -

Odwrócił się i wskazał na ziemię pod pomnikiem. Dostrzegłem w piasku wyraźnie jeszcze widoczne trzy głębokie dziury, które tworzyły regularny trójkąt. - Co ty na to?

Przykucnąłem i pochyliłem się nad ziemią.

- Nic - odrzekłem. - Jakiś turysta fotografował widoki, fachowo, ze statywu.

- Albo dzieciaki, przyszłość narodu - podsunął Kokki.

- No dobra, niech wam będzie - rzekł Palmu i zakładając ręce do tyłu, znów odwrócił się w stronę portu. - A ja tak sobie myślę, że moglibyśmy już rozpoznać naszego denata.

- No właśnie - zapaliłem się. - Najlepiej będzie zapytać, czy coś już ustalili. Tak czy owak trzeba będzie sfotografować te ślady - zdecydowałem. - Zresztą żadnych innych nie mamy. Trzeba pokazać opinii publicznej. Że policja ostro bierze się do działania, to mam na myśli.

Skinąłem na naszego fotografa, który w nabożnym skupieniu czekał ze sprzętem obok radiowozu. Sznur zaparkowanych wozów policyjnych ciągnął się aż po budynek starego obserwatorium. Wspaniały był to widok.

Pokazałem fotografowi, jak ma zdjąć te tajemnicze ślady w piasku.

Oczywiście mógł je zrobić laską Bogu ducha winny przechodzień, który stał koło pomnika i podziwiał krajobraz. Jednak z drugiej strony ślady tworzyły zbyt regularny trójkąt. Moja wyobraźnia znów zaczęła pracować.

Poszliśmy rzucić okiem na znaleziska. Chłopaki mieli już, nie kłamię, wielką mapę parku, na którą dokładnie nanieśli miejsce znalezienia każdego przedmiotu. Nie bez kozery biegali z jakimiś celownikami i rozkładali miary wzdłuż i wszerz trawników. Nie mogłem nie zachwycić się własnym zmysłem organizatorskim. Zagnałem ludzi do roboty i nikt nie śmiał się obijać.

- Prowadzący poszukiwania - zameldował się komisarz Lamberg, unosząc dłoń do czapki. - Jeżeli pan kierownik pozwoli, wyliczę po kolei,

co zdołaliśmy znaleźć do tej pory.

Skinąłem głową.

- Pierwsza rzecz: pieniądze - zaczął tajemniczo Lamberg. -

Znaleźliśmy tu zdumiewająco dużo pieniędzy, wśród nich nawet mokry i pomięty banknot jedno-dolarowy.

- Zagraniczny marynarz - powtórzyłem i łypnąłem podejrzliwie na Palmu. Ale jego twarz pozostała nieprzeniknioną maską. Może dlatego, że znów zapalał tę obrzydliwą fajkę.

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu Lamberg pokręcił głową.

- Raczej nie - orzekł. - Za długo tutaj leżał. Ale rodzimych marek też mamy sporo. Dwie pięćdziesiątki, pięć dwudziestek i tyle samo dyszek, czy to nie dziwne? No i jeszcze bilon, osiemnaście jednomarkówek - zakończył triumfalnie.

Mój zapal ostrygł.

- Gdzie je znaleźliście?

Lamberg z dumą pokazał mapę.

- Pieniądze zaznaczyłem na niebiesko - powiedział.

Mój zapal praktycznie zgasł. Banknoty i monety były porozrzucane po całym parku i morderca straciłby na to co najmniej pół godziny. Chyba że morderców była cała banda.

Widząc moją minę, komisarz Lamberg pospieszył z wyjaśnieniem:

- Jednomarkówki mają dziś tak znikomą wartość, że obywatele nawet się nie schylają, aby je podnieść. Sam to zawsze powtarzam chłopakom na przerwie. Nieopłacalny wydatek energii.

- Coś jeszcze? - przerwałem niegrzecznie ten wywód z ekonomii.

Lamberg wskazał stertę patyków po lizakach i lodach.

- Osiemdziesiąt dwa jak do tej pory - sprecyzował i zaraz się zmieszał. - Uznałem, że nie warto zaznaczać na mapie miejsc ich znalezienia. Mam nadzieję, że pan kierownik nie będzie zły. Dalej - podjął komisarz - są papierki. Tabliczka łupkowa. Notes. Trzy ołówki różnej długości, jak sam pan kierownik widzi. Jeden długopis.

- Zastanawiam się właśnie - rzekłem z goryczą - co właściwie robi zakład oczyszczania miasta. Dla jego estetyki, to miałem na myśli.

Przecież mają całą armię na swoje usługi. Czy oni w ogóle zmiatają alejki?

- Pety i zapalki - ciągnął Lamberg. - Głównie w pobliżu ławek.

Wtem komisarz uśmiechnął się tajemniczo. Miał bowiem jeszcze w zanadrzu *piece de resistance* całej tej kolekcji, że tak powiem, jeżeli czytelnik rozumie, co chcę przez to powiedzieć.

Lamberg triumfalnie wskazał na pomięty, mokry i zielony od trawy kawałek jedwabiu, po czym chwycił go ostrożnie i rozpostarł nam przed oczami.

- Kobięce majtki - wyjaśnił, choć stwierdziliśmy to już sami naocznie. - Maleńkie bikini - wyszeptał czule.

Rozdziawiłem usta. Kokki zdążył mnie ubiec.

- Pamiątka po wizycie włoskich marynarzy - podsunął usłużnie. -

Dawno ci Włosi tu byli?

- Zgadza się - przytaknął Lamberg. - Majtki też już swoje przeleżały

w krzakach. - Wskazał na mapę. - Tutaj. - Z niewiadomego powodu

miejsce znalezienia bikini zaznaczył na zielono. Może jakiś

psychoanalityk potrafiłby *to* wyjaśnić. Na mapie była cała masa innych

zielonych znaczków. Wszystkie w krzakach.

- Co to? - spytałem.

Komisarz Lamberg się zaczerwienił.

- To są takie... inne ślady. Poza tym. - Ze wzdrgnięciem wskazał na

rozdarty gorset na stercie znaleźsk.

- No tak, *no* tak - rzekłem pospiesznie. - Daleko na tym wszystkim

nie ujedziemy.

Komisarz Palmu zerknął znów na swój złoty zegarek. Dostał go od

kolegów z pracy po trzydziestu latach nienagannej - dodam, że ocenianej

wyłącznie merytorycznie - służby w policji. I ciągle jeszcze bardzo się nim

szczyił.

- Dziwię się tylko - powiedział - że jeszcze nie rozpoznano denata.

- Na podstawie tego tu? - Drżącą ręką wskazałem na znaleźiska

Lamberga. - Cudotwórcą jednak nie jestem, muszę cię rozczarować.

Palmu pokręcił głową ze smutkiem.

- Chłopcze, chłopcze - wyrzekł zgnębionym głosem - czy ty w ogóle

kiedykolwiek dorośniesz? Czy nadal nie dociera do ciebie, że „Kurier” jest

w sprzedaży już od dwóch godzin?

- I co z tego? - spytałem z irytacją w głosie.

- W gazecie jest zdjęcie staruszka - zaczął cierpliwie tłumaczyć

Palmu. - Zbliżenie na ćwierć szpalty. Dlatego bardzo bym się zdziwił,

gdyby nikt go nie rozpoznał.

Aż podskoczyłem. Bynajmniej nie z powodu *słów* komisarza, bo wiadomo, że w lot pojąłem, do czego zmierza, tylko przez nasz radiowóz, który podjechał do nas bezszelestnie jak cień, niemal mnie dotykając.

Zatrzeszczało radio i rozległ się przejęty głos dyżurnego, a darł się tak, że słychać go było na całym Wzgórzu:

- Wzywam kierownika grupy, czy jest tam kierownik grupy?!

Odbiór!

- Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy - wyraził swój pogląd Kokki.

Wskoczyłem do auta tak gwałtownie, że strąciłem sobie kapelusz i uderzyłem się boleśnie w głowę.

- Aj! - wrzasnąłem. - Tu kierownik grupy!

- Zamordowany został rozpoznany! - pisnął z przejściem dyżurny. -

Fredrik Nordberg, zamieszkały przy ulicy Marynarskiej! - Podał nam jeszcze numer bramy i mieszkania. Dobrze, że gapie tego nie słyszeli.

Stójkowi trzymali ich na dystans.

- Do wozu, biegiem! - popędziłem guzdrzącego się Palmu i

Kokkiego, który nie śmiał wejść do środka przed komisarzem. -

Rozpoznałem ofiarę. A wy na co czekacie? Ruszamy! - rozkazałem

kierowcy. - Słyszeliście adres. - Ruszyliśmy ostro i na sygnale, by rozgonić gapiów. Na dole ludzie odskakiwali na boki.

- Daj spokój z tą trąbą - zarządził Palmu, nie pytając mnie o zgodę. -

Człowiek nie słyszy nawet własnych myśli. I włącz mi jeszcze radio.

Dyżurny! - wywołał centralę. - Tu Palmu. Rozkaz wypełniony?

- Tak jest - zatrzeszczał głos dyżurnego. - Szóstka już tam jest. I

posiłki w drodze. Szóstka była akurat w pobliżu Czerwonej Góry, jak to w sobotę.

Musiałem pochwalić Palmu:

- O wszystkim zdążysz w porę pomyśleć. - Zawahałem się. -

Oczywiście, sam bym na to wpadł, ale wszystko wydarzyło się tak nagle, że jeszcze nie zdążyłem należycie uporządkować myśli. Poza tym jaki sens miałoby kierowanie grupą, gdyby nie miało się zaufania do swoich podwładnych? Nic byśmy nie działali, gdybym musiał sam z góry planować każdą rutynową czynność.

- Nie, wtedy rzeczywiście nic byśmy nie działali - przyznał Palmu, trochę nazbyt skwapliwie. A Kokki potaknął uroczyście głową.

Radio znów zaskrzeczało, aż podskoczyłem na siedzeniu. Dyżurny był, jeżeli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej przejęty niż przed chwilą.

Pewnie czuł się bardzo ważny:

- Zamordowany został powtórnie rozpoznany. Fredrik Nordberg, zamieszkały przy ulicy Mary...

- Wystarczy - uciałem i zerknąłem na Palmu. - Domyślam się, że meldunki o zidentyfikowaniu denata będą teraz napływać co chwila. Nie musicie już ich przekazywać.

Komisarz spojrzał na mnie nagłym wzrokiem.

- A-ale oczywiście każde zgłoszenie zapisywać. Razem z personaliami i adresem zgłaszającego. Żebyśmy mogli sobie wyrobić opinię o ludziach, którzy go znali. A tak przy okazji, kto rozpoznał go jako

pierwszy?

- Dyżurny komisarz z Kolejowej - oznajmiło radio, zaraz też padło

wyjaśnienie: - Przynoszą im tam „Kurier” bardzo wcześnie.

- Policja działa - rzekłem triumfalnie. - Kolejny punkt dla nas.

- Drugie zgłoszenie pochodzi od konduktora tramwajowego -

ciągnął usłużnie dyżurny. - Przypadkiem zajrzał jakiemuś pasażerowi

przez ramię i od razu rozpoznał klienta na zdjęciu. Na następnym

przystanku popędził do kawiarni i stamtąd zatelefonował.

- Którą linią jeździł? - zagadnął Palmu.

Dyżurny zamilkł, w tle słychać było jakąś rozmowę.

- Nie zapytali - odpowiedział już bardziej stonowanym głosem. - Ale

spisali personalia i adres.

- Dzięki, zdążymy z tym później - przerwałem im.

- Posłuchajcie - zapalił się Kokki. - Ten konduktor przypomni mi

jedną znajomą stewardesę...

- Zamknij się - uciałem. - Stewardesę? Nigdy bym nie przypuszczał,

że obracasz się w takich kręgach. Co na to twoja żona?

Był to oczywiście żart, ale ku mojemu zdumieniu Kokki

poczerwieniał, spuścił głowę i zażenowany zaczął kreślić czubkiem buta

kółka na podłodze auta.

- Każdy z nas ma swoje życie prywatne - zauważył mądrze Palmu i

rzucił mi karcące spojrzenie. - Do którego nie wolno się mieszać.

Ale z piskiem hamulców skręciliśmy już w Marynarską. Radiowóz

zwolnił i kierowca patrzył teraz na numery domów. Po chwili bez wahania

wjechał w ciemną bramę starej kamienicy i tylko gwałtowne hamowanie uratowało nas od uderzenia w tył zdezelowanej ciężarówki stojącej na ciasnym podwórzu. Ktoś się wyprowadzał. Część mebli wniesiono już na platformę, reszta stała na ziemi przy samochodzie.

Wyrzniętem boleśnie nosem w oparcie przedniego fotela. Nawet Palmu zaklął.

- Jak jeździecie! - zganił kierowcę. - Nie spieszy się nam na cmentarz.

Wygramoliwszy się z auta, dostrześliśmy salutującego nam umundurowanego funkcjonariusza policji porządkowej.

- Radiowóz już odjechał - zameldował. - Był potrzebny gdzie indziej.

Ale zdążyli ich przyłapać na gorącym uczynku. Właśnie uciekali. Połowa mebli była już na pace.

- Kto? - spytałem zdumiony.

- Przestępcy, ma się rozumieć - odrzekł posterunkowy. - Kto ich tam wie. Szajka jakaś. Mordercy. Tylko że reszta się wymknęła. Złapali tylko kierowcę i jedną dziewczynę. Są w środku. - Posterunkowy trochę się zmieszał. - Ta dziewczyna płacze jak bóbr.

- O czym wy mówicie? - spytałem, bo w głowie miałem mętlik.

Nawet Palmu choć raz wyglądał na dezorientowanego.

- Mało im było, że zamordowali bezbronного dziadka - zaczął wyjaśniać oburzony policjant. - Wynosili w najlepsze meble z jego mieszkania. Rzeczy, stoły, krzesła, wszystko. Na bezczelnego. O, proszę. - Posterunkowy wskazał na żalospną stertę rzeczy obok ciężarówki.

- Bardziej zatwardziały łotrów w życiu nie widziałem - dodał

policjant niemal z szacunkiem. - Siedzieli sobie spokojnie i pili kawę, jak ich nakryli chłopaki z radiowozu.

- Co powiedzieli? - zapytałem machinalnie.

- Dziewczyna próbowała coś tam mamrotać, ale kazali jej się zamknąć - wyjaśnił posterunkowy. - Bo ma ich przesłuchać osobiście sam pan kierownik.

- Oczywiście - rzekłem, rzucając Palmu przelotne spojrzenie.

- Na wszelki wypadek założyli im obrączki - dodał zadowolony policjant. - Skończyło się mamrotanie. Dziewczyna tylko buczy jak ta syrena, więc zszedłem na podwórze, bo i tak ktoś musi mieć te rzeczy na oku. W końcu pan kierownik zarządził, że niczego nie wolno ruszać.

- Oczywiście - powtórzyłem i znów spojrzałem na Palmu. Z szacunkiem.

Przerwał nam znów głośny trzask radia.

- Lamberg chce rozmawiać - oznajmił dyżurny, ale zaraz się poprawił: - Komisarz Lamberg.

Przez tę zapowiedź przebijał się już podniecony głos komisarza:

- Panie kierowniku, jest portfel! - krzyczał. - Fredrik Nordberg, tak jak wcześniej informowano. Przypadkiem usłyszałem nazwisko, gdy dostaliście meldunek o rozpoznaniu denata. Portfel był w koszu pod innymi śmieciami, znalazł go gospodarz parku, kiedy wysypywał zawartość kosza na wózek.

- To wy sami nie... - Głos zaczął mi *drżeć*. - Chcecie mi powiedzieć,

że wasi ludzie nie zajrzeli nawet do koszy na śmieci?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł urażony Lam-berg. - Przecież sam pan kierownik w kółko powtarza, że mamy ściśle wykonywać rozkazy i nic ponadto. A o koszach mowy nie było. Pan kierownik osobiście wydał rozkaz, żeby przeczesać teren. I teren został przeczesany. Nadzwyczaj skrupulatnie.

Palmu wyjął fajkę z ust, wyglądał na skruszonego. W milczeniu uniosłem ramiona ku niebu.

- W porządku - rzekłem. - Ale o odciskach palców nie zapomnicie, Lamberg?

- Oczywiście, ma się rozumieć, to jasne - zapewnił mnie komisarz. -

Nikt tego kosza nie dotykał, odkąd go wyjęliśmy gospodarzowi z rąk.

Pracuje już tam wstępnie cała ekipa. I oczywiście przeczesujemy dokładnie zawartość kosza.

Kokki nie mógł się dłużej powstrzymać.

- Owińcie go w papier! - krzyknął do mikrofonu przez moje ramię. -

Tu Kokki, owińcie mi w papier wszystkie śmieci!

- Cały kosz, z zawartością - poprawiłem go. - I przejrzycie pozostałe

kosze w parku, jeżeli nie zostały jeszcze opróżnione. Dziękuję, Lamberg.

Obróciłem się do Palmu.

- Tyle wspaniałych rozkazów wydajesz w moim imieniu - rzekłem

złośliwie. - A o koszach na śmieci zapomniałeś. Tylko sięść i płakać nad tobą.

- Sam to w kółko powtarzasz: teren i sytuacja - zaczął się bronić

spokorniały Palmu. - Pewnie dlatego ślina przyniosła mi na język ten teren. Chociaż... nigdy bym nie pomyślał, że Lamberg to zrozumie aż tak dosłownie! - zirytował się.

- Nie traćmy czasu - rzekłem zdecydowanie. - Idziemy. Nareszcie mamy trop.

4.

W obronie dziewczyny trzeba powiedzieć, że wcale nie buczała jak syrena. Siedziała ze zwieszoną głową i zagryzioną wargą, a łzy kapały jej na dłonie. Była bardzo ładna. Złociste włosy. Wcale nie szkaradnie umalowana. Wbrew mojemu wyobrażeniu nie nosiła nawet obcisłych dżinsów jak inne modnisie.

Stare mieszkanie wyglądało jak posępna dziura. Pokój z kuchnią.

Tapety spłowiałe i poplamione, ze śladami po meblach, które zniesiono już na podwórze. Na podłodze pękająca w szwach archaiczna czarna waliza. Zapakowane i powiązane kartony, gotowe do wyniesienia.

Wewnątrz zostały jeszcze dwa krzesła i stół. Na nim czajniczek z kawą i trzy filiżanki, śmietanka, cukier i jedna bułka z masłem na talerzu.

Sądziłem, że dzisiejsza młodzież pije czarną kawę. Bo nie chce jej się rano zejść do sklepu po śmietankę. I zamiast bułki z masłem spodziewałbym się raczej pół litra chleba. „Cóż, człowiek się uczy przez całe życie”, pomyślałem.

Na krzesła naprzeciw dziewczyny siedział komisarz. Gdy wszedłem do środka, z szacunkiem wstał. Pozostali dwaj policjanci stali przepisowo na klatce schodowej przed drzwiami, aby nie gmatwać śladów i trzymać

na dystans babską gawiedź, wychylającą się przez poręcz z dołu i z góry.

W grupie ciekawskich nie było widać ani jednego mężczyzny. Wyszli już pewnie na sobotni ku-felek. Albo woleli po prostu nie pokazywać się policji na oczy.

O ścianę pokoju stał oparty kierowca ciężarówki, tęgi, grubokościsty mężczyzna w zdumiewająco schludnym żółtym kombinezonie i kajdankach na przegubach dłoni. Obrzucił mnie spojrzeniem tak przerażającym, że aż cofnąłem się o krok. Skojarzył mi się od razu ze skrepowaną bestią.

- Słuchaj no pan, szanowny panie, kim pan tam jest... - zaczął.

- Ostatni raz po dobroci mówię! - ryknął komisarz. - Gęba w kubek, jak nie pytają!

Po czym obrócił się do mnie i wyjaśnił przepaszająco:

- Takie to zatwardziałe, że kulturalne słowo się nie przebije. A to ciężki przypadek. Przejrzałem już „Kurier”. Dlatego uznałem, że najlepiej będzie, jak sam tu przyjadę.

- Diabli nadali, że porządny obywatel nie może już w tym mieście uczciwie pracować, bo mu policja co rusz do gardła skacze przy byle okazji - ciągnął kierowca gardłowym basem, głęboko przekonany o swojej racji. - Mam zezwolenie na prywatną inicjatywę, mam zawodowe prawo jazdy, mam przegląd samochodu i całą stertę innych papierków, którymi dupę sobie mogę... - mężczyzna zerknął na dziewczynę i przełknął końcówkę.

- Czyli byliście już wcześniej karani - wykorzystałem sytuację.

Kierowca trochę się zmieszał.

- Jeden mandat za przekroczenie ładowności, jeden za

przekroczenie prędkości i dwa ostrzeżenia za niedozwolony postój. -

Nagle żyły na skroniach znów mu nabrzmiały. - Ale jak pragnę zdrowia,

jakim cudem mam w tym mieście załadować wóz, skoro nie wolno mi się

zatrzymać na ulicy nawet na głupią minutę?! A gdy wielmożni panowie

rozbijają się tymi swoimi cadillacami i zatrzymują, gdzie popadnie, to

stójkowi tylko pilnują, coby im andrusy karoserii nie porysowały! - I

ścisząc roztropnie głos, dopowiedział jeszcze: - Kurwa ich psia mać.

- No, już dobrze - przerwałem mu uspokajającym tonem. Miałem

wrażenie, że nasze wstępne przesłuchanie przybiera niewłaściwy

kierunek. Raz jeszcze spojrzałem przelotnie na dziewczynę. Była

naprawdę śliczna. I te nogi. Przeniosłem spojrzenie na komisarza policji

porządkowej, a było bardzo przenikliwe. Dobrze mi to wychodzi, nie będę

falszywie skromny. Ćwiczyłem ten wzrok. W domu, przed lustrem.

Podczas golenia.

- Zastanówcie się - zacząłem po chwili. - Ruszcie głową. Jest was tu

przecież czterech niewąskich facetów. Natychmiast zdjąć kajdanki

panience.

Komisarz już miał coś powiedzieć, ale uwierzył w moją minę. Z

ociąganiem przekręcił kluczyk i schował kajdanki do kieszeni.

Dziewczyna zaczęła masować sobie nadgarstki i spojrzała na mnie z

wdzięcznością. W kącikach ust pojawiły się dołeczki, mimo łez próbowała

się uśmiechnąć.

- Jemu też - zakomenderował Palmu, wskazując fajką na kierowcę ciężarówki. - To nie jest żaden przestępca. Wystarczy spojrzeć.

- Prawda, wystarczy spojrzeć - potwierdził Kokki. - I posłuchać, jak bluzga.

Kierownik grupy ma częsty problem z połączeniem niezbędnej oficjalności z właściwym i szczerym koleżeństwem w miejscu pracy.

Innymi słowy, Kokki powinien się odzywać możliwie najrzadziej. Nie mogłem jednak łajać swojego człowieka przy porządkowych.

- On jest nieobliczalny - komisarz wciąż się wahał, ale zrobił, co mu kazał Palmu. Kierowca jednak nie wpadł w szal. Przeciwnie, jakby się uspokoił i spojrzął na mnie ufnie.

- Może by tak... - zacząłem niepewnie. - Zdaje się, że nie dopiliście państwo kawy. Proszę więc śmiało wrócić do stołu i na początek spokojnie sobie pogawędzimy. A pan komisarz zechce łaskawie zamknąć drzwi.

Wyraźnie ujęty komisarz policji porządkowej poszedł do sieni i zamknął drzwi do mieszkania.

- Wolałbym, aby zechciał je pan zamknąć z drugiej strony - pouczyłem go. - Proszę dopilnować, by nikt nie tknął przedmiotów zgromadzonych na podwórzu. I jeszcze - rozejrzałem się po pokoju - proszę polecić któremuś ze swoich ludzi, aby i mnie przyniósł krzesło.

- Ale odciski palców... - zaczął komisarz.

- Niech założą rękawiczki - poradził mu Palmu. - Ja też poproszę krzesło. Kokki może postać.

Dziewczyna spojrzała na nas. Szczerze mówiąc, głównie na mnie. Z uwielbieniem. Nie powiem, żeby mi to przeszkadzało. Wskazałem na czajniczek na stole. Z wahaniem nalała najpierw kierowcy, potem sobie. Zapach był zaskakująco przyjemny i nagle poczułem, że sam bardzo chętnie napiłbym się kawy.

Dziewczyna była również inteligentna. W lot odczytała moje spojrzenie. Między nami zadzierzgnęła się jakaś niepojęta nić cichego porozumienia.

- Może zaparzę od razu trochę więcej? - zaproponowała ochoczo. -

Nie spakowałam jeszcze filiżanek. Pomyślałam sobie, że pozmywam na sam koniec i dopiero wtedy wsadzę do koszyka.

Ktoś inny, słysząc te słowa, mógłby uznać to za szczyt kryminalnej zatwardziałości. Ja zaś odwrotnie - jej propozycja zabrzmiała w moich uszach całkowicie niewinnie. Ta dziewczyna nie mogła być ani głupią modnisią, ani panienką gangstera. Byłem tego pewien, odkąd ją zobaczyłem. Choć wiadomo, pozory mylą. Staram się zawsze o tym pamiętać. Palmu mi kazał. Mimo to musiałem się uśmiechnąć od ucha do ucha.

- Dziękuję - odrzekłem. - Bardzo chętnie.

Oczywiście pamiętałem, że musimy rozwikłać zagadkę do północy.

Ale miałem niejasne przeczucie, że jesteśmy już na tropie. W końcu znaleźliśmy nawet portfel denata.

Rozległ się dzwonek i do mieszkania wszedł posterunkowy, niosąc w rękach dwa sfatygowane krzesła. Postawił je na podłodze i wycofał się

rakiem, chcąc pewnie na odchodnym rozeznąć się w sytuacji. Musiał się bardzo zdziwić, widząc dziewczynę lejącą wodę do czajniczka i zapalającą gaz na kuchence. Słowem się jednak nie odezwał.

Przy piecu dziewczyna uroniła jeszcze łzę na zmieloną kawę.

Gdybyśmy byli sami, podszedłbym może do niej i starał się ją pocieszyć, położył rękę na jej ramieniu. Albo na biodrze. Ale było nas pięcioro w ciasnej kawalerce, nie wchodziło to więc w rachubę. Choć bardzo mnie korciło. Kierowca siorbał kawę i patrzył tęsknie na bułkę z masłem. Nie odważył się jednak jej ruszyć, widocznie swoją już zjadł.

- Dla kogo ta trzecia filiżanka? - zagadnął Palmu jakby od niechcienia. Niewinnie, jak to on. Od razu nastawiłem uszu.

- Miał tu przyjść... - zaczęła potulnie dziewczyna, lecz zaraz się zawahała, szukając odpowiednich słów. - Taki mój jeden przyjaciel.

Przyrzekł, że pomoże w przeprowadzce, ale się nie pojawił. Pan Karlsson był tak uprzejmy, że sam pomagał znosić meble. I obiecał zaczekać. Ale kawy i tak bym mu zaparzyła. Bułki kupiłam już zawczasu. Nie mam pojęcia gdzie... - Urwała nagle i zwiesiła głowę. - Jestem taka niespokojna - wyszeptała. - I stryjek Fredrik nie żyje, ktoś go zamordował. Nic z tego nie rozumiem.

I wybuchłaby znowu płaczem, jak to wrażliwa dziewczyna. Na szczęście jednak czajniczek zakipiał, podeszła więc do kuchenki, zmniejszyła płomień i ze słodko ściągniętymi ustami zaczęła odmierzać kawę łyżeczką. Kokki bacznie przyglądał się jej ruchom.

- Śmiało, proszę się nie krępować - odezwał się, kiedy dziewczyna

skończyła odmierzać. - Dwie czubate łyżeczki na jedną filiżankę. To moja taksa.

Dziewczyna aż zaniemówiła z wrażenia.

- Stryjek Fredrik nigdy... - odezwała się wreszcie, ale zaraz się zreflektowała, pokręciła głową i dosypała kawy. - To straszne marnotrawstwo - orzekła. - Ale raz nie zawsze. Ugotuję panom najlepiej, jak umiem. - Zagotowała kawę i zamieszała łyżeczką.

- Nie za długo - poinstruował Kokki. - Nie może się za długo gotować. A potem szybko z płomienia i pod kapciuch. Musi się dobrą chwilę odstać. Inaczej będą same fusy.

Dziewczyna zrobiła, jak jej kazał Kokki. Palmu bawił się swoją fajką.

- Skąd pani wie, że pani stryja ktoś zamordował? - zapytał jakby mimochodem.

- Policjanci mi powiedzieli - wyjaśniła dziewczyna.

- No - potwierdził kierowca, który ciągle wpatrywał się w bułkę rozmarzonym wzrokiem. - Ledwo wpadli do środka, a już się darli, że morda w kubel i że pan Nordberg zamordowany. No i z mety nas skuli, jakbyśmy to my go zabili. Chyba się z kimś na łby pozamieniali.

- *Mea culpa, mea maxima culpa* - wyznał Palmu, a Cycleron zapewne przewrócił się w grobie, słysząc jego wymowę. - Nie wspomniałem im, że mają trzymać gęby na kłódkę do przybycia kierownika na przesłuchanie. Spodziewając się, że meldunek o rozpoznaniu ofiary wpłynie lada chwila, zapowiedziałem im już

wcześniej, że gdy tylko będą znali adres, mają bezzwłocznie sprawdzić mieszkanie i dopilnować... Tak na wszelki wypadek.

Palmu ponownie zwrócił się do dziewczyny.

- A zatem Fredrik Nordberg był pani stryjem? - spytał.

- Tak, bratem ojca - odpowiedziała. - Ale ojciec był młodszy.

- Jest pani niezamężna, a zatem nazywa się Nordberg? -

wydedukował inteligentnie Palmu.

- Nie - zaprzeczyła dziewczyna. - Nazywam się Pohjanvuori**

Pohjanvuori to fiński odpowiednik szwedzkiego nazwiska Nordberg.],

Saara Maria. Ojciec nie chciał nosić szwedzkiego nazwiska. Ani nazywać się tak samo jak jego brat. To przez te pogańskie zainteresowania stryjka, jak się o nich wyraża mój ojciec.

- Pogańskie zainteresowania! - wykrzyknąłem zdumiony.

Palmu machnął nieznacznie ręką, aby mnie uciszyć.

- No a pan? - obrócił się do kierowcy ciężarówki. - Pan również znał, hm, pana Nordberga?

- W życiu człowieka nie widziałem na oczy! - zaprotestował

gwałtownie. - Ta panienska tutaj wynajęła mnie do przeprowadzki. No bo czasem zachodzę do tej kawiarni i stamtąd się znamy. Wie, że nie biorę dużo.

Dziewczyna zerknęła na zegarek i zmieszła się.

- Mam jeszcze chwilkę - rzekła - ale za nic nie chciałabym spóźnić się do pracy. Zaczynam zmianę o szesnastej.

- Spokojnie, zawiozę panienkę, będzie w cenie - uspokoił ją

kierowca. - Musimy tylko najpierw wrzucić wszystko na pakę. Ten kolega panienci mógł rzeczywiście przyjść nam pomóc. Sporo już czasu zeszło na tym czekaniu na niego.

Widząc nieszczęśliwą minę dziewczyny, dodał pospiesznie:

- Nie policzę za to panience, spokojna głowa. - Kierowca zerknął na nas z nadzieją. - Ale cieszyłbym się bardziej, gdybyśmy się wreszcie wzięli do roboty. Czas ucieka.

Palmu nie zwrócił na niego uwagi.

- Panno Pohjanvuori - odezwał się uprzejmie. - Wchodząc tu, spostrzegłem, że zdążyła już pani zdjąć z drzwi tabliczkę z nazwiskiem. Poniżej miejsca, gdzie była, dostrzegłem dziurkę po gwoździu i plamę ciemniejszej farby na drzwiach. Czy stryj odnajmował komuś mieszkanie albo parał się czymś szczególnym?

Dziewczyna pokraśniała i nie patrząc nam w oczy, wyznała z ociąganiem:

- Stryjek w zasadzie nie miał zawodu jako takiego... Zajmował się najróżniejszymi rzeczami. Był... bardzo pracowitym człowiekiem.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej staromodną tabliczkę z napisem „FREDRIK NORDBERG” oraz pożółkły już ze starości kartonik, na którym pięknym, choć trochę rozchwianym pismem wykaliografowano: „Horoskopy. Filate-lia. Buchalteria”.

Cała nasza trójka żywo się nad nim pochylili.

- Horoskopy - przeczytałem pod nosem i w głowie zaczęła mi kielkować pewna myśl. Nie potrafiłem jej jednak z niczym powiązać, mój

mózg nie pracował.

Palmu aż gwizdnął.

- I ślepej kurze trafi się czasem ziarno - wyrzekł sentencjonalnie i

klepnął mnie mocno po plecach. - Chłopcze, chłopcze, jestem z ciebie dumny!

Sądziłem oczywiście, że znów ze mnie drwi, bo odczytałem te

„horoskopy” z bezgranicznym zdumieniem w głosie.

- Pani stryj był również filatelistą? - zagadnąłem pospiesznie.

- Tak, był - przyznała dziewczyna. - Kolekcjonował białe kruki. Nie zależało mu na wielkiej kolekcji. Swoją stworzył, sprzedając i zamieniając gorsze znaczki. Jego klasery są tam. Stryjek już wieczorem wszystko zapakował.

- A zatem mieliście się dzisiaj wyprowadzić? - zaciekawił się Palmu.

- Nie my - sprostowała dziewczyna, ale znów osobliwie się zawahała. - To stryjek miał się wyprowadzić, dzisiaj o trzynastej. Ale fakt, umówiliśmy się, że później z nim zamieszkam. Chociaż nie wszystko było jeszcze jasne. Przyszłam tylko pomóc mu w przeprowadzce i Ville obiecał przyjść, ale... - Znów zebrało się jej na płacz. - Stryjek był bardzo oszczędny - zmieniła szybko temat. - Potrzeby miał niewielkie. Prowadził buchalterie dwóch małych sklepików. Bo właściciele sami nie za bardzo wiedzieli, jak to się robi. Na początku roku pomagał ludziom przygotować dokumenty podatkowe. Stryjek radził sobie bardzo dobrze, choć kokosów nie zarabiał. Ale więcej nie potrzebował. Chciał być tylko niezależny.

- To pani cerowała mu skarpety? - zapytał uprzejmie Palmu.

- Ja - dziewczyna się zawahała. - Dom stryjka zawsze był dla mnie jak... jak schronienie. Strzyjek był bardzo dobry dla mnie. Próbowałam więc robić dla niego, co tylko mogłam. Prałam mu rzeczy i... czasem gotowałam, aby nie musiał ciągle stołować się w barach.

Komisarz Palmu skłonił się głęboko.

- Panno Pohjanvuori - rzekł ze szczerym szacunkiem. - Jest pani ideałem.

- To prawda - zapewniłem i ja, spoglądając jej w oczy. Wiadomo, trochę inaczej niż Palmu. Dziewczyna sama to spostrzegła i ślicznie spiekła raka.

Kokki zaczął tracić cierpliwość.

- To może spróbujemy już tej kawy? - zaproponował. - Dość już się odstała pod przykryciem. A tak w ogóle to ja nie wiem, że panu kierownikowi jeszcze flirty w głowie, kiedy w życiu nie mieliśmy tak poważnej sprawy. Jak na razie mamy dokumentnie przechłapane, nie zapominaj o tym. Kto wie, czy w ogóle coś wyjdzie z tej Kopenhagi.

Ku mojemu zdumieniu dziewczyna przycisnęła dłoń do piersi, a jej śliczna twarz bardzo pobladła i nos zrobił się siny po bokach.

- Przepraszam, pani źle się poczuła? - zapytałem i skoczyłem na równe nogi.

- Nie, nie - odrzekła i zaczęła nalewać kawę. Kierowca ciężarówki grzecznie odmówił, odwracając filiżankę do góry dnem.

- Tylko że... - odezwała się panna Pohjanvuori z osobliwą miną - ja nie mam już nic do kawy. Ta bułka... miała być dla Vi-Villego. Skoczę na

dół do sklepu, za dwie minutki będę z powrotem. - Chwyciła torebkę i ruszyła do drzwi.

- Nie, nie, proszę mi pozwolić - powiedziałem pospiesznie i zacząłem wyciągać portfel z kieszeni. Palmu odtrącił mnie ze złością.

- A dokąd to się wybiera nasz ideał? - zapytał. - Nie musi pani akurat teraz telefonować do Villego. Proszę się nie bać, znajdzie się jeszcze, w swoim czasie. My tymczasem mamy jeszcze sporo spraw do omówienia. Ty pójdziesz, Kokki. Weź pączki.

- Dla mnie bułka Armii Zbawienia, jeśli będzie - dodałem machinalnie.

Kokki wymownie wyciągnął dłoń. Wręczyłem mu pięćsetkę. Nie miałem akurat nic drobniejszego.

- Mogę za wszystko? - spytał mile zaskoczony Kokki.

- Kutwa! - rzucił oskarżycielsko Palmu. - Facet, którego stać na zadawanie się ze stewardesami i trwonienie dwóch łyżeczek kawy na filiżankę, mógłby nam kiedyś choć raz coś postawić. W każdym razie ja, stary i niezamożny urzędnik państwowy, nie mogę sobie pozwolić na takie fanaberie. Coś tak mi się zdaje, szefie, że nasz detektyw prowadzi podwójne życie. Trzeba chyba będzie wziąć go pod lupę.

Kokki wyszedł. Ale dziewczyna się nie uśmiechała. Wciąż była blada i wyglądała na wystraszoną. Kierowca stracił nerwy.

- Drodzy panowie! - zaczął. - Nie wiem jak wy, ale ja jestem w pracy. Wóz na darmo stoi w podwórzu, trzeba by wreszcie zrobić tę przeprowadzkę.

- Miałem właśnie pana spytać - rzekł Palmu. - Miał pan wczoraj

wieczorem na nogach te same, hm, buty?

Spojrzałem w dół. W życiu nie widziałem tak poobijanych i

nieforemnych buciorów. Widząc mój wzrok, kierowca zirytował się jeszcze bardziej.

- To moje obuwie robocze! - wyrzekł drżącym głosem. - Nie mam czasu rozmyślać, gdzie mi przyjdzie jechać. Różne mi się trafiają kursy, nie wszędzie jest czysto. Wieczorem spałem.

- Wierzę panu na słowo - powiedział Palmu bez ogródek. - Jest pan wolny. Proszę tylko wpisać do mojego notesu swoje personalia i adres oraz telefon, jeśli pan ma.

- Mam, pewnie - potaknął kierowca i zaczął pisać, ale zaraz się zmieszał. - No, a co z tą przeprowadzką?

- Tymczasem nici - orzekł krótko komisarz. - Przykro mi, panienko, ale, hm, ze względu na zaistniałą sytuację najlepiej będzie wnieść wszystko z powrotem do mieszkania i ustawić tam, gdzie do tej pory stało. Czyli tak, jak pani tu wszystko zastała, kiedy przyszła. Meble były poprzestawiane?

- Nie wiem - dziewczyna się zamyśliła i znów osobliwie zawahała. -

Wieczorem pomagałam stryjkowi się pakować, ale pościel oczywiście została i... i przyszłam dzisiaj już około dwunastej, bo stryjek Fredrik jest... był trochę niepraktyczny. Ale widziałam, że w nocy nie spał w łóżku i wszystko było dokładnie tak samo, jak wczoraj wieczorem około ósmej, kiedy od niego wychodziłam. Ale... ale nie powiem panu na pewno -

dziewczyna znów się zawahała.

- Miała pani wrażenie, że ktoś tu był - pomógł jej Palmu.

- Nie... nie potrafię powiedzieć - odrzekła dziewczyna. - Ale

oczywiście bardzo się przestraszyłam, że stryjek nie spał w domu.

Chociaż... zdarzało mu się czasem, że nie wracał na noc do siebie.

- Pogańskie zainteresowania. - Nie mogłem się powstrzymać przed

znaczącą aluzją. Palmu syknął.

Dziewczyna się rozgniewała:

- Stryjek Fredrik był najlepszym i najukochańszym człowiekiem na

świecie! Ale to nie z powodu jego zainteresowań. Stryjek źle spał i

przyszło mi do głowy, że pewnie denerwował się tą przewodzką i

dlatego całą noc spacerował. Ale gdy zrobiła się pierwsza po południu, a

jego ciągle nie było, zaniepokoiłam się na serio. Samochód był już

zamówiony i... pewnie pojechałabym ze wszystkim na Różaną sama.

- To na Haadze - stwierdził zwięźle Palmu, abym się nie odzywał.

- Stryjek bywał czasem bardzo roztargniony i nieobecny myślami,

uznałam więc, że pojechał przodem do nowego mieszkania i tam czeka, aż

się zjawię z meblami. Ale...

Zmieszany kierowca ciężarówki miał czapkę w rękach, wreszcie

przerwał nam chrząknięciem.

- Ach, przecież! - przypomniała sobie dziewczyna i otworzyła swoją

skromną torebkę. - Ma się rozumieć, że zapłacę za stryjka, choćby nie...

- Tego, pomogę wnieść to wszystko z powrotem, żeby chociaż coś

zrobić, skoro już będzie płacone - obiecał zakłopotany kierowca. - To

będzie, tego... czy siedemset marek to nie będzie dla panienki za dużo?

- Nie, skądże - zapewniła go dziewczyna i wręczyła mu odliczone

pieniądze. Kierowca podziękował i ciepło uściskał jej dłoń. Nam jednak

ręki nie podał. - To co, zacznę powoli wnosić te graty z powrotem? -

zapytał komisarza.

- Nie, nie, jeszcze nie - powiedział Palmu, aby się go wreszcie

pozbyć. - Policjanci wniosą, wszystko w swoim czasie. Dobrze im to robi,

zapamiętają sobie, że niepotrzebnie pana skuli. Ale proszę nie żywić do

nich urazy. Wszak wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i popełniamy błędy.

Kierowca wyszedł, łomocząc buciorami. Zostaliśmy we trójkę.

Najwyraźniej do tego właśnie Palmu zmierzał. Dlatego odprawił i

Kokkiego. Skłonił się teraz dziewczynie ze zdradziecką uprzejmością i

powiedział:

- Droga panno Pohjanvuori. Zostaliśmy teraz już tylko we trójkę. W

ściskłym gronie. Proszę nam powiedzieć, co panią nurtuje. Jest pani

uczciwą dziewczyną. Proszę mi wierzyć, zawsze najlepiej powiedzieć

wszystko od razu. Bo i tak prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Czy

to ten Ville tak nie daje panience spokoju?

Powiedział to ojcowskim tonem i nawet ja się wzruszyłem.

Dziewczyna zwiesiła głowę i na jej dłonie znowu kapnęły łzy. Nie mogłem

się już dłużej powstrzymać. Wstałem, wyciągnąłem z kieszeni

chusteczkę do nosa, która na szczęście była jeszcze czysta, i wytarłem jej

oczy. Na chusteczce nie rozmazał się tusz do rzęs i ani odrobina pudru.

Mówię poważnie. Ta dziewczyna była czysta i świeża jak... jak jagoda

róży.

Panna Pohjanvuori od razu dała się złapać. Jakżeby inaczej.

- Tak się denerwuję przez tego Vi-Villego - zaczęła wyjaśniać. -

Obiecał mi, że na pewniaka przyjdzie najdalej o pierwszej. A po tym... po wczorajszym wieczorze nie dał mi znaku życia. Próbowałam telefonować do kawiarni, kiedy szłam do sklepu po bułki, może zostawił tam dla mnie jakąś wiadomość. Do południa nie ma tam tego paskudnego szatniarza. A ojciec się nie zgadza, żeby Ville telefonował do nas, od razu rzuca słuchawkę na widełki.

Rze-rzeczywiście chciałam znowu telefonować do kawiarni. Ville na pewno zostawiłby dla mnie jakąś wiadomość, gdyby... gdyby...

- Co się zatem wydarzyło wczoraj wieczorem? - zapytał komisarz i poklepał po ojcowsku dłoń dziewczyny.

- Nie-nie ma co ukrywać - chlipnęła dziewczyna. - Już to wszystko w komisariacie spisali. No bo Ville wpadł w złe towarzystwo i prowadzi się z takim jednym obrzydliwcem, co się zgrywa na wielkiego kozaka, no i z taką jedną dziewczyną, też nie lepszą, i za nic nie mogę zrozumieć, co ten Ville w nich widzi, ale ciągle się wkoło nich kręci. I... i... jestem pewna, że byłby le-lepszym chłopcem, gdyby rzeczywiście miał swój motor, tak jak tamci pozostali.

- Może dajmy na razie spokój motocyklowym troskom Villego -

zapropozował ostrożnie Palmu. - Co się wydarzyło wczoraj wieczorem?

- Przecież tak czy owak wyczytamy wszystko w raporcie - wtrąciłem swoje trzy grosze. - Wszelkie niecodzienne...

Palmu uciszył mnie ruchem ręki. Dziewczyna uniosła na nas wzrok.

Oczy miała niebieskie i uczciwe. Ajaj, i miała całkiem złote włosy.

- Wczoraj po ósmej prosto stąd poszłam do kawiarni - zaczęła opowiadać. - Co prawda, nie była to moja zmiana, ale obiecałam być od ósmej do jedenastej, czyli już do końca, bo taki jeden... pan zaprosił moją przyjaciółkę do kina, a potem na tańce i... i musiała jeszcze zdążyć wrócić do domu, żeby się przebrać. Ville miał na mnie czekać dopiero o jedenastej na tym samym rogu co zawsze, ale wepchnęli się do środka całą trójką, chociaż ten szatniarz po prostu ich nienawidzi, Villego też, chociaż Ville nigdy nic złego mu nie zrobił. Bo wiadomo, że... te kozaki w skórzanych kurtkach i szapoklakach to w kawiarni niemile widziane towarzystwo, smrodzą bez przerwy papierosami, nacinają stoliki i siedzenia, tłuką popielniczki i... i... Ale Ville nigdy taki nie był, choć po tym Arim to wszystkiego można się spodziewać. - Westchnęła głęboko i spojrzała na nas. - Przepraszam, jeśli mówię nieskładnie, ale... No więc zaczęli się droczyć z tym paskudnym szatniarzem. Ari wyciągnął z kieszeni butelkę i rozlał do szklanek. Bo kazali sobie podać jaffę i trzy szklanki. Ja od razu wiedziałam, że będzie jakaś głupia zgrywa. Ville nie pije alkoholu. I ten wielki kozak też nie pije, chociaż kto go tam wie. Ale szatniarz zaraz na nich ruszył jak rozjuszony byk, capnął ich za kołnierze, zawlókł do drzwi i wyrzucił na ulicę, nie chciał ich nawet słuchać. Villemu rozdarł kurtkę, a tej dziewczynie pękły spodnie. Poza tym na pewno się potłukli, jak ich tak zrzucił ze schodów na buzie. Ten szatniarz to nie jest dobry człowiek. Ari wygrażał mu pięścią i krzyczał, że jeszcze się

zobaczymy, Ville na pewno też był bardzo zły. I nie bez powodu, bo przecież nic takiego nie robił, patrzył tylko na mnie i podśmiewał się pod nosem. Ale prawda jest taka, że gdy tylko do środka wejdą te szapoklaki, wszyscy normalni klienci od razu wychodzą. Dlatego szefowa zatrudniła tego faceta na szatniarza. To jakiś były bokser. I musiał dostać kiedyś nieźle po łbie, bo piątej klepki to mu jak nic brakuje.

- Do rzeczy - odezwał się Palmu.

Zakłopotana dziewczyna zaczęła wykręcać dłonie.

- No i po jakimś czasie usłyszałam huk motorów i hałasy przed kawiarnią. Było tam co najmniej dziesięciu skórzanych i nie mam bladego pojęcia, skąd się ich tyłu wzięło w tak krótkim czasie. Szefowa się wystraszyła, ale szatniarz tylko zatarł ręce, wyskoczył na ulicę i od razu wymalował w zęby pierwszemu z brzegu. Zrobiła się z tego wielka granda i... i wtedy ktoś popchnął Villego, a może po prostu w tym zamieszaniu przycisnęli go do naszej dużej witryny, no i szyba roztrzaskała się w drobny mak. Dobrze, że nic mu się nie stało. Szefowa zaraz wezwała policję. Szatniarz twierdził, że chłopcy byli pijani. Ale Ville przysięgał, że w szklankach była czysta woda, że to był taki kawał. Ari i ta dziewczyna zdążyli nawiać, ale po resztę przyjechał radiowóz i zawieźli ich na komisariat. Czy Villemu przyjdzie zapłacić za to okno? Za taką dużą witrynę dziesięć tysięcy będzie mało.

- Zależy od świadków i od tego, czy będzie sprawa w sądzie, czy skończy się na ugodzie - wyjaśniłem. - Najlepsza byłaby ugoda. Mogliby się wszyscy złożyć na tę szybę. Trzeba by też poznać wersję szatniarza.

- Ale on ma nierówno pod sufitem! - zaperzyła się dziewczyna. - Nie pójdę więcej do pracy, dopóki ten frant będzie szatniarzem w tej kawiarni. Najwyżej jeszcze dwa tygodnie, jak szefowa zażąda, ale ani dnia dłużej. Raz próbował przycisnąć mnie do ściany w kuchni i... i... ten człowiek nie zna wstydu. Za to też Ville jest na niego zły. Boję się, że kiedyś go jeszcze pchną nożem, bo tamtemu chłopakowi na pewno złamał szczękę.

- Oho! - zdumiałem się. - Przekroczenie granic obrony koniecznej.

Chociaż... jeśli tylko gołymi rękami...

Ale też jego uprawnienia nie sięgały już ulicy. Chłopcy mieli coś w rękach?

- Chyba go trochę pałką stuknęli - przyznała niechętnie dziewczyna.

- Ale za dobrze wszystkiego nie widziałam.

- Pałką? - powtórzyłem i poczułem, jak gdyby na dno brzucha

spłynął mi kawałek lodu. Przypomniałem sobie profesora i zwłoki

bezbronnego staruszka na gładkim stole prosektorium. Smaczna kawa w

moich ustach nagle zgorzkniała. Chyba musiałem spojrzeć na pannę

Pohjanvuori nieco inaczej niż wcześniej.

- Co... co się stało? - spytała dziewczyna przestraszonym głosem i

zasłoniła usta dłonią. Palmu ścisnął mnie za nadgarstek, ale było już za

późno. Dziewczyna stała się czujna.

- To nie była wina Villego - powiedziała. Na jej twarzy rysowało się

napięcie. - Zatrudnię choćby adwokata. Albo sama zapłacę szefowej za tę

szybę.

- A kto tą pałką wywijał przed kawiarnią? - zagadnął Palmu od niechcienia. Ale dziewczyna dostała już ostrzeżenie i potarła mocno dłonie o siebie.

- Nie wiem - odrzekła zdecydowanie. - Nie widziałam. W sumie to nic nie widziałam.

- Poza tym, że Ville nie zrobił nic złego - dopowiedział Palmu.

Spojrzał dziwnie na dziewczynę. Nie wytrzymała jego spojrzenia. Po dłuższej chwili Palmu odezwał się ze zdradziecką serdecznością:

- Panno Saaro, nie lepiej powiedzieć od razu wszystko? Zaraz byłoby łatwiej. Jest pani porządną dziewczyną.

Proszę nam wszystko powiedzieć. Mam przecież oczy i widzę.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi, przyciskając obie dłonie do piersi. Oczy zaokrągliły się jej ze zdumienia.

- To już naprawdę widać? - zapytała głosem drżącym z przerażenia.

Palmu aż zatkało. Sądzę, że badał tylko grunt, domyślając się, że dziewczyna coś ukrywa.

- Tego... - zaczął, spoglądając na mnie. - Proszę się nie wstydzić tego

kre... to jest pana kierownika. Sporo już w życiu widział, choć na pierwszy rzut oka nikt by nie powiedział. Wiemy już wszystko.

Biedna dziewczyna znów dała się złapać, spuściła głowę na piersi i wyszeptała:

- Ma pan rację, panie... panie...

- Jestem komisarz Palmu - dopomógł usłużnie Palmu.

- Właśnie, panie komisarzu - ciągnęła dziewczyna - dobrze się pan

domyślił. Dla-dlatego zachciało mi się płakać, kiedy mi pan powiedział, że

jestem porządną dziewczyną. Bo-bo ja jestem właśnie złą dziewczyną. -

Uniosła na niego wzrok, usiłując nad sobą zapanować. - Ale to też nie

przez Villego. Powinnam była wiedzieć od początku.

- Przepraszam, drogie dziecko - powiedział Palmu i zakłopotany

zaczął nabijać fajkę, nie patrząc na pannę Pohjanvuori. - Nie zamierzam

pierwszy rzucić kamieniem, bynajmniej, ale moim zdaniem to jednak

trochę jest też wina Villego. Dwojga do tego potrzeba. Tak mi zawsze

mówiono.

- Do-do czego? - pisał niemal ze zdumienia. Moim zdaniem

Palmu za mało dbał o to, abym był na bieżąco. Czyżby dziewczyna też

miała jakiś udział w tej bijatyce na ulicy i wybiciu okna?

- Panna Pohjanvuori jest w ciąży - Palmu brutalnie sprowadził mnie

na ziemię. - Jeszcze tego nie spostrzegłeś, bałwanie jeden? Od jak dawna,

biedne dziecko? Przecież to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Nie ma

się czego wstydzić.

- Trze-eci miesiąc - wyznała dziewczyna, nie patrząc na nas.

- Te lipcowe noce, lipcowe noce w Helsinkach... - rozmarzył się

Palmu. - Nie, drogie dziecko, nie mogę pani winić. Ani Villego.

- Ale powinnam być mądrzejsza - chlipnęła dziewczyna, wciąż ze

zwieszoną głową. Po dłuższej chwili uniosła wzrok i oświadczyła z

niezachwianą pewnością w głosie: - Ojciec mnie zabije.

- E tam - rzekł uspokajająco Palmu. - Gdyby ojcowie zabijali swoje

córki z powodu małego wypadku przy pracy, nasza ludzkość wymarłaby

raz-dwa. Proszę wierzyć staremu policjantowi, dziecko złote, nawet w najlepszych rodzinach...

- Pan nie zna mojego ojca - przerwała mu panna Pohjanvuori.

Na szczęście w tym momencie do drzwi zadzwonił Kokki.

Poszedłem mu otworzyć. Pomachał sporą torbę.

- Pobiegnę do Prymulki na Kapitańskiej - rzekł zdyszany. - Są pączki, są ptysie, są dwie bułeczki dla szefa. Proszę bardzo.

Odruchowo zabrałem mu torbę i zacząłem wykladać zakupy na talerz. Samotna bułka z masłem wyglądała pomiędzy nimi jak sierotka Marysia. Tknęło mnie bardzo złe przeczucie. Kokki źle zinterpretował moją minę.

- Reszta jest, trzy marki, panie kierowniku - wyznał i wysupłał monety z kieszeni. - Jestem ścisły w tych sprawach, nie tak jak Lamberg - dodał obłudnie. - Ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka.

Panna Pohjanvuori wyjęła torbę z moich niezgrabnych rąk i skończyła wykladać ciastka na talerz.

Z wdzięczności zjadłem obie bułeczki. Palmu wszystkie pączki. A Kokki resztę. Dziewczyna tylko kręciła głową, gdy na wyścigi ją częstowaliśmy. Doskonale rozumiałem, że i bez tego ma niezłą kluchę w gardle. Zrozumiał to nawet Kokki, który zjadł w końcu i tę ostatnią bułkę z masłem, by niepotrzebnie nie schła.

- Aha, szefie - powiedział, gdy dziewczyna rozlewała nam do filiżanek ostatnie krople kawy. - Radio się rozszalało i tak wielkim głosem wzywa kierownika grupy, że ten stójkowy z podwórza już cały jest

spietrany. Powiedziałem, że pan kierownik ma teraz pilniejsze zajęcia. To tylko o tym nalocie na Kaivot... au! - jęknął, bo Palmu kopnął go boleśnie w łydkę.

- Czemu, do cholery, od razu nie mówiłeś?! - ryknąłem i już miałem rzucić się do drzwi, ale Palmu mnie zatrzymał.

- Wszystko w swoim czasie. Lubię wyjaśniać sprawy po kolei - rzekł, po czym zwrócił się spokojnie do panny Pohjanvuori: - No więc dobrze, dziecko złote. Chyba już panience lepiej, kiedyśmy tak sobie powiedzieli o tych najprzykrzejszych rzeczach. Wszystko się ułoży, dziecko drogie, tak już ten świat urządzono.

Wszystko się zawsze jakoś układa, tak albo inaczej. Nie wolno nigdy popadać w rozpacz. A zatem wydało się panience, że zanim tu weszła, ktoś obcy kręcił się po mieszkaniu?

- To było raczej coś jakby przecucie - zaczęła sobie przypominać dziewczyna. - Jak gdyby ktoś poprzesuwał meble. Ale w końcu stryjek sam mógł to zrobić. Wczoraj wieczorem bardzo mi się spieszyło i... nie, nie potrafię na to odpowiedzieć.

- Czy stryj panienki miał jakichś wrogów? - spytał Palmu.

- Stryjek Fredrik był najlepszym i najukochańszym człowiekiem na świecie! - powtórzyła dziewczyna z głębokim przekonaniem. - Nie wierzę, by ktokolwiek...

Dzwonek u drzwi znów się rozdzwonił. Gwałtownie i namiętnie.

Teraz jednak Palmu nas powstrzymał i sam poszedł otworzyć. Po chwili wciągnął za klapy do mieszkania starszego, zażywnego mężczyznę w

czarnym palcie z mocno już wytartym welwetowym kołnierzem i

spokojnie zamknął za nim drzwi.

- Co jest? - spytał wielmoża, bo, sądząc z wyglądu, chciałby, aby

właśnie tak o nim mówiono. - Co to ma w ogóle znaczyć? Dlaczego pod

drzwiami stoją policjanci? Tej szui nie ma w domu? Nordberga, chciałem

powiedzieć. Kim panowie są?

- Może zaczniemy od pana - zaproponował łagodnie Palmu. - Kim

pan jest i jaka sprawa go sprowadza do mieszkania pana Nordberga?

- Nazywam się Maunu Kettunen, może to nazwisko coś panom

mówi - przedstawił się nieznajomy.

Nic nam nie mówiło. Zbiło to wielmożę z pantałyku, ale tylko

trochę.

- Filatelista - odpowiedział z godnością. - Sądziłem, że panowie też

są kolekcjonerami. Ale uważajcie na tego Nordberga. Wczoraj wieczorem

orzwał mnie tak haniebnie, że... Zamieniliśmy się, on wziął ode mnie

Zeppelina z błędem, o którym marzył od lat, a ja wziąłem od niego... - W

filateliście obudził się kupiecki instynkt. - No, nieważne zresztą, nie

wasza to sprawa, co od niego wziąłem, ale wśród tych znaczków... no,

było co było, ale jeden z nich, najcenniejszy z całej kolekcji, pośrodku

miał przetarcie. Nie żeby zaraz całkiem przedarty, ale przezroczysty, więc

nie był już bezbłędny. Żaden prawdziwy zbieracz nie wsadziłby takiego

znaczka do swojego klasera, choćby mu dopłacali!

- Stryjek na pewno nie zrobił tego celowo! - wstawiła się za nim

dziewczyna, ale Palmu ją uciszył.

- O której godzinie doszło do tej, hm, wymiany? - spytał.

- Chwilę po dziewiątej wieczór - odrzekł Kettu-nen. - To znaczy tuż przed tym, jak dozorca zatrzasnął bramę na dole. Do tamtej chwili jeszcze się wahałem. Pan Nordberg złożył mi propozycję wcześniej tego samego dnia, wstąpił do mojego sklepu i wspomniał, że się dziś przeprowadza, podał mi nowy adres. No i ot tak, bez żadnych podtekstów, pozwoliłem mu raz jeszcze zerknąć na mojego stuprocentowo bezbłędnego Zeppelina z błędem. Jego wartość rośnie z roku na rok. A wtedy Nordberg mi mówi, że zamierza zmniejszyć swoją kolekcję i skupiać się już wyłącznie na unikatach. Od razu mi wyliczył, które znaczki byłby gotów dać mi w zamian za tego Zeppelina, i mówiąc uczciwie, proszę szanownych panów, aż mi ślinka do ust pociekła. Było nie było, dobrze znam kolekcję Nordberga. Całkiem do rzeczy. Ale nigdy bym nie zgadł, że wciśnie mi z rozmysłem zniszczony egzemplarz. Nie, tego nigdy bym się po nim nie spodziewał.

- O której pan stąd wyszedł? - zapytał Palmu.

- Byłem tu może kwadrans - odrzekł pewnym głosem filatelista. -

Uwijał się przy pakowaniu i nie miał mi już nic nowego do pokazania. A nawet jeśli miał, to w każdym razie nie dla mnie. Zszedł ze mną na dół, żeby mi otworzyć drzwi od bramy. Z tym zamkiem przy wejściu jest coś nie tak.

- Trzeba go otwierać kluczem nawet od środka - potwierdziła panna

Pohjanvuori. - W tej kamienicy mieszkają najróżniejsi ludzie. Dlatego stryjek chciał się stąd wyprowadzić przy najbliższej okazji. Chociaż... nie

odżegnywał się od swoich sąsiadów. Przeciwnie. Wszyscy go lubili. Nikt

by mu tutaj krzywdy nie zrobił. - Dziewczyna uniosła dłoń do ust, gdy

sobie przypomniwała. - Nie mogę tego zrozumieć - wyszeptała.

Palmu najwyraźniej uznał, że trzeba zrobić zamieszanie, bo inaczej

dziewczyna powie za wiele. Wlepił wzrok w buty przedsiębiorczego

filatelisty. Odruchowo zrobiłem to samo. Ma się rozumieć, że i Kokki

poszedł w nasze ślady. Tylko dziewczyna nie rozumiała, na co się tak

gapimy.

- Ma pan zdumiewająco małe stopy, panie Kettunen - odezwał się

wreszcie Palmu.

- Dłonie też - filatelista zgodził się skwapliwie i zamyślony zatarł

swoje małe ręce. W istocie były niespotykane białe, a w jego butach z

najlepszej skóry można się było przejrzeć jak w lustrze. Nie było

wątpliwości, że obuwiu pan Kettunen poświęca bardzo wiele troski.

Każdy ma swój słaby punkt. Tako rzecze Palmu.

- Czy wczoraj wieczorem miał pan na nogach te same buty? -

zapytał komisarz.

- Tak - przyznał Kettunen.

- A czy nie pokłócił się pan wtedy z panem Nordber-giem? -

indagował Palmu.

- Nie, skądże - zapewnił go filatelista. - Jakże to? Rozstaliśmy się w

jak najlepszej komitywie. Obaj byliśmy zadowoleni z dokonanej wymiany.

- Kettunen znów spo-chmurniał. - Oczywiście wtedy nawet nie

przeczuwałem, że tak podstępnie wykorzysta moją łatwowierność.

- No, a czy rzeczony znaczek był aż tak bezcenny, że po stwierdzeniu oszustwa mógł pan, hm, zabić pana Nordberga? - indagował Palmu.

- Stryjek na pewno nie... - zaczęła Saara Maria Poh-janvuori, zaraz jednak umilkła, widząc przerażoną minę filatelisty Kettunena.

- Zabić? - mężczyzna cofnął się pod ścianę jak zwierzę zapędzone w kozi róg. - N-nie, n-nie słyszałem nawet, że-żeby jakiś filatelista za-zabił innego filatelistę z powodu znaczka. Nie, nie. - Uspokoił się i starł pot z czoła; odzyskał panowanie nad sobą. - Bibliofile to inna sprawa. Po nich to się można wszystkiego spodziewać. - W jego głowie zaczęła kiełkować niespokojna myśl. - Policjanci pod drzwiami... - Próbował nieporadnie ubrać ją w słowa. - A wy... Kim właściwie panowie są, skoro nie filatelistami?

- Ja nazywam się Palmu i jestem komisarzem - przedstawił się Palmu. - To kierownik naszej grupy. A to detektyw Kokki. Jesteśmy z komisji zabójstw.

- A ściślej mówiąc, z grupy dochodzeniowej wydziału przestępstw przeciwko życiu i cielesnej nie... - zacząłem, ale ugryzłem się w język.

- Z komisji zabójstw - handlarz i filatelista w jednej osobie zbladł jak kreda i chwycił się za serce. - Chce mi pan powiedzieć, że... że pan Nordberg został... zamordowany z powodu tego Zeppelina z błędem? Posłuchajcie, panowie, to niemożliwe. My filateliści nie jesteśmy tacy.

- Proszę się nie martwić, nie aresztujemy pana - uspokoił go Palmu.

- Wpisze nam pan tylko do tego notesu swoje personalia. Adres i telefon również. A potem jest pan wolny.

Filatelista Kettunen wpisał się pospiesznie do notesu, po czym

zniknął z naszego życia. Palmu wrócił do rzeczy.

- A zatem pani stryj nie miał żadnych wrogów? - powiódł pytanie

tonem równie łagodnym jak poprzednio.

Biedna dziewczyna zaczęła pocierać nerwowo rękę:

- Nie wiem, nie sędzę. Nie potrafiłabym nikogo wymienić. Nie.

Stryjek pewnie sam się mylił co do tego znaczka.

- No tak. Dajmy już temu pokój. A zatem ma pani klucze do tego

mieszkania?

- Mam, tak - przyznała dziewczyna i wyciągnęła z torebki dwa

klucze. - Już panom mówiłam, że tu miałam swoje schronienie. -

Poczerwieniała pod badawczym spojrzeniem Palmu i wbiła wzrok w

podłogę. - Stryjek

Fredrik - wyznała szeptem - czasem pozwalał mi spotykać się tu z

Villem.

- I to późnym wieczorem - stwierdził Palmu. - Widzę, że ma pani

również klucz od bramy.

Dziewczyna chlipnęła:

- Dla-dlatego stryjek powiedział, że to wszystko jest w pewnym

sensie także jego winą. Stryjek był niesłuchanie dobry. Dlatego kupił

nowe mieszkanie w bloku na Różanej. Dwa pokoje z kuchnią. Żebym

mogła tam z nim zamieszkać, kiedy ojciec wygna mnie z domu. I... i Ville

też, jeśli... - Dziewczyna umilkła.

Palmu dłużej jej nie dręczył.

- Kokki! - zakomenderował. - Skocz no na dół, na podwórze, i zapytaj Lamberga przez radio, czy znaleźli klucze. Ja zaś w międzyczasie musiałbym odwiedzić... - Tu komisarz chrząknął z zakłopotaniem.

Dziewczyna pojęła w lot.

- W przedpokoju, pierwsze drzwi po prawej - poinstruowała. -

Włącznik po lewej. - Była na pewno świetną kelnerką.

Na progu przedpokoju stał Kokki.

- Klucze? - spytał komisarza z żalosną miną. - Jakie znów klucze, do diaska?

- Czy w tym samym koszu na śmieci, w którym był portfel

Nordberga, nie znaleźli jego kluczy - wyjaśnił mu zniecierpliwiony Palmu.

- I nie przeszkadzaj mi, bo muszę... wszystko przez tę twoją kawę.

Sam poczułem, że też będę musiał iść po nim. Ale Palmu stanął jak wryty, gdy tylko przekręcił kluczyk w drzwiach toalety.

- Ej, Kokki, jednak nie idź! - zawołał za nim. Przestraszyłem się, że dostał jakiegoś ataku, bo twarz mu dziwnie zsiniała.

- Co-o ci jest? - chwyciłem go za ramię.

Ale komisarz gniewnie strząsnął moją rękę.

- Taki stary, a taki głupi - wymruczał pod nosem. Potem przeszył detektywa wzrokiem. - Kokki - zaczął poważnym tonem - mój nos mi podpowiada, że zasłużyłeś na awans.

Detektyw wbił zawstydzone spojrzenie w podłogę i zaczął rozcierać czubkiem buta pokruszony narożnik korkowej wykładziny.

- A za co niby? - spytał wreszcie delikatnie.

- Za to, że kazałeś dziewczynie dać dwie łyżeczki kawy na filiżankę - padła zaskakująca odpowiedź komisarza. Spojrzeliśmy na niego bezgranicznie zdumieni.

- Bo ruszyło mi nerki! - burknął, zniecierpliwiony naszym powolnym tokiem myślenia. - Inaczej może by mi to wcale nie przyszło do głowy. - Co mówiąc, odwrócił się do panny Pohjanvuori. - Proszę mi wybaczyć intymne pytanie, ale gawędziliśmy już tu sobie o bardziej delikatnych sprawach. Czy była pani dzisiaj, hm, tutaj w toalecie?

Saara Pohjanvuori odniosła się do pytania zupełnie naturalnie.

- Nie - pokręciła przecząco swoją śliczną głową, kołysząc swoimi złocistymi włosami. Uśmiechnęła się nawet. - Nie miałam potrzeby.

Zajrzałam za to do łazienki, kiedy wytarłam podłogi, żeby po wyprowadzce nie było aż tak brudno. Oczywiście i tak bym jeszcze porządnie wysprzątała, ale...

- Dziękuję pani i za to... Po prostu ideał - rzekł komisarz Palmu z nieskrywaną czułością.

Staliśmy wszyscy w ciemnym przedpokoju w drzwiach toalety. W starych kamienicach toaleta znajduje się w oddzielnym pomieszczeniu, nie w łazience, i ma w drzwiach kolorową szybę. Nie wiem jak Kokki, ale ja byłem zupełnie zdezorientowany.

Nagle dziewczyna zasłoniła usta dłonią.

- Teraz, teraz sobie przypominam! - wykrzyknęła. - Już wiem, dlaczego mi się wydawało, że w pokoju coś jest nie tak. Nie ma lunety stryjka!

Staliśmy wszyscy może pięć sekund, nie mogąc wydusić słowa. Z

początku nie wierzyłem własnym uszom.

- Luneta! - zawyłem wreszcie. - W drogę, i to już!

5.

Nigdzie jednak nie poszliśmy. Palmu capnął mnie za ramię i ścisnął

tak mocno, że miałem potem sińca i na drugim bicepsie.

- Gdzie?! - wrzasnął, kiedy próbowałem się wyrwać. - Gdzie ci tak

spieszno, panie kierowniku? - dodał z szacunkiem, pamiętając o

obecności dziewczyny.

Każdy psychoanalityk mógłby łatwo wyjaśnić, dlaczego panna

Pohjanvuori przypominała sobie o lunecie akurat w chwili, gdy Palmu

przekręcił staromodny kluczyk w drzwiach toalety. Ja nie mam na to

ochoty. W rzeczy samej sprawa była nader niewinna. Dziewczyna nie

odgadłaby tego nawet w najśmielszych fantazjach. Ani ja - wtedy.

Pojąłem to dopiero później, gdy Palmu wyjaśnił.

- Muszę jak najszybciej przesłuchać zatrzymanych w Studni... -

zacząłem gniewnie. - Ślady są jeszcze gorące. Zdążysz pójść się załatwić w

komendzie.

Ale Kokki był już czujny. Wymienili z Palmu porozumiewawcze

spojrzenie.

- Gdzie ci tak spieszno? - powtórzył zamyślony komisarz. - Chłopcy

ci z pudła nie uciekną. Posiedzą trochę, to zmiękną. Wyjdzie im tylko na

zdrowie.

Dziewczyna znowu pobladła. Po same wargi.

- Studnia - powtórzyła. - Tam jest taka kawiarnia, w której Ville

często się spotyka z kolegami. Chyba nie...

- Wątpię - uciął Palmu, choć myślał zupełnie o czymś innym.

- Palmu - jęknąłem błagalnie - puść chociaż mnie. A ty tu możesz sobie sikać, jak długo chcesz. Potem dojedziesz.

Komisarz zdążył już jednak wpaść w zaskakująco dobry humor, a wtedy zazwyczaj zmienia się w poetę.

- I kot zostanie bez myszy, gdy się za bardzo pospiszy -

wydeklamował sentencjonalnie. - Czy nie wbijałem ci do łba tysiąc razy,

że w takich sprawach nie wolno działać na łapu-capu? - Otworzył

ostrożnie drzwi toalety, jak gdyby się bał, że w środku podłożono bombę.

- Rzućmy zatem okiem - rzekł i nie przekraczając progu, ostrożnie sięgnął

ręką do włącznika, a gdy próbowałem precyzyjnie się przed niego,

dostałem celną sójkę pod żebro, aż mi dech zaparło.

Żarówka w toalecie była słaba i w jej świetle dawno już złuszczone

ściany wyglądały jeszcze posępniej niż w pokoju. Poza tym jednak w

środku było czysto. Na posadzce leżał świeży prostokąt korkowej

wykładziny. W nią właśnie wpatrywał się Palmu. I ja. Panna Pohjanvuori

też. Nic nie zobaczyliśmy.

- Poświeć no trochę, Kokki - polecił Palmu.

Ale detektyw zdążył już sam otworzyć swoją apteczkę i wyłowił z

niej jedną z tych nowoczesnych lamp, której nazwy w tej chwili nie

umiem sobie przypomnieć. Ostrożnie klękawszy na podłodze w

przedpokoju, skierował światło prawdy na prostokąt z korka. Naszym

oczom ukazały się wyraźne, duże i tylko częściowo na siebie nałożone ślady gumowej podeszwy.

Łatwo wywnioskować, że po wejściu do toalety właściciel butów przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Dwa najlepsze ślady były wyraźne i czyste jak z podręcznika kryminalistyki.

- Stosunkowo rosły mężczyzna - ocenił fachowo Kokki. - Na oko z metr osiemdziesiąt. Buty na słoninie, nawet małe dziecko by to dostrzegło. Gratulacje, komisarzu.

- Ale pan Nordberg sam... - zaproponowałem. - Przecież nie możemy wiedzieć tego na pewno.

Palmu i Kokki spojrzeli na mnie z politowaniem.

- Mam zdjęcie butów pana Nordberga - zauważył detektyw.

- Kłamiesz! - parsknąłem. - Buty denata są ciągle w paczce w radiowozie.

- Mam je o tu - dopowiedział Kokki, pukając się palcem w skroń. - Rozmiar się nie zgadza. Ani wzór podeszwy.

- Kokki! - zakomenderował Palmu. - Zostajesz na straży toalety. Nie ma sensu, żebyś ty się do tego brał. Poczekaj na fotografów. I pamiętaj, macie sprawdzić wszystko. Ściany, drzwi, a nawet sufit. Można sobie zakładać na ręce, co się chce, ale gdy przychodzi do rozpięcia rozporoka, zazwyczaj nie robi się tego w rękawiczkach. Za dużo z tym zachodu. A czasem potrzeba mocno przycisnąć. Tak jak tego.

- Posłuchaj no, kochany Palmu - zacząłem. - Skąd możesz wiedzieć, że...

- Próbowaleś kiedyś rozpiąć rozporek w rękawicz kach? - warknął komisarz.

Zawstydziłem się i spojrzałem przelotnie na pannę Pohjanvuori.

- Nie zapominaj, że są tu kobiety - skarciłem go.

Ale Palmu bynajmniej się nie zmieszał. Dziewczyna zresztą też nie.

- Dobra, Kokki - komisarz wrócił do rzeczy. - Pokierujesz ludźmi i zadbasz, aby niczego tu nie rozmazali. My pojedziemy dalej, kierownik i ja, bo sprawa jest nagląca. W międzyczasie porządkowi wniosą z powrotem te rzeczy z dołu i ustawią je tak, jak stały. Panna Pohjammori dopilnuje, aby wszystko wróciło na swoje dawne miejsce. Wrócimy tu tak szybko, jak to będzie możliwe.

Dziewczyna ponownie zerknęła na zegarek.

- Ale ja muszę zdążyć do pracy - jęknęła.

- Droga panno Pohjanvuori - zagaił uprzejmie Palmu - nie chciałbym być zbyt surowy. Jest pani wspaniałą dziewczyną. Niemniej ta chwila musiała kiedyś nadejść. - Co mówiąc, wyciągnął z kieszeni złożony na cztery egzemplarz „Kuriera” i nim zdążyłem mu przeszkodzić, podsunął jej pod nos pierwszą stronę. Sam wyrwałbym przynajmniej to zbliżenie zmasakrowanej twarzy.

Dziewczyna nie zemdliała. Obejrzała fotografie. Przeczytała tekst, od deski do deski. Twarz jej stężała. Zacisnęła mocno usta.

- Rozumiem - powiedziała napiętym głosem. - Teraz wszystko rozumiem.

- Wierzę, że zrobi pani wszystko, aby morderca stryja został

schwytyany i postawiony przed sądem - rzekł komisarz z głębokim przekonaniem. - Dlatego pani praca to w tej chwili błąd. Wolałbym raczej, aby pomogła pani policjantom i dopilnowała, by wszystko wróciło na swoje miejsce i całe mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak je pani zapamiętała. Ufam pani. Sam zadzwonię do kawiarni i poinformuję o wszystkim pani pracodawcę. Mnie pewnie szybciej uwierzy.

- Albo mnie - zaproponowałem.

- Ale... - zaczęła znów dziewczyna.

- Już dobrze, dobrze - uspokoił ją Palmu. - Oczywiście, proszę się nie martwić, jeśli tylko Ville telefonował i zostawił dla pani jakąś wiadomość, od razu ją pani przekażę. Spokojna głowa.

Po przeczytaniu horroru z „Kuriera” panna Pohjanvuori siedziała jak sparaliżowana i chyba nie wszystkie słowa komisarza do niej docierały. Moim zdaniem próby uspokajania dziewczyny były okrutną drwiną. Palmu chciał po prostu zatrzymać ją w domu, aby bez zbędnych świadków zapoznać się z owym Villem, o którym zdążyłem już sobie wyrobić nader niepoehlebne zdanie. Mimo że bardzo chciałem zachować dobre zdanie o pannie Poh-janvuori.

- Proszę zatem stąd nie wychodzić - zakończył Palmu. - Detektyw Kokki będzie czuwał także nad tym.

Kiedy już wszystko wniosą i postawią na swoim miejscu, nikomu nie wolno tu wchodzić. Nikomu. Oczywiście poza Villem, gdyby czasem się tu zjawił. Wtedy proszę go za trzymać do mojego powrotu.

Komisarz powiedział to z krzepiącą łagodnością. Dziewczyna podała

mu numer telefonu do kawiarni i wyszliśmy.

Stojący pod drzwiami policjanci dziarsko mi zasalutowali.

Wspaniali chłopcy.

Palmu polecił im wnieść meble z powrotem do mieszkania. Nawet się nie skrzywili.

- Jeśli ktoś przyjdzie i będzie pytał o pana Nordberga lub będzie chciał dostać się do środka, spiszcie personalia i adres - poinstruował ich jeszcze życzliwie. - A jeżeli pojawi się tu chłopak o imieniu Ville, najprawdopodobniej w podartej skórzanej kurtce, to wpuście go do środka, ale już nie wypuszczajcie.

Przemawiając łagodnie do porządkowych, komisarz nie przestawał wodzić wzrokiem po zgromadzonych na klatce kobietach.

- Przepraszam najmocniej - odezwał się w końcu - czy któraś z szanownych pań mieszka może piętro niżej?

Z cizby wystąpiła podejrzliwie nastawiona i dość młoda jeszcze kobieta, potargana i w podomce. Dostrzegłem wypaloną w materiale dziurę po papierosie.

- Ja mieszkam - rzekła ponuro. - Ale ja nic nie wiem.

Komisarz podszedł do niej i pochyliwszy się nieznacznie, wyszeptał jej coś do ucha. Nie wiem, czy widziałem kiedykolwiek większe zdumienie na twarzy kobiety. Od razu stałem się czujny.

- Idziemy - rzekła zagadnięta bez zbędnych ceregieli i pierwsza weszła na prowadzącą w dół schody, niedbale przytrzymując ręką rozchylające się zbytnio poły szlafroka. Na nogach nie miała pończoch i

na kolanie dostrzegłem sporego siniaka.

Takie same zielone drzwi jak u pana Nordberga. Tak samo łuszcząca się farba. W progu łagodny zapach kapuśniaku. I alkoholu. Ale co mnie to wszystko mogło obchodzić. Już chciałem wejść do środka, gdy Palmu przytrzymał mnie za kłapy i wypchnął z powrotem na klatkę schodową.

- Poradzę sobie bez ciebie - warknął.

Zostałem więc pod drzwiami na schodach. Kobiety gapiły się na mnie z rozdziawionymi ustami. Było cicho jak w grobie. Wcale nie było mi przyjemnie. Gdzieś głośno zagrało radio. Wszyscy się wzdrygnęliśmy, kobiety i ja.

Po paru minutach, które wydały mi się wiecznością, Palmu wyszedł, dziękując kobiecie. Gospodyni poprawiła tlenione kosmyki i uśmiechnęła się szeroko. Naprawdę się uśmiechnęła! I zamknęła drzwi. Ruszyliśmy schodami w dół. Kobięca cizba rozstępowała się przed nami z szacunkiem.

- No i jak? - zagadnąłem komisarza z goryczą. - Dobrze ci poszło?

- Co? - zdziwił się Palmu. - A, tak - zrozumiał wreszcie. - Byłem tylko w toalecie. Przecież powiedziałem, że sprawa jest nagląca. Wszystko przez tę kawę.

Myślałem, że go kopnę. Najgorsze było to, że kiedy mi o tym przypomniał, sam poczułem pilną potrzebę. Kawa była rzeczywiście bardzo mocna. Swoje zrobiły też dwie buteleczki wody Vip, no i kufelek słabego pilznera. Zacisnąłem jednak zęby i cierpiałem dalej. Policjant

musi się tego nauczyć.

Wróciliśmy do samochodu, Palmu zakręcił okno i polecił kierowcy:

- Wezwijcie Lamberga.

- I jedźcie z powrotem do komendy, tylko szybko! - rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

Znów zatrzeszczało. Znów dyżurny. I tak dalej. Podałem mikrofon komisarzowi. Lamberg zdążył już przeczesać całą zawartość kosza na śmieci. Poza portfelem znaleźli w nim chusteczkę do nosa, napoczętą paczkę starych northów, pudełko zapalek, karnet tramwajowy z dwoma niewykorzystanymi przejazdami i zużyte etui z okularami w środku.

Kluczy jednak nie było.

- A zatem koniec z czesaniem trawy i śmieci - oznajmił mu Palmu. -

Rozkaz kierownika grupy. Znaleziiska dostarczyć na jego biurko w komendzie. Od razu i na jednej nodze. Bez odbioru.

- A więc nie ma kluczy - powiedziałem jeszcze, ale zaraz musiałem znowu zagryźć zęby, aż w oczach stanęły mi łzy.

- Nie ma, to nie ma - prychnął lekceważąco Palmu. - O tylu rzeczach musiałbym pamiętać - dodał półgłosem, jak gdyby mówił do siebie. -

Starość nie radość. Człowiek robi się roztargniony. Ale nic to. Pocieszam się zawsze myślą, że jeśli o czymś zapomniałem, to pewnie nie było to znowu aż takie ważne.

Skręciliśmy w ulicę Zofii. Wskoczyłem z auta tak szybko, że

zapomniałem podziękować kierowcy. Palmu okazał miłosierdzie i puścił

mnie pierwszego do ubikacji na parterze. Na szczęście w korytarzu nikogo

nie było.

Kiedy wreszcie odprężony wyszedłem z ubikacji, Palmu zaczął dobrodusznie mruczeć pod nosem.

- Lekcja pogładowa - zaczął. - Bo chyba nie od razu zrozumiałeś, o co chodziło z tą toaletą. A przy Kokkim nie chciałem się wdawać w wyjaśnienia. W końcu to absolutne abecadło w policyjnym fachu.

- Nie twierdzę, że musiał to być właśnie morderca - podjął po chwili - ale jeśli to był on, tym bardziej trzeba dokładnie to zbadać. Tak się bowiem rzeczy mają, że nawet pospolity włamywacz niemal przy każdym skoku robi w spodnie ze zdenerwowania. Dotyczy to nawet starych wyjadaczy. To zupełnie normalne, że taki rzezimieszek zostawia po sobie placek gdzieś w kącie pokoju. I nie jest to wyłącznie złośliwość czy brak wychowania. Może te dzisiejsze łobuzy są bardziej cywilizowane. Możesz mi nie wierzyć, ale gdybyś pobił człowieka na śmierć, a potem zabrał mu klucze i poszedł splądrować jego mieszkanie, to zaprawdę powiadam ci, dostałbyś takiej sraczki z nerwów, że pobiegłbyś do toalety, zapominając o wszelkich odciskach palców i butów. Głupi jestem, bo tam właśnie należało zajrzeć na samym początku, jako że w całym mieszkaniu wszystko było już poprzesuwane i na domiar złego dziewczyna zdążyła umyć podłogę.

- Prawda - zgodziłem się pokornie, bo bardzo mi ulżyło. - Czytałem o tym. A teraz nie przyszło mi to nawet do głowy.

- Czytanie nie wystarczy. Trzeba samemu doświadczyć, dopiero wtedy naprawdę się zrozumie - pouczył mnie Palmu. - Pamiętam, jak raz,

kiedy byłem jeszcze chłopcem...

Zaraz jednak musiał zarzucić dziecięce wspomnienia, bo z naszej poczekalni wybiegł komisarz kierujący nalotem na Studnię i od razu do mnie przyskoczył. Nie rzucił mi się może do gardła, ale niewiele brakło. W oczekiwaniu na nas chodził nerwowo w tę i z powrotem, nie mogąc nawet na chwilę przysiąść.

- Panie kierowniku! - krzyknął. - To niewybaczalne! Dlaczego pan się nie skontaktował? Przecież mieliście radio do dyspozycji. Mamy w celach osiemnastu rozwydrzonych skórzanych i dwanaście dziewczyn, a to jeszcze gorsze cholery od tych łobuzów. Jeszcze chwila i... i rozniosą nam całą tę budę! Nie słyszy pan?

W istocie, odniosłem wrażenie, że przez grube ściany budynku dobiega z podwórza nieokreślony łomot.

- Chyba nie kazał ich pan spałować? - spytałem podejrzliwie. - Na to mi wygląda.

- Zrobiłbym to z wielką ochotą - wyznał komisarz, a w jego zimnych niebieskich oczach błysnęły iskry. - Ale nie zrobiłem, bo pan kierownik wyraźnie nam zabronił. Chociaż można by spróbować polać ich wodą, mamy wąż gaśniczy.

- Dalibyście im lepiej „Kurier” do poczytania - wtrącił Palmu. - Coś mi mówi, że to ich cudownie wyciszy.

- To jest myśl! - ucieszył się komisarz. - Chociaż wszyscy powtarzają, że nic złego nie zrobili. Ale rzeczywiście, dlaczego nie dałem im do przeczytania „Kuriera”? Tak zrobię. Pan kierownik sam ich

przesłucha?

- Jeszcze nie wiem - odrzekłem zgodnie z prawdą. Dopiero potem przypomniałem sobie o sprawie i rozkazałem pewniejszym głosem: - Ale do rzeczy! Przytargajcie mi tu czym prędzej tę lunetę!

- Lunetę? - powtórzył zdezorientowany komisarz. - Ale... ale przecież nie było rozkazu, żeby ją tu przywieźć. Tylko tych chłopaków. I modnisie.

Dotarła do mnie przerażająca prawda. Musiałem się wczepić oburącz w blat biurka, tak mi się w głowie zakręciło.

- Twierdzicie, że... chcecie mi powiedzieć, że naprawdę nie... nie... - zacząłem się plątać - że nie zabezpieczyliście tej lunety?! Przecież to sprawa zasadnicza!

- Nie dostaliśmy takiego rozkazu! - powtórzył komisarz. - Pan kierownik sam zawsze powtarza, że rozkaz i tylko rozkaz...

Do rozmowy wtrącił się zniecierpliwiony Palmu:

- Nie ma z tym jeszcze takiego pośpiechu. Wystarczy, jak na wieczór będzie. Żeby pan kierownik mógł sobie popatrzeć na gwiazdy. I zrobić kilka horoskopów. Niebo ma być czyste.

Komisarz cofnął się o krok i przeszył mnie wzrokiem.

- Nikt się do tej lunety nie przyznawał - bronił się dalej. - Nikt nie potrafił powiedzieć, kto ją tam przyniósł. Tylko się nią bawili. Ci chłopcy rzeczywiście nie robili nic złego. Nawet jej nie stłukli. No i Karhunen wciąż tam jest. Pilnuje, w razie gdyby jednak ktoś się po nią zgłosił.

Wtedy ma spisać personalia i adres.

- W porządku, tymczasem dajmy temu pokój - rzekłem

pojednawczo. - Może rzeczywiście ktoś jeszcze po nią przyjdzie. Ale postawcie tam więcej ludzi. W cywilnych ubraniach. I od razu niech łapią delikwenta, który tylko spróbuje tknąć lunetę. To naprawdę ważna sprawa.

Palmu kiwnął potakująco.

- Słyszeliście, co kierownik powiedział - zawtórował mi. - Skoro pan sędzia przemówił osobiście, to sprawa rzeczywiście musi być ważna.

- Czyli do lunety obstawa w cywilnych ubraniach i lektura dla zatrzymanych - powtórzył dla pewności komisarz. Już się uspokoił. Cała komenda była podminowana. Akurat tamtego dnia. I nie ma się co dziwić. Zerknąłem na zegarek. Ze zdumieniem stwierdziłem, że pokazuje dopiero za kwadrans czwartą. Ostro wzięliśmy się do pracy. Zacząłem odczuwać nieznaczny podziw dla siebie. Poszliśmy do mojego pokoju. Na biurku piętrzyły się sterty dokumentów i raportów. Stałem jak wryty.

- Wszystkie niecodzienne wydarzenia z ubiegłej nocy w mieście - przypomniał mi Palmu. - I wszystko, co się wydarzyło dzisiaj. Kiedy my siedzieliśmy sobie na kawce. Od czego zaczynamy?

Uznałem, że brzydko sobie żartuje.

- Sam zaczynaj! - parsknąłem. - Zrób coś! Ja tu jestem kierownikiem. Ty działasz, ja biorę odpowiedzialność. Mamy chyba wyraźny podział obowiązków, prawda?

Palmu rozsiadł się leniwie i zaczął nabijać fajkę, nie odrywając niechętnego spojrzenia od stert papieru na moim biurku.

- No dobra - odezwał się wreszcie. - Wyciągnij mi raport z tej burdy pod kawiarnią, a ja w tym czasie spróbuję chociaż zapalić fajkę.

Ogarnęła mnie potrzeba czynu. Zacząłem grzebać w papierach niczym jamnik w liściach. Jest! Przejrzałem pobieżnie. Personalalia, wszystko spisane. Ville Valkonen, uczeń, lat siedemnaście. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

- Boże święty! - wykrzyknąłem. - Ten Ville ma dopiero siedemnaście lat! Panna Pohjanvuori jest na pewno starsza. Coś podobnego!

- Może Ville jest przedwcześnie dojrzały - zasugerował dobrodusznie Palmu. - Tak to już jest. Ulica uczy. Miasto rozwija w przyspieszonym tempie. Pierwsze śliwki robaczywki. I wielu z nich rzeczywiście zrobaczywieje, jeżeli nie wezmą się w porę w garść. Czasem dobrze im zrobi, jak policja trochę nimi potrząśnie. Mamy też tych kuratorów młodzieży. A młodzi pod jarzmem dyscypliny miotają się jak lwy. Same ostrzeżenia. I zawieszenia warunkowe. No, ale tak właśnie powinno być. W pewnym sensie. Szczególnie dziś należy o tym pamiętać. Biedny Ville.

- Biedna dziewczyna - sprostowałem gniewnie. - Taka porządna panna. I taki rozrabiaka.

- Co ty możesz wiedzieć o tym chłopaku? - rzucił Palmu. - Ta dziewczyna wie lepiej niż ty. Lepiej go zna. Musi mieć ten Ville jakieś dobre cechy. A, miałem dzwonić do kawiarni, że panna Pohjanvuori nie przyjdzie dziś do pracy.

Palmu wyciągnął się leniwie w stronę telefonu, podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer. W tej samej chwili rozległo się energiczne pukanie i do środka wpadła cała ekipa obładowanych paczkami policjantów pod wodzą Lamberga, który niósł triumfalnie najcenniejszą zdobycz.

- Cii! - przykazałem im, bo Palmu zamachał ze złością i zaraz zaczął mówić:

- A, szanowna pani osobiście? Telefonuję z komendy policji, nazywam się Palmu i jestem komisarzem. Witam, witam.

Lamberg spojrzeniem i gestami dawał do zrozumienia, że bardzo się spieszy.

- Połóżcie na biurku, podłódze, gdzie się da - poleciłem mu.

- Nie, ja nie z powodu tej wczorajszej burdy - ciągnął spokojnie

Palmu. - Tak, tak, to przykre, wiem, wiem. Zostaną ukarani. Oczywiście, że tak. - Słuchając, przeglądał pobieżnie raport, który zostawiłem na wierzchu stosu. - Wygląda na to, że pani szatniarzowi zostanie postawiony zarzut pobicia z groźnymi skutkami.

Sączący się z aparatu głos słyszałem aż w przeciwległym kącie pokoju. Kobieta mówiła donośnie, szybko i dużo. Palmu musiał oddalić słuchawkę od ucha. W końcu zdołał się jakoś wtrącić:

- Tak, tak, prawda, zrobili burdę i zbili szybę i... tak, tak, widzę, że szanowna pani także czytała już „Kurier”... Ale przecież nie wszyscy są mordercami. A ja chciałem pani tylko powiedzieć, że panna Pohjanvuori nie przyjdzie dziś do pracy. Potrzebujemy jej na świadka w bardzo ważnej

sprawie.

Palmu westchnął, znów oddalił słuchawkę od ucha i słuchał cierpliwie. Ludzie Lamberga tłoczyli się w pokoju, składając paczki na podłodze. Palmu wreszcie się zorientował.

- A to co?! - ryknął. - Chcecie mi tu przenieść cały park?!

- Dostaliśmy wyraźny rozkaz od pana kierownika - odrzekł urażony Lamberg, ale zdawało mi się, że w jego oczach błysnęła złośliwa iskierka.

- Nie, łaskawa pani, nie na panią krzyczałem - rzekł Palmu do słuchawki. - Ale mamy tu spory ruch, jak się pani pewnie domyśla. W pani sprawie również prowadzimy dochodzenie. Oczywiście.

Odszkodowanie i tak dalej. Panna Pohjanvuori sama panią zawiadomi, kiedy będzie mogła wrócić do pracy. A tak przy okazji, czy Ville zostawił jakąś wiadomość dla niej? I nie telefonował? Nie. Do usłyszenia zatem. Odłożył słuchawkę na widełki i starł pot z czoła.

- Nie rozumiem, dlaczego ta kobieta sama nie obsługuje całej kawiarni. - Palmu był wyraźnie poirytowany. - Jak mogę wnioskować z naszej rozmowy, sił i temperamentu na pewno by jej nie zabrakło. Nawet do wyrzucania gości na ulicę. Najbardziej się dziwię tym szapoklakom, że chce im się tam siedzieć, kiedy ta megiera bez przerwy jazgocze im nad głową. Pewnie nie mają, biedaczyska, lepszego miejsca.

- Są przecież kawiarenki młodzieżowe, parafie mają swoje kluby... - zacząłem.

Ale Palmu uciszył mnie niecierpliwym machnięciem. Nigdy nie wysłucha nikogo do końca, choć sam umie lać wodę jak mała kto.

- Panie komisarzu Lamberg - zaczął Palmu. - Zabierzcie mi stąd zaraz tę kupę śmieci. Nie potrzebuję tu, i pan kierownik też nie, niczego poza portfelem i przedmiotami, które rozsądek nakazuje uznać za własność pana Nordberga.

Lamberg tak niebezpiecznie się zachmurzył, że Palmu trochę ustąpił.

- No dobra, ten kosz na śmieci też może zostać. Ale resztę zabierajcie.

- Dokąd? - spytał Lamberg, zerkając na mnie. - Do archiwum niby?

- Dokąd chcecie - odpowiedział Palmu. - Mamy chyba jakiś piec do palenia śmieci.

Zdążyłem się wtrącić.

- Komisarz Palmu ma niewybredne poczucie humoru - wyjaśniłem pośpiesznie. - To chyba oczywiste, że musimy zachować tymczasem materiały dowodowe, które mogą mieć związek ze sprawą. Ufam w pańską zdolność samodzielnej oceny, panie komisarzu. Sam teraz nie zdążę się tym zająć. Ale doceniam sumienną pracę pana i pańskich ludzi.

Dziękuję.

Lamberg postawił na podłodze trzymany w objęciach kosz na śmieci.

- Jest już przebadany - zapewnił nas. - Żadnych odcisków palców.

Ze złośliwą miną rozłożył przede mną swoją wielką mapę.

Lokalizację kosza zaznaczono czerwonym i niebieskim kółkiem. Na wszelki wypadek miejsce to wskazywała dodatkowo duża strzałka.

Pozostałe śmietniki komisarz zaznaczył już tylko na czerwono. Mogłem więc stwierdzić, że ten przyniesiony przez niego znajdował się bardzo blisko rozbitego samochodu. Mijaliśmy ten kosz. Tak, w istocie mijaliśmy go, idąc do pomnika Rozbitków.

- Dziękuję - powtórzyłem.

- Portfel i pozostałe przedmioty mogące stanowić własność ofiary są jeszcze w laboratorium - wyjaśnił Lamberg. - Powinny wrócić lada chwila.

- Zerknął na zegarek i burknął ze złością: - W sumie to powinny już być.

Odciski linii papilarnych i cała reszta.

- Jeszcze się zdąży - powiedziałem spokojnie. Lamberg wydał rozkazy swoim ludziom i paczki ze śmieciami zniknęły z naszego pokoju równie szybko, jak się pojawiły. Zniknął też komisarz. Wpatrywałem się nieruchomo w stojący na samym środku kosz na śmieci. Był pusty. To zrozumiałe. Lamberg był skrupulatny. Przeniósłem zamyślony wzrok na komisarza Palmu. Pykał swoją fajkę.

- Zapomniałem go spytać, czy nie zwinęli przy okazji jakichś zaplastrowanych - próbowałem sondować.

- Raczej nie - uznał Palmu. - Chyba Lamberg by nam o nich wspomniał.

Zacząłem wertować papiery.

- Wygląda na to, że nasi samochodziarze znaleźli porządne odciski palców - powiedziałem. - Aż trzy komplety. Wyeliminowano odciski właściciela. Facet był zły, że go budzą o tak wczesnej porze. A jeszcze bardziej się wściekł na wieść, że w nocy ktoś mu podprowadził auto spod

samych drzwi. Wrócił do domu około jedenastej w nocy i nie chciało mu się już wjeżdżać do garażu.

Palmu wypuścił duży kłęb dymu.

- Ville Valkonen - rzekł. - Należałoby bezwzględnie skontaktować się jakoś z tym chłopakiem.

Na biurku rozdzwonił się telefon. Jak na alarm. Tknęło mnie złe przeczucie.

- Odbierz - poprosiłem tchórzliwie.

- To ty przecież jesteś kierownikiem grupy - odrzekł, wskazując ponaglająco fajką na aparat. - Ty odpowiadasz za wszystkie nasze posunięcia. I na wszystkie telefony - zarechotał ubawiony własnym kalamburem.

Podniosłem słuchawkę. Ale to nie był Ville, tylko minister spraw wewnętrznych. Nic na to nie poradzę, że instynktownie wstałem. Nie był w złym humorze. Pytał tylko, jak się posuwa śledztwo. Żądał działań, szybkich i zdecydowanych. Nie mogłem mu oczywiście zacytować, że czasem i kot zostaje bez myszy, gdy się za bardzo...

- Ofiara zabójstwa została zidentyfikowana - rzekłem sztywno. - W jej mieszkaniu znaleźliśmy ślady butów jakiegoś intruza. Przeczesaaliśmy całe Wzgórze Obserwatorium. Odnalazły się rzeczy, które zamordowany miał w kieszeniach. Zorganizowaliśmy obławę na Studnię. Według mnie jesteśmy na tropie, policja energicznie przystąpiła do działania, panie ministrze.

- No właśnie, zorganizowaliście obławę - rzekł minister podejrzanie

łagodnie. - Nie chciałbym się w żaden sposób wtrącać w wasze sprawy służbowe, mam jednak nadzieję, że wykażecie się mimo wszystko umiejętnością właściwej oceny sytuacji. Radca ministerialny Seitkoski telefonował właśnie do mnie, że zatrzymaliście jego syna. Siódmoklasistę. I zdaje się, że jeszcze kilku innych chłopców z tej samej szkoły. Rozumie pan chyba, panie sędzio, do czego zmierzam?

- Rozumiem - odparłem jeszcze sztywniej. - Mamy trzy komplety linii papilarnych ze skradzionego samochodu. Zapewniam, że mam najzupełniej słuszne powody...

- Oczywiście, oczywiście - potaknął skwapliwie minister. - Niechże pan się nie obraża, panie sędzio. Chodzi mi tylko o to, że gdyby mógł pan popchnąć trochę sprawę, aby chłopak zdążył do domu na kolację, to byłoby świetnie. - Minister nie chciał mnie urazić. W każdym razie jeszcze nie. Ani tym bardziej pana radcy ministerstwa.

Odłożyłem słuchawkę. Starłem pot z czoła.

- Plotka poszła - rzekłem. - Że też im nie wstyd. Dorosłym ludziom.

I to radca ministerialny. Na skargę do pana ministra. To ty mnie podjudzałeś! - Rozdrażniony odwróciłem się do Palmu. Na szczęście przypomniałem sobie o lunecie. Prawo było po mojej stronie.

Od razu zatelefonowałem do komisarza, który kierował nalotem.

Zadowolony poinformował mnie, że harmider w celach ucichł. „Kurier” przechodził z rąk do rąk w śmiertelnej ciszy.

- Bierzcie chłopców po jednym - rozkazałem. - Sam nie zdążę. -

Zastanawiałem się przez chwilę. - Albo najpierw dziewczęta. Bądźcie

uprzejmi. Zadawajcie pytania i zaglądamy w oczy. Macie nosa, to zaraz zwąchacie, która z nich kłamie albo coś ukrywa.

- Najpierw dziewczęta?! - przeraził się komisarz. - Sam diabeł nie dałby sobie z nimi rady! A te łobuzy zawsze mają coś na sumieniu.

- Pan za to odpowiada - rzuciłem bezlitośnie. - I szybko się uwińcie.

Krótkie przesłuchania. Co wiedzą o tej lunecie. Czy widzieli coś podejrzanego, kiedy się kręcili w pobliżu Studni. Czy widzieli kogoś z plastrami na gębie. Potem spisać personalia i adresy, czym zajmują się rodzice i tak dalej. I raz dwa na ulicę. Po jednym. Jeżeli któryś wyda się wam bardzo podejrzany, pobierzcie odciski palców i porównajcie z tymi, które znaleziono w skradzionym aucie - ciągnąłem. - O ile dobrze zrozumiałem raport, nie ma ich w archiwum. Gdybyście musieli porównywać, weźcie do pomocy technika. Aha, wśród tych chłopaków jest niejaki Seitkoski i kilku jego kolegów z tej samej podstawówki. W sumie to moglibyście tych wziąć na sam początek. Nie żebym był jakiś stronniczy czy coś takiego, po prostu rodzice się o nich niepokoją. Trzeba to zrozumieć.

- Rozumiem - zapewnił mnie komisarz, choć nieszczególnie spodobał mi się ton jego głosu.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Palmu zaczął myśleć na głos:

- Założmy, że chłopak, który zwędził lunetę, zabrał ją na swoje podwórko, żeby się pochwalić przed kolegami.

- Zwędził skąd? - spytałem.

- Chyba sam widziałeś ślady po trójnogu pod pomnikiem

Rozbitków? - wyjaśnił mi łagodnie Palmu, jak gdyby tłumaczył sprawę dziecku. - Dziadek Nordberg lubił oglądać gwiazdy. Astrolog. Horoskopy.

- Myślisz, że... - Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz.

- Nie myślę, jeśli nie mam faktów! - warknął Palmu. - Nie mam

wyobraźni, tak jak ty. Na szczęście. Ale załóżmy, że chłopak siedział w tym samochodzie, który rozbił się na drzewie. Po wypadku rzucił się na oślep do ucieczki i wbiegł na górę pod pomnik. Zobaczył tam lunetę, więc ją przy okazji zwędził.

- Czy tak młody człowiek mógłby być aż tak zdegenerowany, żeby przechwalać się morderstwem na mieście? - spytałem z niedowierzaniem.

- Nie - odrzekł zdecydowanie Palmu. - Dlatego ta historia jest tak

pokręcona. Przyjmijmy jednak, że chłopak zagląda potem do „Kuriera”,

ot tak, z czystej ciekawości, czy nie piszą czegoś o nocnym wypadku samochodu, i widzi, no właśnie, widzi, że wszystko wyszło na jaw. Co wtedy robi?

- Wpada w panikę i ucieka - podsunąłem. - Porzuca swój łup i chowa się do pierwszej lepszej dziury.

Zabrzęczał telefon.

- Tu posterunkowy z dworca głównego - usłyszałem dziarski głos. -

Kazano meldować o wszystkich niecodziennych wydarzeniach. Jakiś czas temu podeszła tu do mnie kłozetowa i powiedziała, że w jednej ubikacji zamknął się jakiś chłopak. Zablokował zamek. Zrazu kobieta myślała, że wyszedł ukradkiem, ale potem usłyszała w ubikacji płacz.

- W ubikacji płacz - powtórzyłem. Palmu gwałtownie uniósł głowę.

- Poszedłem sprawdzić - ciągnął posterunkowy. - Waliłem w drzwi, ale mi nie otworzył. Siedział cichutko jak mysz pod miotłą. Stał chyba na klapie, bo nic nie było widać od spodu. Musiałem wyważyć drzwi. Wysoki chudzielec, gęba cała umorusana od płaczu, chociaż to jeden z tych kozaków w skórzanych kurtkach.

- Gdzie teraz jest? - zapytałem szybko, widząc pytające spojrzenie komisarza.

Policjant się zawahał:

- No więc popełniłem błąd. Nie wyglądał mi na łobuza. Pomyślałem sobie, że po co wlec go za kark. No i jak wyszliśmy z toalet, to wyrwał mi się i popędził na peron. Wjeżdżał tam właśnie pociąg i... no i ten chłopak chciał za wszelką cenę rzucić się pod koła. Przepychał się i kopał, krzyczał i płakał, ale ktoś się zorientował i zdążył go pociągnąć, tak że i ja mogłem go wtedy mocno ucapić. Więc jak to nie pomogło, to chciał dać drapaka.

Zdaje się, że pacnąłem go lekko w ucho, bo sam mi niezłego stracha napędził. Teraz jest pod kluczem, tu, w dworcowym areszcie. Telefonuję do pana w pierwszej kolejności, panie kierowniku, bo taki dostałem rozkaz.

- Słusznie postąpiliście - pochwaliłem go. Owładnął mną dziwnie podniosły nastrój. Nie musiałem nawet spoglądać na Palmu.

- Czy chłopak nazywa się Ville Valkonen, lat siedemnaście, uczeń? - zapytałem zupełnie niewinnie, nie siląc się na intonację, choć pokusa była silna.

Posterunkowemu na chwilę odebrało mowę.

- Ale jak... jakim cudem pan kierownik może to wiedzieć? - wyjąkał

głosem pełnym szacunku. - To... to jest dopiero coś! Muszę powiedzieć chłopakom. Kto by pomyślał, kierownik grupy dochodzeniowej, a jasnowidz.

Uciałem te próżne zachwyty.

- Wezwijcie najbliższy radiowóz i sprowadźcie mi tego chłopaka

czyż prędeż do mnie, tu, na komendę - rozkazałem. - Tylko nie

włączajcie syreny - dodałem po namyśle. - I nie skuwajcie go. Ale chłopak

nie może uciec. Przekażcie obsłudze radiowozu, że za to odpowiada.

- Tak jest - odrzekł dziarsko posterunkowy. - Jasne, panie

kierowniku. A tak w ogóle to mówi starszy posterunkowy Laitinen. Mam

nadzieję, że pan kierownik nie zapomni.

- Laitinen - powtórzyłem. - Palmu, zakarbuy to sobie. - Odłożyłem

słuchawkę. - Chłopak płakał w dworcowej ubikacji, a potem próbował

rzucić się pod pociąg. Zdaje się, że mamy sprawę wyjaśnioną.

- Już ci mówiłem: co ty możesz wiedzieć o tym chłopaku - odrzekł

Palmu tonem pouczenia. Ścisnęła go zazdrość, że to ja zatrzymałem

Villego Valkonena. Czułem to. - Gdyby twoja dziewczyna była w trzecim

miesiącu ciąży, a tym sam miałbyś siedemnaście lat, i jeszcze do tego się

uczył? Gdybyś zbił potem nieumyślnie wielką witrynę kawiarni, którą

prędeż czy później przyjdzie ci odkupić, a kto wie, czy na dodatek nie

byłeś jeszcze jednym z tych, co pożyczili sobie w nocy cudze auto i rozbili

je o drzewo? Na dokładkę podprowadziłeś lunetę staruszkowi, którego

następnego dnia rano znajdują w krzakach, i wszystko wskazuje na to, że

dziadka ktoś zamordował? Sam byś wtedy próbował rzucić się pod pociąg.

- Być może - powiedziałem. - Jednak nie mogę się już doczekać, gdy zobaczę buty tego Villego.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Goniec przyniósł z laboratorium rzeczy Fredrika Nordberga oraz raport w sprawie odcisków linii papilarnych. W pierwszej kolejności z ciekawością zajrzałem do niemiłosiernie wytartego skórzanego portfela. Pieniądzy w nim nie było, ale wyjąłem z niego cienkie plastikowe pudełeczko.

Palmu też się zainteresował, podszedł i zajrzał mi przez ramię.

- No i jest - powiedział - filatelistyczny skarb pana Kettunena.

Rzeczywiście, to był on. Najrzadszy z najrzadszych w Finlandii błędów drukarskich. Pamiątka po wizycie Zeppelina w Helsinkach.

- Ale przecież - rzekłem ze zdumieniem - jeśli morderca zabrał Nordbergowi pieniądze, to dlaczego nie wziął tego znaczka? Toż to bezcenny okaz.

- Trudno go sprzedać - wyraził pogląd Palmu. Ze zgrozą spostrzegłem, że znów zastukał swoją fajką o obcas, wytrzepując z niej popiół na podłogę mojego pokoju.

Muszę jednak dodać, że ten obrzydliwy zwyczaj uratował mu później życie.

- Chociaż - podjął, nie zwracając uwagi na moje karcące spojrzenie - nie sądzę, by morderca miał czas się nad tym zastanowić. Wepchnął po prostu do najbliższego kosza na śmieci wszystko, co trzymał w rękach.

Komisarz bez pytania zaczął grzebać w kupce przedmiotów na moim biurku. Żałosna paczka northów z pięcioma ostatnimi papierosami, chustka do nosa i tak dalej. Ja rzuciłem się na raport. Odciski palców, najprawdopodobniej właściciela. Między wierszami dało się wyczytać przy-ganę i przypomniałem sobie, że Kokki nie zdążył jeszcze dostarczyć odcisków palców denata do archiwum. Ale! - skoczyłem na równe nogi - na plastikowym pudełeczku z jednej strony widniał wyraźny odcisk linii papilarnych kciuka, a z drugiej palców wskazującego i środkowego. Były to wyraźne, świeże i łatwe do rozpoznania obce ślady, pokazane na załączonej fotografii.

- Idzie nam lepiej niż dobrze! - wykrzyknąłem. Palmu wydarł mi z ręki raport i też przeczytał.

- Aż z a dobrze - orzekł podejrzliwie. - Nie, w życiu takie rzeczy się nie zdarzają.

Gorączkowo wyszukałem w stosie papierów raport z oględzin skradzionego auta i dołączone do niego karty daktyloskopijne. Nawet bez lupy z łatwością dostrzegłem wśród nich odcisk linii papilarnych kciuka identyczny z tym, który znaleziono na plastikowym pudełeczku.

- Palmu - rzekłem drżącym głosem. - Może... może ja jednak nadaję się na kierownika grupy. Może zdążymy jeszcze pojechać do tej Kopenhagi.

- Nie przesłuchałeś jeszcze Villego - ostrzegł mnie Palmu z wyraźną nutą zazdrości w głosie.

- Chcemy wynająć samolot - odpowiedziałem machinalnie. Ale w

myślach wywijałem już radosne fikołki. Była to w istocie pierwsza sprawa, którą rozwiązałem zupełnie sam. Okazałem jednak zrozumienie dla zgnębnego Palmu i poklepałem go wspaniałomyślnie po plecach. - Starzejesz się już, przyjacielu - pocieszyłem go. - A czasem dobrze jest ruszyć ostro z kopyta, tak jak ja dzisiaj. Ale nie bój się, nie przestanę doceniać twojego doświadczenia. I nigdy nie zapomnę...

Drzwi rozwarły się szeroko. Do środka wszedł Ville w asyście dwóch zdyszanych policjantów z radiowozu. Chyba biegli po schodach. Twarze mieli czerwone z przejęcia. Posterunkowy Laitinen najwyraźniej nie oszczędził im szczegółów.

Ale gdy zobaczyłem chłopaka, podniosły nastrój prysł. Ville bynajmniej nie wyglądał na łobuza. Ani na twardego kozaka. Szczupły, przedwcześnie wyrosły, około metra osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Zerknąłem na jego znoszone buty. Gumowe podeszwy. Rozmiar mógł pasować, choć nie miałem fotograficznej pamięci jak Kokki. Twarz chłopca wciąż jeszcze była umorusana od płaczu. Teraz jednak Ville zaciskał mocno zęby i łypał na mnie z niechęcią.

- A, dzień dobry, Ville - powitał go Palmu jak dobrego znajomego i wyciągnął rękę. - Już się zastanawialiśmy, gdzie się podziewasz - zaczął swoim jowialnym tonem. - Może byś tak na sam początek poszedł umyć twarz?

- I ręce - dodałem. - Żebyśmy mogli pobrać czyste odciski palców.

Policjanci z radiowozu spojrzeli na mnie z szacunkiem.

- Ja tego nie zrobiłem! - wykrzyknął nagle Ville. - To nie ja zabiłem

stryjka Fredrika! - Zasłonił sobie twarz przedramieniem i wybuchnął płaczem.

Nie był to przyjemny widok. Chłopak zupełnie się rozkleił.

Dostrzegłem naddarty kołnierz taniej skórzanej kurtki.

- Nikt cię o to nie oskarża - odpowiedział Palmu z udanym zdumieniem. - Przynajmniej na razie - dodał ostrożnie.

Wtedy jednak ja przejąłem pałeczkę. Włączyła się moja wyobraźnia.

Czytelnik pewnie sam wie, że niekiedy, w jednej krótkiej chwili, wszystko staje się nagle całkowicie jasne. Może ośmieliły mnie pełne podziwu spojrzenia policjantów. Bo gdy wreszcie mój mózg zacznie raz pracować, robi to naprawdę szybko. Za szybko, przyznaję.

- Mówimy tylko o tym wypadku, na razie - powiedziałem. - Nie traćmy czasu, Ville. Kto jeszcze był w tym aucie? Wiemy już, że było was trzech.

Chłopak gwałtownie uniósł głowę. Wysunął dumnie szczękę, choć wargi mu drżały.

- Nigdy nie wsypię kumpla! - powiedział płaczliwym głosem. -

Choćbyście mnie bili, nic nie powiem!

- Nie musisz nikogo sypać - zapewniłem go. - To przykra sprawa i dla całej waszej trójki byłoby najlepiej, gdyby pozostali twoi koledzy uczciwie i dobrowolnie zgłosili się na policję. Kradzież, a raczej tymczasowe wejście w posiadanie samochodu, nie jest jakimś strasznym przestępstwem. Notujemy takie przypadki każdej nocy. A ty masz dopiero siedemnaście lat...

- Już pojutrze kończę osiemnaście - pochwalił się Ville. Uniósł czoło

jeszcze wyżej, a oczy zaiskrzyły mu się złowieszczo.

- Waga - mruknął pod nosem Palmu.

Nie miałem pojęcia, po co mu waga. Chyba nie zamierzał ważyć

chłopaka? Ville jednak od razu go zrozumiał.

- Co pan chce od Wagi? - prychnął. - Waga może być bardzo

dobrym znakiem. W każdym razie stryjek Fredrik zawsze mi mówił, że...

Zrozumiałem, że próbują zjechać na boczne tory astrologii. Ja

jednak dość się już w życiu nasłuchiwałem głędzenia komisarza Palmu.

Walnąłem pięścią w stół.

- Milczeć! - warknąłem. - I ty, Palmu, też się zamknij, dałbyś już

spokój z głupotami, to poważna sprawa.

Chłopak się wzdrygnął.

- Przepraszam, panie kierowniku - rzekł potulnie Palmu.

Znów poczułem, jak uderzają mi do głowy władza i sukces.

- Ville - zacząłem - może jesteś porządnym chłopakiem i może twoi

koledzy też są porządnymi chłopakami, nie wiem. Lepiej będzie dla nich,

jak zgłoszą się sami. Zostanie to uznane za okoliczność łagodzącą. W tym

przypadku nadzwyczaj łagodzącą. Zapewniam cię o tym jako jurysta.

Niewykluczone, że się wam upiecze i skończy się na strachu. - Wlepiłem

w niego hipnotyzujący wzrok i dla uspokojenia sumienia dopowiedziałem

bardzo cichym głosem: - W sprawie tego samochodu.

- Nie wiem - powiedział Ville z wahaniem.

- Tam stoi telefon - rzekłem rozkazującym tonem, po czym

wyszedłem zza stołu i wskazałem palcem na aparat. - Zatelefonuj i zapytaj. Nikt cię tu nie będzie szpiegować. Wszyscy wyjdą z pokoju. Zostanę tylko ja. Żebyś nie próbował wyskoczyć przez okno. Ale gdy będziesz telefonować, stanę w rogu pokoju i odwrócę się do ciebie plecami.

Wzrok Villego błędził po pomieszczeniu. Widziałem, że próbuje gorączkowo poukładać poplątane myśli. Triumfowałem. Nie wiedziałem nawet, czy ci jego koledzy mają telefony. Był to zwykły strzał w ciemno.

- Jeżeli twoi koledzy nie zgodzą się zgłosić dobrowolnie - ciągnąłem jeszcze bardziej przekonująco - to nie. Nie zamierzam robić z ciebie kapusia. Nikt cię tu nie będzie naciskał. Mamy już swoje metody, aby ich wyłapać. Zajmie nam to tylko trochę więcej czasu.

- Dobrze sobie - chłopak wciąż był podejrzliwy. - A wasza centrala zapisze zaraz numer. Nie jestem taki drętwy, jak wam się wydaje. Choć orłem też nie jestem.

- Ville - powiedziałem - mam tu dwa telefony. Jeden rzeczywiście idzie przez centralę, ale drugi ma bezpośrednie wyjście na miasto. Sam spróbuj. Zastanów się, jak ktoś mógłby zapisać ten numer, skoro będziesz telefonować bezpośrednio, a ja będę stać w przeciwległym rogu pokoju. Jest to technicznie niewykonalne. Wcale nie trzeba być orłem, żeby to skapować.

Ville postąpił niechętnie krok spomiędzy policjantów i podszedł do biurka, podniósł podejrzliwie słuchawkę pierwszego telefonu i usłyszał zgłoszenie centrali. Potem podniósł drugą słuchawkę i usłyszał znajomy,

uspokajający sygnał wolnej linii. Spojrzał na nas z wahaniem.

Skinąłem ręką na policjantów, by wyszli, potem na komisarza.

Żelazo trzeba kuć, póki gorące. Sam stanąłem w rogu pokoju plecami do Villego.

Oczywiście mógł w tych swoich butach na słoninie bezszelestnie zakraść mi się za plecy i zdzielić przez głowę. Albo wyskoczyć przez zamknięte okno. Z drugiego piętra. Musiałem jednak zaryzykować.

Przyznam, że aż się spociłem ze zdenerwowania, czy mój plan wypali. W pokoju zaległa cisza i usłyszałem sygnał wolnej linii. Po chwili Ville zaczął bardzo powoli i ostrożnie wybierać numery. Aż zadrzałem z radości.

- Halo, tu Ville - chłopak wychrypiął szeptem do słuchawki w dzieciennym przeświadczeniu, że niżenie głosu coś mu pomoże. - Czy Ari w domu?... A dałby radę wstać?... No, proszę go jednak przywołać. - Po dość długiej przerwie Ville wyraźnie się ożywił. - Ari, to ty? Cześć, tu Ville. Bardzo cię nawala?... A... posłuchaj. Przyskrzynili mnie... No, z komendy, z celi... Nie, Ari, nie upadłem na głowę. Jestem tu zupełnie sam i mam bezpośrednie wyjście na miasto... Ale oni mi mówią, że najlepiej, jakbyś sam się zgłosił... Nie, nie, właśnie że dobrowolnie... No co ty, kurwa, ja też nie pękam, sam wiesz. Kumpla nigdy, więc do kogo ta mowa. Ale nie kapujesz, że jesteśmy jeszcze nieletni, a to taka poruta, że w porównaniu z nią ta stłuczka to ciasteczko z kremem? Czytałeś już chyba „Kurier”?... A, Kaija przyniosła. Też tam jest?

Chłopak zamilkł i słuchał. Z początku chyba się wystraszył, po chwili jednak zaczął kipieć ze złości i wchodząc Ariemu w słowo, krzyknął

piskliwie do słuchawki:

- Ari, czegoś ty się mnie uczepił?! Sam jesteś patentowy frajer i nie wiem, po ci dałem kierować, bo już byśmy wózek na rano odstawili! Ale ty musiałeś się popisać przed tą swoją Kaiją!... A, do diabła z wami, tyle samo żeście warci, ty i ona! I nie drzyj na mnie mordy!

Znów słuchał.

- Nie, nie, nie, słowa im nie pisnę, choćby mnie krajali - zaczął zapewniać. - Ale mówią, że mają swoje sposoby. Że niedługo i tak cię dopadną. Posłuchaj mnie choć raz. To niezły przytomniak, ten ich szef, mówię ci, znał już moje nazwisko, zanim mnie dorwali... Nie, nie, nie biją. Przynajmniej na razie... No, nie to nie, dobrze, nie, nie, nie. Ja umywam ręce. Na razie.

Ville Valkonen odłożył słuchawkę na widełki. Odwróciłem się powoli do niego. Wpatrywał się we mnie błagalnie, z miną winowajcy. - Sam nie przyjdzie - oznajmił. - Robiłem, co mogłem, ale jak nie, to nie.

Ari to kozak.

- Wiem - powiedziałem. - To on machnął wczoraj pałką tego szatniarza pod kawiarnią, co?

Ville patrzył teraz na mnie z nabożną niemal czią i już miał *coś* powiedzieć, ale w ostatniej chwili zacisnął usta.

- Nic nie powiem - oświadczył posępnie. - Ale skąd pan wie i to? - spytał z podziwem w głosie. - Ari zdążył nawiać i Kai... ta jego lala razem z nim. No to robię teraz za kozła ofiarnego. Znaczy się za tę witrynę. Ale ktoś ją naumyślnie zbił.

- Czyli Ari to taki kozak, co zostawia kumpli na lodzie -

podsumowałem.

Ville zaraz się usztywnił.

- Nie zrobicie ze mnie kapusia - zapowiedział. - Nie puszcę pary z
gęby. Odpowiem za to, co zrobiłem, ale kumpli nie wsypię.

- Wobec tego przystąpimy do rutynowych czynności -

zapowiedziałem nonszalancko. - Choćby ten twój kumpel był
największym kozakiem w Helsinkach, to kiedy ja zarzucam sieci, długo na
rybkę nie muszę czekać. Ari będzie mógł mieć pretensje wyłącznie do
siebie. Chciałem tylko jego dobra.

Otworzyłem drzwi i skinięciem przywołałem Palmu i policjantów.

- Bierz chłopaka - zwróciłem się do komisarza tonem pana i władcy.

- Niech umyje twarz. A... i niech się od razu przebierze. Rozumiesz, o co
chodzi. Niech nie zapomni o butach.

- Rozumiem, panie kierowniku - powiedział komisarz i skłonił się
głęboko. - Idziemy, Ville.

- Przesłuchanie zostanie wznowione za dziesięć minut -

zapowiedziałem surowo i zerknąłem na zegarek. Zaskoczony
stwierdziłem, że jest już szesnasta czterdzieści osiem. - Tylko od razu
wracajcie. Poradzisz sobie z nim czy potrzebujesz kogoś do pomocy?

- Już my sobie damy radę, no nie, Ville? - zapewnił Palmu
ojcowskim tonem.

Gestem dłoni kazałem policjantom zaczekać. Po wyjściu komisarza
dałem im wskazówki i zacząłem szybko wertować papiery na biurku.

Zabrzącał telefon. Z centrali. Pewnie ujął słuchawkę i

krzyknąłem:

- Kierownik grupy, słucham!

Usłyszałem nabożny męski głos:

- Szczęść Boże, panie kierowniku. Szczęść Boże w pańskiej trudnej pracy.

- Dziękuję, dziękuję - odpowiedziałem machinalnie. Dopiero wtedy się zdenerwowałem. - Kto mówi? - warknąłem.

- Maluczka owieczka ze stada naszego Pana - padła odpowiedź. -

Krawiec Pohjanvuori. Przyniesiono mi właśnie do przeczytania „Kurier”,

choć z reguły nie zaglądam do światowej prasy. Siedlisko grzechu,

grzechu śmiertelnego, oto czym jest ten dzisiejszy świat. No i

przeczytałem, że mojego świętej pamięci brata spotkał zasłużony koniec.

Jego pogańskie zainteresowania...

- Został zidentyfikowany już dawno temu - warknąłem i zerknąłem

na leżący na moim biurku spis. - Otrzymaliśmy jak do tej pory

czterdzieści dwa zgłoszenia od osób, które go rozpoznały. Jeżeli więc nie ma pan nic innego...

- Mam, otóż mam sprawę do pana sędziego - wtrącił pospiesznie

krawiec. - Sprawę Bożą.

- Dobrze już, dobrze - zniecierpliwiłem się. - Zostawmy to na

później. Mam akurat ważniejsze sprawy na głowie.

- Nic nie jest ważniejsze od spraw Bożych! - usłyszałem dobitną

reprimendę. - Wezwanie od Pana może przyjść w każdej chwili. Tak jak

przyszło do mojego świętej pamięci brata. Może się to przytrafić i panu, panie sędzio.

- Oczywiście, oczywiście - zacząłem tracić cierpliwość. - Do rzeczy, proszę.

- Jestem jedynym legalnym spadkobiercą brata. - Krawiec przeszedł do sedna i w jego głosie od razu zadźwięczały światowe nuty. - Po jego śmierci ja jeden pozostałem z całego naszego rodzeństwa. Pomyślałem więc, że zapytam pana sędziego, czy mogę już zabrać rzeczy brata celem sporządzenia spisu inwentarza. Nie miałem z nim kontaktu od lat. On służył diabłu i siłom nieczystym, ja zaś Panu Bogu, o ile mi jednak wiadomo, mieszkanie zajmowane przez mojego brata było jego własnością. Naszej małej owczarni bardzo potrzebna jest dziesięcina, gdyż musieliśmy odłączyć się od macierzystego stada z powodu niesnasek między pasterzami.

- Niech no pan posłucha, panie Pohjanvuori - prychnąłem - chyba pan się jednak trochę zapędził. Zmasakrowane ciało pańskiego brata nie zdążyło jeszcze ostygnąć, a panu się spieszy jak hienie cmentarnej.

Nie było to oczywiście ładnie powiedziane, czuję się jednak usprawiedliwiony.

- To nie mnie się spieszy, tylko sprawom Bożym! - krawiec podniósł głos. - Zaprawdę, powiadam panu, dzień sądu jest bliski! Rozejrzałby się pan lepiej, panie sędzio. Wojny, właśnie, wszędzie antychrysty. Nawet wśród wierzących. Spalą się wtedy fundamenty świata i...

Zdołałem zachować spokój. Z takimi nie warto się kłócić.

- Niewątpliwie ma pan rację - przyznałem. - Tymczasem jednak

dochodzenie jest w toku i osoby postronne nie mają wstępu do mieszkania denata. Powiadomię pana niezwłocznie, kiedy będzie możliwe sporządzenie spisu inwentarza. Poproszę pana adres i numer telefonu.

Rozradowany krawiec Pohjanvuori podał mi swoje dane. I po chrześcijańsku wybaczył mi grubiańskie zachowanie.

Spojrzałem niecierpliwie na zegarek. Mijało zapowiedziane dziesięć minut. Do pokoju wrócili Palmu i Ville. Ktoś pożyczył chłopakowi strój, w którym chudzielec wyglądał jak strach na wróble. Wiedziałem, że jego buty i ubranie są właśnie w drodze do laboratorium. Na nogawkach i mankietach mogły pozostać ślady krwi. A na butach włókna z ubrania Fredrika Nordberga. Jeśli Ville brał udział w tym bezmyślnym okrucieństwie.

Palmu bez słowa położył przede mną kartę daktylo-skopijną.

Widniały na niej czyste odciski linii papilarnych Villego. Kciuk pasował idealnie do śladów zabezpieczonych zarówno w skradzionym samochodzie, jak i na plastikowym pudełeczku ze znaczkiem w portfelu pana Nordberga.

- Przykra sprawa, bardzo przykra sprawa - rzekłem machinalnie i znów zerknąłem na zegarek.

W samą porę. W tej samej chwili w poczekalni przed moim pokojem rozległy się hałasy i dziewczęce piski. Policjanci z radiowozu wpadli do środka, a na ich zaczerwienionych twarzach malowały się jednocześnie triumf i wściekłość. Pierwszy trzymał za ramię groźnie

wyglądającego pieczystego łobuza z gębą pokrytą plastrami. Drugi wniósł pod pachą wierzgającą, piszczącą i drapiącą modnisię.

- Dziękuję panom - podziękowałem uprzejmie policjantom.

Uznałem, że nie warto nawet patrzeć na minę komisarza Palmu. - Dobry wieczór, Ari - pozdrowiłem spokojnie chłopaka. - I Kaijo - dodałem, skinąwszy grzecznie dziewczynie. - Witajcie w naszej komendzie.

6.

Ari próbował się wyrwać i doskoczyć do Villego, który na jego widok wybałuszył oczy ze zdumienia.

- Kapuś w mordę bity! - ryknął Ari. - Sypać kumpli?!

- A-ale ja-ja nie... - zaczął się jąkać Ville.

- Ari, stul pysk! - rozkazałem, zanim trzymający go policjant zdążył zastosować środki przymusu. Zresztą chłopak nie czuł się najlepiej i cały czas trzymał się za bok, mocno posyukując. - Ville niczego nam nie powiedział - zapewniłem go. Policjanci potaknęli, Palmu również. - Pozostał twardy do samego końca. Nie puścił nawet pary z gęby.

Chciałem ci tylko dać szansę, byś zgłosił się dobrowolnie. Dla twojego dobra. Ale nasze miłosierdzie ma swoje granice. No i mamy swoje sposoby.

- Się rozumie - przyświadczył z głębokim przekonaniem jeden z policjantów. - Nigdy bym nie uwierzył, ale pan kierownik od razu...

- Cisza! - zarządziłem. Ale łagodnie. Uśmiechnąłem się w duchu na myśl, że w komendzie znów będą sobie o mnie opowiadać. Spojrzałem na Palmu. Trzeba przyznać, że wyglądał żałośnie. Wreszcie uczeń

prześcignął mistrza. Dobrze mu tak.

Ari zmienił ton i trzymając się ciągle za bok, zajęczał, aż krajało się serce.

- Cholery można dostać, jak poturbowanego człowieka wywlekają z wyra i wiozą do ciupy. Jeżeli umrę z tego wszystkiego, to będzie wina policji.

- Jeżeli umrzesz, to na pewno nie od tego - odrzekłem brutalnie.

A drugi z policjantów potwierdził:

- Zdążył już włożyć koszulę, spodnie i buty, zarzucił właśnie skórę na grzbiet. Jeszcze minuta, a już by ptaszki wyfrunęły z gniazdka. Muszę przyznać, że pan kierownik ma naprawdę głowę na karku.

Znów musiałem przerwać te zbyt liczne pochwały.

- Do rzeczy - upomniałem go.

- Wybieraliśmy się z Kaiją na weekend na letnisko - poskarżył się

Ari głosem cierpiącego niewiniątka.

- No, obiecałam mu, że go uzdrowię - wtrąciła się Kaija. Niemyte włosy spływały na ramiona swetra, obcisłe dzinsy były brudne jak święta ziemia. Z początku uznałem, że ma najwyżej piętnaście lat. Zerknąwszy jednak ukradkiem na jej sweter, musiałem zrewidować swoją ocenę.

- Gliny rzuciły się na Ariego jak wściekłe psy! - poskarżyła się piskliwym głosem. - Bili, kopali i...

- Kłamie w żywe oczy! - zarzekli się chórem obaj posterunkowi. -

Łobuz sam się szarpał. Rodzice usiłowali się wmieszać, ale uwierzyli mi na słowo. Kazałem im dzwonić do pana kierownika, jeśli chcą złożyć

zażalenie.

W tejże chwili rozdzwonił się telefon. Nie była to jednak matka

Ariego.

- Tu Tahtinen - usłyszałem wyważony głos. Jeden z naszych. -

Komisarz Palmu kazał zameldować to panu kierownikowi osobiście.

Wczoraj w nocy około godziny pierwszej do Szpitala Czerwonego Krzyża

zgłosił się młody mężczyzna, miał pociętą twarz i dwa złamane żebra.

Dyżurny lekarz założył mu szwy i plastry, a żebra wzmocnił bandażem.

Chłopak powiedział, że wpadł w domu na szybę w drzwiach, a że nie był pijany, puścili go do domu. Kazali mu się zgłosić za pięć dni. Personalia...

- Ari Kaski - wtrąciłem - zamieszkały przy ulicy Luizy 82 C.

Dziękuję. Już to wiem.

Usłyszałem w słuchawce pełne zdumienia westchnięcie, choć

Tahtinen słynie z mocnych nerwów.

- Tak też myślałem - powiedział z szacunkiem. W naszej komendzie

słuchy rozchodzą się z prędkością błyskawicy. Moja sława sięgała powoli

niebios. - Tak tylko zgłosiłem, bo pan komisarz prosił - zakończył

Tahtinen przepaszającym tonem.

Palmu zlecił mu pewnie tę robotę, gdy Ville zmieniał ubranie. Ale

nie spojrzałem na komisarza. Wbiłem za to oczy w Ariego.

- Czyli wczorajszej nocy Ari przeszedł w domu przez szklane drzwi -

rzekłem z przekąsem.

- No, lekarz kazał mi leżeć przez pięć dni - potwierdził bezczelnie

chłopak. Kto wie, może i zbił celowo jakąś szybę w drzwiach, kiedy w nocy

ślukł się połamany po mieszkaniu. Może był aż tak przebiegły. Ale nie chciało mi się nawet tego wyjaśniać.

- Mamy wszystkie odciski palców - powiedziałem. - Te Yillego zostały już rozpoznane, były w skradzionym samochodzie i... no właśnie. Oto one. Mamy pobrać i porównać odciski teraz czy przyznasz się, zanim to zrobimy?

Harde spojrzenie Ariego zaczęło się dziwnie chwiać. Chłopak spojrzał na swoją dziewczynę, ale Kaija nie mogła mu pomóc.

- Dobra - zaczął. - Skoro Ville jest taki frajer, że dał się złapać, to czemu i ja nie miałbym się przyznać. Ale to on prowadził.

- Prowadziłem, pewnie, ale to nie ja wjechałem w drzewo! - oburzył się Ville. - Sam się pchałeś za kółko! A skąd mogłem wiedzieć, że taki z ciebie szofer, jak z koziej dupy trąbka?

Palmu szybko zakończył sprzeczkę.

- Tak czy owak, pobierzemy te odciski - zarządził i zerknął na mnie.

No, każdy ma swojego bzika, a poza tym uznałem, że wystarczająco go już upokorzyłem. Pewnie chciał teraz pokazać, jak bardzo jest ważny.

Proszę bardzo.

- W takim razie bierzemy też ubranie i buty - zażądałem. Dokładnie tak samo, jak w przypadku Villego. Chociaż można było z tym spokojnie zaczekać.

Wolałbym dalej kuć żelazo, póki gorące, ale może rzeczywiście warto by wybadać tę dziewczynę bez Ariego. Zniecierpliwieni policjanci z radiowozu zaczęli już prze-stępować z nogi na nogę; helsińska policja

odczuwa pałący niedobór lotnych patroli, zwłaszcza w sobotnie popołudnia. Przywołałem więc dwóch porządkowych, a tamtych zwolniłem do dalszej służby. Nie zapomniałem podziękować im za godne najwyższej pochwały, błyskawiczne działanie.

- Śmiało możecie wstąpić po drodze na kawę, zasłużyliście sobie - dodałem nonszalancko. Gdzie indziej, jak nie w policyjnej kawiarni zasiewać ziarno przyszłej legendy?

Jeden z posterunkowych musiał pomóc komisarzowi wyprowadzić Ariego, bo mimo połamanych żeber chłopak znów zaczął się stawiać. Pewnie nie lubił się myć.

Drugiemu kazałem stanąć przed drzwiami na straży. Zęby nam nikt nie przeszkadzał. Dziewczyny się przecież nie bałem.

Moje przypuszczenia się potwierdziły. Kiedy wszyscy poszli i w pokoju został już tylko zdezorientowany Ville, który ciągle tkwił w kącie, dziewczyna zmieniła front i wolno podeszła do biurka.

- Drogi, kochany panie sierżancie - zaczęła się podmaślać, przycisnąwszy mocno piersi do mojego ramienia. Biustonosz uważała najwyraźniej za zbędny dodatek. Dała mi to odczuć.

Ale pomyliła się.

- Jestem kierownikiem grupy dochodzeniowej, a nie żadnym sierżantem - odezwałem się spokojnie i spojrzałem na nią takim wzrokiem, że niemal odskoczyła. Zmieniła więc szybko temat rozmowy. Wbiła swoje dziecinne jeszcze, lecz okrutne oczy w biednego Villego, skrzywiła się i prychnęła złośliwie:

- Z tego Villego to niezła menda, co? Szluga se weznie. I

bezceremonialnie sięgnęła po leżącą na stole paczkę northów. Zdążyła zapaskudzić szminką jeden z ostatnich papierosów nieszczęsnego staruszka, zanim wyrwałem go jej z ust. Przyznaję, że z trudem się powstrzymałem, aby jej nie uderzyć. Mocno opięte pośladki bardzo mnie kusiły. Idealne podłóże. Chyba się domyśliła, co mi chodzi po głowie, bo cofnęła się jeszcze bardziej i rzekła nieco przestraszonym głosem:

- Tylko się nie napalaj, nie dla psa kielbasa. Niedbale opadła na krzesło i wyciągnęła nogi. Niczego sobie, obcisłe nogawki, kolana i tak dalej. Może i rzeczywiście była bardzo zgrabna. Ale to nie na mnie chciała teraz zrobić wrażenie.

- Kopsniesz szluga, Ville? - zagadnęła jakby od niechcienia.

Chłopak pokręcił przecząco głową.

- Pieniędzy pewnie też nie masz, co? - spytałem po przyjacielsku.

- Inaczej by mnie tu nie było - odciął się, próbując poprawić swoją nadszarpniętą pozycję. - Wskoczyłbym od razu do pociągu, a potem wsiadł na statek i popłynął choćby do samego Tornio.

- Ramię policji jest długie - odparłem. - O czym przed chwilą sam się przekonałeś. I szybkie. Nie zdążyłbyś nawet tam dotrzeć. Bo widzisz, masz do czynienia ze mną, a ze mną nie ma żartów.

- Już się przekonałem - przyznał niechętnie Ville. - Chociaż nadal niczego nie kapuję.

Pospiesznie poczęstowałem ich papierosem, aby Ville nie zaczął niepotrzebnie rozmyślać. Chłopak zaciągnął się z wdzięcznością.

Dziewczyna zrobiła dzióbek, dmuchnęła dymem i zaniósła się kaszlem.

Przyznaję, że ponownie zerknąłem na jej sweter. Dlaczego nie miałbym zerknąć. Z daleka przecież.

Powiniennem chyba wyjaśnić zagadkę błyskawicznego ujęcia Ariego, bo czytelnika może to zastanawiać. Nie było to wcale aż takie trudne. A w zasadzie okazało się dziecinnie proste. Kokki ma fotograficzną pamięć, Palmu swoje sztuczki, więc i ja nie mogę mieć renonsu w talentach. Mam wszak słuch muzyczny i... Bardzo łatwo nauczyć się rozpoznawać ze słuchu, z zamkniętymi oczami, cyfry numeru wykręcanego na tarczy telefonu. Nauczył mnie tego pewien niewidomy szczotkarz, ale to już inna historia. Każdy może opanować tę sztuczkę, wystarczy tylko odrobina chęci. Dlatego zamąciłem Villemu w głowie, aby tylko zatelefonował. A kiedy Palmu go wyprowadził, po prostu przekręciłem do informacji i od ręki poznałem nazwisko i adres abonenta. Potem wystarczyło już tylko przekazać rozkaz do radiowozu. Nic prostszego. Uznałem jednak, że najlepiej nie dawać Villemu zbyt wiele czasu do namysłu, bo jeszcze by się zorientował, że dał się nabić w butelkę.

- No to jak to było, Kaija? - zagadnąłem, by trochę ją ośmielić. -

Byłaś z nimi w tym samochodzie czy nie byłaś?

- Pudło, panie starszy - odrzekła dziewczyna, krzywiąc się bezczelnie.

Przyszło mi do głowy, że właściwie czemu i ja nie miałbym w wolnej chwili zrobić małego użytku z prasy.

- Obejrzyj to sobie, tak dla zabawy - zachęciłem ją, wsuwając jej w

dłoń błyszczącą fotografię.

Widniała na niej zakrwawiona twarz Fredrika Nordberga, a uchwycił ją fotoreporter „Kuriera”, gdy dziadek leżał na noszach. Studio fotograficzne popołudniówki uprzejmie zrobiło dla mnie powiększenie i dostarczyło przez gońca prosto na moje biurko. Nawet nie musiałem prosić. Ale kiedyś wepchnę im je z powrotem do gardła. Jeżeli będę miał tu jeszcze coś do powiedzenia.

- No i? - spytała obojętnie modnisia. - Widziałam to już w „Kurierze”. Co mi do tego?

Wyjąłem jej zdjęcie z dłoni i położyłem na biurku wierzchem do spodu. Moje domysły okazały się słuszne. Palce dziewczyny były tak spocone i brudne, że w zasadzie obyłyby się nawet bez dalszych ceregieli. Dla formalności jednak wysunąłem szufladę i pędzelkiem z wielbłądziego włosia naniosłem na odciski proszek daktyloskopijny. Zdmuchnąłem i na odwrocie zdjęcia ukazały się idealne ślady linii papilarnych. Wyciągnąłem kartę z odciskami znalezionymi w skradzionym samochodzie i porównałem.

- Wcale nie takie pudło, dziewczeczko - stwierdziłem wesoło. - Chodź, sama zobacz.

- Gliniarski puc z banderolą - prychnęła pogardliwie Kaija, nie potrafiła jednak zapanować nad dziewczęcą ciekawością i od razu podeszła do biurka. Ville też chciał to zobaczyć. Intrygowały ich na pewno kulisy policyjnej roboty. Podałem dziewczynie lupę, aby sama porównała odciski.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mam w zwyczaju wtrącać się do roboty Kokkiego. Niemniej, gdy czasem zdarzy mi się wolna chwila, w co trudno może uwierzyć, trochę sobie ćwiczę. Lubię wiedzieć, kiedy Kokki próbuje mnie zrobić w balona. Jak raz w prima aprilis.

Trudno było odrzucić świadectwo własnych oczu. Odciski znalezione w skradzionym aucie i na odwrocie zdjęcia były identyczne.

Kaija skrzywiła się pogardliwie.

- No to zapędził mnie pan w kozi róg, panie inspektorze -

skapitulowała. Ciekawe, z jakiego filmu wyjęła tę kwestię.

- Dobra, byłam z nimi, to chyba jasne - przyznała się. - I Ari

prowadził. To też pan oczywiście wie. Chciał wjechać przez park na samą

górze, ale wtedy przydzwo-niliśmy w to drzewo, aż gruchnęło. Co będę

panu więcej opowiadać.

- Na samą górę? - powtórzyłem wolno. - Po co?

- No bo Ville chciał... - zaczęła, ale spostrzegła minę chłopaka i

ugryzła się w język. - To pan nie wie? - zdziwiła się.

- Dobra, sam mu powiem - odezwał się chłopak. - Nie ma co

zaprzeczać. To ja chciałem wjechać na wzgórze, bo stryjek Fredrik obiecał

mi swoją lunetę. Byliśmy już spóźnieni, bo... bo najpierw nas zgarnęli

przez tę cholerną witrynę. Ktoś mnie popchnął. Strasznie mnie to

wkurzyło. To i... ogólnie wszystko. No więc kiedy Ari wepchnął mi się za

kierownicę, powiedziałem mu tylko, żeby grzał skrótem przez trawnik,

prosto na górę. Pomyślałem sobie, że zrobimy rundkę wkoło pomnika

Rozbitków i stryjek się przekona, że nie jestem wcale taka... taka

ciamajda, za jaką mnie ma. No ale walnęliśmy w drzewo. A Ari mi jeszcze farmazony wciska, że niby jechał sto pięćdziesiąt...

- Jechałam z nim raz sto pięćdziesiąt, na szosie do Porvoo! -

Urażona Kaija wstawiła się za swoim bohaterem.

Spojrzenie miała szczere i niewinne. Nie wiedziała nawet, co mówi.

- Co dalej? - wróciłem do rzeczy.

- Ari i Kaija dali chodu - stwierdził rzeczowo Ville. - Ariego bolały zębra i miał pokancerowaną facjatę, bo dostał odłamkami szyby. Nawet płakał, bo z początku myślał, że już po nim. Więc kazałem im iść, żeby go opatrzyli.

Ville naburmuszył się i zamilkł.

- Co dalej? - zapytałem zaintrygowany.

- Potem poszedłem na górę i wziąłem lunetę - wyznał szczerze Ville.

- Obiecał mi przecież, no i ją tam zostawił. Jeszcze by ją kto podprowadził

- dodał tytułem wyjaśnienia, nie mogąc już dłużej patrzeć mi w oczy. -

Spóźniłem się tylko pół godziny.

Moja wyobraźnia zaczęła działać. Żał mi się go zrobiło. Biedny chłopak, słaby charakter, brak dyscypliny. Dziewczyna w ciąży, do spłacenia kilkadziesiąt tysięcy za witrynę, kradzież i rozbicie auta.

Bezrozumna wściekłość na cały świat, która nagle wybuchła. Może staremu Nordbergowi wymknęło się jedno niewłaściwe słowo. Więcej nie było trzeba. Jedno uderzenie. Może krótki wyrzut sumienia. A potem kolejny napad wściekłości. Twarz zmasakrowana jak u Ariego.

Wymierzane na oślepie kopniaki. Zaiste, ten chłopak był chory. W duchu

skwapliwie przyznałem rację profesorowi. Psychopata.

- Co zrobiłeś z pieniędzmi pana Nordberga? - zapytałem jak gdyby nigdy nic. - Przed chwilą stwierdziłeś, że nie miałeś pieniędzy na ucieczkę.

- Stryjek miał w portfelu tylko... - odrzekł chłopak, niczego nie przeczuwając, ale zaraz zaczął się gwałtownie trząść. Musiałem się zerwać na równe nogi, nie mogłem dłużej usiedzieć. Chyba wyczytał wszystko z mojej twarzy.

- Nie, nie! - krzyknął piskliwie. - To było wcześniej, wcześniej!

Wtedy gdy stryjek obiecał mi lunetę! Miała być moja - ciągnął głosem złamanym do szeptu. - Zupełnie moja, bo nigdy w życiu nie miałem nic na własność.

Skrajne napięcie nerwowe, troska i niepokój zrobiły w końcu swoje.

Chłopak ukrył twarz w dłoniach i jak w zwolnionym tempie osunął się bez przytomności na ziemię. Głowa uderzyła głucho o podłogę. Było mi go żal, huczało mi jednak w uszach od triumfalnej radości.

W tym momencie do pokoju wrócił Palmu, popychając przed sobą Ariego. Chłopak wciąż grał twardego kozaka, ale na widok Villego, leżącego bezładnie na podłodze jak worek kartofli, przestraszył się nie na żarty. Ubawiony patrzyłem, jak cofnął się w bezpieczne objęcia komisarza i chowając głowę między ramionami, jęknął błagalnie:

- Nie, tylko proszę mnie nie bić! Przyznam się bez bicia!

Palmu zna mnie jednak dobrze i nawet nie podejrzewał, że mógłbym Villego uderzyć. Gdyby było inaczej, na pewno bez

zastanowienia dałby mi zaraz w mordę. W obronie deptanych zasad

komisarz jest zdolny nawet do rękoczynów.

- No i widzisz, Palmu - zwróciłem się do niego, ignorując Ariego. -

Sprawa jest w zasadzie wyjaśniona. Sam ją rozwiązałem.

- Mówisz o tym aucie? - odrzekł obojętnie Palmu. Nie połapał się, o czym mówię.

- Mówię o zabójstwie! - wypaliłem gniewnie i wskazałem na leżącego na podłodze chłopaka. - Tu masz sprawcę.

- Podejrzanego - poprawił automatycznie Palmu. Zmroziło mnie.

Moim zdaniem komisarz mógłby choć raz okazać trochę entuzjazmu dla moich dokonań. W końcu jestem jego uczniem. W pewnym sensie.

- Wiadomo, trzeba jeszcze sporo wyjaśnić - przyznałem sztywno. -

Ale to już tylko formalności. Dowody poszlakowe są jednoznaczne. Jako prawnik mogę cię zapewnić...

- Jako prawnik możesz sobie tymi poszlakami podetrzeć... - odparł

Palmu, ale ugryzł się w język, przypomniał sobie bowiem o obecności nieletniej młodzieży. Przyklęknął obok zemdlonego Villego i czule złożył jego głowę na swoim kolanie. - Pomógłbyś mu chociaż! - ryknął na mnie.

- Nie widzisz, że to jeszcze dziecko?! Wody!

Dopiero gdy w drżącej z gniewu dłoni podsunąłem mu szklanę, przypomniał sobie i dodał z szacunkiem:

- Panie kierowniku.

Niezdarnie spryskał bladą twarz chłopaka i przestraszony potrząsnął go za ramię.

- Za-zabił go p-pan? - wyjąkał Ari i zaczął płakać. - Ta-tak nie wolno... To-to bezprawie... Bo-bolą mnie żebra... - Rozklejony bohater spojrział błagalnie na swoją lalę, ale jego widok bynajmniej nie nastrajał modnisi do czułości.

- Nie dotykaj mnie, świnio jedna! - fuknęła na niego. - Ari, nie miałam pojęcia, że z ciebie aż taki frajer. A ja poważnie myślałam, żeby pojechać z tobą obejrzeć ten domek.

- Ale oni mordują! - chłopak próbował się bronić płacząco. - Stelefonuję się z ojcem, przyprowadzi tu prawnika! - usiłował jeszcze grozić.

- Ari - zapowiedziała Kaija stanowczo - jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie tknąć choćby palcem, jeśli jeszcze raz spróbujesz do mnie zatelefonować, to nie wiem, co zrobię! - Wreszcie i jej głos się załamał i zawstydzona dziewczyna zaczęła szlochać. - Gdybyśmy chociaż byli w swojej paczce, ale tak się mazgaić przed gliniarzami? Ville Valkonen zaczął przychodzić do siebie. Powoli uniósł niemiłosiernie skołowaną głowę i komisarz Palmu pogładził go po potarganych włosach.

- Ja... ja się już przyznam, powiem wszystko - wyszeptał bełkotliwie.

- Ale nie męczcie mnie już więcej. - I znowu zemdłał. Jego głowa zsunęła się z kolan Palmu na podłogę.

- Czasem jesteś... bardzo okrutny, szefie - skarcił mnie Palmu i przyznam, że nie było mi do śmiechu. - Chłopak jest wyraźnie w szoku.

Podczas tej kraksy mógł doznać wstrząśnienia mózgu. Próbował rzucić się pod pociąg. To nie jest normalne zachowanie.

- Pewnie, wiadomo - uspokoilem go. - Będzie psychiatra, będą

badania i co tylko chcesz. Wszystko w swoim czasie.

- Teraz chłopak potrzebuje przede wszystkim snu, spokoju i

jedzenia - zapowiedział Palmu. - I lekarza.

Przeraziłem się.

- Bałbym się wołać do niego lekarza, bo zaraz na-faszeruje go

zastrzykami - zaproponowałem. - I potem powiedzą, że policja używa

narkotyków do wymuszania zeznań. Pielęgniarka nie wystarczy? I dwie

aspiryny?

- A może kuratorka? Ostatecznie chłopak nie skończył jeszcze

osiemnastu lat. - Aluzja komisarza była paskudna.

- Jeżeli mi to zrobisz, ona go rozszarpie - zacząłem groźnie, ale głos

mi się załamał. - Albo mnie - dodałem. - Sam wiesz, że wtedy chłopak

wyjdzie stąd przed wieczorem. Choćby w grę wchodziło zabójstwo z

premedytacją. Ta kobieta to wściekła lwica. Żywię nadzieję, wielką

nadzieję, że nie dowie się o niczym przed poniedziałkiem.

- Ma domek letniskowy w Lohji - wspomniał Pal-mu. - Co

poniektórzy powyjeżdżali już na weekend, wykopki czas zacząć. Ale jeśli

babka usłyszała wieczorne wiadomości, to nie zdziwiłbym się wcale,

gdyby wróciła do Helsinek pierwszym autobusem. Ja też za nią nie

tęsknię. W zasadzie to nic do niej nie mam, ale jak można aż tyle gadać?

- Mam! - przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - Niech Alpio

weźmie chłopaka. W końcu wychował na porządnych ludzi dziesiątkę

dzieciaków. W każdym razie niewiele mu brakowało. Zatrąszy się o

Villego jak o rodzzonego syna. Wrzucimy chłopaka do separatki, a Alpio usiądzie obok niego i będzie go trzymać za rękę. Jeśli o mnie chodzi, to może go nawet karmić łyżeczką.

- Zgoda - rzekł Palmu. - Ale jeśli Ville dalej będzie tak bredził, to lekarz i zastrzyki.

- Jak to bredził? - zaperzyłem się. - Może chłopaka najzwyczajniej w świecie ruszyło sumienie i chce się uczciwie do wszystkiego przyznać, co w tym złego? Ale dobrze, niech się najpierw wyśpi, nie mam nic przeciwko temu. Nie jestem z kamienia.

Wezwałem ludzi z noszami i dałem wskazówki. Zatelefonowałem do Alpia. Tak się pięknie złożyło, że był akurat na popołudniowej zmianie. W sobotę. Jego dzieci już poszły w świat, a żona zmarła, i Alpio mógłby już dawno przejść na emeryturę, ale czuł się na komendzie jak u siebie w domu. Bardzo dobry człowiek. Nawet za dobry, bo czasem potrzeba trochę twardszej ręki. Zbyt sentymentalny, tak bym to ujął.

Ville Valkonen znów się ocknął, gdy policjanci przekładali go na nosze. Ścisnąłem mu serdecznie dłoń i poklepałem po czole.

- Nie bój się, chłopcze - powiedziałem. - Jakoś to będzie.

„Dobrze albo źle”, pomyślałem jeszcze, ale nie powiedziałem tego na głos. Villego wyniesiono do separatki. Odwróciłem się do Ariego.

- W sumie - zacząłem - jeśli Kaija i ty posłicie w nocy prostą drogą ze Wzgórza Obserwatorium do Szpitala Czerwonego Krzyża, to w zasadzie mógłbym was wypuścić...

Palmu chrząknął znacząco, ale dziewczyna zdążyła go ubiec. Oczy

załśniły jej groźnie.

- Nigdzie nie pójdę z tym palantem! - prychnęła. - Lepiej mnie już przyskrzyńcie!

- Posłałem kartę daktyloskopijną Ariego kierownikowi grupy zajmującej się kradzieżą samochodów, tak dla formalności - powiedział Palmu. - Współpraca, wiadomo. Pan kierownik w kółko wbija nam to do głowy.

Oczywiście sam powinienem był na to wpaść, kiedy Kaija tak się chwaliła szaleńczą jazdą na szosie do Porvoo, ale kto by zdążył o wszystkim pomyśleć. Powinienem był też chyba spostrzec, że przygarbiony Ari zaczyna się chyłkiem przemykać ku drzwiom, przez które wyszli właśnie policjanci z noszami. Ale nie udało mu się. Wpadł bowiem prosto w objęcia kierownika samochodziarzy, który pofatygował się do mnie osobiście, wymachując kartą daktyloskopijną Ariego. Pewnie zżerała go ciekawość. Po komendzie zaczynały już krążyć na mój temat dziwne plotki. Inaczej pewnie nie chciałoby mu się siedzieć w sobotnie popołudnie w pracy. Najwięcej roboty jego grupa miała w poniedziałki. Aż za dużo.

- Piękna akcja, panie sędzio! - krzyknął od drzwi, wlokąc Ariego za kark. - Długo polowaliśmy na tego ptaszka. Osiem kradzieży jak do tej pory. I jedno potrącenie. Ile ty masz lat, konusie?

- Dziewiętnaście - burknął Ari.

- Dziękuję ci - rozpromienił się szef samochodziarzy. - Dziękuję ci za to, chłopcze. Gdybyś zdołał się teraz wywinąć z tego zawieszenia,

musiałbym uznać, że nasze prawo już zupełnie przegniło.

Nagle twarz mu zsiniała. Potrząsnął chłopakiem gwałtownie i ryknął:

- Zdajesz sobie sprawę, gnoju jeden, że ta dziewczynka, którą potrafiłeś, będzie inwalidką do końca życia?!

Ari chwycił się za żebra i zaczął rozdzierająco jęczeć.

- Stelefonuję się z ojcem! - znów zagroził, ale w jego głosie nie było już śladu dawnej hardości.

- No, to już sprawa między wami - orzekłem. - Możesz go zabrać i sobie zamknąć. Mnie nie będzie potrzebny. Zdaje się.

Spojrzałem z wahaniem na Kaiję. Nie, ta dziewczyna nie mogła brać udziału w masakrze starego człowieka. Mimo wszystko było to widać na pierwszy rzut oka.

Szef samochodziarzy wyszedł, zabierając Ariego. Powiedziałem szybko:

- Tę panienkę puszczaamy do domu. Tylko personalia i adres. I numer telefonu. Kaija, słucham.

- Nie daję swojego numeru każdemu jednemu - odrzekła zalotnie dziewczyna. - Ale panu, inspektorze, dam z największą chęcią.

- Gów... - Palmu mruknął coś pod nosem. A może tylko tak mi się zdawało.

Dziewczyna poszła. Przedtem podałem jej dłoń i bardzo mocno ścisnąłem spoconą, brudną rączynę. Wyszła, kołysząc zalotnie zgrabnymi pośladkami. Ale nie miałem już ochoty ich klepnąć. Pogodziłem się ze

światem. Zatarłem dłonie. Wystarczyła mi świadomość, że poza sławą mam także powodzenie u kobiet.

Przypomniałem sobie o Saarze Pohjanvuori. - Posłuchaj no, Palmu

- zacząłem tonem łagodnej perswazji. - Czy ja w zasadzie muszę z wami jechać na tę Marynarską? Przecież ty i Kokki możecie sami śmiało poprowadzić sprawę do końca. Moim zdaniem ja już swoje zrobiłem.

W rzeczy samej zastanawiałem się już, jak urządzić spotkanie z dziennikarzami dla siebie i naczelnika wydziału. Byłem przekonany, że naczelnik lada moment zjedzie do Helsinek z urlopu na wybrzeżu.

- Kazałem powiadomić Saare, że Ville został zatrzymany i że jest trochę wstrząśnięty, ale poza tym czuje się dobrze - powiedział Palmu. - W końcu jej to obiecaliśmy.

- Jak, kiedy? - spytałem zdezorientowany.

- Ta jej sąsiadka z pierwszego piętra ma telefon, wziąłem od niej numer, kiedy tam zaszedłem - oświecił mnie chętnie Palmu. - Tylko nie pytaj mnie teraz, po co jej telefon. Kobieta była na lekkim cyku - ciągnął komisarz. - Ale dobrze się spisała. Kokki kazał cię pozdrowić.

- No, co tam u niego? - spytałem niecierpliwie.

- Dziewczyna smażyła mu właśnie jajecznicę na boczku - odrzekł melancholijnie Palmu.

- Czy ten człowiek nigdy nie dostaje jedzenia w domu? -

zirytowałem się. - Przecież to beczka bez dna!

- Przepraszam, panie kierowniku - powiedział Palmu i spojrzał

demonstracyjnie na swój zegarek. - Ja wcale się nie skarżę, bynajmniej,

ale wyznaczony nam, zwykłym śmiertelnikom, czas na zjedzenie obiadu już dawno minął. Szef ma oczywiście inne godziny posiłków, wiem to doskonale, i jada sobie w takim Kamppi... albo w Rybackiej*[* Kalastajatorppa - istniejąca od lat trzydziestych ubiegłego wieku restauracja i hotel w dzielnicy Munkkiniemi, na zachodnim skraju Helsinek.].

- Palmu! - syknąłem z pasją. - Sam dobrze wiesz, że moja pensja nie wystarczy na to, żeby stołować się w Kamppi, o Rybackiej nie mówiąc. Jeżeli czasem skubnę sobie małą kolacyjkę w Klubie Chórzysty...

- Na własne oczy widziałem raz pana kierownika, jak wychodził z Kamppi - zeznawał uparcie Palmu. - Czyścił sobie zęby wykałaczką. I pobekiwał.

- Ja nie bekam! - zaperzyłem się, czerwieniejąc na twarzy. - Może i czasem wychodzę na miasto dla podtrzymania wizerunku. Człowiek na moim stanowisku musi pokazywać się tam, gdzie bywają wielcy tego świata. To... to rodzaj dodatkowych kwalifikacji, choć ty nigdy tego nie zrozumiesz.

- Teraz jednak pojedziemy razem z powrotem na Marynarską - zarządził Palmu. - Nie mogę zostawić cię pochopnie bez opieki, bo zaczniesz wygadywać głupoty.

Wróciliśmy więc razem na Marynarską. Nie potrzebowaliśmy odpoczynku. Ani jedzenia. Sukces uderza do głowy i podtrzymuje ciało. Z początku szło jak po grudzie, twierdząc jednak, że gdy tylko się połapałem co i jak, od razu wzięłem ludzi do ostrego galopu. Temu nikt nie mógł

zaprzeczyć. I nie spieszyło mi się. Dochodziła dopiero siódma wieczór.

Latarnie już się paliły. Na Marynarskiej było tłoczno. Ale Kokki i fotografowie zrobili swoje. Przy zamkniętej żelaznej bramie od podwórza stało na straży dwóch stójkowych, aby do kamienicy nie przedostał się nikt niepowołany. Kiedy wychodziliśmy z wozu, znów rozbłysły lampy aparatów. Zauważyłem, że tym razem Palmu nie wsunął sobie fajki do ust ani nie próbował robić mi za tło. Uśmiechnąłem się szeroko. Nic nie mogłem na to poradzić. Kiedy następnego dnia oglądałem niedzielne gazety, stwierdziłem, że to zdjęcie wygląda jeszcze głupiej niż tamto z otwartymi ustami.

- Panie kierowniku kochany! - jęknął błagalnie najstarszy z dziennikarzy. - Tylko dwa zdjęcia w środku.

- Później - odmówiłem grzecznie i już miałem od niechcienia spytać, jak wpadli na ten adres, ale sam się zaraz domyśliłem, że skoro my dostaliśmy pięćdziesiąt zgłoszeń po publikacji zdjęcia ofiary, to prasa musiała ich dostać dwukrotnie więcej. Ugryzłem się w język, aż łzy napłynęły mi do oczu.

Po chwili namysłu wziąłem na stronę najstarszego ze zgromadzonych przed domem dziennikarzy i szepnąłem mu na ucho:

- Jeśli pan chce, coś panu podpowiem. Ale tylko panu. Po starej znajomości. Proszę pojechać do Studni. Znajdzie pan tam posterunkowego Karhunena, który stoi na straży pewnej lunety. Proszę ją sfotografować. Będzie pan mieć to zdjęcie na wyłączność. Nie pożądaje pan. A potem powie pan Karhunenowi, żeby mi tę lunetę dostarczył do

mojego pokoju w komendzie. Nie musi już jej pilnować.

- Lunetę? - mruknął zdezorientowany reporter, ale zaraz jego
ogorzała twarz wyraźnie się rozchmurzyła. Mrugnął porozumiewawczo do
swojego kolegi z aparatem i jak gdyby nigdy nic zaczął się przeciskać
przez tłum do wyjścia. Fotograf wbił się w ciżbę za nim. Kiedy
wchodziliśmy do bramy, dostrzegłem podejrzliwe, targane
wątpliwościami twarze. Dziennikarze chcieli zostać, a z drugiej strony -
tamten wyraźnie dostał jakiś cynk. Jeden po drugim zaczęli się ulatniać
za nim. Na ulicy pozostał już jedynie zwyczajowy tłum gapiów.

Na podwórzu ze smutnych okien w szarej ścianie wyglądały
zaciekawione twarze. Policjant na klatce dziarsko zasalutował.

- Wszystko w porządku, panie kierowniku! - zameldował. -

Osobiście doniosłem szynki i jajek.

Spojrzałem z przyganą na Palmu. Zrobił minę winowajcy. Gdy
weszliśmy na drugie piętro, poczułem cudny zapach pieczonej szynki i
ślinka napłynęła mi do ust.

Ostatecznie gotowane śledzie z ziemniakami to niewiele dla sporego
mężczyzny na cały dzień.

Twarz panny Pohjanvuori kraśniała, a oczy błyszczały z radości, gdy
uwijała się w kuchni przy garnkach.

- Jeszcze momencik! - zawołała. - Pan komisarz Palmu idealnie
trafił. Już nakryłam do stołu. Proszę siadać!

Zgasiała płomień i weszła do pokoju, niosąc przed sobą skwierczącą
patelnię. W fartuszkach i z zarumienionymi policzkami wyglądała

prześlicznie. Zaraz jednak przypomniałem sobie Villego i zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Ideał kobiety. Itaki łobuz. Przemknęło mi przez myśl, że kierowanie komisją zabójstw, nawet w zastępstwie, wcale nie jest przyjemne.

Podczas jedzenia rozglądałem się ukradkiem dokoła. Meble stały na swoich miejscach. Na regał wróciły powy-cierane książki, a oprawione miedzioryty zawisły z powrotem na ścianach. Znajdowaliśmy się w mieszkaniu odczytanego staruszka. Może biednego, ale niezależnego.

Kawalerka była teraz schludna i przytulna.

Pięknie podziękowaliśmy gospodyni za posiłek, po czym Palmu, przegnawszy Kokkiego z jedyne go wygodnego fotela, znów zaczął nabijać tę swoją fajkę. Sprężyny zgrzytały ze starości, ale kapa była całkiem przyzwoita. Na pewno robota dziewczyny. Wzruszyłem się. Podeszedłem do regału. Astrologia, gruba księga efemeryd, którą przewertowałem, dwa katalogi znaczków, historia. Fredrik Nordberg poza szwedzkim czytał także po niemiecku i angielsku. Mój szacunek do niego wzrósł. I zaraz poczułem, jak wzbiera we mnie niepoohamowany gniew na rozwydrzonego, niezrównoważonego chłopaka. Dlaczego miałbym się nad nim litować? Dziewczyny było mi szkoda. I jej starego stryja.

Zapaliwszy fajkę, Palmu leniwie wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i rozłożył ją na kolanach. Widniał na niej brudny odcisk wytartej gumowej podeszwy.

- Z reguły nie lubię ścinać dochodzenia na skróty - zarzekł się - ale

ta sprawa jest jednak wyjątkowo interesująca, a poza tym nasz szef coś się

za bardzo wyrywa do przodu. Nie sądzisz, Kokki?

- Odcisk podeszwy Villego? - burknąłem podejrzliwie. Na szczęście dziewczyna poszła do kuchni zaparzyć nam kawy.

Kokki tylko zerknął.

- Nawet nie blisko - pokręcił głową. - Chybiony strzał, panie komisarzu. Rozmiar mógłby się nawet zgadzać, ale to są zupełnie zniszczone buty i wzór na podeszwie jest ledwo czytelny. Tamte znów... -

Kokki skinął kciukiem przez ramię w stronę przedpokoju - to nowiuteńkie kamasze, noszone najwyżej parę razy, a i wzór był inny. Nic z tego, Palmu.

- Tak też myślałem - odrzekł zadowolony komisarz. - Ale co zrobić, kiedy ten nasz kierownik w gorącej wodzie kąpany. Odciski palców były?

- Cała masa - przyznał Kokki. - Wszystkie jednak pozostawił niejaki Fredrik Nordberg.

- Ville tu był! - zaperzyłem się. - I to wielokrotnie. Przesiadywał do późna. To chyba oczywiste, że w ubikacji muszą się odnaleźć ślady jego linii papilarnych.

- To możliwe - przyznał niechętnie Kokki. - Ale w takim razie musiałyby to być stare ślady. Chłopaka nie było tu od paru dni. Trochę się ze staruszką posprzeczał. Dziewczyna opowiadała. - Detektyw taktownie skinął głową w stronę kuchni.

- No właśnie, posprzeczał! - podchwyciłem. - Przecież to chyba oczywiste, że był tu ubiegłej nocy. Zabrał staremu klucze i przyszedł zobaczyć, czy nie znajdzie pieniędzy - strzeliłem na oślep.

Spoczęły na mnie zamyślane spojrzenia Palmu i Kok-kiego. Znałem

ten ich wzrok. Oklapłem. A raczej - zmroziło mnie.

- Nasz szef znów skorzystał ze swej wyobraźni - orzekł wreszcie

komisarz, stuknąwszy kilkakrotnie cybuchem fajki o dłoń. - Tej mu nie

brakuje. Trochę nawet jakby miał jej za wiele. Podobnie jak chóralnego

głosu.

- Nie zaczynaj się znów pastwić nad naszym chórem, Palmu -

wstawił się Kokki. - Chór nie ma tu nic do rzeczy.

- Portfel, odciski palców, luneta - wyliczyłem. - I to nie ja chciałem

wepchnąć chłopaka pod pociąg. Sam się rzucał. Poza tym przyznał się do

wszystkiego.

Za późno się zorientowałem, że Palmu daje mi znaki ostrzegawcze.

Ale dziewczyna nie upuściła tacy. Filizanki rozdzwoniły się tylko

złowieszczo, gdy stawiała ją na stole.

- Ville próbował rzucić się pod pociąg? - zapytała surowo.

Wyglądała raczej na zdumioną niż przestraszoną. - Przecież nie miał

powodu. Wszystko było już dobrze. Prawie dobrze - poprawiła się. - Nie

zamierzałam wcale przymuszać go do małżeństwa. Stryjek też tego nie

żądał. A przyznał się do czego?

Westchnąłem głęboko.

- Do wszystkiego - powtórzyłem posepnie.

- Ville jest w szoku - wtrącił pospiesznie Palmu. - W końcu to

jednak jeszcze bardzo młody chłopak.

Dziewczyna trochę się zaczerwieniła.

- Ville jest bardzo dojrzały jak na swój wiek - stwierdziła cierpko. -

Wyrośnie na prawdziwego mężczyznę. Ja mam już rzeczywiście dziewiętnaście lat, on pojutrze skończy osiemnaście. Proszę więc dla siebie zachować uwagi, że skoro jestem starsza, to powinnam była być mądrzejsza. Ville jeszcze wyjdzie na człowieka. A wtedy zobaczymy. Stryjek też w końcu w niego uwierzył. Dlatego kupił to mieszkanie na Różanej, żeby... żeby i dla Villego było miejsce, gdyby...

- Tylko skąd właściwie wziął na to pieniądze? - wtrącił nietaktownie Palmu. - Pan Nordberg nie sprawiał wrażenia człowieka zamożnego.

Przecież takie nowe mieszkanie kosztuje dobre trzy miliony. Dwa pokoje z kuchnią. Czy kupił w Aravie*[* Popularna nazwa powstałej w 1949 roku państwowej Komisji Budownictwa Mieszkaniowego, udzielającej tanich kredytów.]?

- Nie, nie w Aravie - odrzekła dziewczyna. - Dwa miliony siedemset tysięcy. Oszczędnie zbudowany, nieszczerólnie piękny dom.

- Ale skąd wziął na to pieniądze? - powtórzył Palmu. - Ma się rozumieć, że za tę kawalerkę też by coś tam dostał, mieszkanie w samym centrum i tak dalej, ale...

- A, to pewnie zapomniałam panom powiedzieć? - zdziwiła się dziewczyna. - Przecież stryjek wygrał w sierpniu główną nagrodę na loterii.

- Główną nagrodę?! - wszyscy trzej skoczyliśmy na równe nogi.

- No, to teraz wreszcie i ja rozumiem - uspokoił się Kokki. - Bo już się trochę zaczynałem zastanawiać. Ja też z reguły nie lubię ścinać

śledztwa na skróty, ale skoro byli tu już nasi technicy, a ja spostrzegłem, że jedna szuflada biurka jest zamknięta na klucz, to tego... chciałem tylko przyspieszyć dochodzenie, panie kierowniku... i tak jakoś wyszło, że ją otworzyłem. - Kokki napawał się naszym napięciem. - Żeby zabezpieczyć wszelkie ewentualne odciski linii papilarnych... - przedłużał jeszcze. - Ale w szufladzie nie było żadnych śladów poza odciskami pana Nordberga. Już to sprawdziłem. Ale nie twierdzę, że nikt tam nie grzebał, bo to możliwe. W środku wszystko było poprzewracane do góry nogami. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że biurko już raz zniesiono i wstawiono na ciężarówkę, a potem chłopaki wnieśli je z powrotem. Nie może zatem dziwić, że w szufladzie był taki bałagan.

- Ja... ja o tym nie wiedziałam - zażenowana dziewczyna zasłoniła usta dłonią. - Myślałam, że wszystkie ważne dokumenty stryjka są w tej czarnej walizce. Zamierzałam znieść ją na samym końcu, aby mieć ją cały czas na oku. Jak mogłam być tak nieostrożna? Biurko stało zupełnie niepilnowane na platformie ciężarówki przez cały ten czas, kiedy piliśmy z kierowcą kawę, czekając na stryjka i... Villego.

- Zamek szuflady otworzyłoby bez klucza nawet niemowlę - zapewnił ją Kokki, który ma wiele szacunku dla niemowląt. - Niechże się jednak panienka nie martwi. Wydaje mi się, że ze środka nic nie zginęło.

- To dlatego zabronił mi pan wychodzić z kuchni! - Panna Pohjanvuori zmarszczyła brwi i spojrzała podejrzliwie na detektywa. - Gdybym wiedziała, że będzie pan grzebał w papierach stryjka...

- No już, już - rzekł uspokajająco Palmu. - Grzebanie to nieładne

słowo, ale tym się rzeczywiście zajmujemy, cała nasza trójka. Za to nam płacą. Taki już mamy zawód. Brudną robotę też ktoś musi wykonywać. A nasz detektyw na pewno miał dobre intencje.

- Wszystko zostało zabezpieczone - zapewnił urażony Kokki. -

Książeczka bankowa pana Nordberga, saldo trochę powyżej miliona. I książeczka bankowa konta oszczędnościowego prowadzonego w pani imieniu, panno Pohjanvuori, pięćset tysięcy.

Dziewczyna nie wyglądała na zadowoloną.

- Milion pięćset tysięcy... - liczyła na palcach. - Nie zgadza się.

Stryjek zapłacił za mieszkanie dopiero dwa miliony. Ostatnią ratę, siedemset tysięcy, miał zapłacić do poniedziałku. Nie było w szufladzie żadnej gotówki?

Kokki wyraźnie się zmieszał.

- Była zapieczętowana koperta - odrzekł - ale już rozerwana, bez pieniędzy i bez odcisków palców, poza śladami linii papilarnych pana Nordberga. Zabezpieczyłem za to testament.

- Testament? - zdziwiła się dziewczyna. - Nie miałam pojęcia, że stryjek zdążył... - Przygryzła wargę i zamyśliła się. Sprawiała bardzo dziwne wrażenie.

- Ale wiedziała pani, że stryj zamierzał zapisać pani w testamencie pieniądze? - zagadnął Palmu.

- Że mnie? Tak, oczywiście, wiedziałam - zapewniła go panna

Pohjanvuori. - Stryjek mówił mi o tym wiele razy. Przez dziecko i w ogóle.

Ale przecież nie musiał się z tym spieszyć. Myślałam, że kiedyś, później,

po przeprowadzce...

- Jednak testament istnieje. I chyba wymienia panią?... - zapytałem
ucieszony.

Kokki energicznie pokiwał głową. Parę razy.

- Dzięki Bogu - wyrzekłem z ulgą. Faryzeuszowski głos krawca

Pohjamaioriego przestał mi wreszcie dźwięczeć w uszach.

Dziewczyna ciągle jednak wyglądała na niezadowoloną. Wreszcie

uniosła wzrok i spojrzała na Kokkiego, nie, bynajmniej nie

oskarżycielsko. Powiedziałbym raczej, że była wyraźnie zbита z tropu.

- Proszę posłuchać - powiedziała i znów przeliczyła na palcach. - O

ile się orientuję, w tej szufladzie powinno być jeszcze bardzo dużo

pieniędzy. Stryjek miał zapłacić w poniedziałek siedemset tysięcy, a z

rachunku depozytowego nie można bez rozwiązania umowy pobrać

więcej niż dwieście tysięcy na miesiąc. Stryjek musiałby zapłacić karne

odsetki, a był człowiekiem bardzo oszczędnym. Nie, wcale nie skąpym,

ale... No i miał przecież jeszcze własne oszczędności. Więc zupełnie nie

pojmuję... - Dziewczyna przygryzła wargę i wbiła spojrzenie w Kokkiego.

Potem przeniosła wzrok na stojącą w rogu pokoju czarną walizkę. -

Zajrzyjmy może jeszcze tam - zaproponowała.

Zajrzeliśmy *wszyscy*, ale w środku nic nie było. Tylko pościel i

codzienna garderoba pana Nordberga. I klasery. Żadnych kopert ani

dokumentów.

- To co się stało z tą główną nagrodą? Przecież stryjek dostał pięć

milionów. - Dziewczyna znów zaczęła liczyć. - Za mieszkanie zapłacił

gotówką dwa miliony. Na książeczce bankowej jest milion pięćset tysięcy.

I to razem z jego oszczędnościami. W takim razie brakuje półtora miliona. A już na pewno brakuje tych siedmiuset tysięcy w gotówce, które stryjek miał zapłacić w poniedziałek. Panna Pohjanvuori spojrzała surowo na Kokkiego. I ja na niego spojrzałem. „Dobry Boże”, przeraziłem się w myślach.

Dziewczyna gapiała się na Kokkiego naprawdę nieprzyjemnie.

Detektyw zaczerwienił się powoli po same uszy, wstał i wyciągnął obie kieszenie spodni na lewą stronę. Bez słowa.

- Proszę posłuchać, panno... no, Saaro - ruszyłem pospiesznie na odsiecz podwładnemu. - Różne rzeczy wygadują o nas, policjantach. Zwłaszcza tutaj, w okolicach Czerwonej Góry i... pośród tutejszych kozaków. Ale chyba nawet pani do głowy nie przyszła myśl, że mój podwładny mógłby wykorzystać okazję, by...

- Pokusa bywa wielka - zauważył Palmu i spioruno-wał Kokkiego wzrokiem. Było po nim widać, że bawi go ta sytuacja. - Światowe uciechy i tak dalej. Tak to jest, jak się sypie dwie łyżeczki kawy na filiżankę. Do tego to prowadzi. Panie kierowniku, uważam, że w pierwszej kolejności powinniśmy poddać Kokkiego gruntownej rewizji osobistej. Mógł ukryć flotę w skarpetce...

- Palmu! - rzucił Kokki ostrzegawczo. - Wszystko ma swoje granice, nawet żarty.

- Otóż to - zawtórowałem. - Zaczynają nas już nużyć te twoje głupie wyskoki. To poważna sprawa.

- Poważna sprawa, ma się rozumieć - zgodził się Palmu. - Czyli to było w sierpniowej loterii, panno Po-hjanvuori, tak? Chodzi mi o tę główną nagrodę. jfiA

- W sierpniowej - potwierdziła dziewczyna. - Pamiętam bardzo dobrze, bo spadły nam te pieniądze jak dar od Boga, zaledwie parę dni po tym, jak musiałam powiedzieć stryjkowi, że... - Saara Pohjanvuori spiekła siarczystego raka i zwiesiła głowę. Była to jednak dzielna dziewczyna. - Że jestem w ciąży - dopowiedziała zdecydowanym tonem. - Przecież poza stryjkiem Fredri-kiem nie miałam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć. Nawet Villemu nie powiedziałam od razu. Stryjek był niewymownie dobry i zawsze mnie rozumiał. Nie powiedział mi nigdy złego słowa. Obiecał, że zrobi, co tylko będzie mógł, choć miał jedynie skromne oszczędności. Ale przyrzekł, że sprzeda swoją kolekcję znaczków i... i powiedział mi, abym się w ogóle niczym się martwiła, tylko cieszyła. - Z oczu dziewczyny znów zaczęły kapać łzy. - I dla-atego - zająknęła się - to było jak cud, jak uśmiech losu, że zaledwie trzy dni później stryjek wylosował tę główną nagrodę. To było jak... jak zrządzenie opatrności.

- O aborcji nie było mowy? - spytał Palmu, patrząc surowo na dziewczynę.

- Ja nie jestem z takich! - wybuchnęła. - Już ja potrafię wyżywić siebie i swoje dziecko. I... i choćby Villego na dokładkę, jak będzie trzeba. Jeśli tylko... on będzie tego chciał. Nie będę go zmuszać. Ale pojutrze kończy osiemnaście lat i...

- Już dobrze, dobrze - rzekł Palmu pojednawczo. - Już to

słyszeliśmy. No a co na to Ville? Wystąpił z jakąś propozycją?

Dziewczyna wyraźnie straciła rezon.

- Ville jest jeszcze za młody - rzekła. - Wiadomo, że gdy mu powiedziałam, był zdruzgotany. Zaraz chciał szukać jakiejś baby, żeby... Obiecał, że zdobędzie pieniądze, choćby nawet miał je ukraść. On... on oczywiście myślał wtedy o mnie, powiedział, że to dla mnie, dla mojego dobra, żeby mi życie przez niego nie runęło. Ville jest jeszcze bardzo dziecinny.

- Choćby nawet miał je ukraść - powtórzyłem wolno i wbiłem wzrok w podłogę. Nie mogłem patrzeć na dziewczynę. A już na pewno nie w oczy. Ale to ja byłem kierownikiem grupy. I to na mnie spoczywała odpowiedzialność. - Palmu, chyba już czas przeszukać mieszkanie Villego - rzekłem bez ogródek. - Może przy okazji znajdziemy u niego całkiem nowe buty - dodałem z nadzieją w głosie.

- Ale przecież nie ma go w domu - wtrąciła dziewczyna, która ciągle jeszcze niczego nie rozumiała. Tak mocno wierzyła w swojego chłopaka. - Ville jest sierotą. Do dwunastego roku życia wychowywał się w domu dziecka. Potem przygarnął go jakiś daleki krewny. Zmuszał do pracy i bił, kiedy Ville był zmęczony i chciał odpocząć. To był chciwy i zły człowiek. Przez niego Ville nie skończył szkoły.

- Ville Valkonen, uczeń - wspomniał Palmu bez cienia entuzjazmu. -

A w jakiej to szkole uczy się nasz Ville? Pewnie w szkole życia?

Dziewczyna spojrzała na niego z oburzeniem.

- Na jesieni ponownie złożył papiery do szkoły zawodowej -

powiedziała - ale go nie przyjęli, bo było za dużo chętnych. I dlatego teraz... sam się stara uczyć. Ale to trudne, bo nie ma nawet miejsca, gdzie mógłby w spokoju poczytać, nie ma też pieniędzy na podręczniki. Stryjek nawet próbował mu pomagać, ale... Ville nie ma głowy do języków, a i matematyki nie rozumie tak dobrze, by mógł sam stawiać horoskopy. Bo stryjek mu powiedział, że inteligentny człowiek zawsze na siebie zarobi, choćby właśnie stawiając ludziom horoskopy. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy wszystko się mechanizuje, a ludzie ciągną do masy, jak powtarzał. Stryjek Fredrik był takim obserwatorem, zawsze tak o sobie mówił.

- Ale z Villego astrologa nie zrobił - podsumował Palmu.

- Ville bardzo lubi gwiazdy! - zachnęła się dziewczyna. - Często chodził ze stryjkiem na wzgórze. Kiedy nie było akurat nikogo, klientów znaczy się, to stryjek chętnie tłumaczył Villemu co i jak. Tylko że on niewiele z tego rozumiał. A i ja bym nie chciała, aby takim sposobem zarabiał na sobie. Bo... bo to byłoby oszustwo. Stryjek Fredrik to zupełnie inna para kaloszy. On się tym naprawdę pasjonował. Powtarzał, że wszechświat jest nieporównywalnie bardziej ludzki, gdy potrafimy marzyć, i że czas jest czwartym wymiarem i... i... Ja nie wszystko z tego rozumiałam. Ale stryjek zawsze powtarzał, że gwiazdy wskazują drogę, że potrafią przepowiedzieć dobre i złe, choć niczego nie przesądzają. I że nikogo nie mogą do niczego zmusić, tak mówił.

- Wspomniała pani o klientach - wtrąciłem się. - Nie za dobrze rozumiem. Czyżby do pani stryja na wzgórze przychodzili klienci? Po

horoskopy?

Dziewczyna spojrzała na mnie z politowaniem.

- Pan jeszcze nie rozumie? Ta luneta była najcenniejszą rzeczą, jaką stryjek posiadał. Prawdziwy luksus, jak mówił. Prawdę mówiąc, nie było go nawet na nią stać. Dlatego w pogodne wieczory pozwalał innym ludziom oglądać gwiazdy. Oczywiście za opłatą. Zwłaszcza Księżyc. Bo dla przeciętnego człowieka gwiazdy to żadna atrakcja. A na pewno nie w lunecie stryjka. Za to na Księżycu są doliny, góry i... - Dziewczyna źle zinterpretowała mój wzrok. - Stryjek dużo nie żądał - wzięła go w obronę. - Za pięćdziesiąt marek każdy mógł sobie patrzeć, ile tylko chciał. Od dzieci brał tylko dwadzieścia. Ale często pozwalał im patrzeć za darmo, jeśli akurat nie miały pieniędzy. I chętnie im opowiadał, jak niesamowicie piękny jest nasz świat. Piękny - powtórzyła i nagle zaczęła szlochać. Bez słowa podałem jej chusteczkę. Wytarła oczy i zła na siebie rzekła: - Macie mnie pewnie teraz za ostatnią płaksę, ale strasznie mi ciężko, kiedy sobie pomyślę, że stryjek był zawsze taki dobry i skromny, tak niewiele potrzebował. Uważał, że świat jest piękny, a ludzie są dobrzy, i właśnie teraz, kiedy wszystko miało się zmienić na lepsze i cieszył się już bardzo na to dziecko, kiedy nawet wygrał nagrodę, nagle ktoś go zabił dla kilku głupich papierków. To coś tak potwornego, że ciągle jeszcze nie potrafię tego do końca pojąć. Stryjek zawsze mnie przekonywał, że życie jest dobre, choć pełne niebezpieczeństw. - Dziewczyna całkiem się otworzyła. - Stryjek dobrze wiedział, że umrze, może nawet niedługo - ciągnęła. - Miał słabe serce. Ciężko mu już było wnosić lunetę ze statywem na

wzgórzu pod pomnik. I na schodach też musiał przystawać, aby złapać oddech. Może dlatego tak się pośpieszył z tym testamentem. Ale zawsze powtarzał, że nie wolno mi się smucić, kiedy odejdzie. To tylko zmiana formy, twierdził, triumf nad czasem, najcudowniejsza przygoda w życiu człowieka. Tak mi mówił. Nie mógł przeczuwać, że umrze w tak straszliwy sposób.

Palmu bywa grubo nietaktowny.

- A miał pozwolenie? - zapytał rzeczowo. - Pani stryj. Na prywatną inicjatywę. Pokazywanie Księżyca i gwiazd za opłatą.

- Oczywiście, że miał - zapewniła panna Pohjanvuo-ri. - Stryjek zawsze bardzo starał się przestrzegać ziemskich praw.

- Tylko czy można się z tego utrzymać? - spytałem z powątpiewaniem.

- Stryjek bardzo to lubił - odrzekła z prostotą panna Pohjanvuori. - I kochał gwiazdy. Nie zajmował się rzeczami, które nie sprawiały mu przyjemności. Z horoskopami było tak samo. Mówił, że każdy uczy go czegoś nowego.

- No tak, tak, każdy ma swoje małe radości - przyznał Palmu ze zrozumieniem i spojrzał surowo na Kokkie-go. - Ale została nam jeszcze ta sprawa z mieszkaniem Villego. Chyba jednak nie żył na ulicy?

- Ville ciągle mieszka tam gdzie dawniej - wyjaśniła dziewczyna. - U tego krewnego. Ale w tamtym domu panuje bardzo zła atmosfera.

Wypominają mu każdy kęs. Jeśli pozwalają mu tam łaskawie spać, to na podłodze w kącie przedpokoju. I nie ma mowy o włączaniu światła, kiedy

chciałby się pouczyć. A jak tylko cokolwiek zarobi, zaraz żądają od niego pieniędzy na czynsz.

- Czyli Ville jednak zarabia - ucieszył się Palmu.

Dziewczyna znów się zmieszała.

- To nie jego wina - powiedziała z przekonaniem. - Ville nie umie się zachować, ale kto go miał uczyć dobrych manier? Załatwiłam mu... no, latem dostał świetną robotę w warsztacie samochodowym. W takim miejscu uprzejmy chłopak, który potrafi się zakręcić i wie, kiedy się uśmiechnąć i kiedy unieść czapkę, może naprawdę świetnie zarobić.

Napiwki, wiadomo. Robota, owszem, paliła mu się w rękach, bo Ville kocha samochody, motory i wszystko z tym związane, ale ukłonić to on się nie potrafi. Ani uśmiechnąć. Zęby co najwyżej wyszczerzy. I szura nogami. Wszystko przez tę jego wstydlivość, bo nie umie się zachować.

Zwolnili go po dwóch tygodniach. No i za mało ufa w moje siły... - Panna Pohjanvuori zwierzyła się z głębokiej troski, a mnie przeszło przez głowę, że w niektórych sprawach chłopak wcale nie był taki wstydlivy i nieśmiały. - Radziłam mu przecież, ale on woli słuchać tych swoich kumpli albo Ariego. Oni nie noszą nawet tych śmiesznych kapelusików, jak niektórzy, żeby nie musieli przed nikim czapkować. Nie potrafią tego.

Ville nie należy do szapokłaków.

- Nie? - spytałem z niedowierzaniem.

- On trzyma z tymi w skórzanych kurtkach - wyjaśniła dziewczyna. -

A to wielka różnica. Dla skórzanych ukłonić się czy w ogóle zachowywać się, nawet byle jak, to nie honor. Wolno im jedynie szczerzyć zęby, żeby

ludzi denerwować. To jest dla nich najwyższa sztuka. Grać starszym na nerwach.

- No i kraść samochody - wtrąciłem od niechcienia. - Bo niestety,

Ville był w tym aucie, które rozbiło się na drzewie w parku na Wzgórzu

Obserwatorium. Widziała panienska zdjęcie w „Kurierze”. Sprawka

Ariego, Villego i dziewczyny imieniem Kaija. Ville nawet kierował. Nie on

co prawda wjechał w to drzewo, ale przez większą część drogi siedział za

kółkiem.

Panna Pohjanvuori nie zdziwiła się tak bardzo, jak się

spodziewałem.

- No, to teraz rozumiem, dlaczego próbował wskoczyć pod pociąg! -

wykrzyknęła niemal z radością. - Mój Ville to bardzo sumienny chłopak. -

Spojrzała na nas z napięciem i muszę nas pochwalić, bo żaden się nie

uśmiechnął. - Mogą mi panowie nie wierzyć - rzekła dziewczyna z

przekonaniem - ale jestem pewna, że dla Villego to był pierwszy raz. Ari

oczywiście wyłamał drzwi i połączył przewody, czy jak to się robi. Ale

Ville jeszcze nigdy nie brał w czymś takim udziału, choć pewnie często o

tym myślał, bo wszyscy inni tylko tym się chełpią. Podobno bardzo

rzadko są z tego jakieś poważniejsze kłopoty. Zwłaszcza jak się nie jedzie

po pijaku i odstawi nietknięty samochód na swoje miejsce. Ale ja tyle razy

go ostrzegałam, żeby się w to nie mieszał... Chociaż trochę go rozumiem -

dodała po chwili i zamyśliła się. - Po tej wczorajszej bijatyce, wybiciu

szyby i zgarnięciu przez policję musiał być zupełnie roztrzęsiony. Nie było

go w umówionym miejscu, więc poszłam nawet na komisariat, ale zdążyli

go już przesłuchać i wypuścić. Oczywiście Ari i ta jego dziewczyna już na niego czekali pod komisariatem i namówili, żeby poszedł z nimi. Ładny był chociaż ten wóz?

- Mercedes-Benz, jak spod igły - odrzekłem z nutą szacunku w głosie.

- No to wszystko jasne - powiedziała. - Ville zawsze chciał choć raz się przejechać luksusowym autem. I on by na pewno takim mercedesem w drzewo nie wjechał. Jeździł bardzo dobrze i zawsze uważał. I oczywiście odstawiłby go na miejsce. Biedaczysko.

Z głosu dziewczyny przebijała wielka czułość. Moim zdaniem powinna raczej ulitować się nad właścicielem tego pięknego samochodu, bo zamiast swojego nowiuteńkiego mercedesa zobaczył rano kupę złomu.

Ale czas naglił. Zerknąłem na zegarek.

- Jak się nazywa ten opiekun Villego i gdzie mieszka? - spytałem zdenerwowany. - Poślemy tam bezzwłocznie naszych detektywów...

- Bez pośpiechu, panie kierowniku! - uspokoił mnie Palmu. - Jeśli Ville coś gdzieś ukrył, to w swoim czasie wszystko się znajdzie. Nie ucieknie nam. Zajrzyjmy może najpierw do tej szuflady, o której już tyle słyszeliśmy. Zobaczymy, co tam po naszym Kokkim jeszcze zostało.

Pannie Pohjanvuori wyraźnie kamień spadł z serca, bo nawet się uśmiechnęła.

- Przepraszam, panie Kokki - rzekła. - Oczywiście nie podejrzewałam pana. Zmartwiłam się tylko z powodu tych pieniędzy. Na pewno je odzyskamy, gdy tylko złapiecie mordercę stryjka.

Powiedziała to z taką ufnością, że aż mnie zemdlilo. Pomyślałem o Villem, o tym żalonym wybryku natury, o niewybaczalnej głupocie i bezczelności, o okrucieństwie, którego nie można było niczym usprawiedliwić. O starym człowieku, który leżał spokojnie na stole w prosektorium. Powinien był raczej nauczyć dziewczynę ostrożności w życiu. Świat pod wieloma względami przypomina rynsztok i wcale nie jest taki cudowny, jak stary Nordberg opowiadał bratanicy.

„Cholerni idealisci”, przemknęło mi przez myśl. Lepiej już jednak być gruboskórnym. A ja miałem naprawdę grubą skórę. Może nie wszędzie, ale tu i ówdzie. Na szczęście dziewczyna jest jeszcze młoda, pocieszałem się, jakoś to zniesie.

Kokki wyciągnął szufladę i położył na blacie biurka. Mówił prawdę.

Na wierzchu leżała książeczka oszczędnościowa Fredrika Nordberga, wystawiona przed wieloma laty w jednym z oddziałów Narodowego Banku Akcyjnego. Księgowano na niej niewielkie wpłaty i wypłaty, a saldo rachunku na koniec września wyniosło 123 635 marek.

Oszczędności całego życia. Jednak dziesiątego września na konto wpłynęła jednorazowo kwota miliona marek. A zatem stary Nordberg odczekał przepisowy miesiąc, nim pobiegł do biura loterii podjąć swoją wygraną. Rachunek depozytowy - z takiego pieniądze może pobrać jedynie właściciel albo upoważniona przez niego osoba. Ostrożny gość.

Druga, nowiuteńka książeczka bankowa. Tym razem z Banku Skandynawskiego. I rachunek oszczędnościowy na okaziciela, z którego środki pobierać może każdy po przedstawieniu książeczki konta.

Prowadzony w imieniu Saary Marii Pohjanvuori. Wpłata w wysokości pięciuset tysięcy. O dziwo, dopiero osiemnastego września. Staruszek zapewne długo się zastanawiał, jak najlepiej wszystko urządzić. Podatek od spadku i tak dalej. Niewinna zapobiegliwość. Dlaczego jednak w innym banku? Strzeżonego Pan Bóg strzeże?

Duża, żółta koperta. Na niej rozchwianym, starczym pismem zapisane słowo „Testament”. Opieczętowana czerwonym lakiem, w którym odcisnięto prawdziwą pieczęć z inicjałami: F.N., Fredrik Nordberg. Jednak ktoś rozerwał kopertę bezceremonialnie i gwałtownie. Pieczęć pozostała nienaruszona. Jak gdyby staruszek w ostatniej chwili przed wyprawką chciał się jeszcze upewnić co do poczynionych zapisów. Albo zrobił to morderca.

Przebiegłem szybko oczami ostatnią wolę Fredrika Nordberga.

Spisana rzeczowo i z prawnego punktu widzenia ważna, choć nie została przedłożona sądowi przez spadkobierczynię, co powinna była zrobić dla zabezpieczenia przysługujących jej praw. „Cały swój majątek zapisuję mojej bratanicy Saarze Marii Pohjanvuori, która może nim rozporządzać według własnej woli i uznania, choćby nawet w chwili mojej śmierci nie miała ukończonych dwudziestu lat”.

Nordberg wziął więc w rachubę zachłanność brata. Tylko czy testament był możliwy do przeprowadzenia również prawnie? Kwestia interpretacji. Prawny opiekun dziewczyny mógł próbować go podważyć. No, przyjdzie jeszcze czas, aby to rozstrzygnąć. Pod spodem podpisy aż czterech świadków. Imię, nazwisko, zawód i adres. Cała czwórka z ulicy

Marynarskiej. Dwóch z tej samej kamienicy. Staruszek był przezorny.

Jeszcze coś. Pozółkły akt własności kawalerki na Marynarskiej.

Książeczka czynszowa. Wpłaty były regularne i zawsze w wyznaczonym terminie. Umowa zakupu mieszkania na Różanej i dołączone do niej potwierdzenie dokonania przelewu w oddziale banku. Dwa miliony marek. Na konto takiej a takiej firmy budowlanej. Musieli w oddziale wytrzeszczać oczy, gdy tego samego dnia stary Nordberg wsunął do okienka jeszcze trzy miliony. Dziesiąty września. Ciekawe, jak wypłacają wygrane loterii? Pewnie na życzenie klienta także w gotówce. Kto by nie chciał choć raz w życiu zobaczyć tyle pieniędzy na własne oczy i pocuć, że to wszystko jego? Opowiadano, że pewna kobieta przyszła po swoją nagrodę z torbą zakupową.

Inne dokumenty. Stare świadectwa szkolne. Potwierdzenia uiszczenia składek członkowskich. Znalazło się nawet pozwolenie na odpłatne udostępnianie własnej lunety do obserwacji Księżyca i gwiazd. I żadnych pieniędzy. Przewertowałem dokumenty. Szuflada była pusta. Nie miała nawet na dnie ceraty, pod którą można by zajrzeć. Palmu przyglądał się moim poczynaniom, pykając swoją fajkę. Kiedy skończyłem, rzekł trochę nieobecny głosem:

- Czegoś tu brakuje, panie kierowniku.

- Jasne, pieniędzy! - warknąłem.

- Pan kierownik chyba nigdy nie grał na loterii - wyraził pogląd

Palmu.

- To prawda - powiedziałem. Twarz Kokkiego się rozchmurzyła, ale

ja wciąż nie miałem pojęcia, do czego pije komisarz. - Nie kupuję losów.

Nie mam szczęścia.

- Czy to nie tak, że państwo na dzień dobry zabiera z tych wielkich wygranych trzydzieści procent podatku? - zapytał Palmu. - Poczekaj, niech no policzę. Z siedmiu milionów byłoby to dwa miliony sto tysięcy. Zostałoby więc cztery miliony dziewięćset. Niech będzie w zaokrągleniu pięć milionów, skoro Nordberg mówił o takiej sumie.

Ale zdaje mi się, że ostatnimi czasy główna wygrana to siedem milionów.

- Tak czy siak pieniędzy nie ma - orzekłem, zły na Palmu za te próżne dywagacje. - Milion czterysta, a najmniej siedemset tysięcy w gotówce, jak nam mówi panna Pohjanvuori. Te pieniądze gdzieś wsiąkły.

- Brakuje zaświadczenia podatkowego - wyjaśnił Palmu. - W mojej opinii pan Nordberg był człowiekiem tak zapobiegliwym, że raczej na pewno nie wyrzuciłby takiego dokumentu. Bez wątplenia by go zachował.

- Natomiast w mojej opinii zupełnie niepotrzebne rozmieniamy się na drobne - stwierdziłem chłodno. - Nie zawsze wszystkie drobiazgi do siebie pasują. Kto jak kto, ale ty, stary wyjadacz, powinienesz to wiedzieć najlepiej z nas, Palmu. Może pieniądze jeszcze się znajdą? Mamy teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Panno Pohjanvuori, dziękujemy pani za gościnę i uprzejmość. Weźmiemy te dokumenty. Książeczki bankowe i testament również. Najbezpieczniejsze będą w naszym sejfie. Niestety, muszę też panią poprosić o klucze do mieszkania. Pani również nie może tymczasem tu przebywać. Bez nadzoru, ma się rozumieć.

- Ale przecież nie mogę tak zostawić brudnych statków! -

sprzeciwiła się dziewczyna.

- Ja chętnie tu zostanę i panience potowarzyszę - zaofiarował się szybko Kokki. - Pomogę wszystko rozpakować i ustawić tak, jak było.

Ten pomysł chyba nie przypadł do gustu panie Po-hjanvuori.

- Wytrę nawet naczynia. - Kokki chwycił się jeszcze brzytwy.

- No dobrze - przystała dziewczyna, a Palmu trącił mnie w bok, dając mi do zrozumienia, że Kokki ma swoje powody. Dzięki temu będzie mógł wszystko dyskretnie sprawdzić, a w podobnych sprawach nasz detektyw nie potrzebował publiczności. Nam zresztą też nie był już potrzebny. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Palmu pochylił się i stukając cybuchem w obcas, wytrząsnął z fajki popiół na podłogę. Spostrzegł jednak spojrzenie dziewczyny i zaraz ją przeprosił.

- Bardzo brzydki zwyczaj - przyznał. - Staram się o tym pamiętać, ale człowiek na starość robi się roztargniony. No więc, panno Pohjanvuori, tak dla formalności: czym się pani zajmowała wczoraj wieczorem około północy? To znaczy: o której godzinie dotarła pani do domu?

Dziewczyna się wzdrygnęła, a jej spojrzenie zaczęło błędzić.

- Ja... ja... - szukała właściwych słów - przyszedłam do domu rzeczywiście dopiero około pierwszej. Ojciec był okropnie zły. Ale tak się martwiłam tą zbitą witryną. I nie wiedziałam, co z Villem. Po wyjściu z komisariatu zastanawiałam się, gdzie też mógł się podziać. Ale nic nie

przyszło mi do głowy. Szłam więc i rozmyślałam. O wszystkim. Patrzyłam na światła na brzegu zatoki i... i zastanawiałam się, jak mam powiedzieć o tym wszystkim ojcu.

- To on jeszcze nie wie? - spytałem delikatnie.

- Nie, oczywiście, że nie! - Panna Pohjanvuori się przeraziła. -

Zabiłby mnie. Już panom mówiłam. W sumie to... pomyślałam sobie, że mogłabym przyjść tutaj na noc i... i od razu przenieść się dziś razem ze strykiem na Różaną. Na dobre. Więc tu wróciłam. Weszłam nawet na podwórze. Ale okno stryjka było ciemne. Zrobiło mi się go żal. Stryjek źle sypiał i gdyby czytał w łóżku, widziałabym w oknie światło nocnej lampki. A tak, pomyślałam sobie, że dobrze mu zrobi, jak się porządnie wyśpi, i dlatego postanowiłam go nie budzić. No, ale skąd mogłam wiedzieć? Dlatego tak bardzo byłam dzisiaj zaskoczona, kiedy się okazało, że wcale nie spał w domu. Bo wtedy na podwórzu byłam święcie przekonana, że jest u siebie i śpi. Zawróciłam więc i poszłam do domu.

- Która była godzina? - spytał ostro Palmu.

- Nie potrafię teraz tego dokładnie określić - odrzekła dziewczyna. -

Sądzę, że było koło pierwszej. Mój zegarek chodzi trochę na wiatr. Kiedy wróciłam do domu, już stał. Zazwyczaj nakręcam go wieczorem, przed pójściem do łóżka. Ojciec krzyczał, że jest już nad ranem, ale on zawsze przesadza. Był wściekły i wrzeszczał, że jestem ulicznicą.

- Czy dostrzegła pani kogoś na podwórzu kamienicy stryja? - indagował Palmu.

- Nie - odrzekła dziewczyna bez zastanowienia, ale zaraz się

zamyśliła. - W zasadzie to tak, ale nie na podwórzu, bo właśnie kiedy przekręciłam klucz w zamku bramy, a nie jest to takie proste, wypadł na mnie ze środka jakiś pijany mężczyzna, pewnie sam nie mógł otworzyć drzwi od wewnątrz. Ale nic nie powiedział, tylko zataczając się, poszedł swoją drogą. Uznałam, że lada chwila zgarnie go policja, więc już się nim nie interesowałam. Miałam swoje zmartwienia. Przypomniałam sobie o nim dopiero teraz, kiedy mnie pan komisarz zapytał.

- Rysopis - rzucił Palmu.

- Nie umiem panu nic powiedzieć - odrzekła z przekonaniem dziewczyna. - Miał kapelusz nasunięty na oczy i... i był chyba w czarnym płaszczu. Pod bramą jest kiepskie oświetlenie. Wysoki mężczyzna, w każdym razie wyższy ode mnie. Pijany w sztok. Nawet nie chciałam mu się bliżej przyglądać. Jak na takiego spojrzeć, może uderzyć.

- Oczywiście, rozumiem - powiedział Palmu. - Ale w każdym razie nie był to żaden z tych skórzanych. Ani szapokłaków. Ci wyraźnie się od siebie różnią, jak już nam pani wyjaśniła, ale oba typy rozpoznaje pani bez pudła.

- Nie, to nie był żaden z nich - przyznała dziewczyna. - To był starszy mężczyzna. Miał co najmniej czterdzieści lat, tak na moje oko. Ton jej głosu mną wstrząsnął, bo moim zdaniem mężczyzna czterdziestoletni bynajmniej nie jest jeszcze zgrzybiałym starcem.

- Ale nie rozpoznałaby go pani, gdyby go spotkała? - spytał Palmu.

- Nie, na pewno nie - odrzekła dziewczyna bez wahania.

- Dobrze, starczy tego dobrego - zniecierpliwiłem się. - Ten człowiek

to już nie nasza sprawa. Najwyżej przesłuchamy wszystkich mieszkańców kamienicy, może ktoś go widział. Mielibyśmy pewność. Może akurat któraś kobieta czekała na powrót męża i wyjrzała przez okno, słysząc stuk bramy. To się zdarza. Ale zostawmy to na jutro, Palmu.

- Niech ci będzie - przystał skwapliwie komisarz. - Wielu mieszkańców kamienic z okolic Czerwonej Góry sobotnią noc spędza poza domem. Jutro rano to zupełnie inna rzecz. Obiecałem już sąsiadce z pierwszego piętra, że wstąpię do niej na poranną kawę - rzekł komisarz i zachichotał pod nosem, jakby opowiedział właśnie doskonały dowcip. Spojrzałem na niego karcąco.

- Idziemy! - rzuciłem. - Do zobaczenia, panno Pohjanvuori.

Ale dziewczyna złapała mnie za rękaw.

- Drogi panie sędzio! - rzekła błagalnie. - Pan komisarz Palmu powiedział mi, że aresztował pan Villego. Będę mogła go zobaczyć, prawda?

- Wrócimy do tego jutro - odpowiedziałem szybko. - Proszę najpierw do mnie zatelefonować. A tymczasem dajmy Villemu się wyspać. Uznałem, że lepiej pozwolić dziewczynie w spokoju przeczytać poranną prasę i raz jeszcze wszystko sobie przemyśleć. Nie miałem teraz ochoty wszystkiego jej tłumaczyć.

- Jak już będziecie wychodzić - Palmu zwrócił się do Kokkiego - wpuść do środka tego posterunkowego, niech się chłop ogrzeje. Co tak będzie na klatce straszyć.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Klepnałem się ręką w

czoło.

- Do diabła ciężkiego, jeszcze ci fotoreporterzy! - przypomniałem

sobie. - Będą się tu dobijać. Nie mam jak ich powstrzymać.

- Będziemy z panią pozować - zaproponował chętnie Kokki.

Poszliśmy. Posterunkowemu wspomniałem, że ktoś musi zostać na

noc w mieszkaniu. Co prawda nie wyobrażałem sobie, aby mogło to

jeszcze cokolwiek zmienić. W końcu Ville był już za kratkami. Ale ciągle

brakowało nam jednego kompletu kluczy. Palmu na pewno by mi

powiedział, gdyby znaleźli je w kieszeni Villego. Najlepiej nie mieć

żadnych wątpliwości. W końcu miałem podstawy, aby czuć się ważny.

Gdy tylko wyszliśmy z bramy na ulicę, obiegła nas chmara

dziennikarzy. Ale tym razem oświetlił nas tylko jeden marny rozbłysk

lampy. Powoli zaczęli oszczędzać filmy.

- Możecie wejść do środka i fotografować, co wam się żywnie

podoba - dałem swoje łaskawe przyzwolenie. - Dochodzenie toczy się

gładko. Sądzę, że pod wieczór będę już mógł złożyć oświadczenie dla

prasy.

Reporterzy ryknęli z radości.

- Myślę, że gdzieś tak o jedenastej - obiecałem ostrożnie. - Nie

wykluczam jednak, że będziecie musieli trochę poczekać. Niczego nie

gwarantuję. Na pewno jednak zdążycie coś napisać, zanim materiał

pójdzie do drukarni.

Nie próbowali się nawet targować, tak ich zbiłem z pan-tałyku.

Naczelnik wydziału, ten na urlopie, raczej ich nie rozpieszczał. Teraz

jednak to ja byłem u władzy. Dlaczego zadowalać się łyżeczką, gdy można czerpać z życia pełnymi chochlami?

W samochodzie ze zdumieniem stwierdziłem, że nawet Palmu skinął głową z zadowoleniem.

- Dadzą nam teraz przynajmniej spokój - stwierdził. Nie wyglądał jednak na zachwyconego, choć tego bym się właśnie spodziewał.

Przeciwnie, pogрузzył się w rozmyślaniach, gryząc z niezadowoleniem ustnik pustej fajki.

To był zły znak. Najwyraźniej nie wszystko pasowało do siebie tak, jak jego zdaniem powinno. Przyszło mi jednak do głowy, że mogła to być także zwykła zazdrość, w końcu starość nie radość i tak dalej.

Komisarz żuł fajkę, ale nie tylko on tu myślał. - Pojmujesz chyba,

Palmu - rzekłem belferskim tonem - że wszystko to jeszcze bardziej pograża Villego. Dziewczyna wiedziała o testamencie. Oczywista rzecz, że powiedziała o nim chłopakowi. Dla takiego sieroty zapisany w spadku Nordberga majątek to ogromne pieniądze. Nieodparta pokusa.

Powiedzmy, że się ze starym Nordbergiem trochę poróżnili. Z natury niezrównoważony chłopak wpadł w ślepią furię. Dostał amoku. Wiedział o pieniądzech, dzięki którym będzie mógł zamieszkać z dziewczyną na Różanej. Po co dzielić jeszcze mieszkanie z jej starym stryjem? Nordberg niepotrzebnie próbował mu doradzać i czegoś go nauczyć. Tacy jak Ville tylko tym gardzą. Kozacy w skórzanych kurtkach.

- A ty nadal dajesz się nabrać na piękne oczy - parsknął zaskakująco

Palmu. - Pofantazujmy zatem, skoro tak bardzo tego pragniesz. Gdzie

była panna Pohjanvuo-ri? Sama przyznała, że zaszła aż na podwórze kamienicy stryja. Znalazł się świadek, ten pijany nieznajomy, uznała więc, że najbezpieczniej sprawy nie zatajać. Sam pomyśl, taka ułożona dziewczyna, chodzący ideał. Nie mamy przecież żadnego dowodu, że stary wiedział o ciąży - tylko jej zeznanie. Gdyby Nordberg faktycznie się dowiedział, że jego potulna owieczka zmaistrowała dziecko z hultajem pokroju Villego, jego testament pewnie od razu poszedłby do pieca, a plany uległy znaczącej korekcie. Dlatego trzeba było się upewnić, czyli rozerwać kopertę i zabezpieczyć testament.

Szczęka mi opadła.

- Że niby ta dziewczyna maczała we wszystkim palce? - wydusiłem z siebie. - Nigdy! Aż tak bardzo nie mogę się mylić w ocenie człowieka.

Nawet ja. Ale... - Poczułem, jak w moim sercu budzi się gorzkie podejrzenie. Palmu już wcześniej miewał rację. Miałem słabość do pięknych buzi.

- Mów, co chcesz - zacząłem. - Ville jest za kratkami. I tam pozostanie, jeśli mam tu jeszcze coś do powiedzenia. Moglibyśmy oczywiście zbadać udział panny Pohjanvuori w całej sprawie, ale nawet jeśli rzeczywiście jest bezduszną morderczynią, trudno nam będzie przekonująco tego dowieść.

- Wyobraźnia! - zarechotał Palmu. - I sam widzisz, do czego prowadzi popuszczanie wodzy własnej fantazji. A mówiłem ci to chyba z tysiąc razy. Jak grochem o ścianę.

Siedziałem nadąsany do końca drogi. Dlaczego Palmu musi zawsze

psuć mi dobry humor i wylewać mi na głowę kubek zimnej wody? W

chwili mojego jedyne go zwycięstwa? Jeszcze o trzynastej w najśmielszych

nawet marzeniach nie roiłbym sobie, że tego samego wieczoru będę

triumfował. Zaprawdę, Palmu był niewdzięcznym starym capem.

Weszliśmy do mojego pokoju. Zastaliśmy tam Karhune-na, który z

rękoma założonymi z tyłu stał na straży lśniącej mosiężnej lunety na

statywie. Czyli reporterzy przekazali mu słówko ode mnie.

Rozradowany posterunkowy stuknął obcasami i zasalutował.

- To jest to diabelstwo! - zaprezentował entuzjastycznie, jakbym nie

miał swoich oczu. - I zrobili mi zdjęcia. Zobaczymy, czy dadzą do gazety.

- Dziękuję, Karhunen - powiedziałem, czując na sercu osobliwy

ciężar. - Możecie się odmeldować.

Karhunen jednak bynajmniej nie zamierzał odchodzić.

- To prawdziwe cacko - oświecił mnie. - Niechże pan spojrzy, panie

kierowniku, jak pokręcić tą śrubą, o tutaj, to ustala się odległość. Ta

śruba znowu unosi lunetę. A ta obraca. - Zachwalał, jak gdyby chciał mi ją

sprzedać.

- Dziękuję, dziękuję, wszystko rozumiem - zbyłem go niecierpliwie.

- Możecie iść, Karhunen.

Palmu się zainteresował. Jak gdyby chciał mi zrobić na złość. Kazał

posterunkowemu jeszcze raz wszystko sobie objaśnić i sam zaczął kręcić

śrubami. Wreszcie Karhunen zaczął się zbierać.

- A, panie kierowniku, jeszcze coś - przypomniał sobie w drzwiach. -

Telefon dzwonił bez ustanku. Rozmowy alarmowe, czerwona linia i tak

dalej. Naczelnik wydziału nie może wrócić na łódź z jakiejś wyspy, bo łódź się zepsuła. A wiosłować po nocy nie zamierza, morze za bardzo rozhuśtane. Zażądał z portu szybkiej łodzi policyjnej, ale nie wypłynęli. Nie mogą, nie w sobotę wieczór. Poza tym są w pełnej gotowości, w razie gdyby ich potrzebował głównodowodzący akcją. To znaczy pan, panie kierowniku. Zarządzenie samego komendanta. Tak że pan naczelnik siedzi na tej wyspie i klnie na czym świat stoi. Dowiedział się o wszystkim dopiero z radia, bo aż do zmroku strzelał do kaczek. Ze śrutówki, powiedział, jak go zapytałem. Też się kiedyś na zajęcia polowało. Przerwałem myśliwskie wspomnienia Karhunena. Chyba musiał się nudzić samemu, skoro tak się rozgadał.

- Kazał się panu kierownikowi przypomnieć i żeby pan natychmiast zatelefonował - przypomniał sobie jeszcze posterunkowy, gdy zamykałem za nim drzwi.

Nie zdążyłem jednak chwycić za słuchawkę. Na biurku leżał zaadresowany do mnie list, bez znaczka, za to z dopiskiem na kopercie: „Bardzo pilne!”, podkreślonym dwa razy na czerwono. Koperta miała nadruk wiodącego krajowego dziennika. Rozdarłem.

Ze środka wyjąłem świeżuteńką odbitkę szczotkową. I karteczkę od redaktora działu zagranicznego, dawnego kolegi ze szkoły.

„Stary przyjacielu - pisał mi - to oczywiście surowo zakazane, ale będąc w swoich sprawach w zecerni, zwędziłem przy okazji szczotkę, żebyś zdążył w porę sam się powiesić. Do zobaczenia w niebie! Twój druh, Hekke”.

Zacząłem czytać i szcżeka mi opadła. Życie zaszczerpiło mi głębką
wiarę w słowo drukowane. Trzymałem w ręku artykuł wstępny do
niedzielnego wydania wiodącego dziennika. Tytuł:

Szczyt

niekompetencji. Wielkimi literami.

„Przywykliśmy do tego, że policja nas nie rozpieszcza - głosiło
pierwsze zdanie. - Brak uprzejmości, niechęć do współpracy oraz
umniejszanie znaczenia prasy to znane aspekty działalności policji
kryminalnej. Niech i tak będzie: my, dziennikarze, zdążyliśmy się już do
tego przyzwyczaić. I do łagodności, z jaką policja porządkowa traktuje
panoszące się w centrum bezprawie. Jeśli kto odważny, niech wyjdzie po
zmroku do parku przy Starym Kościele. Niech poprosi stojących na rogu
cwaniaków w szapokłakach, aby nie tarasowali przejścia. Radzimy z
całego serca - lepiej tego nie róbcie, grozi to bowiem śmiercią. Czego
mamy właśnie najświeższy przykład.

W centrum miasta, na Wzgórzu Obserwatorium, z zimną krwią
skopano na śmierć i ograbiono szacownego obywatela, starszego już
człowieka. To jeszcze nie wszystko. Mamy niezbite dowody, że policja
dąży do zatuszowania tej przerażającej zbrodni i chce spuścić zasłonę
milczenia nad zwłokami starca, zapomnianymi w czeluściach miejskiego
zakładu medycyny sądowej. Wiemy, że policja nie pofatygowała się
nawet, aby zbadać miejsce zbrodni, nie zrobiono ani jednego zdjęcia, nie
mówiąc o zebraniu jakichkolwiek dowodów. To czysty przypadek, że w
parku na Wzgórzu Obserwatorium znalazł się jeden z reporterów

«Kuriera». Tylko dzięki temu policja w ogóle zajęła się tą sprawą. I co zrobiła? Ogrodziła całe wzgórze, aby uniemożliwić fotoreporterom wykonywanie pracy. Na miasto ruszyły na syrenach karetki więzienne. Wrzaskliwe, wulgarne kohorty rzuciły się z pałkami na studentów i uczniów w miejscach, gdzie gromadzą się na co dzień. W wyniku tej brutalnej akcji zatrzymano dwadzieścioro dziewcząt i chłopców, choć młodzież ta nie mogła mieć absolutnie nic wspólnego z popełnioną zbrodnią, w związku z czym policja musiała niezwłocznie wszystkich zwolnić do domów. Swoją indolencją władza postanowiła zamaskować demonstracją siły. Tylko że Finlandia nie jest państwem policyjnym. Jeszcze nie. Trzeba zapytać, co nas czeka, jeśli to się nie zmieni. To pytanie retoryczne. *Caveat consules!*

Dowiedzieliśmy się, że naczelnik wydziału kryminalnego przebywa właśnie na urlopie. Ma do tego pełne prawo. Należy jednak powątpiewać w rozsądek pana naczelnika, jeśli w jego zastępstwie działaniami policji kieruje pozbawiony doświadczenia sędzia, który na domiar złego ujawnia swoją niekompetencję w tak drakoński sposób”.

Pociemniało mi w oczach. Ostatnich wierszy nie miałem już sił przeczytać. Autor wygarnął z grubej rury. Bez owijania w bawełnę. Zażądał mojej głowy na tacy. W artykule wstępnym niedzielnego wydania największej gazety w kraju. Poczułem, jak po plecach cieknie mi struga potu. Nie mogąc wydobyć z siebie słowa, w milczeniu podałem odbitkę komisarzowi. Palmu przeczytał spokojnie całość, parę razy nawet zarechotał.

- Wielkie mamy szczęście, że żyjemy w demokratycznym kraju -

pocieszył mnie. - Wolność wypowiedzi. Policja nie może ot tak, po prostu i brutalnie zaarrestować sobie synalka radcy ministerialnego oraz jego kumpli. Masz nauczkę. I zapamiętasz sobie, że policjantowi nie wolno głośno powiedzieć jednego brzydkiego słowa, kiedy szapoklak kopie go w brzuch albo modnisia wbija mu paznokcie w twarz. Wyrazy wulgarne nie przystoją stróżowi prawa i porządku. A w każdym razie nie na służbie w miejscu publicznym. Tysiąc razy to mówiłem.

- Ale... - zacząłem bezradnie - przecież to potworne! Moja kariera

legnie w gruzach, jeśli ten artykuł ujrzy światło dzienne. - Poczulem przemożną potrzebę sprawdzenia, czy Ville ciągle siedzi za kratkami. -

Idziemy! - zakomenderowałem. - Ville to moja jedyna deska ratunku.

Chłopak się przyznał. Do wszystkiego. Chodźmy zobaczyć, czy czasem nie umarł. Zaraz by powiedzieli, że spałowałem na śmierć niewinne dziecko.

Palmu się nie sprzeciwił. Poszliśmy. W korytarzu za żelaznymi drzwiami niosło się głuchoe echo zbrodni i rozwianych nadziei.

Śmierdziało szarym mydłem i terpentyną. W końcu korytarza przez uchylone drzwi sączyło się światło samotnej żarówki. Obok drzwi, oparty o ścianę, drzemał na taborecie Alpio. Głowa i ramiona wisały mu bezwładnie.

Przez sekundę myślałem, że Ville walnął go czymś w głowę i uciekł.

Ale zaraz się uspokoiłem - Alpio chrapał. Trąciłem go w ramię tak gwałtownie, że wylądował na czworakach.

- No, no, szefie - rzekł Palmu z przyganą w głosie. - Alpio ma już

swoje lata.

Na widok jego dobrotliwej brodatej twarzy świętego zaraz pożałowałem swojej raptowności.

- Sza... - szepnął ostrzegawczo Alpio, gramoląc się na nogi i przykładając palec do ust. - Chłopak śpi.

- Jak mogliście zostawić drzwi otwarte? - syknąłem tak cicho, jak tylko potrafiłem, i ostrożnie zapuściłem żurawia do środka. Ulżyło mi.

Ville nie zniknął. Spał spokojnie z otwartymi ustami i kosmykiem włosów przyklejonym do spoconego czoła. Na taborecie obok schludnie posłanego łóżka leżała niedojedzona kanapka i stała pusta szklanka po mleku. Alpio przysłonił żarówkę gazetą, aby światło nie raziło chłopaka.

- Ville nie lubi spać w zamkniętym pokoju - wyjaśnił czule. - Jeszcze nigdy nie był w areszcie. Zabrałem mu pasek i sznurowadła, żeby czasem nie strzeliło mu do głowy coś głupiego. Mogę tu zostać choćby całą noc. Ale chyba się trochę zdrzemnąłem.

- Ten chłopak to morderca - szepnąłem zapalczywie. - Nie dociera to do was, Alpio? Mógłby was zabić, zgnieść jak muchę. „Kuriera” nie czytaliście?

Przyjrzałem się śpiącemu. Jego rozluźniona we śnie twarz wyglądała zupełnie bezradnie. Idiotycznie rozwarte usta, ośliniona, obwisła warga, podbródek znamionujący brak własnego zdania.

Urodzony psychopata, książkowy przykład, pomyślałem. Żywcem wyjęty z podręcznika.

Moje słowa rozżłościły Alpia.

- Jeśli to biedaczysko jest mordercą, szefie, to ja zjem własne

kalosze - powiedział dobitnie i z głębokim przekonaniem. - Powiem

inaczej: to nie ten przypadek. To zwykła sierota, poniewierana od małego.

Ale w głębi serca to zdolny chłopak, niechże mi pan raz uwierzy, szefie.

- Alpio ma rację - zawtórował mu Palmu - to nie jest twarz

mordercy. Ale ma się rozumieć, będzie tak, jak szef sobie życzy.

W głowie znów mi zawirowało, ale zdołałem się opanować. Alpio

był już stary i naiwny, w każdym człowieku widział tylko zalety.

Najgorszemu zbrodniarzowi oddałby swoją ostatnią koszulę. Fredrik

Nordberg też był stary i naiwny. I co? Leży teraz w prosektorium. Ze

zmasakrowaną twarzą i połamanymi żebrami.

- Zamknijcie drzwi na klucz, Alpio - rzekłem. - Możecie sobie tu

drzemać, jeśli macie ochotę, ale drzwi proszę zamknąć. To rozkaz. Na

pewno usłyszycie, jak się chłopak przebudzi.

- A gdzieżby miał stąd uciec? - zdziwił się Alpio. - Ale jak sobie szef

życzy.

Mrucząc coś pod nosem, zamknął drzwi i bardzo delikatnie

przekręcił klucz, aby zgrzyt zamka nie zbudził jego pupilka.

- Zamówcie mu jedzenie ze stołówki, jak będzie chciał -

powiedziałem. - Dajcie mu coś do czytania, jak poprosi. Rozmawiajcie z

nim. Dbajcie o to, aby był spokojny. Już wy to potraficie.

To rzeczywiście dziwne, ale jeszcze nigdy żaden przestępca nie

zrobił Alpiowi najmniejszej krzywdy, nie tknął go nawet palcem, choć

jego niewinna twarz powinna raczej prowokować do agresji. A przecież

jest wręcz odwrotnie: brodate oblicze Alpia działa kojąco na najgorszych zbirów. Nie mają odwagi nawet przy nim zakłócić. No, ale to już inna sprawa.

Zameldowali mi, że wzywa mnie komendant policji. Był akurat w centrum, zaszedł więc do komendy. Siedział w swoim rzęsiście oświetlonym pokoju, jak gdyby nic się nie stało. Pozdrowiłem go z szacunkiem. Palmu skinął mu familiarnie głową. Komendant bynajmniej nie był w złym nastroju, ale przez pewien czas mierzył mnie badawczym spojrzeniem.

Kiedy poprzesuwał już papiery z jednej strony biurka na drugą, w końcu się odezwał:

- Tak tylko chciałem napomknąć, skoro się już widzimy, że z wiarygodnego źródła i w całkowitej dyskrecji otrzymałem poufną informację, iż pewna helsińska gazeta, powiedzmy, że wiodący krajowy dziennik, w jutrzejszym artykule wstępnym zamierza opublikować nader niepochlebne opinie o metodach działania naszej policji. Jest pan pewny, panie sędzio, że niczego pan nie zaniedbał?

- W granicach ludzkich możliwości - odparłem sztywno. - Jestem wszak tylko człowiekiem. I pan komendant dobrze o tym wie. Jestem tylko niedoświadczonym jurystą. - Niepotrzebnie podniesiony głos stał się piskliwy. - Do tej pory jednak cieszyłem się zaufaniem przełożonych. Naczelnik wydziału poluje na kaczkę. I cała odpowiedzialność spadła na mnie. Robię, co mogę.

Zerknąłem na Palmu. Komisarz bawił się fajką.

- Sprawa jest już praktycznie rozwiązana - piszczałem dalej. - Nie przeprowadziliśmy jeszcze, rzecz jasna, wszystkich przesłuchań i rewizji, nie sprawdziliśmy jeszcze wszystkiego, ale według mojego rozeznania są to wyłącznie formalności. Nikt nie zdążyłby zrobić tego wszystkiego w ciągu jednego popołudnia. Jeżeli jednak pan komendant ma takie życzenie, chętnie przekażę tę sprawę w inne ręce. Zwłaszcza że winny został już ujęty i siedzi w areszcie.

Palmu chrząknął.

- Podejrzany - poprawiłem się instynktownie, nie patrząc nawet za siebie. - Bardzo podejrzany. W zasadzie jestem pewien, że to on.

Oczywiste poszlaki. No i przyznał się do winy.

Palmu znowu chrząknął. Irytująco. I moim zdaniem zupełnie bezpodstawnie.

- Nie było żadnych nacisków - zapewniłem. - Wręcz przeciwnie, chłopak od razu został odesłany do celi, dostał jeść i teraz śpi w najlepsze. Jest pod opieką Alpia, nawet się nie stawia. Chciał popełnić samobójstwo pod kołami pociągu, lecz został powstrzymany.

Komendant się uśmiechnął. Może trochę dziwnie, ale przynajmniej spojrzenie mu złagodniało.

- Chciałem się tylko upewnić, jak się sprawy mają - powiedział przyjaźnie. - Niechże się pan nie gorączkuje, panie sędzio. Wie pan zapewne, że naczelnik wydziału tkwi wciąż na tej swojej wyspie po pachy w ustrzelonych kaczkach i leje krokodyle łyzy. Już do mnie nawet telefonował i skarżył się, że nie ma z panem kontaktu. Co prawda nie

pojmuję, w jaki sposób mógłby się wam na odległość przydać, pewnie jednak będzie pan musiał do niego zatelefonować i trochę go uspokoić.

Komendant stukał ołówkiem w blat biurka i odniosłem wrażenie, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

- Może pan komendant zechciałby zostać jeszcze chwilę? -

zapropnowałem usłużnie. - Muszę wydać oświadczenie dla prasy. O dwudziestej trzeciej. Inaczej się nie uspokoją.

- Dziękuję, dziękuję, mój chłopcze - odrzekł komendant - ale chyba nie zdążę. Wybieram się z paroma innymi seniorami do klubu na wista.

Tam też mnie pan znajdzie w razie nagłej potrzeby. Sam zatelefonuję do gubernatora i ministra spraw wewnętrznych, aby już miał pan to z głowy.

W końcu i ja za coś pobieram pensję.

Nie wiem, czy mi się przesłyszało, czy rzeczywiście w jego głosie zabrzmiała wesoła nutka. Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Zamyślony komendant dodał jeszcze:

- Szkoda, że nie mamy zdjęcia z wczorajszej próby policyjnego chóru. Byłaby to świetna reklama waszej wycieczki do Kopenhagi, gdyby tak udało się podsunąć to prasie. A nuż komuś spodobałby się pomysł i wsparłby wasz chór jakimś datkiem. Obiło mi się o uszy, że mimo niskich kosztów wielu śpiewaków zrezygnowało z wyjazdu, bo nie stać ich na podróż.

Musiałem spojrzeć przelotnie na Palmu, bo naprawdę nie wiedziałem, czy komendant drwi sobie ze mnie, czy mówi poważnie. Ale wyraz twarzy komisarza był równie nieprzenikniony co mina naszego

szefa.

Tak czy owak, komendant wyszedł zza swojego biurka i położył mi po ojcowsku dłoń na ramieniu, a potem przeniósł rękę na bark Palmu i puścił go przodem. Byliśmy namaszczeni. Obaj. Ja i Palmu. Chociaż nie za bardzo potrafiłem zrozumieć, dlaczego on też. Może komendant chciał podtrzymać starego sługę na duchu.

Ale nieważne. Kiedy wracaliśmy do mojego pokoju, poczułem dziwne przygnębienie. Miałem jeszcze czas. Ze wstydem przypomniałem sobie, że w pośpiechu zostawiłem na swoim biurku książeczki bankowe i dokumenty starego Nordberga. Chociaż kto by je stamtąd wyniósł. W poczekalni pod moimi drzwiami snuło się pięciu policjantów i czekało na moje rozkazy, dostrzegłem wśród nich Tahtinena. Chociaż źle się wyraziłem: nie snuli się, twarze mieli czujne i gdy wszedłem do środka, skoczyli żwawo na równe nogi.

Nawet na nich nie spojrzałem. Przeszedłem prosto do swojego pokoju, Palmu podążył za mną.

- Zamknij je w sejfie, dobrze? - poprosiłem zmęczonym głosem. -

Schowaj też resztę papierów. Na nic się nam już nie przydadzą.

Zatelefonuję do naczelnika, a potem spróbuję wysmażyć jakieś oświadczenie dla prasy. Zapiszę je sobie. Dla pewności. Żebym czegoś głupiego nie chlapnął, jak ty to mówisz.

W moim głosie pobrzmiwało rozgoryczenie. W brzuchu czułem dojmujący chłód. Byłem zmęczony i znudzony. Dlaczego? Przecież była to chwila mego największego triumfu. Przecież zostałem namaszczonej przez

komendanta.

Palmu spojrzał na mnie przyjaźnie, nie przestając bawić się fajką.

- Tak właśnie zrób, szefie - poparł mnie gorąco. - A ja, tego... nie

będziesz miał chyba nic przeciwko, jeśli w tym czasie zapędzę tych leni do roboty, abyśmy mogli zacerować kilka największych dziur? Niby czysta formalność, ale i to ktoś musi zrobić.

- Jasne, jasne - zgodziłem się, choć w myślach dobierałem już słowa

do swojego oświadczenia. - Zrób, co uważasz za stosowne. Mam do ciebie pełne zaufanie. W tych sprawach jesteś bardziej doświadczony ode mnie.

Poza tym to twoja robota. Rewizja w domu Villego i tak dalej. Rozumiem.

Ruszaj.

Wykręciłem numer do naczelnika wydziału. Linia specjalna.

Zrelacjonowałem mu pokrótce przebieg wydarzeń i powiedziałem, że

sprawę mamy już praktycznie zamkniętą. Naczelnik zupełnie się uspokoił

i w końcu stwierdził, że w takim razie nie ma sensu przerywać polowania.

Nad morzem się przejaśniło i wiatr ucichł.

- Zuch z ciebie - wyznał wreszcie. - A już myślałem, że to mój

koniec. Gdybym nie wiedział, że na miejscu jest Palmu... No dobra, to na razie.

Oczywiście nie byłby sobą, gdyby tuż przed odłożeniem słuchawki

nie puścił mi partyjskiej strzały. Wyciągnąłem maszynę do pisania i

zaciśnawszy zęby, zacząłem stukać. Tekst rozrastał się jak ciasto. Druga

kartka. Zwolniłem. Kostka lodu w brzuchu zaczęła nagle palić. Czyżbym

się przeziębził? Przestraszony odchrząknąłem i zaśpiewałem kilka nut. Na

szczyćście struny głosowe były w porządku. Czyli dwukrotne załamanie się głosu tego dnia wynikało wyłącznie ze zdenerwowania.

Podarłem zapisane kartki na strzępy i cisnąłem do kosza.

Zamyśliłem się. A potem napisałem krótkie oświadczenie. Pomyślałem o Villem. I o jego dziewczynie. I o starym Fredriku Nordbergu, który naiwnie wierzył w człowieka. Spojrzałem na stojącą pośrodku pokoju lunetę na trójnogu. I na pusty parkowy kosz na śmieci. Wszystko wydało mi się nagle najzupełniej daremne. Szybko się uwinąłem. Krótko i zwięźle.

Za drzwi zaczęły mnie dobiegać głosy i stuki. Za pięć jedenasta usłyszałem ciche pukanie i do środka zajrzał ostrożnie Palmu.

- Cud czy co? - rzekł ze zdumieniem, unosząc brwi. - Źródło poetyckiego natchnienia coś dziś nie wybiło, szefie? Byłem pewien, że co najmniej dziesięć kartek będzie...

A ja zużyłem zaledwie jedną i nie zapisałem jej nawet w połowie.

Oczywiście, mogłem dać oświadczenie komisarzowi, aby najpierw rzucił fachowym okiem. Po to zresztą przyszedł, domyśliłem się tego.

Dzierżyłem jednak kartkę przy piersi.

- Zawołaj ich - rzekłem.

Do środka wtoczyła się zgiełkliwa cizba dziennikarzy, uniosły się aparaty. Kilkakrotnie rozbłysła lampa. Sfotografowali pusty kosz na śmieci z parku. Wstałem z krzesła. Po chwili w pokoju zapadła głęboka cisza. Przeszali hałasować. Dostrzegli chyba wyraz mojej twarzy. Choć wcale się nie starałem przybrać szczególnej miny. Byłem po prostu

naturalnie poważny. Pomyślałem o Villem.

Odczytałem oświadczenie. Monotonnie i bez pośpiechu. Aby zdążyli zapisać. Zakończyłem dobitnie:

- Naszym zdaniem nie mamy zatem do czynienia z żadnym gangiem młodocianych przestępców. Podejrzany to typ osobowości z pogranicza, najprawdopodobniej psychopata. Jego personalia nie zostaną ujawnione, gdyż nie jest pełnoletni. Z tej samej racji postępowanie sądowe toczyć się będzie za zamkniętymi drzwiami.

- To wszystko - zakończyłem. - Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Jeżeli chcą panowie otrzymać więcej informacji, naczelnik wydziału wraca z urlopu w poniedziałek i proszę się w tej sprawie kontaktować bezpośrednio z nim.

Rozległy się okrzyki zawodu. Spojrzałem na Palmu. Trzymał fajkę w ustach i patrzył na mnie osobliwie. Rzekłbym, że patrzył na mnie nieomal z szacunkiem, gdyby to nie był Palmu. Przeniosłem wzrok z powrotem na dziennikarzy. Umilkli. Chyba do nich dotarło, że stawką jest tu cała reszta życia nieokrzesanego młodzieńca. I że jego ofiary nikt już nigdy nie wskrzesi. Fredrik Nordberg rozpoczął największą przygodę swojego życia. W myślach życzyłem mu szerokiej drogi.

Upewniwszy się, że nie wyciągną już ze mnie niczego więcej, dziennikarze zaczęli się zbierać do wyjścia. Spieszyło im się do swoich redakcji. Jeden z nich był tak przerażony, że chciał skorzystać z mojego telefonu. Kazałem mu jednak poszukać innego aparatu. Musiał pewnie zaalarmować kolegów, że trzeba zdjąć przygotowany wstępniak i dać na

jego miejsce jakiś inny tekst. I dlatego redaktor naczelny wiodącego fińskiego dziennika w niedzielny poranek poruszył zagadnienie drenowania pól.

Poczekalnia opustoszała. Zostaliśmy we dwójkę, Pal-mu i ja. Wciąż czułem w nozdrzach terpentynowy smród zbrodni i rozwianych nadziei w dudniącym głuchym echem korytarzu. Sam byłem tym pustym, dudniącym korytarzem. Mającym po obu stronach okute stałą wejścia do cel. Moje grzechy i występki, na wszelki wypadek trzymane pod kluczem. Nie wiem dlaczego, ale zachciało mi się płakać. Tacy już jesteśmy, my, śpiewacy. Sentymentalni. I gdy czasem rozsadza nam pierś czysta radość, nikomu nic do tego. Ale ludzie tego nie rozumieją, jeśli sami nie potrafią śpiewać.

- No dobrze - rzekłem wreszcie, gdy milczenie stało się zbyt przytłaczające. - Spieszysz się na pewno do knajpy. Sobotni wieczór, wiadomo. Zdasz jeszcze przed zamknięciem. No, szoruj, Palmu.

- Kierowniku - powiedział Palmu, a w jego głosie nie było nawet cienia złośliwości. - Jednak zaczynasz dojrzewać. A już straciłem nadzieję.

- Przeniósł zamyślony wzrok na lunetę. - Tak mówią gwiazdy... - zaintonował, okropnie fałszując. - Jest chyba taki szlagier, co? Słyszałem w radio.

- Próbujesz się wkręcić do Kopenhagi? - spytałem z goryczą. - Za późno, drogi przyjacielu. Nie masz w ogóle głosu.

- Gdzie mnie tam, staremu, do Kopenhagi - zaproponował Palmu nieobecny głosem. - Ale tak sobie myślę... Nieskończoność

wszechświata... Akurat dziś wieczór nie spieszo mi do knajpy, szefie.

Zawahał się i przesunął czubkiem buta po podłodze niemal jak

Kokki. Wybałuszyłem oczy ze zdumienia.

- Tak sobie myślę, szefie, że może wzięlibyśmy teraz pod pachę tę

lunetę Nordberga i poszli do parku na Wzgórzu Obserwatorium? -

dokończył wreszcie. - Popatrzymy sobie na gwiazdy. Taka pogodna noc.

8.

Nie mogłem oderwać wzroku od komisarza. Wyglądało na to, że

mówi serio. Czy może w jego propozycji krył się jakiś haczyk?

- Weźmy chociaż auto - rzekłem podejrzliwie. - Nie będę łąził po

mieście z tym ustrojstwem pod pachą.

- Mogę ponieść - zaofiarował się Palmu. - Nie ma sprawy. Zarzucę

sobie na ramię. Będę szedł z tyłu, żeby się pan kierownik nie musiał

wstydzić. Zrobimy próbę. Skoro tak wiekowy i chory na serce gość jak

stary Nordberg co wieczór targał toto na wzgórze, to pewnie i ja dam

radę. Chociaż mam wodę w kolanie.

Złożył statyw i przekornie zarzucił go sobie na ramię.

- Dawaj mi to - rozkazałem.

Luneta ze statywem była zaskakująco ciężka. Z ulicy Zofii wyszliśmy

na plac Targowy i skierowaliśmy się na Południowe Nabrzeże. Esplanady

były ciche, mimo sobotniej nocy. Pod Havis Amandą nie dostrzegliśmy

żadnych szapoklaków. Nie spotkaliśmy na ulicy ani jednego skórzanego,

mimo że w kinach skończyły się już wieczorne seanse. Nabrzeżem nie

pruły ryczące motocykle. Ulice były ciche i wyludnione. Wychodząc z

sinej poświaty latarni, dostrzegaliśmy na pogodnym niebie roziskrzone gwiazdy.

Już nie pamiętałem, kiedy ostatnim razem uniosłem głowę, aby zerknąć na rozgwieżdżone niebo.

Gdy w parku zaczęliśmy iść pod górę, zasapałem się. Palmu mnie pocieszył:

- Staruszek Nordberg nie targał lunety przez całą drogę. Od

Kapitańskiej jechał tramwajem i wysiadał dopiero tu, pod kościołem Świętego Henryka. Wiemy to od konduktora. Parę razy ucięli sobie pogawędkę. Dystyngowany starszy pan, tak się wyraził o Nordbergu.

Mimo że wyglądał trochę jak łachmaniarz. Zrobił mu nawet horoskop. Za darmo. Dla sportu. I to całkiem porządny. Podał szczęśliwe dni, wszystko, co trzeba.

Szliśmy wolno pod górę. W miejscu, gdzie stał kosz na śmieci, ziała czarna pustka. W cieniach drzew panował mrok. W całym parku nie spotkaliśmy żywej duszy.

- Czyżbyś naprawdę wierzył w astrologię, stary koniu? - zagadnąłem złośliwie.

- Jako w niebie, tak i na ziemi, jak powiedział Hamlet - odrzekł uroczyście Palmu.

- Zacznij mi jeszcze opowiadać o duchach, a natychmiast zawracam

- zagroziłem.

Przy kępie krzaków nieopodal pomnika Rozbitków wciąż stali na straży dwaj stójkowi. Leniwie zasalutowali. Komisarzowi. Nie znali mnie

z widzenia. Złe oświetlenie, no i ten kapelusz, ze złością naciśnięty prawie na oczy.

- Coś szczególnego? - zagadnął przyjaźnie Palmu.

- Ziab - odrzekł szczerze jeden z policjantów. - Zmarzłem na kość.

Bezchmurne niebo. Może być przymrozek. Tego, panie komisarzu... nie miałby pan może papierosa? Zmiana przyszła tak szybko, że nie zdążyliśmy kupić.

- Tylko fajkę - odrzekł Palmu przepraszająco. - Ale pan kierownik na pewno ma. Chociaż on to raczej lubi filtry.

Dopiero wtedy stójkowi się połapali i stanęli służbiście na baczność.

Pewnie z początku wzięli mnie za jakiegoś detektywa.

Nie miałem akurat ochoty na kazanie o szkodliwości palenia

tytoniu podczas służby wartowniczej. Ostatecznie park na Wzgórzu

Obserwatorium sprawiał wrażenie zupełnie wyludnionego. Z nadejściem zmroku gapie się rozeszli. Bali się pewnie dybiących na nich w krzakach młodocianych gangsterów z pałkami w zębach. Podsunąłem stójkowym papierośnicę.

Przepełnieni wdzięcznością, pomogli komisarzowi ustawić nogi

statywu w zachowanych dziurach pod pomnikiem Rozbitków. Palmu ujął pokręta i lufa lunety wycelowała powoli w niebo.

- Szkoda, że nie widać Księżyca - rzekł zawiedziony Palmu, kiedy już się napatrzył. - Te gwiazdy to rzeczywiście nic takiego.

- Daj mi też popofilować - poprosiłem. Przytknąłem oko do okularu.

Luneta nie była rewelacyjna. Gwiazda wyglądała jak główka od

szpilki.

- Żeby tak złapać chociaż jakąś planetę - mruknął niezadowolony

Palmu. - Ale nie zdążyłem zerknąć na mapę nieba. Nieboskłon na październik opublikują chyba dopiero jutro, bo wypada pierwszego.

- Wypłata... - rozmarzył się jeden ze stójkowych i klasnął w dłonie, by je trochę ogrzać. - Przydałoby się czegoś łyknąć. Cały zeszywniałem. Ja też mogę popatrzeć?

Zdałem sobie sprawę, że poczęstowanie ich papierosem było poważnym błędem. Jeszcze chwila i zaczną traktować mnie jak kumpla.

Stójkowy dostrzegł mój wzrok, wzdrygnął się więc i dodał szybko:

- Gdzieżby pić na służbie, panie kierowniku! I do tego na warcie.

Myślałem o filiżance gorącej kawy, jak znalazł w taki ziąb.

Zerknął przez lunetę na gwiazdę, ale szybko się rozczarował, wzruszył ramionami i ustąpił miejsca koledze.

- No to idźcie na tę kawę - zezwolił uprzejmie Pal-mu - tylko nie przepadnijcie na całą noc. W tym czasie my tu z panem kierownikiem popilnujemy.

- Ale... - zacząłem w wyuczonym odruchu sprzeciwu. Przecież nic nam nie wyjdzie z oglądania gwiazd, jeżeli ci dwaj będą nam bez przerwy sterczeć za plecami, czekając na swoją kolej. - Dobra, idźcie - dałem zgodę i zerknąłem na zegarek. - Macie dwadzieścia minut. Jak skoczycie na jednej nodze, to się rozgrzejecie.

Chciałem zażartować w stylu komisarza Palmu. Ale policjanci klepnęli się po ramionach, wybuchnęli gromkim śmiechem i rzucili się

biegiem w dół zbrocza, aż ziemia zadrżała.

- Co za ludzie - rzekłem z dezaprobatą i pokręciłem głową.

Kawiarnie były jednak już dawno zamknięte i chłopcy musieli biec na kawę aż do nocnej knajpy. Precyzyjnie im wyliczyłem te dwadzieścia minut.

Palmu obracał już lunetą i patrzył w niebo.

- To pewnie będzie Merkury - zagadnął. - Albo Mars. Świeci czerwonym światłem.

Ja też spojrzałem, ale nie miałem nic do powiedzenia. Nie posiadałem żadnej wiedzy astronomicznej. Niebo było daleko od ziemi. Gwiazdy jeszcze dalej. Im też pewnie było diabelnie zimno. Tamtej nocy rzeczywiście mógł przyjść przymrozek.

- Ten kierunek badań nic nam nie przyniesie - uznał w końcu

Palmu i skierował lunetę na miasto. - Ej, szefie, zobacz no, jak pysznie błyszczą krzyż na Katedrze w tym nowym oświetleniu dla turystów.

Katedra faktycznie wyglądała odświeżenie. Zerknąłem w okular.

Niedawno pozłocony krzyż na kopule lśnił wspaniale. Przez lunetę wydawał się ogromny i potężny. Patrząc z dołu, z Rynku, trudno było sobie nawet wyobrazić, że w rzeczywistości jest aż tak wysoki.

- *Ave crux, spes unica* - wyrzekłem machinalnie. Bez złośliwości.

Bez żadnego podtekstu. Byłem śmiertelnie poważny.

- Że jak? - spytał Palmu z podejrzliwą miną.

- Naprawdę nie wiesz? - zdumiałem się. - Przecież czytasz po łacinie. Po swojemu, ale zawsze. Wieczorami.

- Co tam tych parę przysłów - zaoponował skromnie Palmu. - No,
ale taki już mój los. Czego się taki stary glina jak ja mógł sam nauczyć...

Co to znaczy?

- Bądź pozdrowiony, krzyżu, świata nadziejo jedyna -
przetłumaczyłem dość swobodnie. - Słowa te wypowiadali pierwsi
chrześcijanie, gdy wychodzili na arenę z dzikimi lwami. Strindberg kazał
je wyryć na swoim krzyżu.

- August Strindberg? - spytał Palmu z niedowierzaniem. - Widział
to szef na własne oczy?

- Czytałem tylko - przyznałem z goryczą. - Nazbyt łatwo wierzę w
słowo drukowane.

Palmu wycelował lunetę na kamienice Katajanokki i nagle zaczął
chichotać, dając mi ręką znak, bym podszedł i spojrział.

- Tutaj już coś widać, szefie - zachwalił. - Chodź no, w końcu
młodszy jesteś. Na co to mnie, staremu dziadowi.

Spojrzałem przez okular. W jasno oświetlonym mieszkaniu na
ostatnim piętrze wysokiej kamienicy młoda kobieta wkładała właśnie
przez głowę koszulę nocną. W sypialni. Nie zaciągnęła zasłon. Jeżeli w
ogóle je miała. Nie wydawały się potrzebne, po drugiej stronie ulicy nie
było wszak żadnych okien, nikt więc nie mógł jej podglądać.

Oderwałem głowę od lunety tak gwałtownie, że o mały włos nie
upadłem na plecy.

- Fuj, Palmu! - zachnąłem się. - Nie spodziewałem się po tobie
czegoś takiego.

- Przepraszam, panie kierowniku - rzekł skruszony Palmu. - Nie

przypuszczałem, że jesteś jeszcze dziewicą. Też mi coś. Mało to się

naoglądałem dziewczyn w jeziorze? Bez strojów kąpielowych?

Stojący mi ciągle przed oczami obraz był tak wyraźny, że aż się

zaczerwieniłem. Babeczka była całkiem do rzeczy. Wąska talia, zgrabne

nogi, duże znamię na boku, tuż nad biodrem.

Palmu bynajmniej się nie zmieszał. Przeciwnie, ciągle podśmiewał

się pod nosem. Skierowałem lunetę z powrotem na niebo, choć próbował

mnie powstrzymać.

- Pooglądajmy już lepiej gwiazdy - uciałem sztywno. - Po to tu

przyszliśmy.

- Tak mówią gwiazdy, tak mówią gwiazdy... - nucił Palmu z zupełnie

niestosowną wesołością. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że

komisarz sobie podocho-cił. - Tak mówią gwiazdy, domyśliłem się...

- Przestań już skrzeczeć! - uciszyłem go, zakrywając uszy dłońmi. -

Tak to szło - rzekłem, po czym zanuciłem mu właściwą melodię i

zaśpiewałem na dokładkę kilka następnych linijek wielkiego szlagieru.

Radio nadawało go do znudzenia.

- Masz naprawdę piękny głos - rzekł z zachwytem Palmu. -

Uważam, że odniósłbyś sukces na każdej scenie. Śpiewając takie właśnie

piosenki. Dlaczego nimi gardzić? Ta o gwiazdach jest jak ciepły miód na

moje stare serce. Nie wstydzę się do tego przyznać. Zaśpiewaj no jeszcze

raz.

- Landrynka taka, że... - Próbowałem się bronić, ale zrobiłem mu tę

przyjemność i zaśpiewałem jeszcze jedną zwrotkę. Trochę wyżej. I pełną piersią. Mam wcale niezgorszy głos, nie będę fałszywie skromny. Zresztą nigdzie nie było widać żywej duszy.

- Pięknie - pochwalił Palmu. Chyba nawet szczerze. Zrobiło mi się cieplej na duszy i moje serce wypełniły przyjazne uczucia wobec komisarza. W końcu razem ciągnęliśmy ten wóz, dwa woły robocze w jednym zaprzęgu. Ciężka to przecież, wyczerpująca praca. Nie powinienem się na niego gniewać, nawet jeśli czasem trochę mi dokucza. Wróciliśmy więc do oglądania gwiazd. Ale zainteresowanie komisarza wyraźnie osłabło, a i ja zacząłem marznąć. Zrozumiałem, dlaczego ludzie nie chcieli płacić pięćdziesięciu marek tylko za świecą główkę od szpilki. Księżyc to jednak zupełnie co innego. Z radością skonstatowałem, że wracają właśnie obaj posterunkowi. Szli dziarskim krokiem, wyraźnie ożywieni.

- Szybko się uwinęliście - zdziwił się Palmu. - Byliście w nocnej knajpie?

- Nie, tak daleko nie szliśmy - odrzekł niewinnie starszy z policjantów. - Wstąpiliśmy do Pałace.

- Do hotelu Pałace? - Teraz ja się zdziwiłem. - Chy-baście powariowali! Z waszymi pensjami?

- Dają tam dobrą kawę - stwierdził rzeczowo posterunkowy. -

Wiadomo, że nie zachodziliśmy od restauracji. Ale ten tu mój kolega zna taką jedną fajną babeczkę, co robi na zmywaku w kuchni grillowej. Tam to naszym nigdy kawy nie załują. Z czajnika jaśnie państwa. I nic do

gliniarzy nie mają. Wręcz przeciwnie.

- Powiem coś panu kierownikowi - wtrącił się drugi policjant. -

Ciekawie się złożyło. Znam w tym hotelu nocnego portiera, więc wstąpiłem do niego zapytać o zdrowie. Człowiek nigdy nie wie, co się jutro zdarzy. No i powiedział mi, że rano zaszła do nich jakaś babka, rzekomo panna, z psem. Bardzo elegancko ubrana. Próbowwała się wedrzeć do hotelu, na siłę chciała dostać pokój. Taka była spietrana. Ten portier z początku myślał, że to jakaś wariatka. Dopiero potem się wyjaśniło, że babka znalazła zwłoki w parku. Właśnie te. No i natychmiast wezwał radiowóz. A jej zdjęcie było potem w „Kurierze”. Razem z tym psem.

- Panna Peltonen - skonstatował automatycznie Palmu. - Szkocki terier. Wkrótce ją znajdziemy. Chłopcy z radiowozu zapamiętali nazwisko, choć nie chciała podać im adresu.

- No tak, zgadza się - przyświadczyłem bez entuzjazmu. - Ją też trzeba będzie przesłuchać. Ale to czysta formalność. - Spojrzałem pytająco na Palmu. - To co, czas się chyba rozejść do domów - zaproponowałem. Zerknąłem na stójkowych i zawahałem się. - Wy też możecie wracać - rzekłem. - Sprawdźcie tylko, czy po zamknięciu knajp nie poślazili się tu jacyś maruderzy i nie bawią się po krzakach w podchody. Pokręćcie się tu, powiedzmy, do drugiej. Nie musicie tu sterczeć przez całą noc.

Obaj zaczęli wylewnie mi dziękować. Wiadomo, żadna to przyjemność na darmo przestępować z nogi na nogę i marznąć, kiedy w

domu czeka wygrzane łóżko. Spostrzegłem, że postąpiłem szlachetnie.

Nie myślałem tylko o sobie, pamiętałem również o innych.

- A co z tym? - Palmu wskazał niechętnie na ciężką lunetę.

- Weźmiecie ją ze sobą - rzekłem do posterunkowych. - W końcu i tak musicie się odmeldować w komendzie. Każecie po prostu wstawić ją do mojego pokoju.

Przeszliśmy z Palmu na drugą stronę wzgórza i zesliśmy pod kościół Świętego Henryka, gdzie złapałem taksówkę. Byłem nawet gotów zafundować komisarzowi kurs do domu - nie nadłożylibyśmy za bardzo drogi - ale Palmu powiedział, że musi jeszcze coś sprawdzić w firmie i puścić chłopaków do domu, zostawiłem go więc na rogu Esplanad i Zofii.

Mruknął jeszcze, że na pewno znajdzie się jakiś radiowóz, który podrzuci go pod dom. Raz zabrali go nawet spod knajpy. Ale słowa komisarza wlatywały mi jednym, a wylatywały drugim uchem. Nie wypadało mi przyjmować do wiadomości jaskrawych naruszeń regulaminu obowiązującego załogi policyjnych wozów radiowych.

- Śpij dobrze, panie kierowniku - pozdrowił mnie na koniec z rzadką u niego serdecznością. - Zasłużyłeś sobie. Miałeś bardzo ciężki dzień. Zbieraj siły. Będziesz nam jeszcze potrzebny.

Były to wyrazy wielkiego uznania. Zważywszy na to, czego zazwyczaj wysłuchuję od komisarza Palmu. Zostałem sam i powieki zaczęły mi ciążyć już w taksówce. Zazwyczaj nie siedzę do tak późnej godziny, jeśli nie ma konieczności. Służbowej, to mam na myśli. Czasem jednak trzeba się spotkać i pogadać o sprawach naszego chóru. Za dnia, w

godzinach pracy, nie ma kiedy. Przypomniał mi się wieczór. Czyli jednak pojedziemy do Kopenhagi. Mimo wszystko.

Rozebrałem się, położyłem do łóżka, zgasilem światło, nasunąłem kołdrę po uszy i od razu zapadłem w głęboki sen. Sen zdrowego mężczyzny. Wszak było już po pierwszej.

Naprawdę więc nie pojmuję, co mnie wyrwało z tego snu już o piątej rano. Nagle byłem zupełnie rozbudzony. Nie pamiętałem nawet, aby śniło mi się coś szczególnie przykrego.

Miałem wygodne łóżko, dobre mieszkanie, regały z książkami - a były wśród nich prawdziwe powieści, nie tylko podręczniki prawa i kryminalistyki. Czułem się jednak samotnie, gdy tak o piątej rano leżałem w łóżku z szeroko otwartymi oczami. W chłodnym pokoju, bo sezon grzewczy jeszcze się nie zaczął.

Zdenerwowany tym niewytłumaczalnym przebudzeniem, zapaliłem papierosa. Na pusty żołądek. Piąta rano to parszywa pora dnia.

Przypomniałem sobie znów swoje pierwsze i jak dotychczas jedyne małżeństwo, choć z reguły nie lubię wracać do niego myślami. „Inaczej, inaczej wszystko teraz”, kołatała mi w głowie linijka wiersza. Szlag bombki trafił. Na szczęście szybko. Zachciało się żony z baletu.

Policjantowi.

Nienormowany czas pracy, no i jeszcze ta moja niedojrzałość.

Kariera i kariera, w kółko o niej mówiła. Ale i ja miałem swoją.

Pracowałem i zdawałem egzaminy końcowe licencjata prawa. A ona rzuciła operę i balet, jak już jej się trafił ten kupiec futrzany. Nie mam

żału. Ostatecznie rozstaliśmy się w zgodzie. Wzięła winę na siebie. Nie wniosłem o alimenty. Łuska spadła mi z oczu w samą porę. Wszystko prysło jak mydlana bańka. Czułem się jak szmata, długo nie mogłem się pozbierać. Na szczęście nie zdążyliśmy dorobić się dzieci. Przez moje egzaminy.

A trzeba było posłuchać komisarza Palmu. Chociaż słowa nie wyrzekł. Wszystko mi powiedział czubkiem swojego nosa. Ale i tak bym mu nie uwierzył, choćby powiedział mi wprost. Takich rzeczy trzeba doświadczyć samemu. Tylko że ja nie uczę się na błędach. Wszystko spływa jak woda po gęsi - tak mówi o mnie Palmu.

Owa znaczna dygresja od rutynowego toku myślenia uświadomiła mi dopiero, że nie śpię, gdyż czekam na poranną gazetę. A było na co czekać. Życie mi nie doskwierało. O dawnych problemach zdążyłem już zapomnieć, wiele wody upłynęło od tamtego czasu. Praca wystarczała mi w zupełności. I chór. Nic więcej do szczęścia nie było mi potrzebne.

O wpół do szóstej usłyszałem z przedpokoju przyjemny odgłos.

Bądź błogosławiona, stara roznosicielko gazet! Nie wystawiłaś mej cierpliwości na próbę, chociaż i dla ciebie był to przecież niedzielny poranek. Zamawiam do domu jedynie ów wiodący dziennik. Więcej prasy nie ma sensu prenumerować, bo pozostałe gazety przeglądam w pracy.

Całkiem spokojnie wstałem z łóżka, przeszedłem do niewielkiej kuchni i zaparzyłem sobie dużą filiżankę kawy. „Po co się gorączkować - mówiłem sobie w duchu - nie jestem już przecież aż taki młody”.

Filiżanka jednak drżała mi w ręku. W mieszkaniu było rzeczywiście

chłodno. A zatem to z zimna. Odstawiłem kawę na nocny stolik przy łóżku i dopiero wtedy poszedłem do przedpokoju po gazetę. Rozłożyłem ją. Zapach świeżej farby drukarskiej połaskotał mnie przyjemnie w nos. Cała strona. Nie pożałowali śródtytułów. I moje zdjęcie. Duże. Tymczasowy kierownik komisji zabójstw helsińskiej policji. Nie zapomnieli nawet o moim sędziowskim tytule. Połaskotało mnie przyjemnie pod sercem, choć zamieścili oczywiście to zdjęcie z otwartymi ustami. Pokusa była zbyt silna. Wykazałem zrozumienie. W końcu musieli w ostatniej chwili zdjąć ów zjadliwy artykuł wstępny. Ani słowa o bezdomnym pijaku. Zdobyli za to zdjęcie z obławy na Studnię. Przytomniacy. I ani jednego złego słowa o całej sprawie. Zdjęcie mówiło samo za siebie. Modelowy szapoklak o twarzy wykrzywionej wściekłością wrywał się tęgiemu policjantowi, szarpiąc i wierzgając. Na łamy trafił też Karhunen, a wraz z nim luneta starego Nordberga. Podobnie Kokki i panna Saara Pohjanvuori, bratanica ofiary morderstwa. Co tu więcej mówić. Artykuł na całą szpaltę. Zdecydowana i błyskawiczna akcja policji zasługuje na wyrazy najwyższego uznania. Nie było już mowy o młodocianych gangsterach. W ogóle nie padło choćby jedno złe słowo o fińskiej młodzieży. Odosobniony przypadek, ohydna zbrodnia chorej psychicznie jednostki. Biedna dziewczyna. Biedna Saara. Pewnie też nie spała, czekając na poranną prasę. Pozostałych wiadomości nawet nie czytałem. Zerknąłem tylko na artykuł wstępny. Problem drenowania pól. Nie mogłem powstrzymać szerokiego uśmiechu, kiedy przeciągnąłem się pod kołdrą i założyłem

ręce pod głowę. Warto było żyć. Jednak warto było. Mimo wszystko.

Przeżyć tę swoją ziemską wędrówkę.

Kawa nie zdążyła wystygnąć. Wypiłem ją duszkiem i w pustym żołądku poczułem nagle rozkoszne ciepło. Nawet papieros mi zasmakował. Przewróciłem się na bok i pomyślałem, że jeszcze sobie pośpię. W końcu jest niedziela, można się raz porządnie wybyczyć.

Ale sen nie wracał. Innych gazet nie warto było czytać. Wystarczyło, że przeczytałem tę jedną - cała reszta musiała zagrać w podobnej tonacji.

Ale co było robić, skoro nie chciało mi się już więcej spać? Za dziesięć szósta wstałem z łóżka, ogoliłem się i wziąłem prysznic. Zmieniłem koszulę i włożyłem ciemny garnitur. Wybrałem czarny aksamitny krawat z maleńką czterolistną koniczynką wyszytą czerwoną nitką. Pomyślałem, że przyniesie mi szczęście. Najwyższa pora.

Dziesięć po szóstej byłem już na ulicy. Pierwszy dzień października majaczył niewyraźnym świtem. Słońce jeszcze nie wzeszło. Nie dostrzegłem też nigdzie gazeciarzy, nie w niedzielę o tej porze. Mimo szarugi czułem się promiennie. Żyłem, oddychałem, nogi miałem sprężyste, głos czysty jak dzwon.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale już po chwili stałem na postoju taksówek i pukając w szybę samochodu, budziłem drzemiącego szofera.

- Park na... - zacząłem, zaraz jednak ze wstydem ugryzłem się w

język i poprawiłem szybko: - Proszę na róg Koszarowej i Obserwatoryjnej.

Nie pamiętam numeru.

Taksówkarz nie należał do tych rozmownych. Helsinki były

zupełnie wyludnione. Przejaśniało się. Na wilgotnych brukach dostrzegłem tylko jednego roznosiciela prasy, starego już człowieka, pchającego dziecięcy wózek z paczkami świeżych gazet.

Zapłaciwszy za kurs, wysiadłem z taksówki i stwierdziłem, że chmury zdążyły zrzędnać, odsłaniając jaśniejący błękit. Ruszyłem żwawo przed siebie i po chwili skręciłem w parkową alejkę. Pod butami zgrzytały mi żwir. Trawnik był usłany żółtymi liśćmi. W oddali dostrzegłem małego czarnego pieska, który z nieskrępowaną swobodą biegał między drzewami. Bez smyczy. Może uciekł? Pierwsza myśl. I wtem nagłe olśnienie.

Zawsze lubiłem psy. My też mieliśmy jamnika. Tylko że przyszło mi go uśpić, gdy cała reszta mojego życia legła w gruzach. Sam nie utrzymam w domu psa. Zbyt długo byłby zdany wyłącznie na siebie, psy nie mogą tak żyć. A ja nie mogłem siedzieć za biurkiem i rozwiązywać spraw kryminalnych z jamnikiem pod krzesłem. To niemożliwe. Choć może gdybym był wystarczająco sławny? Wtedy kto wie.

Było, minęło. Lubię też większe psy. Policyjne. Łobuzy panicznie się ich boją, ale mamy przecież w naszej policyjnej sforcie również łagodnego wilczura, który łapie swojego pana za rękaw, gdy tylko ten uniesie pałkę. Wiadomo, suka. Gwizdnąłem cicho. Zaskoczony czarny terier zatrzymał się i nastawił czujnie uszy. Bardzo ładny pies, elegancko przycięty. Było to zresztą widać na zdjęciu w „Kurierze”. Piesek już chciał przybiec do mnie i się przywitać, gdy zza zakrętu alejki wyszła jego pani. Ją również widziałem już w gazecie. Moja nieoczekiwana obecność w parku wyraźnie

ją przestraszyła. Stała jak wryta, przycisnęła do piersi torebkę i

zaćwierkała cicho:

- Dobry Druhu, do nogi!

Terier natychmiast do niej pobiegł i zawrócił przy jej nodze, gotowy bronić swej pani. Postawił uszy i wbił we mnie wzrok, chyba nawet warknął. Uchyliłem grzecznie kapelusza i odezwałem się:

- Zgaduję, że panna Peltonen. Moje uszanowanie. Pochyliła się i przyczepiła smycz do obroży psa, po czym sprostowała nieśmiało:

- Nazywam się Pelkonen... Dzień dobry.

- Proszę się nie bać - uspokoiłem ją. - Nie mam złych zamiarów.

Jestem kierownikiem grupy dochodzeniowej helsińskiej policji kryminalnej. - Przedstawiłem się, nie zapominając chyba też o swoim sędziowskim tytule.

Panna Pelkonen wyprostowała się, wspięła na palce, uniosła wysoko brodę i odrzekła cierpko:

- Kto by przypuszczał, że gdy tylko samotna kobieta ośmieli się na chwileczkę spuścić ze smyczy swojego psa w parku, na miejsce zaraz pofatyguje się aż sam pan sędzia z policji kryminalnej. Niechże pan posłucha, łaskawy panie, to już chyba jednak gruba przesada.

Co tu więcej opowiadać? Nieporozumienie zostało rychło wyjaśnione. Dobry Druh *ochoczo* zaliczył mnie w poczet swoich przyjaciół, wszystko się ułożyło i spuściliśmy go ze smyczy, aby sobie pobiegał. My zaś spacerowaliśmy po parku na Wzgórzu Obserwatorium i żywo dyskutowaliśmy. Słońce już wstało i niebo nabrało owej jasnej

barwy, jaką zobaczyć można w Helsinkach jedynie w pogodną niedzielę października. Pannie Pelkonen kamień spadł z serca, bez ceregieli opowiedziała mi więc wszystko od początku. Nie pominęła nawet dżentelmena w zielonym kapeluszu z czerwonym piórkiem, choć wydaje mi się, że zrazu nie miała zamiaru o nim wspominać, jako że pan ów nie chciał być w tę sprawę zamieszany.

- Czy to rzeczywiście tak jest, panie sędzio? - spytała w końcu z błyskiem w oku. - Naprawdę mogłabym się na pana powołać, gdyby strażnik parkowy znów zaczął mnie besztać?

- Ależ oczywiście - zapewniłem ją. - Sprawa załatwiona. Proszę wówczas powołać się na mnie, a w razie wątpliwości kazać telefonować do mnie bezpośrednio, bez względu na porę dnia. Nie sądzę, by któryś spróbował.

- Czyli że w ciągu dnia też mogę spuszczać Dobrego Druha ze smyczy? - W głosie panny Pelkonen brzmiało niedowierzanie. - Jak nie będzie bardzo dużo ludzi?

- O każdej porze dnia i nocy - odrzekłem. - Dobry Druh to wspaniały i posłuszny pies. Oczywiście, że może biegać swobodnie po parku. W końcu on również płaci podatki. Poza tym na jesieni strażnicy parkowi nie trzymają się już tak ściśle regulaminu.

Usłyszawszy swoje imię, Dobry Druh szybko podbiegł do mnie i polizał mi dłoń. Serce panny Pelkonen zupełnie stopniało:

- Drogi panie sędzio - rzekła z niejakim wahaniem - to oczywiście nie jest przyjęte, ale w końcu będzie z nami mój Dobry Druh. Zapraszam

pana na poranną kawę, zasłużył pan sobie po całej nocy ślęczenia nad tą przerażającą sprawą. Mam w domu dwa rogaliki i trochę ciastek.

Przyjąłem zaproszenie z wdzięcznością. Poczułem zresztą nagle, że jestem głodny jak wilk. Jajecznica z dwóch jajek i plasterek szynki to niezbyt obfity posiłek dla dorosłego mężczyzny.

Panna Pelkonen wyglądała po prostu ślicznie, gdy parzyła mi kawę w swojej małej kuchni. Z okien roztaczał się piękny widok na Wzgórze Obserwatorium. Mieszkanko było schludne i eleganckie, równie czyste i zadbane jak jego właścicielka. Kiedy poznaliśmy się już lepiej, panna Pelkonen wyjawiała, że nabyła kawalerkę dzięki pokaźnemu spadkowi. Przedtem bez mała trzydzieści lat tyrała jak wół na głodowej pensji pracownicy ubezpieczalni.

Piszę o tym, by dać czytelnikowi do zrozumienia, że bardzo się zaprzyjaźniliśmy z panną Pelkonen. Siedząc przy stole, przeczytaliśmy w drugiej gazecie kopię artykułu z wiodącego dziennika, choć nie zajmował już całej szpalty, a zdjęcia nie były tak dobre. W artykule wstępnym redaktor naczelny całkiem rzeczowo omawiał zagadnienie walki z przestępczością wśród młodzieży. Wcześniej zapomniałem natomiast zupełnie o listach do redakcji, panna Pelkonen przytomnie otworzyła więc na odpowiedniej stronie. Zrobiliśmy oboje okrągłe oczy ze zdumienia.

„Dawny nauczyciel”, „Samotna urzędniczka” i „W imię przyszłości” głośno wołali o wprowadzenie kary śmierci. „Czworo rodzeństwa” deklarowało się jako fanatyczni zwolennicy chłosty. W dzieciństwie

dostawali różgi i odniosłem wrażenie, że bardzo to lubili. „Matka siódemki” dzieliła się swoim genialnym pomysłem, by wszystkich zboczeńców z miejsca kastrować. Rozumiało się i bez psychoanalizy, że musi żywić do męża bardzo głęboką urazę.

Doczytawszy do tego miejsca, taktownie oddałem dziennik właścicielce i schyliłem się, by podrapać Dobrego Druha pod szyją. Panna Pelkonen rzuciła gazetę na bok i zapytała:

- Czy oni naprawdę mogą zabić tę biedną sierotę? Zdążyłem już opowiedzieć panie Pelkonen o Villem i jego dzieciństwie. Przyznaję, trochę się wygadałem, lecz przecież moja rozmówczyni nie była pospolitą plotkarką. Stało się to dla mnie jasne, gdy tylko ją poznałem. Poza tym gazeta donosiła, że na dworcu głównym chłopak usiłował wyrwać się z rąk policji i skoczyć pod pociąg. Samobójstwo udaremnili wspólnymi siłami dworcowy posterunkowy oraz Holger Miettinen, elektryk. Najwyraźniej pan Miettinen należał do stałych prenumeratorów owego tytułu i to od niego była ta wiadomość. Posterunkowy Laitinen raczej na pewno nie puścił pary z gęby.

- Proszę się nie bać, panno Pelkonen - uspokoiłem ją. - Chłopak zostanie niezwłocznie wysłany na badania poczytalności. W szpitalu psychiatrycznym będzie mu lepiej niż na tym bezdusznym świecie. Wielu świetnie się tam bawi. Mówię poważnie, sam widziałem.

HH

Muszę się uczciwie przyznać, że poza rogalikami i paroma sucharkami zjadłem też połowę ciastek panny Pelkonen. Połowę paczki,

może tak powiem. Sprawilem jej tym jednak jeszcze większą radość.

Kiedy się zegnaliśmy, policzki pięknie się jej zaróżowiły, a oczy błyszczały.

Wielokrotnie mnie zapewniała, że będę zawsze mile widziany, jeśli tylko zechcę w jej towarzystwie wyjść na spacer z Dobrym Druhem, a po spacerze napić się kawy. Dała mi też do zrozumienia, że jest całkiem przyzwoitą kucharką.

Tak więc dopiero około dziewiątej trzydzieści, z piersią szeroką po zwawym spacerze, wmaszerowałem do swojego pokoju w komendzie przy Rynku. Po drodze nie kupiłem nawet gazet. Wiedziałem, że będą na mnie czekać na biurku lub w dyżurce.

Palmu skoczył na równe nogi, tak był zaskoczony moim przybyciem. Siedział sobie wygodnie za moim biurkiem niczym pan kierownik komisji zabójstw i wertował teczki z archiwum. Leżała ich przed nim cała sterta. Nigdzie nie dostrzegłem gazet, ani jednej.

Poczułem nagły chłód. Coś było bardzo nie tak.

Palmu jednak powitał mnie wesoło:

- Dobry, panie kierowniku, widzę, żeś się wyspał. Czyste sumienie to najlepsza poduszka, co?

- Dziękuję - odrzekłem uszczypliwie, kiedy mimo wszystko usunął się na bok i wpuścił mnie na moje własne krzesło. - Co jest, zostało ci jeszcze coś do wyjaśnienia?

W kącie stał pognieciony karton. Palmu powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem.

- Rzeczy chłopaka - wyjaśnił. - Tahtinen przyniósł. Cały doczesny

dobytek Yillego Yalkonena. Nie chcą go więcej widzieć w domu. Okrył ich tylko hańbą i tak dalej. Chuligan i nicpoń, zarabiać nie chce nawet na siebie, stara śpiewka.

- Wkrótce państwo będzie go karmić - pocieszyłem go. - No, znalazły się te jego właściwe buty?

- Ville miał na nogach jedyne buty, jakie posiada - odrzekł cierpko

Palmu. - Siedzieli w laboratorium do późnej nocy. Z czystej ciekawości. W końcu to wielka sprawa.

- I na czubkach butów znaleźli włókna z ubrania starego Nordberga? - dopowiedziałem z nadzieją w głosie.

- Ani na lekarstwo - zmiażdżył ją Palmu. - Na butach Ariego też nic.

Tak że jeśli zamierzasz trzymać chłopaka dalej pod kluczem, to mądrzej byś zrobił, gdybyś nie wysyłał tych butów do laboratorium. Mają tam, bracie, taki sprzęt i mikroskopy, że...

Nie dokończył zdania, tylko spokojnie usiadł i zaczął nabijać tę swoją obrzydliwą fajkę.

- Co ty w zasadzie chcesz przez to powiedzieć, Palmu? - spytałem znużonym głosem. - Chyba ci rozum odebrało.

- Pan kierownik wykonał wczoraj mistrzowskie posunięcie - odrzekł spokojnie komisarz. - Wywiódł w pole całą helsińską prasę, dzięki czemu choć raz będziemy mogli w spokoju robić swoje, nie słysząc na każdym kroku wściekłego ujadania psów. To bardzo ważne, mamy bowiem do rozwiązania nadzwyczaj trudną sprawę.

Skoczyłem na równe nogi. Brakło mi tchu.

- Spiełeś się czy co?! - parsknąłem nietaktownie. - Na cyku od

samego rana?! Tego już za wiele, Palmu, nawet jak na ciebie!

Komisarz spokojnie zapalił fajkę. Kiedy ją wreszcie porządnie

rozbuchał, powiedział wolno:

- Mówisz poważnie, szefie? A już prawie uwierzyłem, że celowo im

podsunąłeś ten fałszywy trop. Bo to chyba jasne, że trzeba wreszcie zacząć

szukać prawdziwego mordercy. W czym nikt nam nie będzie już teraz

przeszkadzać.

9.

Opadłem bezwładnie na krzesło. Z rozdziawionymi ustami.

Siedziałem tak dłuższą chwilę. Palmu mówił poważnie. Wcale nie

zartował. Ani nie był pijany. Spojrzał na mnie z politowaniem.

- Naprawdę nie wyczytałeś od razu z twarzy Villego, że nie jest

mordercą? - spytał komisarz. - Przecież wystarczyła jedna rozmowa

telefoniczna, by zdmuchnąć ten twój domek z kart.

Ślepiłem przed siebie niewidzącymi oczami.

- Gdzie zatelefonowałeś? - spytałem lodowatym głosem.

- Nawet nie musiałem tego robić osobiście - odrzekł Palmu. -

Zleciłem to Tahtinenowi. Zatelefonował do kierownika biura loterii

pieniężnej, gdzieżby indziej? Do domu.

- No i co? - indagowałem, wciąż nic nie pojmując.

- Główną wygraną w sierpniowej loterii wylosowano w Rovaniemi -

odpowiedział Palmu niewinnym głosem. - Czyli to nie stary Nordberg ją

dostał. I nie zniknęły mu żadne pieniądze. A zatem w grę wchodzi

zupełnie inne kwestie.

- Ale przecież stary Nordberg dostał pieniądze - sprzeciwiłem się. -

Dziewczyna mówiła. Widziałem zresztą książeczki bankowe na własne oczy. Ciągle są w naszym sejfie, sam je tam wczoraj wsadziłem. Nie próbuj mnie rolować.

- Oczywiście, że stary Nordberg dostał pieniądze - przystał pojednawczo Palmu. - Za coś je dostał. Tylko za co? Kiedy wymyślił dziewczynie tę główną nagrodę w loterii? Trzy dni po tym, jak mu powiedziała o ciąży. Szybko się uwinął, co? Wzbogacił się nagle i nieoczekiwanie. Chociaż o tych trzech dniach wiemy jedynie ze słów dziewczyny. Ale to nic, panny Pohjanvuori o nic nie podejrzewam. Mój rozum zaczął się buntować.

- Ale Ville się przyznał - wałkowałem swoje. - Do wszystkiego. Nie pamiętasz?

- Ville wcale się nie przyznał do popełnienia tej zbrodni. Sądzę, że chyba wiem, o co mu chodziło. To bardzo sumienny chłopak. Bierze sobie wszystko do serca. Ale chodźmy do niego, zapytamy go. Wszystko się wtedy wyjaśni.

Palmu najwyraźniej spostrzegł, że potrzebuję czasu, by oswoić się z nową sytuacją. I taktownie mi go dał. Niespecjalnie się więc spieszył, gdy przez pokoje i korytarze szliśmy w stronę ministerstwa wyznań. Mój krok nie był już tak sprężysty jak poprzedniego dnia. Szczerze powiem, że nogi miałem jak z ołowiu.

Stary Alpio wyglądał na bardzo zmartwionego. Obrzucił mnie

ślągalnym wzrokiem. A więc czytał już gazety. Ville natomiast nie miał pojęcia, co nad nim zawisło. Siedział na brzegu łóżka i grał ze swym aniołem stróżem w halnę. Z wesołym uśmiechem uniósł głowę i spojrzał na nas.

- Dzień dobry, kiedy przyjdzie Saara? - spytał z nadzieją w głosie.

Dopiero łagodny kuksaniec Alpia przypomniał mu, że powinien wstać.

Nie miał biedak wychowania, nie miał.

Uczesał się za to i dolna warga już mu nie wisiała, a dzięki zabiegom jego opiekuna, który dał mu się porządnie wyspać i uwolnił od najgorszych trosk, twarz Villego przestała być odstręczająca. Alpio zwolnił dla mnie swój taboret. Palmu, pykając fajkę, przysiadł na krawędzi łóżka obok chłopaka. Odruchowo podsunąłem mu papierośnicę. Choć Ville nie powinien w ogóle palić, bo był chudy jak wypłata, a długi jak czternaście dni. Chciałem jednak zachowywać się przyjaźnie. Ciągle jeszcze. Mimo wszystko.

Alpio taktownie wyszedł na korytarz. Spojrzałem chłopakowi w oczy. Biła z nich szczerłość, nie odwrócił wzroku.

- Halma to namiętność Alpio - zaczął Palmu, wskazując fajką na planszę. - Na pewno złożył ci skórę.

- Wcale nie - zaprzeczył Ville z dumą. - W sierocińcu też w to graliśmy. - Chłopak sposepniał i nie dokończył myśli.

- Co ty mówisz? - Palmu był zachwycony. - Mało kto z naszych potrafi ograć Alpia. Nie jesteś wcale taki drętwy, jeżeli naprawdę dałeś mu w kość.

Ville znów uśmiechnął się promiennie. Miał tyle kompleksów, że

nawet najbardziej miłą pochwałę chłonał jak gąbka.

- Nie przestrasz się, Ville - podjął po chwili Palmu - ale powiedz no, do czego tak naprawdę chciałeś się wczoraj przyznać. Poza tą przejażdżką, wiadomo. Choć przecież to nie ty prowadziłeś ten wóz. Za wypadek odpowie Ari.

Wczoraj pan kierownik nie chciał cię już dłużej męczyć. Byłeś w bardzo kiepskiej formie. Nasz szef to bardzo wyrozumiały człowiek.

Ville uwierzył i spojrzał na mnie z szacunkiem. Potarł nerwowo dłonie. Przypuszczam, że oblał się zimnym potem.

- To tylko, że... - zaczął cicho - że to ja zepsułem tę budkę telefoniczną. Ze złości wyrwałem słuchawkę z aparatu i podarłem książkę z numerami. Ale tak się wnerwiłem! - znowu uniósł głos. - Chyba miałem wstrząs mózgu, ale pomyślałem sobie, że zaraz zatelefonuję do Saary do domu i zapytam, co mam robić. Gdyby mi kazała, od razu poszedłbym się zgłosić na policję. Machnąłbym nawet ręką na Ariego, gdyby tego chciała. Ale potem przyszło mi do głowy, że tak czy siak wyląduję w pierdlu. Przez tę witrynę kawiarni. Chociaż to w ogóle nie była moja wina. Ktoś mnie popchnął. Pan Alpjo powiedział mi w nocy, że na pewno dostanę tylko upomnienie, bo mam dopiero siedemnaście lat. Ale jutro kończę już osiemnaście. Pan Alpjo powiedział, że mam wielkie szczęście.

To go wyraźnie rozśmieszyło. Palmu wykorzystał sposobność:

- A za coś się tak zezłościł na ten telefon? - zagadnął.

- No bo miałem tylko jedną dobrą monetę - Ville czuł potrzebę

zwierzenia się. - Ale odebrał ojciec Saary i od razu się wściekł, gdy usłyszał mój głos. Zabronił mi telefonować. Objechał mnie na perłowo i zapowiedział, że mnie objeje, jeśli jeszcze raz ośmielę się do niej zbliżyć. Ja się go tam nie boję. Może sobie grozić. Ale mnie to wnerwiło, że nie chciał zawołać Saary do telefonu, tylko rzucił słuchawkę na widełki, a ja nie miałem już więcej bilonu.

Wpadłem w szal, wyrwałem słuchawkę i zacząłem walić pięścią w aparat, więc pewnie też go zepsułem. To nie był żaden wandalizm. Pan Alpio mówił, że napad szału to okoliczność łagodząca. I że na pewno mi uwierzą, mam tylko wyznać szczerze całą prawdę. I że tu nikogo nie biją, chociaż chłopaki na mieście tak opowiadają. Wszystko to jedna wielka bujda. Tak jak te bajeczki Ariego. Ten frajer nie umie nawet jeździć samochodem.

Dawne bożki Villego spadły z piedestału, wypierane przez Alpia.

- Czyli o tym morderstwie nic nie wiesz? - spytał jeszcze Palmu.

- Choćbyście mnie skrócili o głowę! - Chłopak przeciągnął kciukiem po szyi. - Stryjek Fredrik był jedynym człowiekiem, który miał dla mnie naprawdę dużo serca. Poza Saara, ma się rozumieć. I nigdy nie chciałem mu sprawić przykrości, ale... Stryjek nawet się za bardzo nie wściekł.

Trochę się pokwasiliśmy i gryzłem się z tym przez parę dni, bo i ja nie miałem łatwo. Ale spotkaliśmy się wczoraj wieczorem na Wzgórzu, wszystko sobie wyjaśniliśmy i stryjek obiecał mi swoją lunetę. Że da mi ją całkiem na własność.

Ville spojrzał na nas z nadzieją. Komisarz miał nieprzeniknioną

minę. Skinął tylko głową na chłopaka, aby mówił dalej. Entuzjazm Villego osłabł.

- Nie wierzycie mi - rzekł z wyrzutem. - Nie miałem grosza przy duszy, żeby iść do kawiarni i poczekać na Saare, i jakoś tak ogólnie gryzło mnie sumienie z powodu stryjka Fredrika. Dlatego poszedłem na wzgórze, bo domyśliłem się, że stryjek będzie chciał ostatni raz przed przeprowadzką popatrzeć trochę na gwiazdy. Co prawda niebo było zachmurzone, ale rzeczywiście go tam zastałem.

- O której to było godzinie? - zagadnął Palmu.

- Nie mam zegarka - odpowiedział Ville, jak gdyby konstataował oczywisty fakt. - Mogła być może dziesiąta. Ale stryjek był tam gdzie zawsze. Miał nadzieję, że jeszcze się rozpogodzi, chciał poczekać do północy. A to dlatego, że z Różanej na Wzgórze miałby już za daleko. Stryjek mówił, że już teraz dostaje okropnej zadyszki. Nawet ręce mu drżały i miał pod językiem taką tabletkę, nitro czy coś takiego. Bał się, że jeszcze dostanie zawału serca. Dlatego mi powiedział, że nie będzie już więcej męczyć się z tą lunetą i obiecał, że da mi ją na zawsze, jeśli przyjdę po niego tuż po północy. Powiedział, że nie będzie miał już siły zanieść jej do domu. - Ville głośno wciągnął powietrze przez nos i zwiesił ciężko głowę. - Stryjek dał mi dwie stówki i kazał iść na lody - podjął po chwili. - Dałby mi więcej, ale podobno tylko tyle miał w portfelu. Przy okazji pokazał mi taki znaczek z Zeppelinem, z błędem drukarskim, pewnie słyszeliście. Okropnie cenna rzecz i stryjek był szalenie z niego dumny. -
Dopiero co go dostał, tego samego wieczoru, bo zrobili wymianę z takim

jednym Kettunenem. Stryjek powiedział mi, że już teraz wszystko pójdzie jak po maśle, bo gwiazdy mu mówią, że przed nim dobry czas. Coś bardzo się te gwiazdy pomyliły.

Ville zaczął płakać. Wrażliwy chłopak. Udawaliśmy, że nic nie widzimy. Po chwili wydmuchał nos w chusteczkę i dodał jeszcze:

- W sumie to chciałem zaczekać na Saarę w kawiarni i zabrać ją potem na wzgórze, żebyśmy razem poszli po lunetę, chociaż jej ojciec zawsze się wścieka, gdy Saara wraca późno do domu. Ale to już teraz bez znaczenia, bo Saara pójdzie mieszkać na Różaną. Chyba będzie mogła, choć stryjka już nie ma, co? Stryjek powiedział, że w testamencie wszystko jej zapisał. A testament to chyba taki dokument, w którym się spisuje swoją ostatnią wolę i świadkowie też się pod tym podpisują, nie?

- Coś w ten deseń - rozwiąłem jego prawne wątpliwości.

- Tak też myślałem. - Villemu wyraźnie ulżyło, ale zaraz znów się zasepił. - Te gwiazdy rzeczywiście bardzo się pomyliły - ciągnął. - Bo właśnie wczoraj wieczorem wszystko zaczęło się psuć. Wpadłem na Ariego, a temu strzeliło do głowy, żeby się trochę podrażnić z tym parszywym szatniarzem w kawiarni. Nalał wody do butelki, schował ją do kieszeni i poszliśmy... ja też, bo ten palant podszczypuje Saarę, a ja nie mogę mu nic zrobić, bo to dawny bokser. Potem stłukła się ta szyba i mnie zgarnęli. Ale tylko spisali i... i ten komisarz był całkiem w porządku. Nawet na mnie nie krzyczał. Ale wiadomo, że zaraz się wnerwiłem, bo to ja będę musiał zapłacić za tę witrynę, dwadzieścia tysięcy jak nic. Ari w porę się zmył z tą swoją Kaiją, ale że niby taki dobry z niego kumpel, to

czekał na mnie potem przed komisariatem. Ledwo wyszedłem, a ten zaraz mi mówi: mógłbyś się wreszcie z nami zabrać, Ville, a może strach cię obleciał, co? Upatrzył już wcześniej mercedesiaka, zupełną nowkę, to dopiero wózek, mówi mi, silnik mruczy cichutko jak kotek. Właściciel zostawił niedomkniętą szybę, więc otwarcie drzwi było dla Ariego betką.

A resztę to już sami znacie.

- A zatem zabrałeś lunetę spod pomnika Rozbitków -

podsumowałem. - I naprawdę nie spotkałeś po drodze stryja Fredrika?

- Nie - zarzekł się solennie Ville. - Sam się dziwiłem, że luneta stoi, a stryjka nie ma, ale nie przyszło mi do głowy szukać go po krzakach, tylko zaraz pomyślałem, że zostawił lunetę i poszedł, bo wiedział, że na pewno po nią przyjdę, a sam nie miał już siły targać jej z powrotem. Było już dobrze po północy.

- Po co niosłeś tę lunetę aż do Studni? - spytał zdziwiony Palmu.

- Bo chciałem się nią pochwalić - odrzekł szczerze Ville. - Nigdy nie miałem nic swojego. Nawet własnego ubrania nie miałem. Tylko stare znoszone łachy po kimś. Pomyślałem, że pokażę tym kozakom. Studnia jest po drodze do mieszkania stryjka, a miałem mu pomóc w przeprowadzce. Ale u jednego gazeciarza na ulicy zajrzałem do „Kuriera”, bo akurat mu przywieźli. Czy piszą coś o tym wypadku. I tak jak stałem, rzuciłem się do ucieczki. Od razu zapomniałem o lunecie. Tak się przestraszyłem.

Niewiele można już było do tego dodać. W zdenerwowaniu i ja sięgnąłem po papierosa, Palmu zakurzył swoją fajkę. Zamierzałem coś

powiedzieć, ale komisarz mnie ubiegł.

- Nie przestrasz się, Ville - zapowiedział znów. - Ale jak sam pewnie doskonale rozumiesz, zabójstwo stryjka Fredrika to trudna sprawa. Pan kierownik uznał, a ten nasz kierownik to szczwany lis, że najlepiej będzie, jak posiedzisz sobie tu jeszcze przez parę dni. Dojdiesz do siebie, Alpio się tobą zaopiekuje. Saara będzie cię codziennie odwiedzać, a jak będziesz chciał, to znajdzie się tu kilka radiowozów do przesmarowania.

Twarz Villego rozjaśnił szczery zapach. Nie patrząc na mnie, Palmu podjął jak gdyby nigdy nic:

- Bo widzisz, zabójca stryjka Fredrika to niebezpieczny i bardzo przebiegły człowiek. A kiedy się dowie, że tego... że to ty zostałeś aresztowany pod zarzutem dokonania tej zbrodni, poczuje się bezpiecznie i przestanie się tak pilnować.

- Ale ja przecież nie... - Ville stał się podejrzliwy.

- Oczywiście, że nie - wszedł mu w słowo Palmu - ale pan kierownik uznał, że najlepiej będzie, jeśli prasa tak właśnie to przedstawi. Nigdzie nie pojawi się twoje imię i nazwisko ani nie będzie twojego zdjęcia, bo jesteś niepełnoletni, ale tego... tak dla własnego spokoju duszy lepiej tymczasem nie zagłądaj do gazet. Później sobie poczytasz, jak już będzie po wszystkim.

Postanowiłem i ja coś wymyślić.

- A jutro dostaniesz tort urodzinowy - obiecałem. - I kiedy złapiemy już tego skur...czybyka, który zabił pana Nordberga, będziesz mógł wstąpić na ochotnika do wojska. Nauczą cię tam wielu rzeczy. Mogę ci

zorganizować służbę w batalionie samochodowym. Zostaniesz w

Helsinkach i będziesz się mógł spotykać z Saara na każdej przepustce. A

do cywila wyjdiesz już z zawodowym prawem jazdy.

Ville roziskrzonymi oczami wpatrywał się w swoją świetlaną

przyszłość, ale zaraz znów spochmurniał i odrzekł z wahaniem:

- Nie dostanę się, za dużo chętnych. separatki, zrobiłby to teraz jej promienny uśmiech. Nic z tego nie rozumiałem. Uśmiech dziewczyny zamarł jednak od razu, kiedy mnie spostrzegła.

- Ville nie jest żadnym psychopata! - sapnęła ze złością.

- A właśnie, że jest! - Lwica zasłoniła chłopaka ciałem. - Jest psychopata, to nie ulega wątpliwości! Załatwimy mu takie papiery, że tylko buzi dać!

Poczułem się znużony, wstałem z taboretu.

- Zwijamy się - rzekłem do Palmu. - Zdaje się, że zostało nam jeszcze coś do zrobienia.

Wyszliśmy więc, aby nie przeszkadzać zgromadzonemu w separacie konsylium w rzeczowym omówieniu stopnia rozwoju psychiki i wrodzonych skłonności Villego. Alpio włączył się do dyskusji, nie pytając mnie nawet o zgodę. Korytarz smutku i rozwianych marzeń. Tym razem moich.

- Ciekawe, że panna Pohjanvuori aż tak strasznie się nie wściekła - odezwałem się, gdy wróciliśmy już do mojego pokoju i Palmu wygodnie się rozsiadł. - Gazety wieszały psy na tym chłopaku.

- Pewnie Kokki ją uprzedził - skostatował spokojnie Palmu. - Nie

wiem, czy wiesz, szefie, ale nasz detektyw co miesiąc składa się z dwoma kumplami na los wielkiej loterii pieniężnej. Raz chyba nawet coś wygrali, dziesięć tysięcy bodajże. Dlatego Kokki pamiętał, że główną nagrodę w sierpniowym losowaniu zgarnął ktoś w Ro-vaniemi. I zaraz też puścił mi oko za twoimi plecami, że wbrew pozorom ta sprawa wcale nie jest aż tak oczywista. - Milczałem. - W nocy praktycznie nie zmrużyłem oka - ciągnął Palmu tonem zwierzenia. - Ale gdzie mnie tam, staremu, spać po nocach. Niech śpią sobie młodszy, im potrzeba snu. Całą noc ryliśmy w archiwum, a rano poszliśmy ekipą na kawkę do tej miłej pani, która mieszka na Marynarskiej. Ten i ów trochę marudził, że policja wrywa z łóżka w niedzielę w środku nocy, wydaje mi się jednak, że przesłuchaliśmy całą kamienicę, każdego jednego i wszystkich z osobna. W nocy z piątku na sobotę na podwórzu nie działo się praktycznie nic, co można by uznać za odstępstwo od normy. W każdym razie nikt niczego takiego nie zapamiętał. Tylko panna Pohjanvuori widziała pijanego gościa, który nie potrafił otworzyć drzwi bramy od środka, chociaż miał klucz. Faktycznie, zamek w tych drzwiach jest bardzo kapryśny. Sam to sprawdziłem. Póki pamiętam i korzystając z okazji, wypowiem się trochę w kwestii stylu, jeśli czytelnik rozumie, co mam na myśli. Z początku rozmowę z Villem chciałem nafasze-rować miejską gwarą, bo taka panuje dziś moda. Jednak gdy tylko spróbowałem, sam się przeraziłem. Dlatego też poprosiłem o radę pewnego pisarza, bo tak się składa, że się znamy, pewnego razu bowiem... ale nieważne. Pisarz ze starej gwardii, to chciałem powiedzieć. Nie, nie mówię o Waltarim. Akademik Waltari

przykłada do stylu zbyt dużą wagę. Do językowej poprawności i tym podobnych kwestii. Młodszych pisarzy z kolei za bardzo nie uważam. Wiadomo, jest taki Pentti Saarikoski, moim zdaniem jednak facet jakoś nie może się wstrześcić. Tak na marginesie, to jego też znam. Lepiej jednak nie pisać, jeszcze do sądu poda. Ci młodzi są dzisiaj bardzo czuli na swym punkcie.

W każdym razie ten starszy już pisarz zaraz się skrzywił, gdy tylko poruszyłem z nim ten temat. Powiedział mi: „Wal, bracie, czystą gwarą i rzucaj, bracie, mięsem, ile wlezie, to przy odrobinie szczęścia wezmą twoją książkę za dzieło literackie”. Zapewniłem go jednak, że nie przyszło mi to nawet do głowy i nie zamierzam próbować takiego podejścia. Wtedy powiedział mi po namyśle, że wobec tego mam pisać po prostu naturalnie - niemniej przyzwoitym językiem ojczystym! - aby nawet starsi czytelnicy mogli mnie zrozumieć i niepotrzebnie się nie irytowali. Bo to w końcu oni kupują książki, a nie młodzi. Młodzi nie mają pieniędzy. Oczywiście, są to słowa tego pisarza, nie moje.

Powiedział mi jeszcze, że tu i ówdzie mogę, zupełnie naturalnie i niejako aluzyjnie, wstawić do tekstu takie czy inne wyrażenie z mowy potocznej. Takiej, jaką się posługuje zwykły, wykształcony człowiek, na przykład licencjat prawa. Tylko z tym nie przesadzaj, ostrzegł mnie. A ponieważ sam prawie nie bluźnię, bo za każde przekleństwo mama kazała mi myć usta mydłem, toteż nie szastałem w tej książce plugawymi słowami - ot, wstawiałem tylko gdzieś mocniejsze słowo, aby pokazać, że jak chcę, to i ja potrafię.

Być może jednak zagadnienia stylu nie interesują czytelnika,

powrócę więc teraz do sprawy.

- A zatem ulica Marynarska okazała się jednym wielkim niewypałem - stwierdził Palmu. - Jeśli nie liczyć dobrej kawy, ma się rozumieć. Choć już nie było dwóch łyżeczek na filiżankę. Kobieta aż tak dobrze nie zarabia, mimo że ma telefon i w ogóle. Ale chyba i tak złapaliśmy trop. Przez archiwum.

Palmu zaczął żuć ustnik fajki.

- W istocie został nam już tylko jeden niewyjaśniony punkt - wyznał nieco zażenowany. - Bardzo zagadkowa sprawa. Chłopcy już wczoraj sprawdzili wszystkich Peltonenów z książki telefonicznej, byli nawet w biurze adresowym, ale nie znaleźli ani jednego teriera szkockiego. Trafili na jednego bernardyna i jednego setera. Że też ludzie trzymają w mieście takie psy, męczą się tylko biedne stwory... Ale ta panna Peltonen, która znalazła zwłoki, jak gdyby pod ziemię się zapadła. A kobieta mogła coś zapamiętać, jakiś błahy drobiazg, coś, co nawet nie przyszło wtedy nikomu do głowy, a co mogłoby nam teraz pomóc. Bo gdy później zdeptali cały trawnik, było już po sprawie.

- Już ją przesłuchałem - rzekłem cicho. Choć raz w życiu Palmu zdębiał tak dokumentnie, że aż wypuścił fajkę z ust. Kiedy opadł niezdarnie na czworaki, aby ją podnieść z podłogi, dodałem zwięźle: - I ja miałem ochotę na poranną kawę, do której dostałem dwa rogaliki i parę ciastek. Przy kawie o wszystko ją wypytałem, nie zapominając o najdrobniejszych szczegółach. Ale kobieta nie pamięta nic, co mogłoby

nam pomóc, poza tym, że... A tak przy okazji to nazywa się Pelkonen, nie

Peltonen. Chłopcy z radiowozu źle zapamiętali. Albo źle usłyszeli.

Nieważne. Szybciej byście ją znaleźli, gdybyście się zwrócili do tutejszego oddziału Klubu Psów Kanapowych.

- Właśnie próbują się z nimi skontaktować - odpowiedział Palmu. -

Tylko że to nie takie proste w niedzielę rano. Poczekaj, pójdę im zaraz przekazać, żeby na próżno nie suszyli ludziom głowy, bo szef już sam tę sprawę załatwił.

Po czym pospiesznie wyszedł, przyznając mi choć jeden marny punkcik w tej nierównej walce. Kiedy wrócił, streściłem mu pokrótce zeznanie panny Pelkonen. Usłyszawszy o dżentelmenie w kapeluszu z czerwonym piórkiem, wtrącił z zainteresowaniem:

- To nie musi jeszcze nic oznaczać, ale... nie chciał się mieszać.

Tylko że my, Finowie, wszyscy tacy jesteśmy.

Ożywiłem się. Moja wyobraźnia znów się włączyła.

- Morderca wraca na miejsce zbrodni - zacząłem ostrożnie. - To niepojęta historia, ale już niezliczoną ilość razy było właśnie tak, że...

Palmu machnął ręką, a na jego twarzy pojawił się grymas, jak gdyby ugryzł kwaśne jabłko.

- Ty i ta twoja wyobraźnia - sapnął. - Ale już my tego dżentelmena w kapeluszu z piórkiem znajdziemy i przesłuchamy, z takim rysopisem.

Możesz być spokojny.

Trafiła jednak kosa na kamień. Sprawa bowiem miała być dużo

trudniejsza, niż sądził z początku komisarz. Pan w kapeluszu z piórkiem

okazał się największą zagadką w tej historii, choć na razie jeszcze nie warto o tym mówić.

Palmu wypiął pierś i zrobił zarozumiałą minę.

- No, to wysil teraz tę swoją wyobraźnię. Dlaczego zginął Fredrik Nordberg? - spytał kpiąco.

- Nie mówimy o mnie - odparłem szybko. - Powiedz lepiej, co sam myślisz.

- No więc tak - zaczął Palmu z zadowoleniem. - Z początku wyglądało mi to na typową pedalską historię. Samotny kawaler, zmasakrowana twarz. Trzymają się w swoich kręgach i często ofiara jest szantażowana. Bo to są ofiary. Mówię o pedałach. I sami nie mogą nic z tym zrobić.

- Ale starego Nordberga nikt nie szantażował - sprzeciwiłem się. - Wręcz przeciwnie. To on dostawał pieniądze. I nie był pederastą, na pewno nie. Raczej cichym filozofem. Outsiderem, postronnym obserwatorem.

- Postronnym obserwatorem, sam to powiedziałeś - podchwycił Palmu. - Tak, dostał pieniądze, nagle i dużo. Dlatego odwróciłem tok rozumowania i założyłem, że to stary Nordberg był szantażystą.

- Nie ma mowy, w żadnym wypadku - zaproponowałem. - Taki spokojny dziadunio o skromnych potrzebach? Wszystko, co o nim wiemy, kłóci się z tak absurdalnym założeniem.

- Otóż to - odparował Palmu. - Ostatecznie co my o nim wiemy?

Tyle tylko, co nam powiedziała panna Poh-janvuori. Co prawda pozostali

mieszkańcy kamienicy mieli o nim dość podobne zdanie. Może trochę stuknięty oryginał, ale dobry człowiek. Muchy by nie skrzywdził. I nigdy nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

- Zatem jak, dlaczego i kogo mógłby Nordberg szantażować? -
wróciłem do sprawy.

- Może zupełnie przypadkiem zobaczył coś osobliwego - przypuścił Palmu i spojrzał na mnie, przekrzywiwszy głowę. - Tak mówią gwiazdy. Już nie pamiętasz, cośmy wczoraj razem śpiewali?

Bynajmniej nie śpiewaliśmy razem, uznałem jednak, że nie warto kruszyć kopii o szczegóły.

- Tak mówią gwiazdy... - powtórzyłem. - Chcesz powiedzieć, że zobaczył na niebie coś... coś dziwnego?

- Tak, latający talerz - prychnął pogardliwie Palmu. - Nie inaczej. Spytaj Karhunena. On będzie wiedział, czyta powieści fantastyczne.

Wyjaśni ci ze szczegółami, jak z kosmicznego spodka wyszedł maleńki facecik w le-ninówce z antenką i zdzielił starego Nordberga pałką przez łeb, bo zaglądał tą swoją lunetą nie tam, gdzie trzeba.

- Nie o to mi chodziło - odrzekłem zawstydzony. - Ale są przecież inne możliwości, pociski międzykonty-nentalne i tak dalej. Co my możemy wiedzieć o tym, co się dzisiaj wyprawia na naszym niebie?

Może... może ktoś zapłacił staremu Nordbergowi, żeby trzymał język za zębami, bo zobaczył przez swoją lunetę coś bardzo dziwnego?

- I co jeszcze? - Palmu spojrzał na mnie z politowaniem. - Przestań wreszcie bredzić.

- Co w takim razie mógł zobaczyć Nordberg? - spytałem

zgnębionym głosem. - Co to mogło być, żeby ktoś mu zapłacił za trzymanie gęby na kłódkę?

- Boże święty, synku - jęknął Palmu. - Przecież po to właśnie wczoraj wieczorem wziąłem cię na wzgórze, żebyś sam zobaczył. Żebyś podjął trop. Sam chyba zdążyłeś jeszcze zauważyć to znamię pod żebrami, zanim dziewczyna włożyła na siebie koszulę nocną.

- Ale przecież nikt nie będzie płacił milionów, choćby nie wiadomo co robił i jak bardzo był goły! - rozeźliłem się. - Poza tym przez lunetę do łóżka nikomu nie zajrzysz, jeśli to masz na myśli. - Zawahałem się. - Choć w pewnych sprawach rozwodowych mogłoby to mieć znaczenie - przyznałem niechętnie i poczułem w sercu bolesne ukłucie wspomnień. -

Ale chyba jednak nikt za taki dowód nie płaciłby milionów...

- Nie mówię tu o żadnych sprawach rozwodowych! - warknął ze złością Palmu, pociągając zawzięcie z pustej już fajki. - Ale co byś powiedział na takie zabójstwo? Milczenie świadka. To już by było coś w sam raz dla naszej grupy.

- Zabójstwo? - powtórzyłem zdumiony. - Przecież to stary Nordberg został zabity. Co z tobą?

- Zbrodnia domaga się zbrodni - oznajmił uroczyście Palmu. -

Jedno morderstwo pociąga za sobą kolejne. Czasem nawet trzecie, jeśli sprawca nie zostanie w porę ujęty. Dlatego właśnie zimnokrwisty morderca jest najgorszym drapieżnikiem w społeczeństwie ludzi. Chyba z tysiąc razy wbijałem ci to do łba.

- Wbijaleś, wbijałeś - przytaknąłem pospiesznie. - Ale naprawdę

zakładasz, że stary Nordberg mógł przypadkiem zobaczyć na własne
oczy...?

- Ja nie zakładam, ja wiem - uciął Palmu, waląc pięścią w stertę
teczek na biurku. - Zakładanie się skończyło. Tu wszystko jest czarno na
białym. Co prawda nie w formie powieści, tylko przepisanego ładnie na
maszynie raportu z przesłuchania.

Odruchowo sięgnąłem po teczkę, ale chwycił mnie za rękę.

- Zebrałem w niej relacje ze wszystkich niezwykłych wydarzeń z
ostatniego roku na Katajanokce i tak na wszelki wypadek także we
wschodniej części Kaivopuisto, bo wziąłem pod uwagę również
ewentualny przemyt - ciągnął Palmu. - Plaża Katajanokki i tak dalej.

Jakieś nocne potrącenia. Ale nie znalazło się nic na tyle poważnego, by
warto było w ogóle próbować. Tutaj natomiast masz niezbite dokumenty.

Katajanokka. Godzina wpół do trzeciej w nocy z osiemnastego na
dziewiętnastego kwietnia, bibka w mieszkaniu majora Vadenblicka, piąte
piętro. W trakcie spotkania z okna wyskoczyła żona majora. Ponad
wszelką wątpliwość stwierdzono, że to samobójstwo. Nie było się do
czego przyczepić, więc przesłuchania były czystą formalnością. Zeznawali
świadkowie i tak dalej.

- Vadenblick - zmarszczyłem czoło, aby przypomnieć sobie coś
więcej o tym znajomo brzmiącym nazwisku. - Bogaci ludzie.

- Piekielnie bogaci - przyświadczył Palmu. - Żona majora była córką
nieżyjącego już radcy górniczego Melko-nena. Tak się złożyło, że akurat

byłem wtedy przez dwa dni trochę... przeziębiony, ale to i tak niczego by nie zmieniło. Sprawa była oczywista.

- Naczelnik wydziału osobiście przejrzał raporty z przesłuchań - zacząłem sobie mgliście przypominać. - Orzekł, że takich ludzi nie warto bez potrzeby fatygować. Tak, dobrze to pamiętam. W tej sprawie rzeczywiście nie było do czego się przyczepić.

- Piąte piętro tej kamienicy doskonale widać ze Wzgórza Obserwatorium - dopowiedział Palmu.

Otworzyłem teczkę i przeczytałem dokładnie raporty z przesłuchań w sprawie tej tragicznej śmierci. Oczywiste samobójstwo, nie było co do tego nawet cienia wątpliwości. Tahtinen i Valsa razem badali tę sprawę, delikatnie, lecz wnikliwie. Przygotowanym przez nich raportom nie można było nic zarzucić. W zeznaniach nie znalazłem najmniejszej luki.

Pani Maire Vadenblick piła. Wiedziały o tym całe Helsinki, choć niedokładnie tak ujęto to w raporcie. Major z kolei stronił od ludzi. Bawił głównie za miastem, w swoim rodzinnym majątku. Na feralnej popijawie obecna była również przyrodnia siostra pani Vadenblick, panna An-nikka Melkonen. W istocie mieszkała z siostrą, trochę się nią opiekowała.

Różnica wieku wynosiła zaledwie trzy lata. Radca górniczy Melkonen młodo owdowiał, szybko więc ożenił się powtórnie. Zaharował się na śmierć, zmarł w wieku pięćdziesięciu sześciu lat na zakrzepicę tętnicy wieńcowej. Choroba dyrektorów. Jego fabryki jednak zostały. I miliony, którymi taki wół roboczy jak on chyba nie miał nawet czasu się nacieszyć. Koncernowi prezesował obecnie syn radcy, Aarne Melkonen. Natomiast

jego siostra Maire Vadenblick, kobieta bezdzietna, czerpała z życia pełnymi garściami, major był jej trzecim mężem. Kiedy wyskoczyła z okna, miała niespełna czterdzieści lat.

Sprawa była oczywista. Ogólnie ceniony lekarz chorób wewnętrznych - i nadzwyczaj kosztowny specjalista - zeznał, że pani Vadenblick od wielu lat nadużywała środków nasennych. W połączeniu z alkoholem. Niebezpieczny koktajl. Kiedyś zażyła ich zbyt dużo, ale nieprzytomną wyciągnięto ją z łóżka i w porę zawieziono do szpitala. Innym razem rzuciła na pościel zapalonego papierosa i spaliłaby się żywcem, gdyby domownicy nie poczuli swędu spalenizny. Pani Vadenblick po prostu znudziło się już żyć. Nadmiar pieniędzy to zły towarzysz zabaw.

W tamten kwietniowy wieczór pani Vadenblick bawiła się w Rybackiej, skąd po zamknięciu restauracji przyprowadziła do siebie mnóstwo ludzi na nocną bibkę. Major był akurat w Helsinkach i wyciągnięty z łóżka, próbował uspokoić żonę. Kobieta jednak wpadła w furję i kazała mu się spakować i natychmiast wynosić z domu. Major miał już jej najwyraźniej po dziurki w nosie, bo rzeczywiście zaczął pakować walizkę. Goście natomiast udali się do kuchni i przystąpili do opróżniania lodówki. Pani Vadenblick nieco otrzeźwiała i razem z siostrą poszła sprawdzić, czy mąż nie żartuje z tą wyprowadzką. Major oznajmił żonie jasno i wyraźnie, że jego zdaniem to rzeczywiście dobry moment na zakończenie ich małżeństwa. Stwierdził, że dłużej już tego nie wytrzyma. Okno w salonie było otwarte. Wietrzono pokój z dymu tytoniowego.

Zanim panna Melkonen i major zdążyli zareagować, pani Vadenblich podeszła do okna i wyskoczyła. Rozległ się jedynie krótki, przerażający krzyk, po którym goście wybiegli z kuchni, aby zobaczyć, co się stało. Obudziło się też kilkoro mieszkańców kamienicy. Sprawa była oczywista. Ambulans już jej nie pomógł.

Major przyznał uczciwie, że powinien był się opanować i poczekać z oznajmieniem swoich zamiarów do następnego dnia, aż jego żona się wyśpi i wytrzeźwieje. Ale wszyscy znali niewyparzony język pani Vadenblich. Nawet w restauracjach. Major po prostu miał już serdecznie dość jej płaczów i skruszonych przeprosin nazajutrz po przepiciu. Jego żona wielokrotnie groziła, że się zabije. Potwierdziła to służąca.

Kolejność dziedziczenia była zwyczajna. Brak testamentu wzajemnego, brak intercyzy. Dwoje naocznych i cała masa innych świadków. Może podchmielonych, ale nie aż tak, by nie wiedzieć, co się dzieje dokoła.

Przeczytałem raporty dwukrotnie.

- I jak ty chcesz zrobić z tego zabójstwo? - zapytałem i tym razem dla odmiany to ja spojrzałem na niego z politowaniem.

Komisarz Palmu z zapalem ssał pustą fajkę.

- To zdecydowanie zbyt oczywisty przypadek jak na samobójstwo - odrzekł. - Podejrzanie oczywisty. Dwa dni później przypadła pełnia

Księżycy. Bardzo prawdopodobne, że stary Nordberg zasiedział się na wzgórzu aż do tej godziny. Tym bardziej że była to dość ciepła, pogodna noc wiosenna. Sprawdziłem to. Dziadek z pewnością zwrócił uwagę na

rzęsiście oświetlone mieszkanie na ostatnim piętrze kamienicy i zanim zwinął swoją lunetę, z czystej ludzkiej ciekawości skierował ją w tamtą stronę. Może nie był to nawet pierwszy raz, kiedy się zabawił w postronnego obserwatora życia stolicy. Kto to wie?

- Nie ma w Helsinkach zbyt wielu ludzi mogących ot tak, od ręki, wyczarować nagle kilka milionów, i to w gotówce - ciągnął Palmu. - Major Vadenblick należy do tych kilku, którzy byliby w stanie to zrobić. I Annikka Melkonen. Dziedziczyła z bratem połowę majątku po siostrze, bo dzieci nie było. Chociaż już przedtem miała tyle samo, co Maire. Po nieboszczyku radcy, ma się rozumieć. Zadałem sobie trud wyjaśnienia tego wszystkiego wyłącznie dla rozrywki - dodał komisarz. - Mam znajomego, który czasem zachodzi do Klubu Giełdowego.

- Nie kłam - rzuciłem machinalnie.

- No, synku - zachnął się Palmu - ty jeszcze nie znasz wszystkich moich informatorów. Każdy ma swoje mroczne tajemnice. To on mi powiedział, że było ich troje rodzeństwa. Brat Aarne zarządza fabrykami i jest podobno bardzo kompetentnym dyrektorem. Zakłady się wzbogaciły, zostały rozbudowane. Wiadomo, dobra koniunktura i tak dalej. Warunki socjalne wzorowe. Osiedla domków jednorodzinnych, ogrody, kluby sportowe, no i... chóry, tak, tak. Nieboszczyk radca dzierżył dziewięćdziesiąt procent akcji. Córki zasiadały w zarządzie, za co pobierały, poza dywidendą, prawdziwie królewskie pensje. Obecna wartość akcji to, lekko licząc, miliard marek. Podziel to sobie na trzy. Poza tym to jeszcze nie cały majątek starego Melkonena, zostały po nim

statki, folwarki i sporo podobnego drobiazgu. Innymi słowy, było co dzielić po pani Vadenblick, więc skapnęło nieźle i majorowi, i pannie Melkonen... - odpowiedział Palmu.

- Major ma nieposzlakowaną opinię - podjął po chwili. - Odznaczył się już w wojnie zimowej. Kiedy wybuchła wojna kontynuacyjna, był w szkole kadetów. Po jej zakończeniu pozostał w wojsku. Na początku lat pięćdziesiątych został zwolniony ze służby czynnej na własną prośbę i poświęcił się interesom. Liczne odznaczenia. Pierwsze małżeństwo nieudane. Typowy wojenny związek. Pamiątką po nim jest dwunastoletni obecnie chłopak. Mieszka z ojcem na wsi. Żona zmarła, chyba w czasie separacji. Druga żona majora, Maire, raczej nie była wzorową macochą.

- Mało kto płakał po Maire Vadenblick - stwierdziłem. - Może z wyjątkiem paru moczymordów z towarzystwa. Sama sobie życie zepsuła. Tak to się kończy, gdy się od dziecka dostaje wszystko, o czym się tylko zamarzy, a w wieku czterdziestu lat nagle przychodzi olśnienie, że to wcale nie jest takie zabawne. Major miał pecha do kobiet.

- Twardy facet, ziemiańska natura - powiedział Palmu. - Syn mieszka już tylko na wsi, zaczął szkołę w Tammisaari. Codziennie wożą go tam i z powrotem samochodem. Po co jeździć autobusem, jak można trwonić pieniądze? Zwłaszcza po śmierci drugiej żony. Major nie miał swojego majątku, tylko ten podupadły rodowy dworek. Ożenił się z fortuną. Nie z Maire.

- Oj, Palmu - pogroziłem mu. - A co z tą Anniką?

- To zupełnie inna para kaloszy - odrzekł komisarz. - Stroniąca od

mężczyzn, od alkoholu zresztą też. Prawdziwe brzydkie kaczątko w porównaniu z jej przyrodnią siostrą. Maire była podobno nadzwyczaj piękna. Trudno więc ganić pana majora za to, że tak długo ją znosił. -

Zamyślony Palmu wałkował między dłońmi swoją fajkę. - Maire miała kiedyś córkę - przypomniał sobie. - Mój znajomy też to pamiętał.

Przydarzył się jej za młodu wypadek przy pracy, musiała więc wyjść za męża. W wieku osiemnastu lat. Mowa o Maire. Pan radca Melkonen miotał się z wściekłości, ale nie było wyjścia i pastor udzielił ślubu, oczywiście w kościele parafii niemieckiej. Po dwóch latach Maire dostała rozwód, ale córka, Sinikka, została z nią. Musiało to ich kosztować ładnych parę milionów. Sinikka była prawdziwą dzikuską. Wdała się pewnie w matkę. W wieku siedemnastu lat utonęła w morzu po wywrotce jachtu podczas burzy, niedaleko rodzinnego letniska.

Palmu przerwał, po czym akcentując słowa kontynuował:

- W owym czasie major i Maire już się spotykali. Major był wtedy z Sinikka na tej łodzi. Nie zdołał jednak uratować dziewczyny. Sam ledwo przeżył, morze wyrzuciło go na małą skalistą wysepkę. Zdaje się, że to zdarzenie wzmocniło związek majora i Maire, więc nabrała serdeczności. Wiadomo, złamana bólem matka i tak dalej. W takim stanie psychicznym kobieta szuka oparcia w mocnym męskim ramieniu. - Palmu zerknął na mnie. - Takie chodzą słuchy. Kto wie, jak to było.

Długo myślałem. W brzuchu poczułem znowu sopel lodu. Mimo rogalików i ciastek. W podobnych sprawach nie jestem szczególnie odważny. Nie próbuję nawet udawać. Chwała tym, którym się chwała

należy. Innymi słowy: nie włożę ręki do gniazda os, jeśli tylko mogę tego uniknąć.

- Palmu, wiesz na pewno, co chcesz zrobić? - odezwałem się wreszcie poważnym tonem. - Może to tylko mroczne podejrzenie? To jeszcze za mało. Sprawa Maire Vadenblick była jasna jak słońce. Nie możemy jej z powrotem wywlekać na światło dzienne. Nie gdy chodzi o takich ludzi. Wściekną się, sam wiesz.

- Zbrodnia domaga się zbrodni - powtórzył Palmu. - A naszym zadaniem jest dopilnować, by zbrodniarz wylądował w pierdlu.

- Szef wraca z urlopu już jutro rano - jęknąłem błagalnie. -
Spytajmy go najpierw, co o tym sądzi.

- Nasza komisja zabójstw to samodzielna grupa - przypomniał mi komisarz. - I to twoja grupa. Ty jesteś jej kierownikiem. Ja też nie wkładam kija w mrowisko, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Dlatego tymczasem przezornie siedzimy cicho, zaczynamy jednak samodzielne śledztwo, skoro w swojej dalekowzroczności wsadziłeś Yillego za kratki, aby nawet naczelnik wydziału się nie zorientował. Bo i on, zdaje się, święcie wierzy w słowo drukowane. Niechaj zatem czyta gazety. Sam sobie dodaj jeden do jednego - ciągnął Palmu. - Skąd stary Nordberg wziął te miliony? Przedwczoraj o dwudziestej czwartej miał na Wzgórzu Obserwatorium dostać ostatnią ratę. Po cóż inaczej prosiłby Villego, aby przyszedł po lunetę tuż po północy? Profesor podał właśnie tę godzinę.

- Ale po co tak niepotrzebne morderstwo? - sprzeciwiłem się. -

Skoro dziadzio przyrzekł nie puścić pary z gęby? Za pieniądze? Co znaczy

parę milionów dla takich ludzi?

- Tak pewnie rozumował stary Nordberg w swej błogosławionej naiwności - odrzekł Palmu - kiedy panna Pohjanvuori przyznała mu się, że jest w ciąży. Sądzę, że gdyby nie to wyznanie, dziadek nigdy by się nie zdecydował na podobny krok. Wszak do tamtej pory nie mieszał się do sprawy. Długo pozostawał milczącym świadkiem, postronnym obserwatorem. Daj innym żyć, a i tobie dadzą. Tego jednak człowiek, który zapłacił mu te miliony, nie mógł wiedzieć. Szantaż to bardzo ciekawe zjawisko psychologiczne. Zupełnie jak picie koniaku. Człowiek sam wie, że pierwsza połowa butelki jest zdecydowanie najlepsza, a jednak wkrótce podchodzi do biurka i wyciąga z szuflady kolejną. Może ze starym Nordbergiem było tak samo. Wystarczyło, że po raz drugi zażądał pieniędzy. Dla mordercy był to sygnał, że już nigdy nie zazna spokoju i przyjdzie mu płacić z roku na rok. Może stary Nordberg spokojnie przeniósłby się na Różaną i próbował zapomnieć o całej sprawie. W końcu mówił dziewczynie o pięciu milionach. Może więcej już by nie chciał. Ale dziecko zaczęłoby rosnać, może Ville miałby potem jakieś kłopoty z prawem... Fredrik Nordberg zawsze odczuwałby pokusę, do końca życia. I morderca o tym wiedział.

- Twardy facet - pomyślałem głośno. - Zasłużony żołnierz.

- Albo stosunkowo silna kobieta - podsunął Pal-mu. - Stary

Nordberg był raczej drobnej postury. Do tego chory na serce. Nie trzeba było na niego zbyt wielkiej siły. Wściekłość, żądza zemsty. Zmasakrowała mu nawet twarz, kopała leżącego. Frustracje niezamężnej kobiety, czy jak

to dziś nazywają. Sam nie wiem. - Palmu napotkał mój wzrok. - I to nie są
czcze wymysły - rzekł z irytacją w głosie. - Stwierdzam tylko, że
podejrzanę są dwie osoby. Oboje naoczni świadkowie rzekomego
samobójstwa. Major i przyrodnia siostra jego żony. Kiedy pani Vaden-
blick wypadła z okna, w salonie nie było nikogo poza nimi. Reszta
towarzystwa przebywała w kuchni. Nie możesz ot, tak sobie, zacząć nagle
uważać majora za głównego podejrzanego. To nie przystoi.

- Ale przecież nigdy nie zdołamy dowieść, że... - zacząłem. Szybko
się jednak zreflektowałem. Podjąłem decyzję. Niech i ja raz w życiu
popłynę pod prąd. - Od czego zaczynamy? - zapytałem. Krótko i
rzeczowo.

- Od pieniędzy - uznał Palmu. - Gdzieś musiały zostać podjęte.

Ogromna suma, jednorazowa wypłata. Niewykluczone, że pracownicy
oddziału banku, w którym stary Nordberg miał konto, trochę się zdziwili i
dla pewności zapisali numery banknotów. Ale to bardzo cienki wątek.
Musielibyśmy mieć niezły fart, żeby do czegoś dojść tym tropem. Poza
tym dziś jest niedziela. Na początek każdy więc chłopakom rozejrzeć się
na mieście za dżentelmenem w kapeluszu z czerwonym piórkiem, aby nie
łazili bez celu. My zaś, ty i ja, złapiemy byka za rogi. Pojedziemy zapoznać
się z panem majorem Vadenblickiem. Może jest akurat w mieście. W
najgorszym razie weźmiemy na spytki służącą.

Bardzo się zląkłem tego pomysłu.

- Zawsze będziemy mogli powiedzieć, że... - zacząłem.

- Że zażywając niedzielnego spaceru, przechodziliśmy akurat мимо,

postanowiliśmy więc wstąpić i przekazać panu majorowi wyrazy ubolewania - dokończył złośliwie Palmu. - Trochę na to za późno, sam przyznaję. Ech, sam coś wymyśl. W ramach rutynowych czynności przeglądamy dokumenty archiwalne przeznaczone do zniszczenia i dlatego, niejako przy okazji, chcemy sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

W końcu to ty jesteś prawnikiem.

- Ale my przecież niczego nie niszczymy - zaproponowałem. - A już na pewno nie niszczymy takich raportów.

- Major nie musi o tym wiedzieć - orzekł Palmu. - Wręcz przeciwnie. Niewykluczone, że tak miłą wiadomością wkradniemy się w jego łaski, dzięki czemu chętnie nas podejmie i zaspokoi nasze biurokratyczne pragnienie wiedzy.

Bezgłośnie uchyliły się drzwi. Kokki nieśmiało wsunął głowę do pokoju. Bez pukania. Miał taki irytujący zwyczaj. Niby nie chce przeszkadzać, gdybym czasem załatwiał akurat z kimś jakąś sprawę.

Widząc, że jest u mnie Palmu, odważnie wkroczył do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Ty, Palmu - zaczął niewinnie - żołądkowałeś się niedawno o teczkę niejakiej pani Vadenblick. Archiwista o mały figiel nie osiwił. A ja przechodziłem obok magistratu i zerknąłem przy okazji na tablicę ogłoszeń. W ramach niedzielnej rozrywki.

Ku mojemu zdumieniu Kokki nagle pokraśniał i zwiesiwszy głowę, zaczął pocierać podłogę czubkiem buta.

- Konkretnie obejrzałem sobie ogłoszenia urzędu stanu cywilnego -

wyjaśnił. - Nie żebym coś tego, ale ta stewardesa zagroziła, że, ech... że wyjdzie za takiego jednego pilota, który wystąpił z Kościoła. No więc dla rozrywki poszedłem się przejść i zobaczyć, czy tej dziewczynie naprawdę aż tak odbiło.

- Co z tą panią Vadenblick? - uciął zniecierpliwiony Palmu.

- No właśnie miałem ci mówić, że jakiś major o nazwisku

Vadenblick i panna Melkonen dali na zapowiedzi - odpowiedział Kokki. -

Tak to bym w ogóle nie tego, ale że tak gardłowałeś o tym nazwisku...

Mają stanąć przed burmistrzem bodajże jutro. Facet będzie mieć na szyi taki gruby łańcuch...

Nie miałem czasu dywagować nad estetyką ślubu cywilnego.

- Panna Melkonen! - wykrzyknąłem. - Annikka Melkonen?

- Juści, Annikka jej było - potaknął Kokki. - A imci majorowi Gustaf Erik.

- Uwinęli się - cmoknął z zachwytem Palmu i zadowolony zaczął nabijać fajkę. - Nasz morderca ruszył ostro z kopyta.

10.

Kokki przekrzywił głowę, nie przestając skrobać czubkiem zelówki po podłodze.

- Jeżeli chcielibyście znaleźć te buty - rzekł zgnębionym głosem - to nic z tego. Najzwyklejsze obuwie na świecie, prawie nienoszone, gumowe podeszwy, żadnych szczególnych śladów zużycia. Pytałem w sklepie.

Butów o takiej podeszwie sprzedają miliony par.

Kokki grubo przesadził. Co prawda producentom obuwia w naszym

kraju wiodło się raczej dobrze, z pewnością jednak nie sprzedawali milionów par butów o identycznym wzorze podeszwy.

- Cząstki z ubrania starego Nordberga, może trochę krwi, drobiny ziemi ze Wzgórza Obserwatorium, cokolwiek! Byle tylko znaleźć te buty - odrzekłem gniewnie. - Nie nadążasz za współczesnością, Kokki. W laboratorium centrum kryminalistyki nawet... nie wiem, po roku doszliby do tego, że teraz splunąłeś mi tu na podłogę. Taki tam mają dzisiaj sprzęt. Mięśnie policzkowe detektywa zaczęły się osobliwie naprężać.

Kokki najwyraźniej zbierał ślinę. Zdażyłem go powstrzymać:

- Nie, nie będziemy teraz robić próby! Nie w moim pokoju. I bez tego Palmu robi mi tutaj prawdziwy chlew. Zobacz tylko, jak wygląda podłoga wokół fotela.

Palmu się wzdrygnął i zaraz zaczął zagarniać popiół pod mebel.

Widać było, że wypalił w moim pokoju niejedną fajkę. Jak u siebie w domu. Założył oczywiście, że przyjdę do pracy najwcześniej w południe.

- Kokki - rzekłem po chwili głębokiego namysłu. - Ty masz zawsze oczy szeroko otwarte. Dzięki ci za to. Mówię o tym ogłoszeniu na tablicy magistratu. Oczywiście sami byśmy do tego doszli, ale... Zachowaj to dla siebie. Ani słowa nikomu. Palmu i ja wpadliśmy na nowy trop. To dużo poważniejsza historia niż... Palmu i ja z początku sądziliśmy.

- Kokki! - rzekł z kolei komisarz z nie mniej poważną miną. -

Gdybyś czasem miał w bankach równie dobre chody, jakie masz w sklepach z obuwem i wśród personelu latającego, to chwyć za telefon i popytaj trochę. Możesz skorzystać z bezpośredniej linii pana kierownika.

Postaraj się wywiedzieć o sprawy finansowe majora Vadenblicka.

I o konta panny Annikki Melkonen. Tajemnica bankowa, wiadomo, ale może jakiś dobry znajomy szepnie ci coś na ucho.

- Umowa stoi! - ucieszył się Kokki. - Dopiero się spietrają, że telefonuję nagle w niedzielę przed południem! Zaraz pomyślą, że węższymi jakąś gigantyczną malwersację. Ale jak im powiem, że tymczasem nie przyłapaliśmy żadnej kasjerki z banku na spuszczeniu floty w restauracyjnym klozecie, będą śpiewać z czystej radości.

- Kokki... - ostrzegłem go.

- Szef i ja pójdziemy w tym czasie na poranną przechadzkę - powiedział Palmu. - Ty zostaniesz tutaj, bo może kierownik zabierze nas jeszcze dziś na mały piknik, szkoda marnować tak piękny dzień.

Palmu westchnął na widok czarnych aut, które z odświętnym spokojem stały pod komendą w pełnej gotowości do wyjazdu, mężnie jednak dołączył do mnie. Słońce prażyło, morze połyskiwało, niezadowolone mewy wydziwiałały na nieczynne w niedzielę targowisko.

Minęliśmy Pałac Prezydencki i przez most nad kanałem przeszliśmy na Katajanokkę.

Nowa siedziba Enso-Gutzeita*[* Wzbudzający liczne kontrowersje gmach zaprojektowany przez słynnego architekta Alvara Aalto.] lśniła w słońcu. Piękna jak wszyscy diabli. Ale Palmu nie miał czasu na podziwianie architektury. Zapomniawszy o wodzie w kolanie, powiódł mnie prosto pod górę ulicą Skarpową. W promieniach słońca park płonął wszystkimi kolorami jesieni.

Spojrzelismy na nowoczesną kamienicę. Piąte piętro znajdowało się na oszałamiającej wysokości. Instynktownie obaj przenieśliśmy ukradkowe spojrzenia na chodnik, gdzie dobiegło końca chaotyczne życie pani Maire Vadenblick. Mimo że nie pozostał już żaden ślad po tym zdarzeniu, po plecach przebiegł mi dreszcz, jak gdybym zaglądał z urwiska w przepaść. Wyobraźnia, to jest to. Choć komisarzowi najwyraźniej nie przeszkadzała w życiu.

- Kark skręcony jak w amen w pacierzu, bez ryzyka - rozważał komisarz. - Jak ktoś spadnie z takiej wysokości na łeb, nie zdąży się już nikomu poskarżyć.

Przez zdobione brązem drzwi weszliśmy do bramy i mimowolnie westchnąłem. Przepiękny dom. Sto tysięcy za metr kwadratowy, przemknęło mi przez myśl. Nieszczególnie mi się uśmiechało zakłócanie niedzielного odpoczynku mieszkańców takiej kamienicy. Wstyd przyznać, lecz odbierałem pensję zwykłego policjanta, choć jestem przecież sędzią.

Winda jechała bezszelestnie. Tabliczka z grawerunkiem „Gustaf Vadenblick”. Duża i droga. Palmu wcisnął kciukiem dzwonek. Żadnej reakcji. Odczekawszy pokornie chwilę, ponownie wcisnął przycisk. Znowu nic.

- Nikogo nie ma w domu - poddałem z mimowolną ulgą w głosie.

W tejże chwili wewnątrz mieszkania rozległ się chrzęst łańcuchów i drzwi rozwarły się z impetem. Ujrzelismy w nich kobietę o błękitnych włosach. Była wyraźnie zła.

- Nie potrzebujemy szczotek! - warknęła, zerknąwszy na Palmu. Po czym przeniosła spojrzenie na mnie. Oczy miała zamglone, a na policzkach plamy gorączkowego różu. - Mamy już telewizję - palnęła ni z gruszki, ni z pietruszki. Odniosłem wrażenie, że wyrwaliśmy ją z łóżka i zdążyła jedynie narzucić na plecy szlafrok.

- Czy zastaliśmy pana majora Vadenblicka? - spytał Palmu, wyprostowawszy się nieco. - Policja kryminalna. Jestem komisarzem i nazywam się Palmu.

Kobieta się wzdrygnęła i zatrzasnęła nam drzwi przed nosem, gdyby Palmu nie zdążył umiejętnie wcisnąć buta za próg.

- To czysta formalność - pospieszy! uspokoić kobietę.

- Pana majora nie ma w domu! - fuknęła służąca. - Jego żony też nie!

- Żony?! - wykrzyknąłem.

Kobieta wlepiła we mnie przymglone oczy.

- Panny Melkonen - poprawiła. - Niezupełnie to żona, ale prawie. -

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się od ucha do ucha i gościnnie rozwarła drzwi na oścież. - *Come in, boys* - rzekła zapraszająco. - Nie stójcie tak w przeciągu. Byłam w Ameryce. U takiego jednego miliardera. Wszyscy mieli bodyguardów, cała rodzina. Chodźcie, walniemy po kielichu.

Weszliśmy do środka. Kobieta nie zaprowadziła nas jednak do kuchni, tylko prosto do salonu. Wydostała skądś pudełko z cygarami i podsunęła nam bez większych skrępołów. Dopiero wtedy spostrzegłem, że jest pijana jak bela. W niedzielę rano.

- Jest tu pani zapewne mistrzynią ceremonii - stwierdził uprzejmie

Palmu. - Missis Lyyli Hartola, o ile mnie pamięć nie myli, he, he! -

Komisarz parsknął śmiechem i błękitnowłosa zachichotała grzecznie do wtóru.

- Pewnie, że Lyyli, któżby inny? - Służąca szturchnęła go żartobliwie w bok. - No, co tak stoicie? Czujcie się jak u siebie. Państwo są na wsi. Sherry lubicie? Ja tam lubię.

Sądząc po zaróżowionych policzkach, bynajmniej nie kłamała.

- Wątroba - wymówił się Palmu. - Ale tego, nie miałbym nic przeciwko kropelce koniaku.

- Na służbie? - przeraziłem się.

- Przestań pleść bzdury, chłopcze - rozeźlił się Palmu. - Niewinny niedzielny poranek, wolny czas policjanta. To tylko dla czystej formy.

Lyyli Hartola wróciła z kuchni, trzymając za szyjkę do połowy wypitą butelkę sherry i szklankę. Potem ruszyła w stronę barku, na który prawie wpadła. Rozdzwoniło się szkło.

- Weźmiemy tę butelkę dla lepszego towarzystwa - rzekła gościnnie, stawiając na stole butelkę koniaku i dwa przerażająco wielkie, pękate kieliszki.

- Nie, nie! - krzyknąłem z przerażenia, widząc, jak beztrosko zalewa koniakówki do połowy.

Źle mnie zrozumiała.

- Major się nie spostrzeże - uspokoiła mnie. - On nie zagląda do kieliszka. A poza tym niedługo się stąd zabieram na dobre. Jak Annikka

zostanie jego żoną. Ja z tą kobietą nie wytrzymam. Z Maire była zupełnie inna śpiewka, z poprzednią żoną majora, znaczy się. Nie pytała, nie węszyła. Ty Lyyli bierz, czego potrzebujesz, mówiła mi zawsze.

Wolsinowie też nie kutwili. Co miesiąc dawali mi na rękę konkretną sumę. Na wszystko miało starczyć. Wszystko miało być najlepsze, ale jak coś mi z tej floty zostało, mogłam sobie zatrzymać. Nie pozwolę, żeby mi jakaś Annikka Melkonen skakała po głowie. W końcu mam swoje pieniądze w banku. Maire też mi dawała, bo nie chciała, żeby major wiedział o wszystkim. - Puściła perskie oczko i tym razem mnie dała sójkę w bok. - Ale co tam będziemy smęcić o przeszłości, napijmy się -

zapropnowała. - No to zdrówko, dobry koniaczek, co? Nie smakuje?

- Nie musisz pić, jeśli nie chcesz - pocieszył mnie Palmu. Stuknął się ze służącą i znieruchomiał, wsłuchując się z przekrzywioną głową w cudny brzęk wielkiej koniakówki. Zapomniał nawet skosztować.

- Kiedy ślub? - spytał nagle jak gdyby nigdy nic.

- Zaraz po zapowiedziach - wycedziła pogardliwie pani Hartola. -

Nie będzie wesela ani nic. Od razu podróż poślubna. Za granicę, dobre sobie! Jakby to była jakaś nowość dla nich. Możecie mi nie wierzyć, ale ja wam mówię, że Annikka jest przy nadziei. Bo inaczej co by się im tak spieszyło do ożenku? Nie warto grać Lyyli na nosie, oj, nie warto. Lyyli dużo wie, chociaż mało mówi.

- Nie, Lyyli potrafi trzymać język za zębami, he, he - rzekł

przymilnie Palmu. - To mi się w Lyyli podoba. Każde słowo trzeba z niej wołami wyciągać. Ale nie przychodzimy tu w aż tak niebezpiecznej

sprawie. Po prostu likwidujemy niektóre dokumenty z archiwum, więc kiedy usłyszeliśmy, że wkrótce się rozdzwonią weselne dzwony, pomyśleliśmy sobie, że wrzucimy do pieca cały ten śmietnik, to jest akta sprawy samobójstwa pani Vadenblick, i będzie to taki nasz prezent ślubny dla młodej pary. Stąd też nasza wizyta, bo akurat byliśmy w pobliżu.

Ku mojemu zdumieniu wesołość służącej nagle gdzieś prysła.

Kobieta patrzyła na przemian to na Palmu, to na mnie, jak gdyby nie była pewna, czy może coś powiedzieć.

- No, co tam - zdecydowała się w końcu. - Chluśniem, bo uśniem, chłopcy!

Palmu upił kropelkę ze swojej koniakówki i uderzył w podniosły ton:

- Nadzwyczajny koniak. Że też ta Annikka miała czelność panią zwolnić po tylu latach wiernej służby.

- Dostanę emeryturę - pochwaliła się służąca. - Nawet nie macie pojęcia, jak dużą. Za opiekę nad biedną Maire. Miałam ja z tą kobietą, oj, miałam. Major wie najlepiej. Ale nie spieszno mi jeszcze do spokojnej starości. Nie, chłopcy, Lyyli daleko jeszcze do starego grzyba. W czwartek Lyyli wsiada na statek do Ameryki Południowej. Major załatwił mi tam pracę. Zobaczy się wreszcie, gdzie te kokosy rosną.

Zerknąłem na Palmu, ale komisarz obracał tylko ogromny kieliszek między dłońmi, jak gdyby nie miał pojęcia, co się wokół niego dzieje.

- No, no, palmy i słoneczko - mruknął pod nosem. - Niektórzy to

mają w życiu fart. A kto nie ma, ten musi zostać w szarych Helsinkach i dalej pchać swój wózek. A skoro już zeszliśmy na pracę, to pan kiero... no, ta tu chłopaczyna twierdzi, że w raporcie nie wyjaśniono wystarczająco dokładnie tych dwóch poprzednich prób samobójczych...

- Gówno prawda - ucięła Lyyli bez ogródek. - Próby samobójcze, dobre sobie! Pijackie hopsztosy, ot co! Przecież Maire była pijana w sztok, jak jej ten papieros spadł na pościel. Jeszcze się taki kretyn nie znalazł, co by się z rozmysłem chciał żywcem spalić. A te pigułki, jak pragnę zdrowia... Gdybyście sami je kiedyś łykali, tobyście wiedzieli, że człowiek w pijanym widzie pożera je garściami, bo weźmie i zaraz zapomni, więc po chwili bierze znowu! Jak się przebudzi, bierze jeszcze więcej. Nimi się zaprawiała, bo major zamknął jej barek na klucz. Nie, nie, to tylko Annikka i major tak głupio gadali, że Maire niby wcześniej próbowała się zabić. Ta dziewczyna tak bardzo kochała alkohol, że za nic na świecie nie rozstałaby się z nim przed czasem.

Służąca pokręciła głową z przekonaniem i znów nalała sobie sherry. Nie dbała o etykietę, piła alkohol ze szklanki i nic sobie nie robiła z trunku wychlapanego na blat ze szlachetnego drzewa. Co prawda dostrzegłem na powierzchni stołu wcześniejsze ślady. Punkciki po papierosach i kręgi po szkle.

- To dlaczego wyskoczyła z tego okna? - spytał niewinnie Palmu.

- Sama się nad tym zastanawiałam - wyznała szczerze służąca. -

Może chciała nastraszyć Annikkę i powinęła się jej noga? W pijanym widzie nie takie rzeczy się robi. Możecie mi wierzyć, Lyyli wam to powie.

Lyyli już swoje w życiu widziała. Dlatego nauczyłam się tylko smakować alkohol, powolutku, czasem w wychodni dzień, i tylko słabe trunki. Lyyli nigdy się nie upija do nieprzytomności.

Sherry chlusnęło na bluzkę z uniesionej szklanki, ale Lyyli nawet tego nie spostrzegła. Próbowwała przekonać nas wzrokiem o prawdziwości swoich słów, lecz jakoś nie mogłem napotkać jej spojrzenia.

- Oczywiście, że nie - pospiesznie przyświadczył Palmu. - Tylko ludzie są czasem tacy małostkowi. Ci abstynenci, mam na myśli. Czyli co, zdaniem Lyyli był to bardziej nieszczęśliwy wypadek niż samobójstwo?

- O, to, to! - potaknęła uradowana Lyyli. - I nie rozumiem, czemu tak bardzo chcą z niego zrobić jakiegoś samobójca. Przecież i Melkoneny powinny się bardziej cieszyć na wypadek. Chociaż w pijackim widzie to nigdy nie wiadomo. Ja tam tego na własne oczy nie widziałam, to i spierać się nie mam o co. Annikka widziała. No i major, ma się rozumieć. Nie zdążył złapać za spódnicę. Musi że się Maire wściekła, jak major zaczął pakować bambet-le, a Annikka zagroziła, że zabierze się z nim. Dla Maire wszystko musiało być zawsze tak, jak ona chciała, nie inaczej. Nie umiała ustąpić. Raz otworzyła barek siekierą, jak go jej major na klucz był zamknął.

- Gdzie była wtedy Lyyli? - spytał Palmu. - To znaczy jak Maire wypadła z tego okna - dodał pospiesznie.

- Robiłam kanapki w kuchni - odrzekła Lyyli. - Wyrwali nas z łóżek, Maire i ta jej banda z Rybackiej. Major się pieklił, ale nie śmiał przy gościach wlec żony na siłę do spania. Kazał mi podać piwa z kanapkami,

żeby wytrzeźwieli, i wysłał wszystkich za mną do kuchni. - Służąca z nieobecną miną wypłała połowę zawartości szklanki. - Ale Maire też się nieźle wściekła. Darła się, klęła i tupała nogą. Chyba się już pokapowała, że major kręci z tą An-nikką. Dlatego chciała go wyrzucić z domu, wrzeszczała, że rozwód i że zobaczysz te miliony jak świnia niebo, choć intercyzy przecież nie było.

- Ciekawe, co chciała przez to powiedzieć? - odezwał się we mnie dociekliwy prawnik.

- Pewnie to, że rozwód będzie z jego winy - wyraziła pogląd służąca.

- Chociaż Maire nie była wcale na Annikkę zła, krzyczała tylko: nie idź za nim, w ogóle nie wiesz, co to jest za człowiek, ale i ty kiedyś przejrzysz na oczy. Zeszła też chyba na temat Sinikki, ale właśnie wtedy major posłał wszystkich do kuchni. Mnie też.

- Sinikki? - spytał sugestywnie Palmu.

- Córki Maire - wyjaśniła służąca. - Tej, co się utopiła. I kto wie, czy czasem nie sama, jeśli wierzyć w to, co krzyczała Maire.

- A co krzyczała? - indagował Palmu, wychylając się ku służącej i napełniając jej szklankę.

Na twarzy Lyyli pojawił się uśmiech wdzięczności.

- Nie mam pojęcia, co mnie tak suszy - rzekła. - Do niczego ta sherry. Cienkusz taki, że szkoda słów. Może i ja się koniaku napiję.

- Zaraz, jeszcze momencik - powiedział Palmu, oceniając wprawnym okiem stopień upojenia Lyyli. - To jakaś tragiczna historia z tą Sinikką.

- Maire wrzeszczała, że major Sinikkę to zgwałcił niby - ciągnęła

służąca. - Chociaż ja tam nie sędzę, żeby major mógł. Pijackie gadanie.

Oczywiście, że miał inne kobiety, w końcu bardzo przystojny mężczyzna,

ale chyba nie ruszył siedemnastolatki. Maire pewnie chciała postraszyć

Annikę, przez zazdrość. Tak sobie myślę. Krzyczała, że nigdy nie dopuści

do tego, żeby ten sukinsyn, pardon, podeptał teraz jej siostrę, tak jak

podeptał córkę.

Lyyli Hartola zaczęła się dziwnie kołysać na krześle, a jej powieki

zawarły się na chwilę. Nagle się wzdrygnęła, wracając do rzeczywistości.

- Przepraszam - rzekła i ująwszy butelkę koniaku, przechyliła ją nad

kieliszkiem komisarza. - Zapomniałam dolać.

- Dziękuję, już nie trzeba - zapewnił ją Palmu, odsuwając

koniakówkę poza zasięg służącej. - Jestem już stary, nie mam takiej głowy

jak Lyyli, taki okaz zdrowia. A tak przy okazji, gdzie teraz przebywają

major i ta jego... no, panna Melkonen?

- No, w Linnanmaki, gdzieżby indziej? - odrzekła Lyyli z niechęcią

w głosie. - Tam najczęściej major bawi, a chłopak jest tam cały czas.

Śliczny chłopiec, prawdziwy książę. Ale major nie chciał, żeby syn

mieszkał pod jednym dachem z Maire. Bo go biła pod nieobecność ojca. I

to zupełnie na trzeźwo. Ile to razy musiałam prosić, żeby nie tarł się

chłopaka za uszy. Ale w Linnanmaki chłopak miał dobrze.

- To niedaleko Tammisaari - stwierdził Palmu.

Wtem służąca wyrznęła brodą w blat, aż błękitne, farbowane włosy

opadły jej na oczy. Zachowując resztki godności, z trudem wyprostowała

plecy i rozejrzała się.

- Lyyli jest trochę nie tego... - wybełkotała. - Łomoczą do drzwi w środku nocy, wywlekają człowieka z łóżka... - Spojrzała na mnie oskarżycielsko. - Słuchajcie no, męty jedne... - zaczęła groźnym głosem, próbując palcem wskazać winnego. - Do was mówię, cała czwórka! Coście za diabelstwo wrzucili mi do szklanki? Już wy Lyyli na dudka nie wystrychniecie, Lyyli zna się na takich numerach!

Służąca odrzuciła głowę w tył i zachrapała. Palmu pochylił się nad nią i rzekł czule:

- Lyyli wróci teraz w piernaty, do łóżeczka. Poranna drzemka dobrze jej zrobi. - Ujął kobietę pod ramiona i postawił na nogi. Skoczyłem mu na pomoc, chwytając ją z drugiej strony. Wspólnie zawlekliśmy Lyyli do służbówki i złożyliśmy w szlafroku na łóżku. Palmu pochylił się, aby ją przykryć, a wtedy Lyyli nagle ujęta go oburącz za szyję, przyciągnęła do siebie i cmoknęła prosto w usta.

- Fffajny z ciebie fffacecik, komissarku - wybełkotała, przyciskając Palmu do piersi.

Musiałem mu pomóc, bo sam by się nie uwolnił ze stalowego ścisku służącej. Lyyli posapywała z niezadowolenia, w końcu jednak przewróciła się na bok i nasunęła sobie pierzynę na uszy.

Zaczerwieniony Palmu wytarł usta grzbietem dłoni.

- Uch - mruknął i nic mu nawet nie powiedziałem, gdy w salonie pociągnął jeszcze łyk koniaku. Chyba tego potrzebował.

- Nie myśl, że Lyyli gada od rzeczy - przemówił w końcu. -

Wiadomo, że pijany przesadza, a Lyyli żywi jeszcze własne urazy, na pewno jednak to, co mówiła, z grubsza odpowiada prawdzie. Co powiesz, żebyśmy tak zatelefonowali po Kokkiego i przeprowadzili małą rewizję, skoro już nam się nadarza tak wspaniała szansa?

Z wahaniem rozejrzałem się po wielkim, kunsztownie urządzonej wnętrzu. Bałem się.

- Wytoczą nam sprawę - powiedziałem. - Tobie i mnie. Nie mamy przecież najmniejszego dowodu.

- Buty - kusił Palmu. - I pomyśl, że moglibyśmy trafić przypadkiem na klucze starego Nordberga. Tego nie można wykluczyć. Poza tym w całej tej sprawie miałeś jak dotychczas po prostu niezwykły fart. Lyyli zresztą też. Toż to dar z niebios.

Pokusa była rzeczywiście zbyt wielka. Raz kozie śmierć, powiedziałem sobie w duchu. Ale gdy Palmu poszedł szukać telefonu, i ja pociągnąłem potajemnie mały łyk koniaku. Dla dodania sobie ducha.

Kokki ze swoją torbą stawił się w mieszkaniu po trzech minutach.

Nie kłamie. Samochody mieliśmy zawsze gotowe do wyjazdu. Na widok butelek i kieliszków na stole w salonie pokręcił tylko głową z wyraźnym niesmakiem.

- Ja tam nie miałbym odwagi tak w środku dnia - rzekł. - Sądziłem, że naprawdę macie dla mnie jakąś robotę. - Rzucił mi surowe spojrzenie.

- I do tego pan kierownik też.

Warknąłem rozeźlony, że właśnie mamy dla niego robotę.

Własnoręcznie wstawiłem butelki z powrotem do barku i przekręciłem

kluczyk w zamku.

Zaczęli od sypialni majora. Nie wszedłem tam z nimi. Plątałbym się im tylko pod nogami. Miałem już gorzkie doświadczenia w tej kwestii.

Podszedłem do okna. Wychyliłem się i spojrzałem w dół. Pomyślałem o życiu tej rodziny, które tak przerażająco nakreśliła nam Lyyli Har-tola.

„Nawet w najlepszych rodzinach, przyszło mi do głowy, czasem właśnie w tych najlepszych”.

Poszedłem do łazienki i otworzyłem apteczkę. Sporo wiem o lekach nasennych. Naczytałem się. A i był czas, że sam... Po rozwodzie. Gdy przyszło uśpić psa. Przecież to nie była jego wina. Ale w apteczce majora nie było żadnych tabletek ani proszków nasennych.

Znalazłem je natomiast w szufladzie stolika nocnego Annikki

Melkonen. Nieszczerólnie mocne, ale zawsze. Chyba ciągle spała w tym samym pokoju, który zajmowała wcześniej. Przed śmiercią przyrodniej siostry. Nader osobliwa spółka rodzinna. Sypialnia Maire Vadenblick pozostała nietknięta. Czuło się w niej jeszcze kobiecy seksapil. W sięgającej sufitu szafie z lustrami zamiast drzwi wciąż wisiały na ramiączkach eleganckie stroje. Długie rzędy butów. Same szpilki. Zdaje się, że żona majora Vaden-blicka nie przepadała za spacerami na świeżym powietrzu.

Otwierałem ostrożnie drzwi i zaglądałem do pokoiów. Chodzenie po pustym mieszkaniu miało w sobie coś przerażającego. Gdyby nie dobiegające ze służbówki równomierne, uspokajające chrapanie Lyyli, po plecach co rusz przebiegałby mi dreszcz.

Major miał prawdziwy gabinet. Na półkach regałów genealogia, historia wojen, rolnictwo. Usiadłem za biurkiem ze szlachetnego drzewa i zacząłem wysuwać szuflady. Zdumiewająco mało dokumentów. Major najwyraźniej lubił porządek. Nie znalazłem żadnych książeczek czekowych ani papierów wartościowych. Wszystko trzymał oczywiście w bankowym skarbcu. Lub u swojego prawnika. Nie, nie znalazłem niczego, co mogłoby uruchomić moją wyobraźnię. Byłem niewyspany, a koniak podziałał na mnie usypiająco. Powieki zaczęły mi ciążyć. Fotel był zaskakująco wygodny. Złożyłem swoją znużoną głowę na oparciu.

Obudziło mnie podzwanianie szkła. W salonie przed barkiem wspięty na palce stał komisarz Palmu. Drzwiczki były otwarte.

- Sprawdzalem tylko, jak latwo podejsc do barku, nie wzbudzajac niczyich podejrzen - wyjasnil pospiesznie. - Zdaje sie, ze szefa niezle zmorzylo. Jest juz wpol do pierwszej. Tak, ta Maire wiecznie zagladala do barku, o kazdej porze dnia i nocy.

Kokki siedzial przy biurku i przegladal szuflady.

- Nic w nich nie ma - burknalem ze zloscia. Bolała mnie glowa. - Juz sprawdzilem. A wyście cos znaleźli?

- Rozmiar buta pasuje - odpowiedzial Kokki. - Ale to jeszcze o niczym nie swiadczy. Poza tym pan major zyje jak spartanin. Uprawia sport. Wędkuje i poluje.

- I sam prowadzi traktor - rzucilem z irytacja. - Ja tez mam oczy.

Na scianie gabinetu wisialy fotografie. Z okazalym lososiem. Z upolowanym niedzwiedziem. I na siedzeniu traktora, z zarozumialym

uśmiechem. Bardzo przystojny mężczyzna, niezaprzeczalnie. Prawdziwie męski. Widoczna na innym zdjęciu uśmiechnięta pani Vadenblick w sukni wieczorowej nieszczególnie pasowała do jednego zaprzęgu z takim ogierem.

- Nie znaleźliśmy nic, po prostu nic - skonstatował Palmu. - To podejrzane. Pan major i panna Annikka zbyt dobrze zatarli wszelkie ślady. Zwyczajny człowiek nigdy nie ukrywa informacji osobistych z taką pedanterią.

- Mieszkają głównie w tym dworku - rzekłem. - W Linnanmaki.

Może to mieszkanie to tylko ich miejski apartament. Pod opieką Lyyli.

Przyjeżdżają tu tylko, żeby wymienić garderobę i może czasem dla kilku zaproszonych gości. Jeśli im się jeszcze chce z kimkolwiek spotykać po śmierci Maire.

Ze służbówki dobiegł nas okropny łomot. Pewnie Lyyli przewróciła się na drugi bok i spadła na ziemię. Wystraszyliśmy się wszyscy. Ale służąca spała dalej. Palmu poszedł do niej i usłużnie wsunął jej poduszkę pod głowę. To też jej nie obudziło. Lyyli byle co nie zbudzi. W końcu była w Ameryce.

Jednak Kokki zaczął się niepokoić.

- Nie czas już się zwijać? - zaproponował nieśmiało.

- No, jedźmy już, pan kierownik obiecał, że zabierze nas na przejażdżkę za miasto - skłamał bezczelnie Palmu i z nieobecną miną nalał sobie koniaku do kieliszka. Fakt, że tylko na samo dno. - Spróbuję jeszcze tej drugiej marki - usprawiedliwił się. - Żeby na butelce nie zostały

same odciski pana kierownika.

Już otworzyłem usta, ale Palmu zdążył dopowiedzieć:

- Też się napij, szefie, jeszcze cię w aucie głowa rozboli. Czy weźmiesz nas najpierw na obiad? Ale nie, chyba nie zdążymy. Przed nami dwie godziny drogi, a nie wiem jak wy, ale ja wolałbym wyjechać z tej puszczy przed zapadnięciem zmroku. Bałbym się tam siedzieć po ciemku, w lesie za każdym krzakiem może się czaić jakiś bandzior.

Palmu jest zdeklarowanym helsińczykiem. Nawet urlop letni spędza zawsze w mieście, chyba że dostanie skierowanie do sanatorium dla podleczenia kolana. Albo głowy.

- A tak w zasadzie to gdzie my się wybieramy? - spytałem podejrzliwie.

- Do Linnanmaki, gdzieżby indziej? - zdumiał się Palmu. - Przecież sam powiedziałaś, że chcesz poznać pana majora. I Annikkę Melkonen. Młodą parę na wyżynach szczęścia.

- Nic z tego - odrzekłem. - Nie możemy sobie jeździć wozami służbowymi na przejażdżki.

- Masz nadal nadzwyczajne uprawnienia - przypomniał mi Palmu z szelmowskim uśmiechem. - Jeśli mnie pamięć nie myli, komendant policji jeszcze ci ich nie cofnął. Wczoraj gubernator obiecywał ci nawet wojsko do pomocy. Więc pewnie o jeden wóz policyjny nikt ci awantury nie zrobi.

Palmu oczywiście postawił na swoim. Zatelefonował nawet, żeby po nas przyjechali, a gdy odłożył słuchawkę, ostrożnie zamknęliśmy drzwi

mieszkania i wyszliśmy na ulicę.

Był cudowny jesienny dzień. Przydrożne lasy świeciły ciepłymi barwami. Kiedy świeci słońce i jedzie się osiemdziesiąt na godzinę, nastrój sam się człowiekowi poprawia. Umundurowany kierowca nie odważył się mocniej wcisnąć pedału gazu, choć Palmu zachęcał.

Ostatecznie nigdzie nam się nie spieszyło. W Tammisaari wstąpiliśmy na szybką kawę, Palmu z Kokkim mogli więc poćwiczyć swój szwedzki. Po drugiej stronie miasteczka było rozwidlenie dróg i musieliśmy jechać już ostrożniej. Krajobraz stawał się coraz posepniejszy. Tu i ówdzie przez drzewa prześwitywało morze. A potem zobaczyliśmy drogowskaz:

Slottsbacken, Linnanmaki. Znow poczułem przygnębienie. Jechaliśmy teraz wolno, a Palmu rozglądał się czujnie. I bardzo dobrze, bo tuż za zakrętem kierowca musiał nagle wcisnąć hamulec. Przez drogę przebiegł chłopiec, goniąc za trzepoczącą skrzydłami wroną. Samochód stanął.

Chłopiec trzymał w ręku małokalibrowy karabinek. Był to najpiękniejszy młodzieniec, jakiego w życiu widziałem. Mógł mieć może dwanaście lat. Na głowie miał zielony tyrolski kapelusik z czerwonym piórkiem. Na nogach lśniące buty z cholewami.

Nie zachowywał się jednak, jak przystało myśliwemu. Czerwony z wściekłości, dopadł postrzelonego ptaka i złamał mu wprawnie drugie skrzydło, aż chrupnęły kości. Wrona zakrakała przeraźliwie. Chłopiec cisnął ją na ziemię i patrzył z zaciekawieniem, jak ptak z obwisłymi skrzydłami usiłuje od niego odskoczyć.

- Tak zwierzę dręczyć - rzekł z obrzydzeniem kierowca. - Przydałoby

się porządnie złoić mu skórę.

Wysiedliśmy. Chłopak nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Kiedy wrona przestała się szamotać, podszedł do niej, wycelował i z bliska odstrzelił jej dziób. Nie zabił jej jednak. Aż mnie zemdliło.

- Dobij ją, i to już! - rozkazałem. Oszołomiony ptak leżał na ziemi.

Na jesienne liście kapała krew.

Chłopiec rzucił mi pełne wyższości spojrzenie. W jego pięknych ciemnych oczach zapaliły się złe iskry.

- *Go to heli!* - palnął.

- Co on powiedział? - spytał Palmu. I on gapił się na tę scenę oczami okrągłymi ze zdumienia.

- Wynoście się stąd do diabła, dziady parszywe! - przetłumaczył chłopak. - Precz z naszej ziemi, bo strzelam! - Przeładował nagle i wycelował w nas lufę swojego karabinka.

- Stawianie oporu policji... - zaczął kierowca, ale Palmu choć raz w życiu wykazał się refleksem. Zapominając o chorym kolanie, jednym susem przesadził rów, wyrwał chłopcu broń i trzasnął go przez ucho, aż mlasnęło. Podał mi karabinek.

- Strzel ty, szefie - poprosił. - Ja nie potrafię. Pierzasta pierś ptaka unosiła się jeszcze niemrawo.

Strzeliłem. Chłopiec nie odrywał dłoni od policzka. Wtem zaklął tak brzydtko, że nawet nie będę tego powtarzał, i biegiem rzucił się w las, krzyząc:

- Tato, tato!

- Jeżeli ten chłopak wdał się w Vadenblicków - rzekł Palmu z głębokim przekonaniem - to niech mnie kule biją, zacznym chyba rozumieć nieboszczkę Maire. Biła małego chłopca, nie tak nam powiedziała służąca? Zła, okrutna macocha.

Cisnąłem karabinek między drzewa.

- Jedziemy - zakomenderowałem.

Nie bałem się już. Nie umiem tolerować okrucieństwa wobec zwierząt. Nie jestem wcale sentymentalny. Ale niech ludzie krzywdzą siebie nawzajem. W końcu są tylko ludźmi. A przynajmniej potrafią mówić. Zwierzęta nie.

Po dwustu metrach wjechaliśmy w parkową aleję starodrzewu.

Główny budynek dworku nie był szczególnie imponujący. Na oko dwadzieścia okien od frontu, jedno piętro. Nowe dachówki. Trawnik przycięty i gładki jak aksamit. Kwitły na nim jeszcze astry i dalie.

Przymrozki miały dopiero nadejść.

Kiedy samochód stanął i umundurowany kierowca wysiadł, by otworzyć nam drzwi, z budynku wyszedł nam naprzeciw sam major Vadenblick. Było to jasne od pierwszego spojrzenia. Lśniące buty z cholewami, jak u syna, tweedowa marynarka, twarz opalona i ogorzała, bardzo męska. W oczach twardy błysk. Ziemiańin. Człowiek lubiący przebywać na świeżym powietrzu. Oficer.

- Witam panów - rzekł z ciepłym uśmiechem na twarzy, wyciągając do nas rękę. - Nie spodziewałem się was aż tak szybko.

Byłem tak zdumiony, że ugięły się pode mną kolana. Ale Palmu nie

stracił rezonu, podał majorowi rękę i odpowiedział:

- Wcześniej nie mogliśmy.

- Wobec tego chodźmy - rzekł major Vadenblick. - Pójdę tylko po kapelusz i płaszcz.

Wrócił do środka, nie zamykając drzwi. Gapiłem się na komisarza, nie wierząc własnym oczom i uszom. Wszystko poszło gładko jak po maśle.

- My-myślisz - wyjąkałem - że on naprawdę od razu z nami pojedzie?

Kokki również kręcił głową z niedowierzaniem.

- Diabeł się nie rozezna z tymi wielmożami - uznał w końcu. - Ta błękitna krew... Dyshonor się nie przyznać. Pewnie sumienie go gryzie.

Jeżeli jednak zdarzyło mi się w życiu widzieć człowieka, którego nigdy nie gryzło sumienie, był to właśnie major Vadenblick. Wrócił już z czapką na głowie i założył elegancki płaszcz z zielonego zamszu.

- Kajdanki macie już gotowe? - spytał.

Widząc nasze zdumione spojrzenia, dodał rozdrażniony:

- Ten cham jest niepoczytalny! Przecież mówiłem przez telefon.

Rozjechał traktorem moje szlabany! I darł się, że jak jego ojciec i dziad tą drogą jeździli, to i on będzie, choćbym go do sądu podał! - Przerwał nagle i spojrzał na nas czujnie. - Zdaje się jednak, że panowie nie w tej sprawie?

Ten szmaciarz nie chce mi odsprzedać swojej ziemi, chociaż ona należy do mnie. Po reformie ziemskiej gwałtem poszła w parcelację. Ale już ja mam swoje sposoby i tak mu życie obrzydę, że w końcu sam mi ją

sprzeda i jeszcze mnie będzie po rękach całować.

- A może jesteście po jego stronie? - spytał podejrzliwie major, gdy przezornie nie zabieraliśmy głosu. Nie mieliśmy zresztą nic do powiedzenia.

Wtedy pojawił się chłopak.

- Tato! - krzyczał już z daleka ze łzami wściekłości w oczach. - Ten stary dziad mnie uderzył! - poskarżył się i wskazał palcem na komisarza. - Zabij go!

Major Vadenblick wbił w Palmu surowy wzrok.

- Co to wszystko ma znaczyć?! - spytał ostro.

- Pański syn dostanie zarzut znęcania się nad zwierzętami - odrzekł surowo Palmu. - A także stawiania oporu umundurowanemu policjantowi. I grożenia nabitą bronią na drodze publicznej. Gdybyśmy i my poszli z tym do sądu. Możemy jednak o tym zapomnieć, jeśli sprawi mu pan porządne lanie, aby miał nauczkę do końca życia.

- Co zrobiłeś, Erik? - major Vadenblick obrzucił syna lodowatym spojrzeniem.

Chłopak nie patrzył mu w oczy.

- Ustrzeliłem tylko wronę, parszywe nasienie - wyjaśnił. - Nie zginęła od pierwszego strzału. Kazałem tym facetom wynosić się do diabła, precz z naszej ziemi. Sam tak mówisz, tato.

- Jak chcesz się psocić zwierzętom, to rób to w lesie, a nie przy obcych - poradził mu ojciec. - I gdzie twoja broń?

- Została przy drodze. Biegnij i przynieś - rzekłem krótko. -

Chłopiec spojrział najpierw na ojca, potem na nas i poszedł. Jednak wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego.

- Chłopak dostanie w skórę. - Major Vadenblick zakończył sprawę. -

Coś jeszcze? - Nie sprawiał wrażenia człowieka szczególnie gościnnego.

Palmu zostawił mnie na lodzie.

- Przyjechaliśmy w sprawie samobójstwa pani Vadenblick - rzekłem

wolno. - Jesteśmy z wydziału kryminalnego helsińskiej komendy policji. -

Na twarzy majora Vadenblicka nie drgnął ani jeden mięsień. Gospodarz

wykazał co najwyżej uprzejme zainteresowanie.

- Nie było pana w mieszkaniu w stolicy - ciągnąłem rozpaczliwie. -

A ponieważ i tak mamy tu w pobliżu coś do załatwienia, postanowiliśmy

do pana wstąpić. Wyłącznie po to, aby pana poinformować, że musimy

zniszczyć akta sprawy. To jest dostaliśmy z archiwum nakaz likwidacji

wszelkich zbędnych dokumentów. Bo nie ma już miejsca. Ciągle nie

mamy nowej komendy i w ogóle. Słowem, nie ma gdzie tego wszystkiego

trzymać.

Palmu krzywił się coraz bardziej, z czego wywnioskowałem, że coraz

bardziej go irytuje moja głupkowata jąkanina. W końcu zatarł dłonie i

rzekł aluzyjnie:

- Zimno tu trochę, tak na dworze. Sądziłem, że zastaniemy pana w

Helsinkach, przedwczoraj wieczorem jeszcze tam pana widziano.

- Mieliśmy zebranie zarządu - wyjaśnił major Vaden-blick. - Poza

tym bywam w stolicy bardzo rzadko. Wróciliśmy z panną Melkonen

wczoraj wieczorem. Zebranie się przeciągnęło.

- Panna Melkonen również jest w zarządzie? - zdziwił się niewinnie

Palmu.

- To chyba oczywiste - zachnął się major. - Panna Melkonen

posiada obecnie trzydzieści siedem i pół procent akcji koncernu, czyli

dokładnie tyle, ile jej brat. Ja mam piętnaście procent. Nic wam jednak

do naszych prywatnych spraw.

I pewnie już miał dodać, żebyśmy wynosili się precz z jego ziemi,

pomiarkował się jednak i wspomniał na obowiązki gospodarza. Może

odezwała się ta błękitna krew, kto ją tam wie. W każdym razie po chwili

rzekł już trochę uprzejmiej:

- No, ale proszę do środka, skoro już macie panowie do mnie jakąś

sprawę.

Zrobił w tył zwrot i ruszył przodem do dużego holu, zostawiając

drzwi otwarte.

- Annikka! - krzyknął. - Zejdź zaraz! Mamy gości. Panowie z policji.

Czy mi się zdało, że usłyszałem na piętrze krzyk? Zdążyliśmy zdjąć

plaszczki i trochę się rozejrzeć, gdy na schodach ukazała się trzęsąca

kolanami przyszła, a praktycznie już obecna pani domu. Twarz miała

białoszarą ze strachu, oczy rozbiegane.

- Co ci jest, kobieto? - rzucił gniewnie major. - Nie umiesz się nawet

zachować! Zejdź się przywitać. To panowie... no właśnie, nie usłyszałem

przed chwilą pańskich nazwisk.

Przedstawiłem pospiesznie komisarza, detektywa i na końcu siebie.

Nie zapominając o swoim sędziowskim tytule.

- Proszę nam wybaczyć to najście, panno Melkonen - przeprosiłem bardzo grzecznie. Jej drżące przerażenie wzbudziło we mnie taką samą odrazę jak widok torturowanej wrony.

Major ruszył dziarsko przodem, wiodąc nas przez salę z portretami protoplastów do swojego gabinetu. Wytarte klubowe fotele, pokryty zielonym sukniem stół karciany, poroża jeleni i dyplomy w ramkach. Na ścianie obezwładniająca kolekcja broni. Zupełnie jak w starych czasach. Na brzeżku krzesła usiadła roztrzęsiona panna Melkonen, bardzo starając się nie garbić.

- Co za diabeł cię dzisiaj opętał? - fuknął na nią major. -

Denerwujesz się? Nie ma się czym martwić. Chodzi tylko o śmierć Maire.

Po umęczonej twarzy panny Melkonen rozeszła się jakby fala ulgi. A może to tylko moja wyobraźnia, lej powierzchowność... powiem może tak:

na tę kobietę nie chciało się spoglądać. Wydatne kości policzkowe, wydatne zęby. Ta kobieta nie budziła w mężczyźnie żadnego niepokoju.

Niczym.

Palmu zaczął niewinnie:

- A zatem przedwczoraj wieczorem o godzinie dwunastej byliście państwo oboje na zebraniu rady nadzorczej koncernu Melkos.

- W hotelu Kamppi, w prywatnym numerze, na neutralnym gruncie, zgadza się - odpowiedział major. Zaraz jednak się zachnął: - Ale co to ma do rzeczy? To zrozumiałe, że w kwestii śmierci Maire jestem gotów udzielić policji wszelkich niezbędnych informacji, choć moim zdaniem wiosną rozwodziliście się nad tą gównianą sprawą wystarczająco

długo. A może pan inżynier Melkonen postanowił się poskarżyć?... -

Major Vadenblick umilkł nagle i wbił w pannę Melkonen oskarżycielski wzrok.

- No dobrze, dałem mu w pysk na tym zebraniu, to jasna rzecz -

przyznał rzeczowo. - Nie zamierzam zaprzeczać. Możemy nawet pójść do sądu, jeśli mu się zdaje, że coś mu to pomoże. Niech sobie jednak lepiej przypomni, że Annikka i ja mamy w swoich rękach pakiet większościowy, więc ten jego prezesowski stołek wcale nie jest taki stabilny, jak mu się zdaje.

- Nie możesz odsunąć Aarnego na bok! - wychrypiła panna

Melkonen, wtrącając się do rozmowy. - Ojciec nigdy by na to nie pozwolił.

- Do jasnej cholery! - zaperzył się major. - Chodzi mi wyłącznie o członkostwo w radzie, o nic innego! Przecież już Maire o to zabiegała.

Należy mi się to. Niech powiększą radę, skoro ich zdaniem pozostali członkowie są tacy niezastąpieni. Twój wielmożny pan brat, pies mu mordę lizał, zaczyna mi coś za bardzo obrastać w piórka! Poza tym sama doskonale wiesz, że potrzebuję pieniędzy. Nie zamierzam się zadłużać, żeby wykupić własny majątek, rozgrabiony przez to państwo. Uprawa roli nie jest w stanie znieść tych złodziejskich procentów. I most trzeba zbudować. I Orle Gniazdo.

- Oczywiście, oczywiście - panna Melkonen stała się nagle

przymilna. - Aarne tylko dlatego jest zły, że byłeś w fabryce i robotnicy się wściekli.

- Czy w tym kraju wolny człowiek nie może już powiedzieć, czego

oczekuje? - spytał z przekąsem major Vadenblick. - To bydło, a nie ludzie.

Skurwysyny bąki tylko zbijają, a o pensję wołają jak panowie książęta. I do oczu jeszcze człowiekowi skaczą. Do ciężkiej cholery, gdybym to ja tam rządził, raz-dwa skończyłoby się to prężenie mięśni!

- To są wykwalifikowani robotnicy, wyszkoleni przez mojego ojca! -

zaperzyła się panna Melkonen.

- A zatem wszystko wydarzyło się wczoraj około północy - przerwał

im Palmu. - O której godzinie wyszedł pan z Kamppi, panie majorze?

Major Vadenblick poczerwieniał ze złości, a w jego oczach pojawił

się niebezpieczny błysk. Opanował się jednak i zerknął na zegarek. - O

której wyszłaś, Annik-ka? - zapytał. - Pamiętasz może?

- Nie wiem - odrzekła panna Melkonen. - Nerwy mi puściły, gdy

zaczęliście się bić.

- No tak. - Major wlepił wzrok w cyferblat swojego zegarka.

Drogiego i pięknego. - Nie zostałem do samego końca. Wyszedłem chyba

jeszcze przed dwunastą. Oni ciągle zamawiali, więc bar musiał być

otwarty. Martwiłem się o Annikę, że tak łatwo straciła nerwy. Przez taką

blahostkę. Bo czy to raz między mężczyznami? Podejrzywałem, że w

złości wróciła do swojego mieszkania, więc poszedłem tam i zacząłem się

do niej dobijać. Nawet byłem w środku, mam w końcu klucz. Ale nie,

okazało się, że panna Melkonen prosto z hotelu poszła grzecznie na

Katajanokkę. Kiedy wróciłem, byłaś już w łóżku, prawda?

- Jechał pan swoim samochodem? - zagadnął Palmu. Major

Vadenblick spojrzał na niego surowo.

- Nigdy nie prowadzę po alkoholu - odrzekł. - Na tym mnie nigdy nie złapiecie. Nieszczególnie lubię pić. Specjalistką od alkoholu była w naszej rodzinie moja żona Maire, o czym prawdopodobnie sami doskonale wiecie. Nie, szedłem na piechotę. Zawsze po kilku głębszych lubię się przejść dla otrzeźwienia. Taki mam zwyczaj. Poza tym byłem tego wieczoru mocno podminowany. Nie bez powodu zresztą.

- I mnie było bardzo przykro - odezwała się panna Melkonen drżącym głosem, ponownie wtrącając się do rozmowy. - Ojciec zawsze powtarzał, że majątek to nie przywilej, tylko zo-obowiązanie spo-ołeczne, ciężkie zobowiązanie. Aarne pamięta te słowa. Stara się dbać o robotników najlepiej jak umie. Mamy fundusz emerytalny i pożyczki na własny dom, konsern finansuje zakup działki i pokrywa połowę kosztów budowy, do tego dodatki na dzieci i...

- Cackacie się tylko z nimi! - przerwał jej major. - Kija im potrzeba, nic więcej. Mają już te swoje rady robotnicze i mężów zaufania, skurwysyny jedne! I czego się tak trzęsiesz, do diabła? Chora jesteś czy co? Jeszcze się nie uspokoiłaś po tej rozróbie w Kamppi?

- Mo-może się prze-eziębiłam - wyjąkała panna Melkonen, trzymając się za głowę. - Wtedy, przedwczoraj. Miałam taki mętlik w głowie. Spa-acerowałam do pierwszej w nocy. Kiedy przy-yszedłeś, dopiero co weszłam do łóżka.

- Jak się przeziębiłaś, to bierz pigułki i marsz pod kołdrę! - warknął major. - Nie jesteś tu nam potrzebna.

Błada już jak kreda panna Melkonen stanęła na niepewnych

nogach, wspierając się na oparciu krzesła.

- Prze-epraszam - rzekła. - Rze-rzeczywiście już pójdę. Go-orączka
mnie bierze.

Nikt nie próbował jej nawet zatrzymać. Z jej żalostnej twarzy
wyzierało tak oczywiste poczucie winy, że... tak, tamta skacząca wrona z
przetraconymi skrzydłami i krew na szarych piórach... Panna Annikka
Melkonen nasuwała osobliwe skojarzenia z rannym ptakiem. Miała nawet
na sobie ciemnoszary kostium.

- To cholerne uzalanie się nad sobą - mruknął major pod nosem. -

Ta kobieta do niczego się nie nadaje. Na smyczy brata, jak mały piesek.

Dorosła kobieta... No, czy ciekawość panów została już zaspokojona?

Palmu puścił pytanie mimo uszu.

- Nie zastaliśmy pana w jego helsińskim mieszkaniu - powtórzył
niespiesznie. - Zastaliśmy za to służącą.

Major stał się czujny, uniósł głowę wyżej do góry.

- No i? - spytał.

- Pani Hartola jest zdania, że śmierć pańskiej żony nie była wcale
samobójstwem - odrzekł Palmu, patrząc w podłogę i bawiąc się fajką.

W majorze Vadenblicku zaszła nieoczekiwana zmiana. Uśmiechnął
się. Był to, co prawda, uśmiech bardzo chłodny, by nie rzec - lodowaty,
ale jednak uśmiech. Sam wyciągnął z kieszeni fajkę i puszkę najlepszego
angielskiego tytoniu.

- Proszę się poczęstować - rzekł uprzejmie, podnosząc się i

podsuwając puzderko komisarzowi. - A może woli pan cygaro? - Major

wcisnął przycisk dzwonka w ścianie, a potem otworzył pudełko cygar i poczęstował Palmu, Kokkiego i mnie. W tej kolejności. W drzwiach stanęła wylęknięta dziewczyna i dygnęła grzecznie. Czarny kostium, biały fartuszek, na głowie miała nawet biały czepek. Zupełnie jak w dawnych czasach.

- Herbata! - zarządził gospodarz. Dziewczyna znów dygnęła i zaraz znikła.

Major wrócił do rzeczy.

- Pani Hartola, tak... - powtórzył zgryźliwie, przeciągając sylaby. -

Zapewne dziwi panów, że tak długo trzymam w domu tę szmatławą pijaczkę. Ale Hartola opiekowała się moją Maire, nawet w te najgorsze dni. W zasadzie to trochę gryzie mnie sumienie. Bo to Maire nauczyła ją pić. Bez przerwy jej wmuszała. Po przyjeździe z Ameryki Hartola nie była jeszcze tak zdegenerowana. Lubiła sobie wypić, ale nic poza tym.

Zauważyliście pewnie, że dzisiaj to już skończona alkoholiczka. Na szczęście udało mi się znaleźć jej nową pracę, dzięki czemu pozbędę się jej w przyzwoity sposób.

- Aż w Ameryce Południowej - zauważył Palmu.

- Zmiana klimatu dobrze jej zrobi - orzekł z przekonaniem major. -

I długi rejs morski. No, co wam ta baba nagadała?

- Piła do tego, że śmierć pani Vadenblick wcale nie była samobójstwem - odpowiedział Palmu, przeciągając słowa. - Tylko nieszczęśliwym wypadkiem.

Czy zwiodły mnie oczy, czy rzeczywiście majorowi jakby wyraźnie

ulżyło?

- To nie był wypadek. Przecież wyszło to wyraźnie w trakcie przesłuchania. Ze złości to zrobiła. Żeby mi zaszkodzić. Jak niedorozwinięte dziecko, gotowe z przekory złapać zapalenie płuc. Nie, Maire nigdy nie dojrzała do dorosłości. Ona nawet nie rozumiała, co znaczy życie na wsi. Co znaczy rodzinny dwór.

Major skończył nabijać fajkę, zapalił i zatoczył nią szeroki łuk, wskazując nie tylko na ściany i rodzinne pamiątki, na swój arsenał i wieńce jeleni, lecz na niezmierzone pola, szumiące lasy i bezpowrotnie minione czasy feudalizmu, jeśli czytelnik rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Po chwili powiedział głosem człowieka doświadczonego przez życie, który mężnie znosi przeciwności losu:

- To wszystko nie miało dla niej żadnego znaczenia. Nie czuła się tu dobrze, choć lekarz ją zapewniał, że prowincja i proste życie wyszłyby jej na zdrowie. Wolała raczej od czasu do czasu iść na dwa tygodnie do szpitala, żeby podleczyć nerwy. Nerwy! - prychnął major Vaden-blick. - Kac to był, a nie nerwy! O kant dupy rozbić to całe leczenie! Jedna morfina i środki nasenne! Przepraszam za wulgarne słowa - rzekł z goryczą w głosie. - Na wojnie człowiek nasiąka. Ale co ja za piekło miałem z tą kobietą! Do dupy takie życie! Ten dom, ten dwór, to było moje jedyne schronienie! Moje i syna. Miałbym co robić i w Helsinkach, wolałem jednak zaszyć się tutaj, niż ciągle patrzeć, jak Maire się upija. I kogo tym razem sprosiła do naszego domu.

- Pani Hartola wspomniała też, hm, że kilkakrotnie pobił pan panią

Vadenblick - powiedział Palmu cicho.

Major spojrział na komisarza ze szczerym zdumieniem na twarzy.

- Przecież Maire była moją żoną, byliśmy małżeństwem - odrzekł.

Cóż mogliśmy na to powiedzieć. Nawet komisarz zaniemówił.

Major spojrział na nas z politowaniem i sam podjął wątek:

- Poza tym Maire była tym typem kobiety, która sama się prosi o lanie. Nie znaliście jej. Ona pragnęła dyscypliny. Po co inaczej wychodziłaby za mnie? Sądziła pewnie, że to ją uratuje. Ale po alkoholu stawiała się wyniosła. Wiadomo, potem na trzeźwo znów pokorniała, padała na kolana, błagała o przebaczenie. Ale... ja już dłużej nie mogłem tego znieść.

Major wzruszył ramionami. Jego zdaniem sprawa była zamknięta.

Powiedział, co miał do powiedzenia, i dziarsko stanął na równe nogi.

- Na herbatę musimy jeszcze chwilę zaczekać - dodał. - Bułeczki się jeszcze nie upiekły. Angielski zwyczaj, który bardzo lubię. Co panowie powiedzą na małą przechadzkę? Chętnie oprowadzę was po mojej posiadłości. Chciałbym jeszcze zajrzeć do Orlego Gniazda, nim zapadnie zmrok. Zobaczyć, czy beton ściągnął. Bo tak się składa, że wczoraj kładliśmy kamień węgielny. Zamurowałem pod fundamentem dokumenty rodowe. Z całą pompą. Dlatego tak szybko wróciliśmy z miasta.

W majorze Vadenblicku zaszła nieoczekiwana przemiana. Jego twarz zajaśniała teraz prawdziwą pasją i szczerą życzliwością i w tym momencie major był ziemianinem, który podejmuje w swoim majątku

znamienitych gości. Było oczywiste, że nie możemy odmówić.

Ruszyliśmy więc. Major pokazał nam oborę i stajnię. Na szczęście tylko od zewnątrz. Wszystko nowe, dopiero co pobudowane i pierwszej klasy, od silosów paszowych po zbiorniki na gnojówkę. Musiał na to wydać mnóstwo pieniędzy. Potem ruszyliśmy niedawno wyciętą drogą, która wznosiła się na skalisty brzeg.

Major raczył nas monologiem:

- Nigdy byście nie zgadli, ile kosztuje produkcja rolna, jeśli chce się mieć do dyspozycji wyłącznie najlepszy sprzęt. Budynki gospodarcze, dreny, maszyny. Tylko porządnych robotników trzeba dziś szukać ze świecą w ręku. Odziedziczyłem to wszystko po parcelacji, rozgrabione przez państwo, lasy tak przetrzebione, że już nie wolno z nich jednego drzewka wyciąć, a wszystko obciążone hipoteką po czubek komina, jak to się mówi, ha, ha. Teraz dokupuję ziemi, gdy tylko nadarzy się sposobność. Możecie mi nie wierzyć, ale w starych dobrych czasach ta posiadłość miała wielkość gminy. Tylko że część chamów nie chce mi odsprzedać. Siedzą po tych swoich miedzach, pierdzą w ławy i pyskują. Ale przyjdzie kryśka na Matyska.

Droga wiodła teraz stromo pod górę. Palmu chwycił się za kolano i stanął, by zaczerpnąć tchu. Major nawet się nie zadyszał, spojrzał więc na niego z pogardą. Ze skarpy roztaczał się imponujący widok na morze.

Ochronny pierścień szkierów, przetykany wystającymi z wody pojedynczymi skałami, a za nim otwarte morze. Po kres horyzontu.

Czerwonawa łuna zachodzącego słońca. Na tej wysokości wiatr był bardzo

silny. W dole rozwścieczone fale miały się o strome klify.

Vadenblick wskazał czule najwyższy punkt skały, gdzie tkwiły już fundamenty Orlego Gniazda. Beton był świeży, nie usunięto jeszcze desek szalunkowych.

- Z początku myślałem o nieobrobionym granicie - wyjaśnił major z melancholią w głosie. - Jak mury Suo-menlinny*[* Fińska nazwa zbudowanej przez Szwedów w połowie XVIII wieku na kilku nabrzeżnych wysepkach fortecy Sveaborg, broniącej dostępu morskiego do centrum Helsinek.]. Ale wyszłoby to za drogo. Stanie tu zatem tylko drewniany pawilon. Przytwierdzi się do skały, żeby go nie zerwała żadna wichura. Jednak pod fundamentami wmurowałem dokumenty. I proszę popatrzeć na to. Tylko ostrożnie. Ścieżka jest śliska.

Zaprowadził nas do głębokiej rozpadliny w skale, skąd stroma ścieżka i bardzo stare, kamienne stopnie prowadziły na leżącą jakieś dziesięć metrów poniżej półkę skalną.

Oszłamiająco nisko w dole fale wrzynały się z rykiem w ostre skały.

O mały włos wiatr zerwałby mi kapelusz z głowy. Palmu nie odważył się podejść do krawędzi, wczepił się oburącz w ściany rozstępu, gdzie schował się przed wiatrem.

- To ulubione miejsce Annikki - wyjaśnił major. - Do diabła, czasem i mnie się w głowie kręci, ale ona po prostu uwielbia to miejsce. Będą tu oczywiście barierki ochronne. Wmuruję je w skałę. Z wielkich łomów każę zrobić stół i ławy. Właśnie stąd moi przodkowie wyglądali przepływających statków. Byli niewidoczni na tle tej skały, zawsze też

mogli się ukryć w rozpadlinie. Ładowi piraci, co tu kryć. Ale wszystko ma swój koniec. Wielu z nich służyło potem w fińskiej flocie, jeszcze za Szweda. Jeden był nawet kapitanem na kaprze. To były zupełnie inne czasy. Lepsze. Wtedy to dopiero byli mężczyźni, wtedy była dyscyplina. Nie było litości dla nikogo. Morze też się nad nikim nie lituje. - Major wbił spojrzenie w dal i pogrążył się w marzeniach. - Życie w dzisiejszych czasach to jedno wielkie gówno - stwierdził. - Wszędzie tylko ciepłe kluchy albo debile. Nawet w armii. Możecie mi wierzyć. Tylko siła coś jeszcze znaczy na tym świecie, nawet w takich czasach. Ale wszystko się jeszcze może zmienić na lepsze. A wtedy pan znowu będzie panem.

Zaczęliśmy wspinać się z powrotem. Major Vadenblick na przedzie, jak przystało na pana. Kokki skorzystał z okazji i szepnął mi na ucho:

- Ty, kierownik, ten facet ma chyba nierówno pod sufitem.

- Wszystko możliwe - przyznałem szczerze.

- Bo jeśli on jest normalny - odpowiedział Kokki z głębokim przekonaniem - to chyba nie oprę się pokusie i w następnych wyborach zagłosuję na Związek Lewicy.

W milczeniu wróciliśmy do dworku. Stół karciany czekał już elegancko zastawiony. Chińska porcelana, grzanki z marmoladą, gorące bułeczki. Pachniało wspaniale.

- Momencik - major nas przeprosił i poszedł na piętro.

Palmu wstał i zamknął drzwi.

- Szefie - zaczął. - Zatrzymaj tę kobietę, pannę Melkonen.

Natychmiast. Od razu po herbacie. Zabierzemy ją do Helsinek na

przesłuchanie. Uwierz mi choć raz na słowo. Bardzo cię proszę.

- Odbiło ci?! - zaperzyłem się. - Przecież nie mamy najmniejszego dowodu. Major zrobi nam piekło na ziemi.

Kokki podszedł do ściany i zaczął z nabożeństwem oglądać kolekcję broni. Nie wszystkie eksponaty były muzealne. Większość nadawała się ciągle do użytku. Sztucer. Belgijska śrutówka najlepszej marki. Rząd karabinów. Kokki wskazał palcem na największy okaz.

- Czyż to nie słynny karabin przeciwpancerny L-39? - zagadnął od niechcenia. - Brakuje mi tu tylko ludzkich czaszek na ścianach. Na czołach etykiety z miejscem i datą ustrzelenia. No i tygryziej skóry na podłodze. Pan major bez mrugnięcia okiem poszedłby na tygrysa do każdej dżungli świata. - Mówiąc, zbliżał się powoli do drzwi. - Poza tym, szefie - dodał - w piątek po południu panna Annikka Melkonen wybrała jednorazowo ze swojego konta czekowego półtora miliona marek. W gotówce. Zupełnie nie w jej stylu.

- Ale i tak nie mogę... - zacząłem.

Ale Kokki już przyskoczył bezgłośnie do drzwi i pchnąwszy je mocno, otworzył na oścież. Usłyszeliśmy krzyk uderzonego klamką chłopaka, który stał teraz przy futrynie i trzymał się za ucho. W tejże chwili przyskoczył do niego major. Twarz miał czerwoną z wściekłości. Wyglądał strasznie.

- Znów podsłuchiwałaś pod drzwiami?! - ryknął i mocno uderzył syna dłonią. - Niech mnie szlag trafi, jak ci dzisiaj wieczorem nie wygarbuję skóry! Nie możesz się zachowywać jak głupi bachor! I to przy

obcych!

Mały Erik również poczerwieniał ze złości. W jego ciemnych oczach zaśniły łzy bólu i chłopak zacisnął zęby, aż zazgrzytało. Pohamował się jednak i nic nie powiedział.

- Marsz do swojego pokoju i masz tam siedzieć - zakomenderował nieco cieplejszym tonem major, wypychając syna do holu. - Przyjdę z tobą porozmawiać, kiedy panowie pojedą. Musisz się tego oduczyć, synu. Chłopak poszedł. Major wszedł do gabinetu i nalał herbatę do filiżanek. Nie przeprosił nawet za ten incydent. Pierwszy wziął sobie cukier i śmietankę. Jakby to było zupełnie oczywiste. Wypiliśmy. Nic nam nie stanęło w gardle. Bułeczki były bardzo smaczne. Masło topiło się na nich rozkosznie. Major bawił nas rozmową, jak przystało na gospodarza. Kuropatwy i wyżły.

- Szesnastego zaczyna się sezon łowiecki na jelenie - powiedział. - Proszę przyjechać, jeśli to panów bawi. Dobrze wam zrobi dla odmiany dać powęszyc komu innemu. Jak człowiek ustrzeli jelenia, to wie przynajmniej, że coś osiągnął. Wielkie zwierzę. Słysząc mlaśnięcie kuli. Pewnie nigdy nie było wam dane zakosztować podobnego uczucia. Ale chwileczkę - przypomniał sobie. - Mamy być wtedy za granicą. Na Kanarach. Chyba jednak odwołam ten wyjazd. Na co mi Kanary? Orle Gniazdo jeszcze nie jest skończone, do tego to przeziębienie Annikki... Jutro bierzemy ślub w urzędzie miasta, jeżeli jeszcze nie wiecie.

- Jutro? - przestraszyłem się.

- Pierwotnie mieliśmy się pobrać dopiero w sobotę - przyznał

niedbale major. - Kilku krewnych i małe przyjęcie. Ale po co to przedłużać? Mam gdzieś rodzinę Annikki. Zwłaszcza po tej rozróbie w hotelu Kamppi. Dlatego postanowiliśmy, że jednak jutro. I nigdzie nie pojedziemy. Zostaniemy tutaj. Rzadko mamy tak piękną jesień. A zatem zapraszam panów na polowanie, jeśli tylko macie ochotę.

To było pożegnanie. Major Vadenblick wstał, dając do zrozumienia, że wizyta skończona. I nie było gadania. Palmu trącił mnie w bok, ale ja nie byłem taki głupi, aby próbować aresztować Annikkę Melkonen. Jak dla mnie może sobie wyglądać nawet jak chodzący wyrzut sumienia, jeszcze mi została w głowie odrobina oleju. Tak przynajmniej uważam. Oczywiście, później pożałowałem swej decyzji. Gorzko jej pożałowałem. Trzeba było posłuchać komisarza Palmu. Nie wiem jednak, czy mogłoby to jeszcze wpłynąć na przebieg wydarzeń. Gdybym chciał kobietę przesłuchać, miałem prawo ją zatrzymać na trzy doby. Nie mieliśmy jednak żadnych podstaw, aby Annikkę Melkonen aresztować. Ostatecznie jestem prawnikiem, wiem coś o tym.

Zaczęło zmierzchać. Niebo za dworkiem było czerwone. Ochłodziło się. Ruszyliśmy z powrotem w posępnym milczeniu. Palmu nawet nie zaczął wieszać na mnie psów. Żuł tylko ciągle ustnik swojej fajki.

- Nie to nie - orzekł w końcu. - Niech się dzieje wola twoja, szefie, nie moja. Ostatecznie mamy przecież ten jeden punkt przewagi.

- Jaki? - spytałem z nagłym ożywieniem.

- Mordercy z pewnością spadł kamień z serca, bez względu na to, czy to on, czy ona - wyjaśnił Palmu. - Wystarczyło zobaczyć twoją gębę,

szefie. Rolę głupiego odegrałeś pierwszorzędnie. Nie żebyś ją musiał specjalnie ćwiczyć.

11.

Następnego dnia panna Annikka Melkonen i major Gustaf Erik Vadenblick zostali ogłoszeni mężem i żoną. Ślubu udzielił burmistrz, który miał na szyi łańcuch, jak zapewniał nas Kokki. Tak było. Wiem, bo sam widziałem. Prosto z magistratu nowożeńcy pojechali do kancelarii prawnej. Nie w sprawie intercyzy, bynajmniej. Wręcz przeciwnie, testament wzajemny. Czyli pani Hartola chyba jednak nie miała racji. Nowa żona majora raczej nie była w ciąży. Nie z taką linią.

Wieczorem zaprosiłem z tej okazji komisarza Palmu na koniak. I starego znajomego ze szkoły oficerskiej. Nic wielkiego, zwykły monopol. Usiedliśmy w łoży, aby nikt nam nie przeszkadzał. Chciałem bowiem pociągnąć znajomego za język. Nadal się lubiliśmy, choć patrzył na mnie trochę z góry, bo gdy on walczył na froncie, ja dostałem przydział do żandarmerii.

Mój kolega służył pod majorem Vadenblickiem. Miał sporo do opowiadania. W jego stosunku do dawnego przełożonego mimowolny szacunek mieszał się ze szczerą odrazą.

- Pod krawatem na froncie - rzeki z grymasem obrzydzenia na twarzy. - Zawsze ogolony. Nawet podczas ofensywy. Wyglancowane oficerki. Ale jak był rozkaz przebiccia, to się przebijaliśmy. A jak był rozkaz, że utrzymać pozycję, to ją trzymaliśmy. W takich okolicznościach major był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Twardy. Ale i

sobie nie pobłażał. Dzielił z nami żołnierską dolę.

- Na linii frontu? - ośmielił się spytać Palmu. Dawny frontowiec spojrział na niego wyniośle.

- Major Vadenblick był oficerem zawodowym - pouczył komisarza. -

A takiego się na szpicę nie pcha, jeśli tylko można tego uniknąć. Armia fińska jest biedna i zawodowcy są na wagę złota. Choć majorowi na męstwie nie zbywało. Gdy robiło się gorąco i słabsi psychicznie próbowali przemykać się na tyły, wyskakiwał z okopów i walił ich po mordzie.

To rzekłszy, zatopił spojrzenie w przeszłości. Pospiesznie zamówiłem następną kolejkę, bo zaczął podejrzanie przesuwać po obrusie sztucce, musztardę i sól. Chwila wahania i na pewno zaczęłyby nam objaśniać, gdzie był Rusek, a gdzie bagna i nasze linie. Następna kolejka wybiła go z rytmu, zdążyłem więc zagadnąć:

- Dlaczego Vadenblicka przesunięto na tyły? Do ośrodka wyszkolenia?

- Zbyt duże straty w ludziach - odrzekł bez ogródek. - Sam znasz Mannerheima. Na stare lata zrobił się ekliwy. Co wieczór w sztabie kazał sobie pokazywać listę poległych, odczytywał każde nazwisko, jedno po drugim, i opłakiwał każdego jak rodzzonego syna. Nie cierpiał oficerów, którzy bez potrzeby narażali ludzi. A Vadenblick żądał ciągłej aktywności, więc gdy nic się nie działo, z braku laku słał zwiadowców za linię frontu. Musiał być przynajmniej jeden trup dziennie, inaczej miał zły humor.

Ujma na honorze. Przez to popadł w niełaskę u Mannerheima, który osobiście dopilnował przeniesienia majora na zaplecze. Potem

Vadenblick walczył już tylko w tej masakrze pod koniec wojny. Wtedy trup ścielił się gęsto i bez jego pomocy, nie musiał się wysilać. Ale co ty możesz o tym wiedzieć, żandarmie parszywy.

- Pamiętaj, kto dziś płaci za koniak - ostrzegłem go.

- W ośrodku wyszkolenia Vadenblick znów znalazł swoje miejsce na ziemi - ciągnął mój znajomy. - Tak tam rekrutów czołgał, że chłopaki dziękowali Bogu, kiedy wreszcie dostali skierowanie na front. Podobno co wieczór modlili się głośno: „Dobry Panie Boże, broń nas od majora złego i poślij nas na wojnę, najprędzej jak możesz”. Ale wojna się skończyła i czegoś takiego nie można już było dłużej tolerować. Wywalili go na początku lat pięćdziesiątych.

- Zwolniony na własną prośbę - przypomniałem.

- Gówno prawda! - wypalił stary frontowiec. - Za-czołgał na śmierć jednego podchorążego rezerwy. Najpierw zarządził chłopakom nocne ćwiczenia i marsz. Sam smacznie się wyspał, po czym rano poszedł ich zdrowo ochrzanić. Podchorąży ośmielił się bąknąć, że ludzie są zmęczeni. Major zabrał go na tor przeszkód. Sami wiecie, czołganie się przez rury, forsowanie zapór, wspinanie się na drzewa i tym podobne hece. Reszta patrzyła z boku, jak pan major daje przykład i truchcikiem, lekko i swobodnie, bo bez plecaka, biegnie przed podchorążym. Że niby nie wymaga od swoich podwładnych więcej niż od siebie. W końcu chłopak padł, a gdy odnieśli go do izby chorych, zmarł. Doniesienie złożył lekarz, nie chłopaki. Oni czekali na ćwiczenia ze strzelania ostrą amunicją - uzgodnili między sobą, że Vadenblick już ze strzelnicy żywy nie wyjdzie.

Przypadkowy strzał. Ale major uznał, że najlepiej zrobi, jeśli sam się zwolni, zanim go postawią przed sądem wojskowym. Nie ukarali go za znęcanie się nad podwładnymi. W końcu sam biegł przed podchorążym i robił to samo co on. Niemłody już mężczyzna. Tak na marginesie, nie była to pierwsza jego ofiara, bo gdy opuszczał koszary, wykopał żonę z pociągu, posyłając ją na tamten świat.

- Nie kłam - sprzeciwiłem się.

- Nie kłamię - zarzekł się. - Może tylko trochę przesadzam. Wiem to wszystko, bo przyglądałem się z boku karierze pana majora. Takie rzeczy nie powinny się dziać w Finlandii. Nawet w czasie wojny. Sam kilka razy na froncie już wyciągałem pistolet z kabury, ale chłopaki mnie zawsze powstrzymywali. No więc major musiał się ożenić z jedną taką lotta*[* Ochotniczka z kobiecego stowarzyszenia obrony kraju o nazwie Lotta Svard.]. Jej rodzice go zmusili. Dla niego był to mezalians, wiadoma rzecz. Pierwsze dziecko zmarło. Może po roku urodziło się drugie.

Wyjeżdżając z koszar, major zabrał dwuletniego chłopca ze sobą.

Kopniakiem strącił żonę ze stopnia wagonu. Ale nie to ją zabiło. Zmarła faktycznie dopiero pół roku później. W trakcie rozwodu. Jak to się mówi, serce jej pękło. Nie zdzierżyło pana majora. Vadenblick to trucizna w takim stężeniu, że powaliłaby nawet krzepkiego mężczyznę. A dziś podobno bryluje na szczytach sławy. Oligarcha i magnat. Jednak trzeba go było wtedy zastrzelić.

- No, no - skarcił go Palmu. - Jakie to młode pokolenie dzisiaj

bezpośrednie. Tak nie można. Choćby nawet świerzbiła ręka. Za coś

takiego idzie się siedzieć.

- Poszedłbym i siedzieć za pana Vadenblicka - zapewnił go mój znajomy, podochocony koniakiem. - Miałem w czasie wojny kilku dobrych kumpli. Dziś leżą na cmentarzu pod czarnym granitem. Zaraz za Mannerhei-mem. Zginęli zupełnie na próżno. Tylko przez tego cholernego szaleńca, którego diabeł opętał. Zginęli, bo byli zupełnie zieloni. Mądrzejsi szli do lasu i przy ognisku gotowali sobie zbożówkę w menażkach. A po powrocie pisali taki raport, jaki major chciał przeczytać. Potem się rozgadał i pewnie zaczął już mocno przesadzać, tak że nie ma sensu przytaczać w tej książce tych opowieści z frontu. W każdym razie Palmu i ja nabraliśmy przekonania, że podczas wojny major Vadenblick stracił wszelkie hamulce. Trzy lampki koniaku na głowę nie były wcale wygórowaną ceną za wszechstronną analizę jego wojennych przymiotów.

- A ty mnie chciałeś zmusić do zatrzymania panny Melkonen - zacząłem mu wyrzucać w drodze do domu. - Przecież ten major to urodzony zabójca.

- Kto wie, dlaczego nie? Urodzony zabójca... - przyświadczył Palmu.

- Może i są tacy. Na pewno wyczytałeś to w tych swoich książkach. Ale bywają i takie kobiety. Patrz, kawalek się przejdę i zaraz się pocę, choć to już październik. A tam akurat stoi jakaś drynda.

Musiałem więc zafundować mu jeszcze kurs do domu. I to wszystko, co mam do powiedzenia o tamtym wieczorze.

Następnego dnia około godziny czternastej przeczytałem w

„Kurierze” doniesienie o tragicznej śmierci pani Annikki Vadenblich.

Rano spadła ze skały niedaleko rodzinnego dworku i zginęła na miejscu.

Tak krótka była jej podróż poślubna. Wstrząsająca tragedia, jak napisano w gazecie. Oczywiście. I ja byłem wstrząśnięty. Wzajemny testament i tak dalej. A zatem major Vadenblich wszedł w posiadanie pakietu większościowego i od tej pory mógł decydować o losach koncernu Melkos.

Palmu taktownie nie robił mi wyrzutów. Położył tylko na moim biurku drugi egzemplarz „Kuriera”, przewrócił na ostatnią stronę i wskazał swoim grubym palcem na artykuł.

- Ten człowiek nie zna wstydu, ten major yadenblich - rzekł z przyganą w głosie. - On się chyba uważa za jakiegoś nadczłowieka. Już zawczasu zawlókł nas na miejsce zbrodni. Wziął nas za rękę i nam pokazał.

- Ale tam rzeczywiście było bardzo niebezpiecznie - próbowałem oponować wbrew głosowi rozsądku. - To ulubione miejsce Annikki.

Oczywiście rano poszli zaraz obejrzyć to swoje Orle Gniazdo. Major chciał popędzić ludzi do pracy, a panna młoda, choć już nie taka znów młoda, skorzystała z okazji, by spojrzeć na morze ze swojego ulubionego miejsca.

- I na pewno nikt niczego nie widział, nie było świadków ani na lądzie, ani na morzu - dopowiedział Palmu. - Pamiętasz tę rozpadlinę, z której prowadziły stopnie na tę półkę skalną? Robotnicy co najwyżej zeznają, że major poszedł tam za swoją żoną. A od takich zeznań do wiążących dowodów droga jeszcze daleka.

- I na dodatek nic nam do tego - jęknąłem. - Sprawę przejmie

miejscowa policja. W najlepszym razie zajmie się tym ekipa z okręgu.

Jeżeli naczelnik miejscowej policji w ogóle ośmieli się ich wezwać. Z

majorem Vadenblickiem lepiej żyć w zgodzie. Zwłaszcza na prowincji. Nie

możemy się przecież do tego mieszać.

Naczelnik wydziału wrócił z polowania. Poszedł osobiście obejrzeć

Villego.

- Niezły z niego kozak - ocenił. - Ale dlaczego dajecie mu tyle

swobody? Alpio wziął go na dziedziniec i łobuz pucuje nasze nowe auta.

Jeszcze da wam nogę!

- Resocjalizacja przez pracę - odrzekłem machinalnie. - Nieletni. No

i lwica grasuje.

Naczelnik pokiwał ze zrozumieniem głową.

- No, twoja to sprawa, panie sędzio - przyznał. - Ale pięknie to

załatwiłeś. Trzymajcie tylko maszynę w ruchu, aż się pokażą niezbite

dowody. Przyznanie się do winy to jeszcze za mało.

- Będziemy trzymać - zapewniłem i posłałem człowieka po tort

urodzinowy dla Villego. Do Fazera. W końcu obiecałem. Alpio dał mu w

prezencie scyzoryk. A lwica, możecie nie wierzyć, przybory do golenia.

Naprawdę nie wiem, jakie frustracje kierują tą kobietą. Podobno Ville już

jej nawet obiecał, że przestanie palić.

Co Saara przyniosła Villemu na urodziny, tego nie wiem. Nie

dopytywałem. Naradzali się we dwoje w jego celi przez kilka dobrych

godzin. Potem Saara poszła kupić obrączki zaręczynowe. Villego by nie

wypuścili. No i nie miał pieniędzy. Pewnie z przekory to zrobiła. Bo nieletni może się zaręczyć. Nawet bez zgody rodziców. Tak że świętowaliśmy na komendzie jednego dnia i urodziny, i zrękowiny.

Radosny dzień. Dla obojga.

Prezes Aarne Melkonen przyjął komisarza Palmu i mnie od razu.

Nie musieliśmy czekać nawet jednej chwili, choć pan prezes miał okno szerokie na dziesięć metrów, wszędzie palisandry, a na ścianie obraz Matisse'a. Zaprosił nas bowiem do swojego gabinetu w głównej siedzibie Melkosu. Firma o doskonałej kondycji. No i traktują tam policjantów jak normalnych ludzi.

Ledwie przedstawiliśmy swoją sprawę, na twarzy przyrodniego brata świętej pamięci Annikki Vadenblick pojawił się wyraz głębokiej troski.

- Wielokrotnie ostrzegałem siostrę przed tym mężczyzną -

powiedział. - To bezwzględny karierowicz, wyzuty z sumienia łowca posagów. Człowiek nieokrzesany, który swym małym rozumem nie potrafi pojąć, że wielki przemysł funkcjonuje już w zupełnie innej epoce niż kiedyś. Kapitał to ciężkie zobowiązanie, a nie żaden przywilej. Tak mi powtarzał mój świętej pamięci ojciec, choć byłem wtedy młody i nie do końca go rozumiałem. Pojąłem to dopiero teraz, gdy mnie samemu przyszło stanąć za sterem koncernu. Ojciec był per ty z najstarszymi robotnikami, trzymał do chrztu ich dzieci i tak dalej. I nikt nie potrafił mu wyperswadować, że nie może iść na front ze swoimi pracownikami, bo tu na miejscu jest bardziej potrzebny. Tak, ciąży na nas odpowiedzialność,

ciężka odpowiedzialność.

- Na was? - zdziwił się Palmu, unosząc brwi. - Jeśli dobrze

rozumiałem, od tej pory sprawami koncernu będzie kierował major

Yadenblick. Może wyrzucić pana na bruk, kiedy tylko zechce. Kolejne

wielkie osiągnięcie wielkiego kapitału.

- Nie tak prędko, może dopiero za parę lat - odrzekł ostro prezes

Melkonen. - Oczywiście zaskarżę ten testament. I pójdę z tym choćby do

najwyższej instancji. Zagramy na czas. Choć nie ma się o co spierać.

Testament został sporządzony przez fachowca, a Annikki po śmierci nie

da się tak od ręki uznać za osobę chorą psychicznie. Choć wyjście za mąż

za tego człowieka tego właśnie dowodzi: choroby psychicznej. To

szaleniec. I bardzo niebezpieczny człowiek.

Palmu wykorzystał sposobność, wymógł na prezesie przysięgę

dochowania bezwzględnej tajemnicy, po czym zreferował mu pokrótce

nasze podejrzenia. Jednak w prezesie Melkonenie rozsądek wziął górę.

- Chcą mi panowie powiedzieć, że Vadenblick wspólnie z Anniką

wyrzucili Maire przez okno, że ją zamordowali? - powtórzył prezes, jak

gdyby nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Nie, panowie, nie, nie,

Annikka była jednak moją przyrodnią siostrą. Nie, nigdy w życiu.

- Pan komisarz przedstawia fakty może w nieco zbyt jaskrawym

świecie - wtrąciłem pospiesznie. - I bez rozbudzonej wyobraźni nietrudno

pojąć, że major zrobił to sam, bez niczyjej pomocy. To jemu grunt się palił

pod stopami. Pani Vadenblick, Maire Vadenblick, ma się rozumieć,

zamierzała wyrzucić go z domu i na dodatek była przekonana, że sprawa

rozwodowa zakończy się uznaniem winy męża. Major to człowiek czynu, co wiemy już skądinąd. I człowiek bezwzględny, jak pan prezes sam przed chwilą powiedział. Wypchnął więc żonę przez okno.

I pani Annikka Vadenblick, przepraszam, panna Annik-ka

Melkonen to widziała. Może już wtedy była zaślepią. Może między nimi już do czegoś doszło. Tego nie wiemy. Równie dobrze mogła żywić do przyrodniej siostry głęboką nienawiść.

- Nie, nie, nie, w grę bynajmniej nie wchodziła nienawiść -

zaoponował pospiesznie prezes Melkonen, zaraz jednak popadł w zadumę i potarł czoło ręką. Nie mógł mieć więcej niż czterdzieści kilka lat, ale w bliskiej perspektywie czekały już na niego choroba wrzodowa, a potem embolia. Zbyt wielki ciężar odpowiedzialności i przepracowanie. Oby miał dzieci, które pójdą drogą wytyczoną przez ojca, pomyślałem z lekką goryczą. Palisandry nie robią na mnie wrażenia, ale ten obraz Matisse'a...

Musiał budzić pożądanie w każdym, kto choć trochę zna się na malarstwie.

- Ale gdy się tak nad tym zastanowić - podjął po chwili prezes - to

stosunki moich sióstr nie były wcale aż takie dobre. Annikka zamieszkała u Maire na jej prośbę. Vadenblick często wyjeżdżał na wieś, a Maire bała się być sama. Trzeba też dodać, że i ona na swój sposób terroryzowała otoczenie. Zawsze musiała mieć pod ręką kogoś do towarzystwa i wypełniania poleceń. Z Maire nie było łatwo żyć. To nie ulega wątpliwości. Annikka co jakiś czas wracała do swojego mieszkania i dąsała się tam przez tydzień czy dwa. Ale prędzej czy później była znów u

siostry. Maire umiała być czarująca na zawołanie. Choć mnie nigdy nie zdołała owinać sobie wokół palca. Wściekała się, bo bez przerwy jej radziłem, że ma się rozwieść, nim będzie za późno. Bez względu na koszty. Bo i ten problem z Sinikką... - Prezes Melkonen pogrążył się w myślach.

- Problem z Sinikką...? - powtórzyłem z bijącym sercem.

- Maire była zawsze oczkiem w głowie ojca - stwierdził Aarne

Melkonen i dało się wyczuć, że wciąż go to jeszcze napełnia goryczą. -

Nigdy nie dostała w skórę. A ja owszem. I to wiele razy. Rzemieniem. Bo

byłem chłopakiem. Dobry Boże, gdyby ojciec w porę przełożył Maire

przez kolano, nie byłoby żadnego problemu z Sinikką. Jestem o tym

głęboko przekonany. Cholera, myślę sobie czasem, że Maire

nieświadomie była zazdrosna, że ojciec mnie bił, a jej nie. Ale z Sinikką

było to samo. Maire nigdy jej nie karała.

Ja jednak nie myślałem o wychowaniu młodzieży.

- Sinikką zginęła tragicznie - rzekłem sugestywnie, choć Palmu

machnął mi gniewnie ręką, żebym siedział cicho.

Prezes Melkonen niewłaściwie zinterpretował gest komisarza.

- Przepraszam - rzekł. - Proszę się poczęstować. - Otworzył szufladę

biurka i wyciągnął z niej pudełko cygar, przypuszczalnie numer dwa,

przeznaczonych dla gości z drugiego szczebla hierarchii ważności. Sam

nie wziął. Lekarz mu zabronił. Wiadomo. Bliskie początki choroby

wrzodowej.

- Tak, Sinikką zginęła tragicznie - wspomniał Aarne Melkonen. -

Wywrotka jachtu. Sama zawiniła. Z przekory wypłynęła w morze, chociaż była burza. Kto wie, czy nawet lepiej się nie stało, gdy tak o tym myślę. Bo może wyrosłaby na kopię swojej matki. Niestety, gorszą. - Prezes się wzdrygnął i szybko poprawił: - Maire miała słabe nerwy i zbyt często sięgała po alkohol, pewnie panowie wiedzą. Nie mogła na to nic poradzić. Zapewniam, że Maire... jak by to panom najlepiej opisać... Maire w tych swoich jaśniejszych chwilach naprawdę się starała. Ale miała słabe nerwy, toczona jeszcze poczuciem winy. Sama sobie zniszczyła życie, na własne życzenie.

- Przepraszam - wtrącił Palmu - ale mamy poważne podejrzenia, że to major Vadenblick zniszczył jej życie, by użyć pańskiego sformułowania.

Czego zupełnie przypadkowym świadkiem była panna Annikka Melkonen. Tak przynajmniej życzy to sobie widzieć obecny tutaj pan kierownik. Major Vadenblick pozbył się jedyne go świadka, i to natychmiast, gdy poczuł zagrożenie. Te odwiedziny u niego to był nasz błąd. I szczerze go żałuję. Przeliczyłem się w rachubach. Major nie zamierzał ryzykować. Pańska siostra była na skraju załamania nerwowego. To było widać.

- Czy zdołaliby to panowie udowodnić? - spytał z ożywieniem prezes Melkonen. - Czy wystarczyłoby to do podważenia testamentu wzajemnego?

Niestety, jako prawnik musiałem przecząco pokręcić głową.

- Zrobimy jednak, co w naszej mocy, by udowodnić, że major Vadenblick jest mordercą - rzekłem. - Nie mam najmniejszych

wątpliwości, iż stracił do morza także swoją nową żonę, a pańską przyrodnią siostrę. Tak samo wypchnął wcześniej Maire Vadenblick z okna swojego mieszkania na piątym piętrze. Co więcej, jesteśmy przekonani, że zaobserwował to przez swoją lunetę pewien starszy jegomość nazwiskiem Nordberg i że gdy zaczął szantażować majora, również zginął z jego rąk. Nawet pani Annikka... - Już miałem powiedzieć, że ona również zamierzała zapłacić staremu Nordbergowi półtora miliona od siebie, ale Palmu kopnął mnie w nogę tak mocno, że zamiast tego syknąłem i złapałem się za goleń.

- Co się panu stało? - spytał ze współczuciem prezes Melkonen.

- Ach, pan kierownik miał chyba jedno z tych swoich olśnień -

wyjaśnił Palmu z obojętną miną. - Zdarza mu się czasem. Na pewno chciał powiedzieć, że potrzebujemy pańskiej pomocy, aby zebrać niezbędne dowody przeciwko mordercy.

- Zrobi się z tego potworny skandal - zawahał się prezes. -

Jakkolwiek by patrzeć, Vadenblick jest naszym akcjonariuszem. Ale...

może właśnie dlatego. Oczywiście, udzielę panom wszelkiej pomocy.

Choć, jak rozumiem, akurat w tej sprawie nie będę mógł panom w żaden sposób pomóc.

- Ma pan ogromne wpływy - odrzekł na to Palmu, patrząc prezesowi

prosto w oczy. - My zaś jesteśmy li tylko źle opłacanymi urzędnikami

państwowymi, którzy robią, co mogą, by możliwie najlepiej wywiązywać

się z powierzonych im niełatwych zadań. Ale gdy my wystąpimy o pomoc

do banków i prawników, usłyszymy jedynie wymówki. Formalnie nie

mamy nawet prawa pojechać do Linnanmaki na oględziny miejsca

śmierci pańskiej przyrodniej siostry. Gdyby jednak pan nas polecił, gdyby

to pan poprosił, aby udzielono nam niezbędnych informacji, na przykład

w bankach...

- Sprawa załatwiona - obiecał życzliwie prezes Melkonen. - Jeśli

zdołacie udowodnić temu człowiekowi morderstwo i wsadzić go za kratki,

wówczas nie będzie mógł dziedziczyć po Maire. I straci pakiet

większościowy. A w najlepszym razie zdołamy nawet obalić testament.

Posłuchajcie mnie panowie, jeżeli rzeczywiście doprowadzicie tę

przerazającą sprawę do końca, zapłacę choćby...

Palmu chrząknął ostrzegawczo. Aarne Melkonen nieco się zmieszał,

zaraz jednak taktownie się poprawił:

- Chciałem powiedzieć, że z chęcią wesprę, dajmy na to... policyjny

fundusz sierocy, jeśli takowy macie.

Wtedy przyszła mi do głowy genialna myśl. Choć raz.

- Chór! - wykrzyknąłem. - Mamy policyjny chór. Czy pan prezes

mógłby zafundować naszemu chórowi wyjazd do Kopenhagi? Nie

wszystkich stać na podróż...

- Bagatela! - uznał prezes Melkonen. - Ilu was się tam wybiera?

Najbardziej optymistyczne rachuby uwzględniały dwudziestu

czterech chłopów.

- Czterdziestu ośmiu - zaproponowałem odważnie, choć serce

waliło mi jak młot.

- Jak dla mnie to może was tamjechać choćby i setka! - przyrzekł

szczodrze prezes. - Umowa stoi? Dostaniecie czek jeszcze tego samego dnia, w którym major Vadenblick trafi za kratki.

- Przejazd, pobyt, wszystkie koszty? - upewniłem się jeszcze, nie wierząc własnym uszom.

- Wszystko. - Prezes zatoczył ręką szeroki łuk, ja zaś oczami duszy zobaczyłem jasność, która przyćmiła nawet barwnego Matisse'a.

Gdy znaleźliśmy się znów w otoczeniu szlachetnej boazerii windy, chwyciłem komisarza za kłapy płaszcza, potrząsnąłem nim i rzekłem z groźbą w głosie:

- Jeżeli teraz nie rozwiążesz mi tej sprawy, Palmu, to nigdy ci tego nie wybaczę. Tylko sobie wyobraź: setka chłop! Każdy, kto choćby trochę potrafi śpiewać. Kopenhaga zadrży w posadach, gdy pełną piersią zagrzmiemy, że tego kraju nikt nie rzuci na kolana!

- Tylko nie w windzie! - uciszył mnie Palmu. Spojrzał na mnie złośliwie. - Kilku gości pojedzie sobie do Kopenhagi, też mi coś - prychnął pogardliwie. - Że też chciało ci się w ogóle wspominać o takim drobiazgu.

Czy ty naprawdę nie pojmujesz, o co idzie ta gra? Przy pomyślnych wiatrach Melkonen zgarnie cały pakiet akcji. No, dziewięćdziesiąt procent. Człowieku, za coś takiego postawiłby nam choćby nową komendę!

Komisarz oczywiście przesadzał. Ale znów nie aż tak strasznie.

Rozważyłem sprawę.

- Nie - rzekłem w końcu. - Jednak nie. Zapominasz, że istnieje coś takiego, jak podatek od spadku. I to progresywny. W linii bocznej. Nie

masz nawet pojęcia, jakie to będą straszne pieniądze. W ten sposób nas nacjonalizują. Po cichutku. Żeby co mniej rozgarnięci od razu się nie spostrzegli.

Drzwi windy otwarły się samoczynnie.

- Idziemy - rzucił krótko Palmu.

Wróciliśmy na komendę. Przyznam, że z wielką przyjemnością zasiadłem znów za biurkiem w swoim skromnym urzędniczym pokoju.

Ściany miałem za to ładnie pomalowane. I krzesła się nie rozpadały pod moim ciężarem.

Co z tego, że nie posiadałem Matisse'a? Miałem na ścianie mapę Helsinek. I nie musiałem się martwić o wrzody żołądka. O zatorze nie wspominając.

Zabraliśmy się ostro do pracy. To znaczy Palmu i jego chłopcy. Ja tylko za nich odpowiadałem. Organizowałem. Według wskazówek komisarza. Niewidzialne wpływy otwierały przede nami wszystkie drzwi. Nawet sejfy i skrytki bankowe. Nie chciało mi się wierzyć. Choć wiadomo, że nie mogłem o tym szepnąć nikomu ani słowa. Nawet nasz komendant był zadowolony i mruknął coś pod nosem na wieść, że jeden z naszych chłopaków rozłożył się jak u siebie w domu w... No, nie powiem gdzie. W każdym razie szef musiał być bardzo zdziwiony, choć nie dał tego po sobie poznać. Komendant zawsze musi wszystko wiedzieć. Zawsze mu ktoś doniesie, jakiś życzliwy skarżypyta.

W pierwszej kolejności pojechaliśmy oczywiście do Linnanmaki.

Wróciliśmy jednak z pustymi rękoma. Robotnicy nie usłyszeli nawet

krzyku. Major Vadenblick chwilę nad nimi postął, nadzorując pracę, a potem zaczął się zastanawiać, gdzie się podziała jego żona. Dostrzegł ciało na dole, ciskane przez fale o skały. Z narażeniem życia zszedł po stromej skarpie i wy dostał zwłoki żony spomiędzy kamieni. Wyłowiono ich oboje łodzią. Major był zdruzgotany. Nawet robotnikom było go żal. Kręcąc głowami, pokazali nam, którędy zszedł na dół. Prawdziwy mężczyzna, choć darł się jak opętany. Żaden z nich nie zdecydowałby się na takie ryzyko, nawet za największe pieniądze.

Na skalnej półce żadnych śladów. Tyle samo, czyli nic, na zwłokach kobiety. Nic, co nie mogłoby powstać w wyniku upadku na skały i późniejszego maltretowania przez wzburzone fale. Major mężnie zniósł tę stratę.

- Nie wiem, ile razy ją ostrzegałem - rzekł złamanym głosem. - Ale kobiety są uparte, a Annikka była pod tym względem gorsza niż inne. Nie dała sobie przemówić do rozsądku.

No cóż, major Vadenblick najwyraźniej nie miał w życiu szczęścia do kobiet. Ale przecież nie zawłókł żony siłą na stromą ścieżkę prowadzącą z rozpadliny na półkę skalną. Potwierdzili to robotnicy. Pani Vadenblick sama tam poszła. Wyprostowana, jakby kij połknęła. Również major trzymał się prosto. Otoczywszy syna swym silnym ramieniem, pożegnał nas na schodach dworku. Mały potwór jeszcze szczerzył na nas zęby. Pozostało nam wyrazić najgłębsze wyrazy współczucia.

W czwartek odprowadziliśmy Lyyli Hartolę na statek. Służącą

państwa Vadenblicków, czytelnik pewnie pamięta. Na trzeźwo była zaskakująco powściągliwa i patrzyła na nas bykiem. Chyba nawet nie pamiętała, że ostatnim razem cmoknęła komisarza w usta. Zdołaliśmy jednak wyjaśnić, że majora nie było nawet w domu, gdy Maire Vadenblick za pomocą papierosa próbowała dokonać samospalenia w łóżku. Major przebywał wówczas na wsi. Z całą pewnością. To ona, Lyyli, poczuła, że coś jest nie tak, bo nie mogła w nocy zasnąć. Pani Vadenblick była w tak żalnym stanie, że doktor musiał jej podać zastrzyk uspokajający. Słynny lekarz internista nie próbował zgrywać waź-niaka. Od razu zostawił swojego pacjenta i bez chwili namysłu odpowiadał na pytania. Zadziałała zapewne sprężyna pana prezesa.

- To prawda - potwierdził. - Pani Vadenblick po trwających wiele dni okresach dypsomanii rzeczywiście trzeba było podawać skopomorfinę. Nic innego na to nie skutkuje. A skopomorfiną uśpi nawet byka, jeżeli dawka będzie odpowiednio duża. Jej jednak podawałem niewiele. Sztuka polega na tym, żeby najpierw pacjenta uśpić, a dopiero potem przystąpić do właściwego zabiegu. Tamtej nocy wyrwano mnie z łóżka. W zasadzie zatelefonowała do mnie sama pani Vadenblick, płakała. Gdyby nie chodziło o nią, nie pojechałbym. To była wspaniała kobieta, pod pewnymi względami. Usiadłem obok niej, czekając na efekt zastrzyku. Nigdy od niej nie wychodziłem, nie upewniwszy się wpierw, że naprawdę zasnęła. I wynosiłem przezornie papierosy z jej sypialni. Po zażyciu sko-pomorfiny nie wolno palić tytoniu. Najwyraźniej jednak jakimś cudem się przebudziła i tylko na poły świadoma, poszła po

papierosy do drugiego pokoju. Domownicy spali. Zdarzyło się raz, że po moim wyjściu powlokła się na czworakach do barku. Sama się potem przyznała. - Doktor poprawił okulary i spojrzał na nas surowo. - Pani Vadenblick była wspaniałą kobietą - powtórzył. - Nie wolno nikogo osądzać. Może tak było najlepiej. Gdyby jednak pan major zatelefonował do mnie tamtej nocy, gdy popełniła samobójstwo, zapewniam panów, że nie doszłoby do tego. Podałbym jej zastrzyk, ujął za rękę i wysłuchał do końca jej pijackich bełkotów. Słuchając pijaka, człowiek ma czas na własne przemyślenia. Przy niej rozwiązywałem zazwyczaj w myślach jakiś problem szachowy. Człowiek powinien mieć jakąś pasję. Poza działalnością zawodową, rzecz jasna. Pani Yadenblick takiej pasji brakło. I to ją zabiło. Towarzystwo i popijawy to była jej praca. Nie miała jednak żadnej pasji, która mogłaby ją czasem od tej pracy oderwać.

- Nie wszyscy umieją grać w szachy - zauważył jowialnie Palmu.

- Nie, a kobiety z reguły nie mają głowy do tej gry - przyznał doktor.

- Niemniej psychologiczne podejście majora Vadenblicka do żony było z gruntu niewłaściwe. Bił ją, siłą kładł do łóżka, zamykał w sypialni, chował butelki. Żadnego alkoholika... no, żadnego dypsomana nie zmusi się tymi metodami do zaprzestania picia. Dypsomania to choroba. Bywa, że wrodzona. Radca górniczy Melkonen na przykład... - Doktor chrząknął i zasłonił usta dłonią. - No tak, może to nie należy do sprawy, ale prezes Melkonen zalecił mi w rozmowie z panami całkowitą szczerłość. No więc jego ojciec, radca górniczy Melkonen, sam lubił czasem ulotnić się gdzieś na parę dni. Upuścić trochę pary, jak sam powtarzał. Próbował utrafić z

tym w weekend i organizował swoje zniknięcia tak, by nie ucierpiała na tym jego praca. Dzięki temu nigdy nie stał się bohaterem żadnego skandalu. Jechał do ekskluzywnego hotelu, kładł się do łóżka w wełnianych skarpetach i wypijał od razu cztery butelki koniaku. Taką miał takwę. Potem był oczywiście chory, mimo wszystko jednak przynosiło mu to jakąś ulgę. Ogromna odpowiedzialność, no i dzieci, z którymi miał same utrapienia. Bo to drugie małżeństwo... no, ale o tym to już naprawdę nie warto wspominać, nazbyt daleko odchodzimy od rzeczy.

Matka Annikki była złą kobietą. Ulepiona z zupełnie innej gliny niż matka Maire i Aarnego. Pierwsza żona pana radcy była wspaniałą kobietą.

- A zatem uważa pan, że Annikka była twarda z natury? - wtrąciłem się do rozmowy. - Obciążenia dziedziczne po matce, to pan sugeruje?

Wrodzona surowość, czy tak?

Doktor pokręcił głową.

- Nie przesadzajmy - rzekł. - Twardość charakteru to pojęcie względne. W porównaniu z Maire Annikkę pewnie można by i uważać za kobietę twardą, ale przy majorze Vadenblicku była miękka jak ciepły wosk. W ogóle powiedziałbym, że skłonności dziedziczne są wyłącznie fundamentem, na którym człowiek buduje sam, podług własnej woli.

- Fundamentem! - Palmu powoli wstał, wpatrując się przed siebie nieruchomym wzrokiem, jak gdyby dostał jakiegoś ataku. - Panie doktorze, tabletkę na-a serce, szybko!

- Pan komisarz jest przemęczony - rzekłem z troską w głosie. - Za mało snu i nieregularne posiłki. Przekleństwo pracy w policji.

Doktor miał już tabletkę na dłoni i nalewał właśnie z karafki wodę do szklanki, wpatrując się ze znużeniem w twarz komisarza.

- To nie jest mocny lek - zapewnił, chwytając Palmu wprawnie za nadgarstek, aby zbadać tętno. - Sam go używam. Jeśli pan chce, chętnie pana ostukam i osłucham. Na koszt koncernu Melkos, ma się rozumieć.

Palmu nie lubił jednak przesadnej troskliwości.

- Już mi przeszło - fuknął ze złością i wyrwał rękę z uścisku doktora.

- Zajęliśmy panu zbyt dużo czasu. W poczekalni na pewno zrobiła się już kolejka.

Podziękowaliśmy i wyszliśmy. I w zasadzie o prowadzonym przez nas dochodzeniu nie mam wiele więcej do powiedzenia. Minął tydzień, nie zdołaliśmy jednak niczego znaleźć. Plus minus zero. Jeśli z początku mieliśmy szczęście, to teraz fart się skończył. Każdy nowy kierunek śledztwa prowadził nas szybko do ślepego zaułka.

Wyjaśniliśmy oczywiście, że major Vadenblick pożyczył pieniądze pod zastaw swoich akcji. Mnóstwo pieniędzy. Na odbudowę rodowej posiadłości. Dziewiątego września powiększył swoje kredyty o sumę trzech i pół miliona marek. Pieniądze pobrał w gotówce. Nie było to jednak aż tak niezwykle. Major Vadenblick już wcześniej wybierał pieniądze na zakup ziemi wokół swojego majątku, a gospodarze lubią, jak banknoty poleżą trochę na stole, zanim je zanoszą do banku spółdzielczego. Albo akcyjnego, jak kto woli. A tam numery banknotów zapisuje się jedynie w sytuacjach wyjątkowych. Rzekomo nikt nie miałby na to czasu. Kasjerki mają ręce pełne roboty. Akurat.

No, ale gdy Fredrik Nordberg kazał przelać na konto firmy budowlanej dwa miliony za mieszkanie na Różanej i dołożył jeszcze milion na swoje konto depozytowe, mruczając pod nosem, że wygrał na loterii, nikomu w całym oddziale nawet powieka nie drgnęła. Pogratulowali mu tylko, bo pan Nordberg był miłym człowiekiem, dobroduszny i życzliwy. Zrobił raz nawet kasjerce horoskop. Ostrzegł ją przed dużym niebezpieczeństwem i tylko dlatego kobieta zatelefonowała do głównego oddziału banku w sprawie wyjątkowo dużego czeku, ostemplowanego poprawnie i rzeczowo przez kontrolę jakiegoś tartaku, ze wszystkimi podpisami. Mężczyzna zdążył dać drapaka, ale fałszerstwo zostało ujawnione. Innymi słowy, nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, aby zapisać numery banknotów przyniesionych przez pana Nordberga.

Natomiast starszego pana w kapeluszu z czerwonym piórkiem szukaliśmy tak zawzięcie, że zniżyliśmy się nawet do zamieszczenia ogłoszenia w prasie, w którym prosiliśmy mężczyznę o kontakt z policją. Mógł bowiem zobaczyć coś szczególnego, zanim miejsce zbrodni rozdeptał tłum gapiów. Nie zgłosił się jednak.

- Tak to jest - rzekł filozoficznie Palmu. - Morderca, który działa błyskawicznie i z zimną krwią, jest najgorszy ze wszystkich. Im dłużej planuje się zbrodnię, tym pewniejszy błąd. Tak uczy doświadczenie. Sam pewnie o tym czytałeś. W tych swoich powieściach detektywistycznych. - Po chwili dodał: - I co my wiemy na temat Annikki? Dziewczyna o twardym charakterze na skraju załamania nerwowego. A jeśli to była

ona? Stary Nordberg wyciągnął najpierw od dobrotliwego majora trzy i pół melona, a potem zwrócił się do Annikki, bo z Vadenblicka już więcej nie dało się nic wydoić. Może to Vadenblick był świadkiem i to on osłaniał ją? Z początku zamierzała zapłacić, podjęła nawet pieniądze, potem jednak zmieniła zdanie i sprzątnęła szantażystę. Pewnie nie zwróciłeś uwagi na to, że ta kobieta ma wyjątkowo duże stopy?

- Ale przecież to jasne jak słońce, że major... - zacząłem.

- Nazbyt jasne właśnie - uciął Palmu. - Spróbuj to udowodnić. Tu jest pies pogrzebany.

- Nie po to tutaj siedzę! - I ja się rozzłościłem. - To twoja robota.

Znajdź mi dowód, choćbyś miał go spod ziemi wyciągnąć! Na moją odpowiedzialność. Nie dociera do ciebie, Palmu, że na zebraniu chóru dałem już chłopakom do zrozumienia, że ktoś nam opłaci ten wyjazd do Kopenhagi?

- Ty to zawsze musisz się wygadać - skwitował zmartwiony Palmu.

- Co się stało, to się nie odstanie - podsumowałem. - Ale zrozum już, że... oni mnie zlinczują, jeśli nic z tego nie wyjdzie. Setka chłopca, nie rozumiesz?

Palmu długo myślał, bawiąc się swoją fajką.

- Choćby spod ziemi, powiadasz? - powtórzył w końcu. - Na twoją odpowiedzialność? Weźmiesz to na siebie?

- Wezmę na siebie wszystko - przystałem skwapliwie. - Mam za sobą сотnię policjantów, cały chór. I naczelnika wydziału. I prezesa Melkonena. Wystarczy?

Ale Palmu nie podjął tematu. Dalej walił głową w mur. Jak nie tu, to tam. Chłopcy przewrócili do góry nogami całą Marynarską. Przepytali każdego przygodnego przechodnia, który tamtej nocy zaszedł do kamienicy lub przechodził ulicą. Nie zdołali jednak ustalić niczego nowego poza tym, że mieszkańcy domu byli przekonani, iż Fredrik Nordberg wrócił do domu mniej więcej kwadrans po północy. We wszystkich oknach jego mieszkania od podwórza świeciły się światła niemal do godziny pierwszej. Przez firanki nie można było jednak dostrzec, kto znajduje się w środku.

Wszystko więc wskazywało na to, że panna Pohjanvuori była jedyną osobą, która natknęła się na mordercę. Wypuściła go nawet na ulicę, bo zamek w drzwiach bramy bardzo ciężko chodził. Przesłuchaliśmy ją ponownie i Palmu zapytał, czy jej zdaniem ów rzekomy pijak mógł być w rzeczywistości kobietą w przebraniu. Nie przyszło jej to nawet do głowy, ale wspomnienie tamtego spotkania było tak mgliste, że zaczęła się wahać i przyznała w końcu, że nie może tego całkiem wykluczyć. Nie byłaby w stanie nikogo rozpoznać. Kiedy major Vadenblick gościł w mieście, Palmu pokazał go dziewczynie - bo oczywiście nie spuszczaaliśmy z niego oka nawet na chwilę - ale ona tylko pokręciła przecząco głową. Może i wzrost by się zgadzał, ale w żadnym razie nie była gotowa przysiąc, że to właśnie on.

To był ciężki tydzień. Villemu zaczynało się już nudzić i chłopak dopytywał, kiedy wreszcie wyjdzie na wolność. W gazecie nie było nawet jego zdjęcia.

Palmu klepał mu w kółko frazesy o bezwzględności mordercy i o przewadze, jaką ten zyskał ogromną zuchwałością. Choć nawet on nie podejrzewał jeszcze, jak bezwzględny potrafi być major Vadenblick. Przypuszczał tylko i dlatego o mały figiel nie rozstał się z życiem.

- Przeprowadźmy zatem i my jakąś zuchwałą akcję - zaproponowałem.

- Właśnie nad tym ostatnio trochę deliberujemy z Kok-kim - przyznał Palmu. - Cieszę się, że szef zaczyna już rozumieć, że nic innego nam tu nie pomoże. Ciągle chcesz za to odpowiadać? Za wszystko?

- Aresztujmy go - rzekłem z mściwością w głosie. - Choćbyśmy mieli go spałować. Niech raz ma.

Palmu pokręcił głową.

- Tego człowieka nie tak łatwo złamać - powiedział z przekonaniem.

- W końcu był na wojnie. Nie miej złudzeń. Wyśmiałyby cię tylko. A razem z nim każdy sąd w tym kraju. Nie, Kokki i ja mamy lepszy plan.

- Jaki? - spytałem drżącym głosem, pochylając się ku niemu przez biurko.

- Pojedziemy do Linnanmaki i wysadzimy w powietrze całą tę budę.

I będzie po sprawie - wyłuszczył mi bez ogródek Palmu. - Kokki już zorganizował trotyl, więc możemy ruszać choćby zaraz! A ty bierzesz wszystko na siebie.

12.

Oczywiście nie uwierzyłem mu. Byłem przekonany, że żartuje.

Próbuje zrobić na mnie wrażenie. Był szary i wilgotny listopadowy

poranek. Na szybkie okna mojego pokoju osadzała się mgła. Kiedy Palmu wyszedł, aby załatwić dla nas wóz, pochyliłem się nad biurkiem i z zażenowaniem otworzyłem najniższą szufladę. Sprawdziłem, czy pistolet jest nabity, przeładowałem, zabezpieczyłem i schowałem do kieszeni na piersi. To dość spora spluwa, z długą lufą i kalibrowana. Nie mieści się w tylnej kieszeni.

Kiedy jednak wsiadłem do samochodu, uśmiech zamarł mi na ustach. Obok kierowcy siedział nasz policyjny pirotechnik, a przed nim na podłodze piętrzył się stos groźnie wyglądających paczek. Czyżby Palmu rzeczywiście chciał...? Przecież nie mogłem wziąć na siebie wysadzenia w powietrze dworku razem z jego mieszkańcami! Choćby nawet major na to zasługiwał.

W drodze przez miasto popatrywałem niespokojnie na komisarza.

Jego nieprzenikniona twarz wyrażała typową dla niego beznamiętność.

Był już jednak na to za stary, dniami i nocami zadręczał się tą przekłętą sprawą i kto wie, czy sobie potajemnie nie pociągał na boku. Palmu obrócił głowę w moją stronę i jak gdyby czytał w moich myślach, chuchnął mi prosto w twarz. Ale nie, cuchnęło od niego tylko tym ohydny tytoniem. Nie wyczułem w jego oddechu smrodu alkoholu.

- A cóż tam takiego się huśta w kieszeni pana kierowcy? -
zagadnął z przekąsem.

Musiałem rozpiąć płaszcz, bo nie dość, że w aucie było gorąco, to jeszcze na widok naszego pirotechnika oblałem się potem.

- Wziąłem ze sobą pistolet, tak na wszelki wypadek - wyznałem

cierpko.

Palmu prychnął.

- Pewnie, pewnie, w końcu nasz szef to prawdziwy snajper, regały pełne pucharów i co tylko chcesz - ciągnął złośliwie. - Tylko pamiętaj, żebyś nie wcisnął tego gnata majorowi do ręki.

Czytelnik pewnie pamięta, że rzeczywiście kiedyś przez głupotę oddałem morderczyni własny pistolet, za co poczęstowała mnie potem kulą w bark. Została mi po tym postrzale pamiątkowa blizna. Ale wtedy byłem jeszcze młody i niedoświadczony. I nie całkiem wyzuty z uczuć. Za krótko jeszcze znałem komisarza Palmu. Dzisiaj to już przeszłość.

Zresztą już nigdy potem Palmu nie drwił ze mnie, że zabrałem ze sobą pistolet. Wręcz przeciwnie. Kto wie, jak skończyłoby się to wszystko, gdyby nie ja. Rzadka dale-kowzrocność z mojej strony. Przebłysk geniuszu. Patrząc z perspektywy czasu. Choć poza tym jestem kompletnym idiotą.

Chcąc mi jeszcze bardziej dokuczyć, Palmu poklepał kierowcę po ramieniu i rzekł:

- Tylko nie za prędko, bo wpadniemy do rowu. A wtedy wszyscy polecimy do nieba.

- Co tu ma wybuchnąć? - prychnął pirotechnik i kopnął złożone w nogach pakunki, aż podskoczyłem na siedzeniu. - Zapalniki mam w kieszeni. Jeśli nie będziecie mnie za bardzo popychać, nic się nie stanie.

Z powodu mgły widoczność była kiepska. Moim zdaniem wlekliśmy się jak żółwie. Nie nauczyłem się jeszcze cierpliwości, chociaż

próbowałem. Czy raczej Palmu starał się mnie urobić. Szczerze mówiąc, nerwy miałem napięte do granic możliwości, więc gdy Kokki znów zaczął gadać o tej swojej stewardesie, warknąłem na niego groźnie.

- Napatrzą się tam na tym lotnisku - odezwał się. - Tak jak kiedyś rano, akurat po tej nocy, kiedy zginął stary Nordberg. W ostatniej chwili na płytę wbiegł jakiś facet w starym kapeluszu wędkarskim na głowie...

- Z wędką, haczykami i muchami na łososie - warknąłem na niego groźnie. - Domyśliłem się. Przestań pleść głupoty. Mam co innego na głowie.

Kokki się obraził i Palmu spojrział na mnie z wyrzutem. Oczywiście zaraz pożałowałem swojego wybuchu, ale naprawdę nie miałem już ochoty słuchać wynurzeń Kokkiego. Wlekliśmy się więc po mokrej drodze w męczącej ciszy. Nie wstąpiliśmy nawet na kawę w Tammisaari, chociaż kierowca chyba na to liczył, bo rozglądał się przy kawiarni, gdzie by tu zaparkować. Nie miałem ochoty na kawę.

Samochód stanął dopiero przed dworkiem. Tym razem jednak gospodarz nie wyskoczył na schody, by powitać przybyłych gości, choć dostrzegłem ruch firanki w oknie.

Najwyraźniej popadliśmy w niełaskę. Przez dobrą chwilę waliliśmy bezskutecznie w drzwi, więc Kokki musiał obejść budynek i zastukać do drzwi kuchennych. Wyszła stamtąd dziewczyna, która wpuściła nas do środka głównym wejściem. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby major przyjął nas w kuchni. Zdaje się, że był właśnie w takim nastroju.

Dziewczyna zaprowadziła nas do gabinetu i zapowiedziała

gospodarzowi. Major Vadenblich siedział za stołem i czyścił swoje strzelby. Nie zdradzał najmniejszej ochoty, by na nasz widok wstać, nie mówiąc o podaniu ręki.

- Sezon na jelenie zaczyna się dopiero szesnastego - zagadnął zgryźliwie. - Nie włożyli panowie nawet czerwonych czapek, jak nakazuje obyczaj. Czemu więc zawdzięczam ten zaszczyt? Proszę mi wybaczyć, ale mam brudne ręce. Sam zawsze czyszczę swoją broń. Nikomu innemu nie wolno jej ruszać.

Tym razem nie zamówił dla nas herbaty. Rozsiedliśmy się jednak wygodnie w skórzanych fotelach, tak jak poprzednio. Zapadło przygniatające milczenie. Palmu, nie doczekawszy się papierosa, nabił swoją fajkę i zapalił. Nie spytał nawet o pozwolenie. I to mu uratowało życie.

Zapaliwszy i pyknąwszy kilkakrotnie, spojrzął na mnie z wyrzutem.

Ja jednak roztropnie nie otwierałem ust. Też potrafię być uparty.

Uważałem, że to on powinien zagaić rozmowę. Szczerze mówiąc, nie miałem zielonego pojęcia, od czego zacząć, i nawet nie zamierzałem łamać sobie nad tym głowy.

- Sprawa jest dość przykra, panie majorze - zaczął w końcu Palmu. -

Czytał pan zapewne w prasie, że w nocy z trzydziestego września na pierwszego października na Wzgórzu Obserwatorium w Helsinkach zamordowano niejakiego Fredrika Nordberga, astronoma amatora. Stary człowiek i paskudna zbrodnia.

Major spojrzął na komisarza, nawet nie mrugnawszy okiem.

- Młodociani gangsterzy w skórzanych kurtkach - przypomniał

sobie. Po czym wstał, w paru dużych krokach znalazł się przy drzwiach i

dodał: - Może jednak zamkniemy drzwi.

I nie zważając na poplamione olejem palce, chwycił za klamkę.

Przekręcił nawet klucz w zamku. Zauważyłem, że Palmu się sprężył.

Pyknął ze swojej fajki dłużej niż zwykle.

Gdy major Vadenblick wrócił za biurko, komisarz odezwał się

zupełnie innym, surowym głosem:

- Otwieraj teczkę, Kokki, obejrzymy sobie dowody. Ja również się

sprężyłem i wyciągnąłem szyję. Odciski śladu podeszwy rozpoznałem ze

zdjęcia, ale ku mojemu zdumieniu Kokki wyciągnął z teczki także

efemerydy starego Nordberga - to taka księga z pozycjami planet i gwiazd

na każdy dzień roku, może czytelnik pamięta. Sam ją z czystej ciekawości

przewertowałem w mieszkaniu nieboszczyka, ale nie znalazłem w niej

żadnych zapisków.

- To nie była młodzież w skórzanych kurtkach - stwierdził surowo

Palmu. - Wkrótce po tym, jak Nordberg został zamordowany, jego

mieszkanie przeszukał jakiś wysoki mężczyzna. Oto odciski śladów, jakie

pozostawiły jego buty na podłodze ubikacji.

Major spojrzał obojętnie na duże zdjęcie, wziął je do ręki i przyłożył

do uniesionej stopy.

- Proszę, proszę, identyczny rozmiar - zdziwił się lodowatym

głosem.

- Zechce pan tu spojrzeć, morderca to przeoczył. - Palmu otworzył

efemerydy i podsunął majorowi.

Nie potrafiłem powściągnąć ciekawości. Musiałem podejść i zajrzeć gospodarzowi przez ramię. Rzeczywiście, przy dziewiątym września dostrzegłem słabo widoczny wpis ołówkiem, w którym rozpoznałem niezbyt już pewny, starczy charakter pisma Fredrika Nordberga: „Maj. Va-denblick 3 500 000”. I przy przedostatnim dniu września kolejny: „V-blick 1 500 000, g. 24”.

Siadając z powrotem w fotelu, spojrzałem surowo na Palmu i Kokkiego. Twarze mieli nieprzeniknione. Na pierwszy rzut oka byłbym gotów przysiąc, że to było pismo starego Nordberga. Ale nie jestem grafologiem. I na pewno nie widziałem tych wpisów, gdy wertowałem efemerydy. Mamy do swojej dyspozycji i taką grupę, która specjalizuje się między innymi w rozpoznawaniu fałszerstw. Im też wygłaszam kazania o współpracy. Tym razem jednak trochę przeszarżowali, jak na mój gust. Major jednak ciągle nie dawał się wpuścić w maliny.

- No i co? - spytał tylko bez troski.

Kokki wyciągnął więc spokojnie z teczki dwie fotografie odcisków palców i z grzecznym skłonieniem głowy podał je gospodarzowi.

- Proszę samemu porównać, panie majorze - ton komisarza Palmu był wciąż uprzejmy. - Nie musi się pan spieszyć. Mamy dużo czasu. Jedno zdjęcie przedstawia ślad pańskich linii papilarnych. Zabezpieczyliśmy je przy naszej poprzedniej wizycie. Nie chcieliśmy zawracać panu głowy wypełnianiem karty daktyloskopijnej, pobrudziłby pan sobie tylko palce.

Drugie natomiast... - Palmu pyknął fajkę, która już prawie zgasła -

pobraliśmy z deski sedesowej w ubikacji Fredrika Nordberga.

- No ale... - zacząłem, zaraz jednak ugryzłem się w język, choć moim zdaniem Palmu posunął się już zdecydowanie za daleko. Przecież w mieszkaniu Nordberga nie znaleziono żadnych obcych śladów i komisarz blefował już bardzo ryzykownie, zakładając, że mężczyźni pokroju majora Vadenblicka zachciałoby się nagle iść do ubikacji. Czy raczej zmuszony nagłą potrzebą, zdjąłby rękawiczki przed rozpięciem rozporka.

Major z obojętną miną oglądał oba zdjęcia. Na jego twardej twarzy zagościł smutny uśmiech. Kręcąc głową, wyznał:

- Co tu dużo kryć. Byłem tam. Przeszukałem mieszkanie tego parszywego szantażysty, czy nie zostawił tam czasem jakiegoś sprawozdania. Ale na próżno się trudziłem. Stary mówił prawdę. Zabrał tajemnicę ze sobą do grobu, tak jak obiecał. Do tej książki nawet nie zajrzałem.

- Czy-czyli pan... się przyznaje? - wyjąkałem zdumiony.

- Oczywiście - odrzekł major Vadenblick z niejaką ulgą w głosie. -

Nie należę do ludzi, którzy umieją długo coś ukrywać. Jeśli coś robię, to z podniesioną przyłbicą. Dlatego to zadanie było mi bardzo niemiłe.

Skradać się po nocy jak pierwszy lepszy złodziej. Po jakiejś Marynarskiej.

Major wstał, wyjął z kieszeni klucze i podszedł do dużej kasy pancерnej w rogu gabinetu. Gdy otwierał ciężkie drzwi, usłyszałem szum zasysanego powietrza.

Wolno wrócił do nas z zamkniętą kopertą w ręce. Dużą, żółtą kopertą.

- Proszę bardzo, panie sędzio - rzekł i wręczył mi ją. Wreszcie do niego dotarło, kto z nas jest tu szefem. Na kopercie widniał maszynowy napis: „Dla policji”.

Rozerwałem kopertę. Wyciągnąłem ze środka złożoną na pół kartkę papieru. Był to oficjalny dokument. Z oczami wybałuszonymi ze zdumienia odczytałem:

„Ja, niżej podpisana Annikka Vadenblick, z domu Mel-konen, z własnej nieprzymuszonej woli wyznaję niniejszym, że zaślepiona gniewem wypchnęłam z okna swoją pijaną siostrę Maire, ponieważ uciekając się do obelg i kłamstw, usiłowała poróżnić mnie z panem majorem Vadenblickiem, którego dzisiaj poślubiłam.

Mój małżonek widział, jak to zrobiłam, ale mnie nie obwiniął. Z biegiem lat staliśmy się sobie bardzo bliscy.

Tak się złożyło, że czyn mój zobaczył przez lunetę ze Wzgórza Obserwatorium niejaki Fredrik Nordberg. W sierpniu ten bezwzględny człowiek zaczął szantażować mojego małżonka, żądając pięciu milionów marek w zamian za zabranie tajemnicy do grobu. Niestety, mój mąż nie powiadomił mnie o tym, bojąc się, że wpadnę w panikę. Mimo trudności zdołał zgromadzić trzy i pół miliona, które przekazał szantażyście, mając nadzieję, że ten się tym zadowoli.

Gdy pod koniec września mój małżonek przebywał na wsi, Nordberg zatelefonował do mnie i zażądał półtora miliona. Nie odważyłam się powiedzieć o tym mężowi, tylko podjęłam pieniądze z banku, by zawieźć je temu szantażyście, który miał czekać na nie do

północy na Wzgórzu Obserwatorium tego samego dnia, kiedy mieliśmy zebranie zarządu koncernu w hotelu Kamppi. Wykorzystałam powstałe zamieszanie i wyszłam stamtąd wcześniej. Przerazona myślą o ciemnym parku, dla bezpieczeństwa wyjęłam potajemnie z szuflady biurka mojego męża jego gumową pałkę, pamiątkę z czasów wojny, i schowałam do torebki.

Ze słów Nordberga wywnioskowałam, że mój małżonek bez mojej wiedzy zapłacił mu już wspomnianą wyżej sumę. Swoją bezczelność starzec usiłował pokryć uprzejmością i zasłaniał się dobrem swojej bratanicy, której przytrafiła się niechciana ciąża, więc musiał jej kupić własne mieszkanie. Zrozumiałam, że nasze szczęście jest zagrożone i że ten bezwzględny człowiek nigdy się od nas nie odczepi.

Wpadłam w furię i zdzieliłam go w głowę gumową pałką. Potem zaciągnęłam Nordberga w krzaki i tam, zaślepiona wściekłością, biłam go jeszcze pałką po twarzy i kopałam.

Tak zastał mnie mój małżonek, bo w hotelu widział, że jestem bardzo zdenerwowana, i wiedziony złym przeczuciem, niepostrzeżenie wymknął się za mną i śledził mnie aż na Wzgórze Obserwatorium. Nie zdążył mnie już powstrzymać, zrozumiał jednak mój wybuch, gdyż napady wściekłości są u nas rodzinne. Chcąc mnie uchronić przed konsekwencjami mojego czynu, zakrył połą płaszczą twarz szantażysty i aby opóźnić jego rozpoznanie, wyjął wszystko z jego kieszeni i wyrzucił do kosza na śmieci.

W tymże celu uchronienia mnie przed konsekwencjami wziął klucze

Nordberga i poszedł do jego mieszkania, aby sprawdzić, czy starzec nie zostawił tam żadnego pisemnego sprawozdania z minionych zdarzeń.

Wtedy jednak zjawiliście się w moim domu wy, funkcjonariusze policji, i zaczęliście tu węszyć jak psy gończe. Przeraziłam się śmiertelnie i zupełnie załamalam. Zdałam sobie sprawę, że nie zaznam już w życiu ani jednej chwili spokoju. Jedyłą moją pociechą jest mi jeszcze to, że zostaliśmy dzisiaj zaślubieni. Nie chcę jednak psuć życia mojemu małżonkowi, choć on mnie zapewnia, że z czasem sprawa pójdzie w zapomnienie. Dlatego muszę odkupić swój czyn w ten jedyny sposób, jaki mi pozostał.

Piszę ten list w nocy, kiedy mój małżonek śpi. Jutro rzucę się do morza ze skarpy pod Orlim Gniazdem, z tej samej wysokości, z której spadła Maire.

Wyznanie to pozostawię w otwartej kopercie z napisem «Dla policji», tam, gdzie mój małżonek na pewno ją znajdzie. Niechaj sam zdecyduje, co zrobić z tym listem, i niechaj mi wybaczy te wszystkie troski, których mu przysporzyłam».

Tak kończył się ten list. Klarowne i rzeczowe wyznanie. Pod spodem widniały jeszcze data i podpis: Annikka Vadenblick.

Bez słowa podałem kartkę komisarzowi. Palmu zaczął powoli czytać. Major Vadenblick ukazał mi się nagle w zupełnie nowym świetle.

Twarda twarz i bezlitosne oczy, ale współczesny świat nie cierpi jednostek dumnych, które we wszystkim chcą mieć ostatnie słowo. Plotki, zazdrość, pomówienia. Co ostatecznie wiedziałem o majorze Gustafie Eriku

Vadenblicku? Tyle że odznaczył się na wojnie, miał wiele orderów, odrestaurował rodzinną posiadłość.

Major nie odrywał spojrzenia od blatu. Prawdziwy mężczyzna nie ujawnia swych uczuć. Na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień.

Kiedy Palmu czytał, major spokojnie odwiesił wyczyszczoną strzelbę na miejsce, po czym zdjął z haka sztucer i położył go na stole. Nie zaczął go jednak rozbierać. W życiu człowieka są ciężkie chwile. Nie przeczuwałem jeszcze, jak ciężka była to chwila dla majora Vadenblicka.

Palmu doczytał do końca, po czym z nieobecną miną złożył kartkę na dwoje i wsunął z powrotem do rozdartej koperty. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w podłogę, pociągając z fajki, która zdążyła już dawno zgasnąć.

- Podpis własnoręczny, chyba w to nie wątpicie, co? - rzekł w końcu major ze złośliwym uśmiechem. - Macie w końcu tych swoich speców od grafologii. Psy parszywe, to wyście zaszczuli tę kobietę na śmierć! Kochałem ją. Do końca osłaniałem. I odpowiem za swoje czyny, choć nie zamierzałem tego listu nigdy nikomu pokazywać, dla niej.

- Ależ oczywiście, nie ma wątpliwości, to wiążące przyznanie się do winy - rzekł w końcu komisarz jowialnym tonem. - Zapomina pan jednak o kamieniu węgielnym, majorze Vadenblick. - Major drgnął i uniósł z blatu sztucer. Palmu ciągnął: - O kamieniu, że tak powiem, odrzuconym przez budowniczych z głupoty. To znaczy przez nas, parszywe psy.

To mówiąc, pochylił zamyśloną twarz, by ostukać wygasłą fajkę o obcas, i w tejże chwili wystrzelił trzymany przez majora sztucer. Kula

świsnęła komisarzowi nad głową dokładnie w tym miejscu, gdzie przed ułamkiem sekundy znajdowało się jego czoło. Usłyszeliśmy trzask przebijanego drewna.

Zanim zdążyłem pomyśleć, co robię, trzymałem już w dłoni odbezpieczony pistolet. Wyszarpnąłem go z kieszeni na piersi. Major chciał przeładować, zdążyłem jednak postrzelić go w łokieć. Jestem pewien, że Vadenblick chciał zabić komisarza, choć za nic bym nie zgadł, co Palmu miał na myśli.

Major nawet nie syknął, upuścił tylko broń na podłogę i złapał się za łokieć.

- Co to ma znaczyć, do jasnej cholery?! - ryknął. - Sztucer sam wypalił! Ktoś zostawił nabój w lufie! Chyba ten urwis tu nie grzebał, chociaż surowo mu zabroniłem! Chyba ten urwis tu nie... - powtórzył major przerażająco powoli, a jakaś niewidzialna siła uniosła go z siedzenia. Oczy wyszły mu niemal z orbit, gdy wbił spojrzenie w drzwi gabinetu, więc i my obróciliśmy głowy. Kula ze sztucera, która o mały włos nie roztrzaskała głowy komisarza, przebiła zamknięte drzwi, pozostawiając po sobie brzydką dziurę.

Major ruszył pierwszy, szedł sztywno jak lunatyk, ranne ramię wisiało bezwładnie wzdłuż boku. Poszliśmy za nim. Major przekreślił klucz w zamku i otworzył drzwi. Za progiem leżał Erik Vadenblick, wykapany syn swojego ojca. Kula przeszła mu przez głowę, skroń wyglądała jak krwista miazga. Chłopak nie zdążył nawet pisnąć.

- Mój syn, mój syn! - Major Vadenblick osunął się głucho na kolana

i potrzęsnał ciałem chłopca, a potem uniósł jego bezwładną głowę.

Sztywny kark się ugiął. Popłynęły łzy. Major Gustaf Erik Yadenblick płakał. Może po raz pierwszy od czasów dzieciństwa. Choć skąd mogłem to wiedzieć?

Nie płakał jednak długo.

- Patrzcie, do czegoście doprowadzili - wyszeptał, podnosząc na mnie trupioblada, wykręconą bólem i nienawiścią twarz. - Pomóżcie mi chociaż. - Nie był w stanie sam unieść syna, chwyciłem więc ciało i zaniósłem je ostrożnie na sofę w sali. Chłopcu nie mogła już pomóc żadna ludzka siła, ale Kokki podszedł do telefonu i poprosił o połączenie z lekarzem gminnym. W końcu trzeba było opatrzyć łokieć majora. Z zawieszonych na ścianach portretów przypatrywały się nam bezwzględne oblicza Vadenblicków.

- Mój syn, mój syn! - powtarzał zdruzgotany major. - Już nic się teraz nie liczy. To dla niego chciałem stworzyć tu księstwo. Jak za czasów moich przodków. Majątek wielkości gminy. Fabryki koncernu Melkos. Niech inni robią, co mogą, a my, Vadenblickowie, będziemy robić zawsze to, co chcemy. A teraz już go nie ma. - Odwrócił się do nas i ryknął wściekle: - Skurwysyny jedne, jeszcze nic nie pojmujecie, parszywcy?! Już nic się teraz nie liczy! To od niego wszystko się zaczęło, od mojego syna. Naprawdę na to sami nie wpadliście? To on wrzucił zapalonego papierosa do łóżka Maire! To on jej wepchnął do ust całą garść tabletek nasennych i zmusił do połknięcia, gdy Maire wciąż była półprzytomna po zastrzyku uspokajającym. Dlatego musiałem go na stałe przenieść tutaj. Bo w końcu

kiedyś zabiłby ją naprawdę.

Major wytarł czoło, powiódł błędnymi oczami po portretach, aż w końcu uspokoił się i opanował.

- Annikka zdążyła przed nim - ciągnął. - Wypchnęła Maire z okna.

To było najlepsze, co jeszcze można było zrobić dla tej kobiety.

Nie mogąc uwierzyć własnym uszom, gapiłem się na nieżywego chłopca. Nawet po śmierci był piękny jak anioł. Ale nasiąkł już złem do szpiku kości. Przypomniałem sobie wronę. Zrozumiałem. I uwierzyłem.

Jednak jeszcze bardziej się zdumiałem, kiedy Palmu spokojnie nabił fajkę i rzekł bez ogródek:

- Brednie. Nie podważam autentyczności podpisu. Wiadomo, że pańska żona podpisałaby wszystko, co pan jej podsunie, choćby pustą kartkę. - Komisarz odwrócił się do nas i rzekł: - A teraz idziemy.

Wysadzimy to całe Orle Gniazdo w powietrze i zobaczymy, co też znajdziemy pod fundamentem. - Kątem oka spojrział na majora, rzucił swoją fajkę i krzyknął: - Kokki, szybko!

Skamieniałem ze zdumienia i nawet nie drgnąłem. Kokki zdążył jednak złapać majora za zdrową rękę, w której ten ścisnął fiolkę z cyjankiem. Wojenne sztuczki. Na wzór niemiecki. Skąd ludzie biorą takie rzeczy?

Dopiero wtedy major Vadenblick stracił nad sobą panowanie.

Zaczął szaleć, a miotał się jak dziki zwierz, chociaż miał przestrelony łokieć, a jego syn leżał martwy na sofie. Palmu musiał przynieść kajdanki z wozu. Ale skutą major wcale się nie uspokoił. Zdaje się, że jego choroba

psychiczna ujawniła się wtedy w całej pełni, bo zaczął dosłownie toczyć pianę z ust. Czytałem w książkach o czymś takim, ale do tamtej pory jakoś nie dawałem temu wiary. Uwierzyłem dopiero w rodzinnym dworku Vadenblicków, gdzie zobaczyłem to na własne oczy.

Lekarz gminny musiał najpierw dać Vadenblickowi zastrzyk uspokajający, aby móc opatrzyć ranę. Wcale nie żałuję, że roztrzaskałem majorowi łokieć. Nie po tym, jak usłyszeliśmy, co się stało z Siniką. Bo to od niej wszystko się zaczęło.

Choć nie powinienem uprzedzać biegu wydarzeń. Zostawiliśmy naszego umundurowanego kierowcę z lekarzem, aby pilnowali majora, sami zaś zaczęliśmy się wspinać do Orlego Gniazda. Nasz spec od pirotechniki zaczął się już niecierpliwić. Byłem tak oszołomiony, że dałem sobie wcisnąć pod pachę jedną z tych jego ciężkich paczek. Dopiero na grani uświadomiłem sobie, że niosłem coś przez całą drogę, czym prędzej odstawiłem więc pakunek na ziemię. Oczywiście z największą ostrożnością. Nie, nie bałem się, nie o to chodzi, nie wypada jednak, by kierownik grupy dochodzeniowej z komisji zabójstw nosił jakieś paczki. Od czego w końcu mamy Kokkiego.

Budowa posuwała się szybko i zastaliśmy na miejscu robotników, mieliśmy więc ludzi do pomocy. Kamień węgielny został wkopany pod paleniskiem kominka i zalany betonem. O tym uroczystym akcie major sam nam wspominał, a robotnicy potwierdzili, że pan Vadenblick rzeczywiście wsunął pod kamień metalową skrzynkę, jak to mają w zwyczaju ludzie tego formatu.

Zatem na początek wysadziliśmy całą budę. Żeby oczyścić sobie przedpole. W końcu Orle Gniazdo nie będzie już majorowi potrzebne. A robotnicy specjalnie się nie opierali, choć stracili robotę. Pan Vadenblick nie był jednak szczególnie miłym pracodawcą, mieli więc niezły ubaw, gdy ładunki zaczęły eksplodować. W końcu i oni byli na wojnie.

Nasz pirotechnik też się dobrze bawił. Powiedział, że zbyt rzadko mu się trafia podobna okazja. Najczęściej kaza mu tylko wąchać ślady pozostawione przez kogoś innego. I o tej sprawie nie mam już nic więcej do powiedzenia. Pod kamieniem węgielnym znaleźliśmy zalutowaną metalową skrzynkę, w której znajdowało się drzewo genealogiczne Vadenblicków, oczywiście w postaci rysunku na brystolu. Poza tym klucze do mieszkania Fredrika Nordberga. Zakrwawione buty. I koperta, na której staruszek wypisał drżącą ręką: „Bezwzględnie spalić po mojej śmierci”. Przetrzyzymał w niej spisana relację z tego, co widział. A widział, że o godzinie wpół do trzeciej w nocy major Vadenblick siłą wypchnął swoją żonę przez okno rzęsiście oświetlonego mieszkania w kamienicy na Katajanokce. Była kwietniowa noc, jasna od stojącego wysoko księżycy. Annikka Melkonen stała wtedy w drzwiach i wszystko widziała. Byłaby krzyknęła, ale major zatkał jej usta ręką, a chwilę potem do sali wbiegły już inne osoby. Staruszek napisał, że nie trwało to dłużej niż kilka sekund.

Nie potrzebowaliśmy więc nawet sprawozdania majora Vadenblicka o tym, jak z zimną krwią zaplanował i przeprowadził likwidację szantażysty. Bardzo pragnął opowiedzieć tę historię przyszłym

pokoleniom. Aby i jego potomkowie po wsze czasy sobie zakarbowali, że Vaden-blickowie robią to, co chcą, bez względu na czasy, w jakich przychodzi im żyć. Inni niech robią tylko to, co mogą. Zrobiliśmy więc, co mogliśmy. Wsadziliśmy go za kratki. Nie wiem tylko, czy chciał, aby te zakrwawione buty i pęk kluczy przyszłe pokolenia eksponowały w witrynach jako muzealne pamiątki, czy po prostu uznał, że zabetonowana pod fundamentem metalowa skrzynka będzie dla nich najpewniejszą skrytką? Bezwzględny człowiek.

Oczywiście poczekaliśmy najpierw na operację w Szpitalu Czerwonego Krzyża. Palmu prosił jeszcze chirurga o bardzo staranne złożenie łokcia, aby major odzyskał pełną sprawność ramienia. Będzie mu potrzebna w kamieniołomach.

Bo rzecz jasna dostał dożywocie. Nie było żadnych badań psychiatrycznych, nie dla majora Vadenblicka. Sam by się zresztą na to nie zgodził. Jestem jednak przeświadczony, że prędzej czy później straci rozum. Ludzie jego pokroju nie są zdrowi na umyśle i apostołowie kary śmierci mogą sobie mówić, co tylko chcą. Tak czy owak, major Vadenblick raczej już nigdy nie wyjdzie z za krat. I tak oto zgaśnie jego stary ród.

Ale nie spuścił nosa na kwintę. Niech sobie czytelnik nie myśli.

Wręcz przeciwnie, dopiero teraz pan major zaczął się chełpić. Sam nam opowiedział, jak to było z Sinikka. Córką Maire, czytelnik na pewno pamięta. To do niej zaczął smalić cholewki, gdy na własną prośbę został zwolniony ze służby wojskowej. Parał się sprzedażą samochodów na

prowiję, był to jednak w tamtych czasach raczej kiepski interes. No i praca poniżej jego arystokratycznej godności. Ale tak się złożyło, że kiedyś Sinikka i Maire postanowiły sobie kupić nowe auto. Tak się zaczęły przejażdżki. Co tu dużo mówić, major Vadenblick był nadzwyczaj przystojnym mężczyzną, nie można zaprzeczyć. Podobał się kobietom, w każdym razie niektórym. Dlaczegoż więc nie miałyby się spodobać niedoświadczonej, żadnej przygód nastolatce? Major wykorzystał nadarzącą się okazję i zgwałcił Sinikkę, by doprowadzić do małżeństwa i położyć łapy na pieniądzech radcy Melkonena. Stary prezes jeszcze wtedy żył.

Sinikka sądziła, że przechytrzy majora. Zgrywała się na małego kozaka. Poszła na wizytę do bardzo wyrozumiałej lekarki, kiedy tylko spostrzegła niejakie opóźnienie w regularnym jak do tej pory cyklu, jeśli czytelnik rozumie moją taktowną aluzję. Zresztą jest to rzecz zupełnie legalna, jeżeli kobieta została przymuszona do współżycia. Poza tym Sinikka miała zaledwie siedemnaście lat. Podczas kolejnego rejsu wspaniałym jachtem Melkonenów, kiedy furkoczące na silnym wietrze żagle przywodziły majorowi na myśl ślubny kobierzec, dziewczyna zagrała mu na nosie i triumfalnie obwieściła, że nie dla psa kiełbasa. I dodała, że takimi jak major Vadenblick to ona może się co najwyżej trochę pobawić, ale o żadnych zaręczynach i małżeństwie nawet mowy nie ma. Nie wyszłaby za niego, choćby jej groził śmiercią. Na koniec zaś sama zagroziła, że opowie o wszystkim matce i dziadkowi Melkonenowi, wpływowemu radcy górniczemu. Widziała przecież, jak jej matka pożera

oczami pana Vadenblicka. A prezes Melkonen mógł w tym kraju zamorzyć majora głodem.

I dlatego Vadenblick, który był zawsze gotów do działania, złapał dziewczynę za kark i wyrzucił za burtę. Dla pewności krążył jeszcze w pobliżu, czekając, aż głowa Sinikki w końcu zniknie pod powierzchnią. Potem wywrócił i zatopił jacht blisko szkieru, gdzie dopłynął wpływ. Relacją ze swojej bohaterskiej walki o uratowanie dziewczyny zaskarbił sobie wdzięczność rodziny i okrył się sławą.

A Ville? Ville wstąpił ochotniczo do batalionu samochodowego.

Sprawę rozbitego na drzewie samochodu załatwiono za zamkniętymi drzwiami. Ville nie dostał nawet wyroku w zawieszeniu. Wstawiliśmy się za nim, bo chłopak wykazał się wzorową postawą. Pomógł nam wydatnie w zakończeniu trudnego dochodzenia. Ari za to dostał surowy wyrok.

Także dzięki naszemu wstawiennictwu. Swoje dorzucił jeszcze kierownik grupy zajmującej się kradzieżą samochodów. Było tego tyle, że Ari trafił do więzienia. A dokładniej do zakładu poprawczego dla młodocianych przestępców, ale i za to jego ojciec dziękował nam ze łzami w oczach, wychwalając nas pod niebiosa. Już od lat nie radził sobie z synem.

Ja też nie mogę narzekać. Do Kopenhagi poleciało nas śpiewać stu dwudziestu chłopów. Odrzutowcem. Podróż zafundował nam pan prezes Melkonen. Opłacił także trzydniowy pobyt w najlepszych duńskich hotelach. Tak że nie musieliśmy oglądać każdej marki z obu stron. Ten człowiek zostanie jeszcze radcą górniczym, proszę mi wierzyć. Jeśli przedtem nie umrze z powodu zatoru, ma się rozumieć. Świetnie się

bawiliśmy. Czytelnik na pewno widział nasze zdjęcia w prasie. I recenzje.

No tak, prawie zapomniałem o Kaiji. Zdecydowaliśmy, że nie będziemy jej w ogóle mieszać do tej całej sprawy z rozbitym samochodem. Okazało się bowiem, że ma dopiero czternaście lat. Mimo tego swetra. I ślicznej małej pupci w bardzo ciasnych dzinsach.

Chyba już mówiłem, że Ville odważył się wreszcie oświadczyć Saarze Pohjanvuori. W swoje osiemnaste urodziny. Swoje zrobił Alpio, który mu powiedział, że poborowi dostają teraz w wojsku dodatek rodzinny. A krawiec Pohjanvuori wcale córki nie zabił. Przeciwnie, płakał ze szczęścia, że Ville jest gotów wziąć sobie za żonę zbłąkaną owieczkę. I to jemu najbardziej spieszyło się ze ślubem, ledwo więc Ville wyszedł z aresztu, stary krawiec pognął ich do ołtarza. Był tak skruszony, że obiecał sprezentować nowożeńcom pralkę. Bez niej młodzi ludzie dzisiaj nie potrafią już sobie wyobrazić życia. Zwłaszcza gdy spodziewają się dziecka. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Dlatego muszę jeszcze wyjaśnić zagadkę starszego pana w kapeluszu z czerwonym piórkiem. Co prawda Kokki wyjaśnił ją wcześniej i dowiedziałbym się wszystkiego już wtedy w samochodzie, gdybym tylko cierpliwie wysłuchał go do końca.

Mnie jednak olśniło później. Kiedy zdążyłem już o tym człowieku zupełnie zapomnieć, po powrocie z Kopenhagi.

Był już listopad. Pewnego niedzielnego przedpołudnia około godziny dziesiątej zadzwonił mój telefon. Polegiwa-łem sobie jeszcze w objęciach Morfeusza, jeśli czytelnik rozumie, co chcę przez to powiedzieć.

Zapewniam, że nie znaczy to nic zdrożnego. Telefonowała panna

Pelkonen. Zaprosiła mnie uprzejmie na poranną kawę, więc oczywiście w mig się ogoliłem i już po chwili byłem gotowy.

No i siedział tam u niej. Ten pan w kapeluszu z piórkim.

Oczywiście nie siedział przy stole w nakryciu głowy, ale poznałem go od razu dzięki dokładnemu opisowi panny Pelkonen. Piękne szpakowate włosy na skroniach, miłe szare oczy. Niski, krępy jegomość grubo po pięćdziesiątce, poza tym jednak biły z niego żywotność i sprężystość. Mężczyzna w najlepszym dla siebie okresie życia. Tak w każdym razie uważała panna Pelkonen, wyczytałem to z jej twarzy.

- Inżynier Svartsvan - przedstawiła mi go gospodyni. - Inżynier dyplomowany.

- Inaczej czarny łabędź - zażartował inżynier. - A może raczej czarna owca w tej mrocznej sprawie morderstwa na Wzgórzu Obserwatorium.

Proszę z całego serca o wybaczenie, panie sędzio, ale dowiedziałem się o wszystkim dopiero teraz, po telefonie do panny Pelkonen.

- Rozpoznał mnie po wyglądzie - rzekła panna Pelkonen z błyskiem zachwytu w oczach.

- Na wystawie psów rasowych - dopowiedział skromnie inżynier. -

Dobry Druh to pies dyplomowany - co rzekłszy, pochylił się i pogłaskał pięknego teriera, który z takim uwielbieniem warował przy jego nogawce, że nie odstąpił jej nawet, by się ze mną przywitać. Poczulem w sercu ukłucie zazdrości. - Zawsze kochałem psy - ciągnął inżynier. - Sam nie mogę mieć w domu czworonoga, to zbyt skomplikowane dla samotnego wdowca, ale chodzę na wszystkie wystawy i śledzę w prasie wyniki, więc

zapamiętałem sobie dobrze nazwisko panny Pelkonen. I tamtego ranka w parku na wzgórzu od razu rozpoznałem Dobrego Druha, to jest pannę Pelkonen, przepraszam, ją oczywiście miałem na myśli.

I dlatego po powrocie z Ameryki od razu do niej zatelefonowałem.

- Z Ameryki? - powtórzyłem idiotycznie.

- Właśnie tamtego ranka wyjeżdżałem do Stanów Zjednoczonych, o godzinie ósmej - wyjaśnił inżynier. - Pan rozumie, samolot, wiza, już umówione spotkania w Nowym Jorku i Chicago. Najzwyczajniej w świecie nie mogłem się mieszać do sprawy, w której nie miałem żadnego udziału. Trafiłbym na przesłuchanie i tak dalej. W rzeczy samej omal nie spóźniłem się na samolot, tak mnie zafrapowało to spotkanie z panną Pelkonen.

- Pan inżynier Svartsvan twierdzi, że bardzo mu pomogłam w bardzo ważnej sprawie - wyznała gospodyni, wpatrując się w mężczyznę chyba z jeszcze większym uwielbieniem niż Dobry Druh.

- W rzeczy samej, w sprawie zupełnie absurdalnej - dopowiedział inżynier. - Miałem przed sobą trudną decyzję, gryzło mnie sumienie, że tak powiem. Panna Pelkonen powiedziała, że każdy powinien spełnić swój obowiązek, czy coś takiego. W nocy przewracałem się z boku na bok, roztrząsając swój problem. Denerwowałem się tą podróżą i przez to też nie mogłem zmrużyć oka. Dlatego jeszcze przed świtem wyszedłem na spacer do parku na wzgórzu. Pomyślałem, że jak zaczerpnę w płuca świeżego powietrza, to może umysł mi się przejaśni przed wyjazdem.

- Czyli problem sumienia - przypominałem, by wrócić do sedna

sprawy.

- W istocie jestem bardziej przedsiębiorcą aniżeli inżynierem -

powiedział pan Svartsvan. - Nasza agencja jest na fińskim rynku

przedstawicielem dużej firmy maszynowej, to dla nas bardzo dochodowa działalność. Niedługo minie dwadzieścia pięć lat, odkąd tam pracuję.

Na etacie, choć znam tę branżę jak własną kieszeń. Dyrektor

uzyskał przedstawicielstwo już w latach dwudziestych. Życie poszło do

przodu. A on, szczerze mówiąc, coraz bardziej wapnieje. Nie odróżnia

urządzenia elektronicznego od lodówki. I nasza firma na tym cierpi, bo

konkurencja jest dziś bardzo ostra. Dlatego pomyślałem, że spełnię tylko

swój obowiązek, jeśli tam, w Ameryce, zapoznając się w naszym imieniu z

nowymi maszynami, wspomnę mimochodem, że przedstawicielstwo

fińskie mogłoby się znaleźć w lepszych rękach. Czyli moich. Panna

Pelkonen natchnęła mnie do lepszej decyzji. - Po chwili przyznał: - To

oczywiście śmieszne. Ale zrozumiałem, że moim ludzkim obowiązkiem

jest jednak stanąć po stronie naszego starego szefa. W końcu to on firmę

założył, on ją rozkręcił. W Nowym Jorku i w Chicago zaczęli mnie

sondować, i to bardzo gruntownie. Nie powiedziałem jednak o szefie

złego słowa. Wręcz przeciwnie. Skutkiem czego rzeczywiście dali mi to

przedstawicielstwo, zarówno na dotychczasowe, jak i na najnowsze

produkty. Natomiast gdybym usiłował podkopać pozycję ich

dotychczasowego agenta, bez skrupułów wywaliliby mnie za burtę. Sami

mi to potem przyznali. Mój stary szef specjalnie mnie tam posłał, aby

mnie sprawdzili. Innymi słowy, uczciwość popłaca. I dlatego jestem tak

wdzięczny pannie Pelkonen.

A zatem i o tym nie ma potrzeby już więcej mówić. Widziałem ich już dwukrotnie w filharmonii i raz na wystawie sztuki. Tak że kto wie, może z tej mąki jeszcze będzie chleb. Nie wiem tylko, na kim panu inżynierowi bardziej zależy. Trzeba bowiem uczciwie przyznać, że Dobry Druh to naprawdę piękny pies. Uważam jednak, że i pannie Pelkonen niczego nie brakuje.

Z jakiegoś powodu nasze stosunki z naczelnikiem wydziału stały się ostatnio dziwnie napięte. Nie pojmuję, co może być tego przyczyną. W każdym razie wina nie leży po mojej stronie. Czyżby był zazdrosny, że nie polecał z nami do Kopenhagi? Ale jak miałem mu to załatwić? Przecież naczelnik nie umie w ogóle śpiewać, zupełnie jak komisarz Palmu.

Czytelnika może jeszcze zastanawiać, skąd komisarz Palmu wiedział o tej skrzynce pod kamieniem węgielnym. Bo przecież skądś to musiał wiedzieć. W końcu nie wytrzymałem i spytałem go o to zupełnie otwarcie.

- Posłuchaj no, Palmu, przyznaj się wreszcie, skąd wiedziałeś o tej skrzynce pod kamieniem węgielnym.

I tym razem komisarz nie zaczął bajdurzyć o psychologii, genealogii, o swojej głębokiej znajomości ludzkiej natury ani o wyniosłej próżności mordercy. Nie chciał się chwalić ani ze mnie kpić. Odrzekł mi więc z rozbijającą szczerością:

- Gwiazdy mi powiedziały.

Document Outline

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)

Table of Contents

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)